

Syzyfowe prace



STEFAN ŻEROMSKI

Szyzyfowe prace

I

Termin odstawienia Marcina do szkoły przypadł na dzień czwarty stycznia.

Obydwoje państwo Borowiczowie postanowili odwiedzić jedynaka na miejsce. Zaprzężono konie do malowanych i kutych sanek, główne siedzenie wysłano barwnym, strzyżonym dywanem, który zazwyczaj wisiał nad łóżkiem pani, i około pierwszej z południa wśród powszechnego płaczu wyruszono.

Dzień był wietrzny i mroźny. Mimo to jednak, że szczyty wzgórz kurzyły się nieustannie od przelatującej zadymki na rozległych dolinach, między lasami, zmarznięte pustkowia leżały w spokoju i prawie w ciszy. Szedł tylko tamtędy zimny przeciąg, wiejąc sypki śnieg niby lotną plewę. Gdzieś tam waleś się nad zaspami smugi najdrobniejszego pyłu jak pyłek przyduszonego paleniska.

Chłopak siedzący na koźle, podobny do głowy cukru opakowanej szarą bibułą, w swym spiczastym baszłyku¹, który w tamtych okolicach od dawien dawna uległ nostryfikacji² i otrzymał swojską nazwę maślocha, i w brunatnej sukmanie³ — mocno trzymał lejce garściami ukrytymi w niezmiernych rękawicach wełnianych o jednym wielkim palcu.

Konie były wypoczęte, nie chodziły bowiem od pewnego już czasu do żadnej ciężkiej roboty, toteż pomykały, parskając, ostrego kłusa po ledwo przetartej, a już znowu na pół zadętej drożynie, i sucho, jednostajnie trzaskały podkowami o nadmarzniętą zwierchnię skorupę śniegu.

Pan Walenty Borowicz ćmił fajkę na krótkim cybuszku, wychylał się co kilka minut na bok i przyglądał uważnie już to sanicom, już migającym kopytom. Wiatr go chłostał po zaczerwienionej twarzy i on to zapewne wyciskał owe łzy, które szlachcic ukradkiem ocierał.

Pani Borowiczowa nie silila się wcale na maskowanie wzruszenia. Łzy stały bez przerwy w jej oczach skierowanych na syna. Twarz ta, niegdyś piękna, a w owej chwili wyniszczona już bardzo przez troski i chorobę piersiową, miała niezwykle wyraz namysłu czy jakiejś głębokiej a gorzkiej rozwagi.

Małec siedział „w nogach”, tyłem do koni. Był to duży, tegi i muskularny chłopak ośmioletni, z twarzą nie tyle piękną, ile rozumną i miłą. Oczy miał czarne, połyskliwe, w cieniu gęstych brwi ukryte. Włosy krótko przystrzyżone „na jeża” okrywała barankowa czapka wciśnięta aż na uszy. Miał na sobie zgrabną bekieszę⁴ z futrzanym kołnierzem i wełniane rękawiczki. Włożono nań ten strój odświętny, za którym tak przepadał, ale za to wieziono go do szkoły. Z niemego smutku matki, z miny ojca udającego dobrego humor wnioskował doskonale, że w owej szkole, którą mu tak zachwalano, przyobiecanych rozkoszy będzie nie tak znowu dużo.

Znajomy widok wioski rodzinnej znikł mu prędko z oczu; nagie wierchołki lip stojących przed dworem, schyliły się za brzeg lasu obwieszonego kiściami śniegu... Najbliższa góra poczęła wykręcać się, zmieniać, jakby krzywić i dziwacznie garbić. Wypadały teraz

Strój

¹baszłyk (z tur.) — kaptur z końcami do wiązania dokoła szyi, używany w wojsku rosyjskim. [przypis edytorski]

²nostryfikacja (z łac.) — tu: uzyskanie prawa obywatelstwa, spolszczenie. [przypis edytorski]

³sukmana — długie męskie okrycie wierzchnie z sukna lub szorstkiej wełny, dołem rozszerzane, dawniej powszechnie noszone przez chłopów. [przypis edytorski]

⁴bekiesz (z węg.) — długi, obszerny płaszcz podszyty futrem. Źródłosłów węgierski odwołuje się do nazwiska Kaspra Bekiesza, dowódcy węgierskiego w służbie Rzeczypospolitej. [przypis edytorski]

przed jego oczy smugi zarośli, jakich jeszcze nigdy nie widział, płoty z sękatych, nieociosanych żerdzi, na których wisiały przedziwne, niezmiernie długie sople lodu, wynurzały się pewne obszary puste, gdzieniegdzie okryte lodami o barwie sinawej, zimnej i dzikiej. Niekiedy las z nagłą podbiegał ku drodze i odkrywał przed zdumionymi oczyma chłopca posępne swoje głębie.

— Patrz, Marcinek! zając, trop zajączy... — wołał co chwila ojciec, trącając go nogą.

— Gdzie, tatku?

— A o, tu! widzisz? Dwa ślady duże, dwa małe. Widzisz?

— Widzę...

— Będziemy teraz szukali tropów lisa. Czekaj no... My go tu zaraz, oszusta, wyśle-dzimy, a potem palniemy mu w łeb, zdejmujemy futro i każemy Zelikowi uszyć prześliczną lisiurę⁵ dla pana studenta, Marcinka Borowicza. Czekaj no, my go tu zaraz...

Marcinek wpatrywał się w głuche leśne polany i zamiast rozrywki zimną bojaźń na tych tropach spotykał. Z rozkoszą byłby pobiegł śladem lisów i zając, nurzał się w śniegu i hasał wśród przydętych zarośli, ale teraz z całego obszaru i z tajemniczych jego cieniów fioletowych wiała na niego bolesna i zdumiewająca tajemnica: szkoła, szkoła, szkoła...

Ostatni szmat tzw. odpadków leśnych wykręcił się w inną stronę i zdawało się, że ucieka za oczy, na przelaj, polami. Roztwarzała się przestrzeń płaska, tu i ówdzie poprze-gradzana opłotkami, w których na dnie małych wąwozików kryły się drożyny, przydęte w owej chwili zaspami podobnymi do wysokich kopców albo spiczastych dachów. W jed-ną z takich dróg chłopskich wjechały sanie państwa Borowiczów i poczęły kopać się przez wydmy. Kiedy Marcinek wykręcił głowę i wiercił się na miejscu, żeby pomimo smut-ku spojrzeć na konie, dostrzegł przy krańcu pola smugę szarych ścian okrytych białymi strzechami. Owe ściany tworzyły linię równą i przykuwały oczy niezwykle na śniegach kolorem.

— Co to jest, mamusiu? — zapytał z oczyma łez pełnymi.

Pani Borowiczowa uśmiechnęła się z przymusem i na pozór spokojnie odrzekła:

— To nic, kochanku... To Owczary.

— To już w tych Owczarach... szkoła?

— Tak, kochanku... Ale to nic. Przecież ty jesteś tęgi, rozumny, mądry chłopiec! Przecie ty kochasz swoją mamusię. Trzeba się uczyć, malutki, uczyć...

— Ale on tylko udaje... — rzekł ojciec udając również, że się zanosi od śmiechu. — Alboż to daleko do Wielkiejnocy? Zleci jak z bicia strzelili! Ani się obejrzyysz, aż tu zajeżdża wózek przed szkołę. „Po kogoś przyjechał?” — pytają Jędrka. — „A po naszego panicza, po studenta” — on powie. A w domu co mazurków, co babek, co placków z migdałami... powiadam ci... zatręśnienie!

Wiatr szedł w polu ostrzejszy i smagał twarze rodziców chłopca. Marcin poddał się ściśnieniu serca, które uczuwał pierwszy raz w życiu, i milcząc słuchał nawału zdań o szko-le, konieczności uczenia się, o gimnazjum, o mundurze, mazurkach, zającach, o cukrze lodowatym, kapiszonach, posłuszeństwie, o jakiejś pilności i nieskończonym łańcuchu innych wyobrażeń. Chwilami przestawał myśleć i patrzył znużonym wzrokiem, jak wiatr rozdmuchuje futro w pewnym miejscu elkowego⁶, w kształcie peleryny, kołnierza mat-ki, zupełnie jak gdyby ktoś chuchał na to miejsce przyłożywszy do niego usta; chwilami znów tłumiał całą potęgą dziecięcej woli wybuch przerażenia, które wstrząsało jego żyły jak wystrzał niespodziewany. Tymczasem janczary⁷ dźwiękły⁸ głośnie, z obu stron dro-żyny ukazały się ściany stodół, później parkany, bielone chaty, i sanie wśliznęły się na utorowaną, szeroką ulicę wioski. Chłopiec powożący zaciął konie, a nim upłynęło kilka-naście minut, wstrzymał je przed budynkiem większym trochę od chat włościańskich⁹, ale nieodłączającym pod względem struktury od ich typu. We frontowej ścianie tego domostwa połyskiwały dwa okna sześcioboczne, a nad drzwiami wchodowymi¹⁰ czer-

Szantaż, Matka, Dziecko,
Szkoła

Szkoła, Dziecko, Uczeń,
Strach

⁵lisiura — czapka z lisiego futra. [przypis edytorski]

⁶elkowy — zrobiony z futra tchórzy. [przypis edytorski]

⁷janczary — dzwonki przy końskiej uprzęży. [przypis edytorski]

⁸dźwiękły — dziś popr. forma: dźwiękneły. [przypis edytorski]

⁹włościański — chłopski; należący do mieszkańców wsi. [przypis edytorski]

¹⁰wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

niała tablica z napisem: *Naczelnoje Owczarskoje Uczyliszcze*¹¹. Obok budynku szkolnego stała skromnie niewielka obórka i tuliła się, nieco mniejsza od obórki, kupka krowiego nawozu. Między drogą a domem znajdowała się pewna przestrzeń, zapewne warzywny ogródek, w którym tego dnia sterczało jedno jakieś drzewko obciążone mnóstwem sopli. Dokoła tego placu biegł płot z powyłamywanymi kołkami.

Gdy sanki zatrzymały się na drodze, z sieni *uczyliszcza* wybiegł bez czapki nauczyciel, pan Ferdynand Wiechowski, i żona jego, pani Marcjanna z Piliszów. Nim zdążyli zbliżyć się do sanek, Marcin potrafił zadać matce szereg kategoriycznych¹² pytań:

— Mamusiu, to nauczyciel?

— Tak, kochanku.

— A to nauczycielka?

— Tak.

— A czy mama widzi, jak temu nauczycielowi strasznie się grdyka¹³ rusza?

— Cicho bądź!...

Nauczyciel miał na sobie rude i mocno zniszczone palto z wystrzępionymi dziurkami od guzików i guzikami rozmaitego pochodzenia, na nogach grube buty, a na długiej szyi wełniany szalik w prążki czerwone i zielone. Szerokie, żółtawe wąsy, od czasów we mgle przeszłości leżących niepodkręcane do góry, zakrywały usta pana Wiechowskiego jak dwa strzępy sukna. Palcami prawej ręki, powalany¹⁴ atramentem, z gracją i kokieterią odgarniał z czoła spadające promienie włosów i rozkopywał śnieg szastając po nim nogą w nieprzerwanych ukłonach. Zwiędła i zastygła twarz jego marszczyła się w uśmiechu czolobitności¹⁵, który czynił ją podobną do maski.

O wiele śmiej się zbliżała się do sanek pani nauczycielowa. Była to kobietka przystojna, choć nieco za wielka i za otyła. Miała oczy przykryte szafirowymi okularami. Te wielkie okulary natychmiast i bardzo źle usposobiły dla niej Marcina Borowicza. Nie wiedział, czy ta pani w danym momencie patrzy na niego i, co najważniejsza, czy ona w ogóle go widzi. Drogą dziwnego skojarzenia wrażeń prędko wykombinował, że nauczycielka podobna jest do ogromnej muchy.

— Powitać, powitać! — wołała, szepleniąc¹⁶ pani Wiechowska i poczęła wysadzać z sanek matkę Marcinka.

— Jakże zdrowie? — zapytał nauczyciel gwałtownym sposobem i nie wiedzieć kogo, ani na chwilę nie przestając uśmiechać się jednostajnie.

— Powitać kawalera! — mówiła coraz śmiej i głośniejsz nauczycielowa, teraz już specjalnie do Marcina. — Cóż, były dudy¹⁷? Pewno były, ejże!...

— Cóż to za dudy, mamó? — szepnął kawaler przez zęby.

— Jakże zdrowie? — wypalił znowu nauczyciel, mocno zacierając ręce.

— Ano, otóż i jesteśmy! — rzekł ze swobodą pan Borowicz. — Dudy? Było tam tego trochę, ale, chwalić Boga, niewiele, niewiele.

— Spodziewam się, proszę pana dobrodzieja — rzekła nauczycielka tonem wysoce dydaktycznym — spodziewam się... Marcin powinien to rozumieć — mówiła z rosnącym uczuciem i rozdymając nozdrza — że rodzice i cała familia oczekują po nim wiele, bardzo a bardzo wiele! Powinien to rozumieć, że musi stać się nie tylko pociechą rodziców w sędziwej starości, podporą ich lat zgrzybiałych, ale i chluba¹⁸...

Ten wyraz „chluba” wymówiła ze szczególnym namaszczeniem.

— A, naturalna rzecz! — zakończył nauczyciel, zwracając się do pana Borowicza z takim wyrazem twarzy, jakby pytał: „No, a może by tak kieliszeczek *szpagaterii*¹⁹?”

— Czymkolwiek Marcin zostanie — mówiła nauczycielka coraz płynniej, brnąc po śniegu do sieni, a stamtąd wprowadzając gości do mieszkania — czy to obywatelem

Nauczyciel

Nauczycielka

¹¹*Naczelnoje Owczarskoje Uczyliszcze* (ros.) — szkoła początkowa w Owczarach. [przypis edytorski]

¹²*kategoriyczny* — tu: zdecydowany. [przypis edytorski]

¹³*grdyka* — wydłużenie chrząstki krtani widoczne na szyi człowieka, rozwijające się po dojrzwaniu, przede wszystkim u mężczyzn; także: wyniosłość krtaniowa, jabłko Adama. [przypis edytorski]

¹⁴*powalany* (daw.) — pobrudzony. [przypis edytorski]

¹⁵*czolobitność* — postawa cechująca się pokorą; uniżoność. [przypis edytorski]

¹⁶*szepleniąc* (daw.) — dziś: sepleniąc. [przypis edytorski]

¹⁷*dudy* — tu: płacze. [przypis edytorski]

¹⁸*chluba* — chwała, sława. [przypis edytorski]

¹⁹*szpagateria* (żart.) — wódka. [przypis edytorski]

ziemskim, czyli też kapłanem, czy sekretarzem gminnym albo oficerem — zawsze powinien to mieć przede wszystkim na uwadze, że ma być chlubą swej rodziny. Nie wiem, jaki o tej sprawie sąd mają państwo dobrodziejostwo, co się zaś mnie tyczy, to jest to moje święte przeświadczenie...

„Znowu tą chlubą...” — ze znużeniem myślał kandydat na stanowisko tak podwyższone wśród całej rodziny. Ponieważ zaś przed chwilą wyraźnie słyszał, że może być oficerem, a jednocześnie patrzył w oczy matki, zamglone niewymowną miłością i łzami, opuściła go tedy naprężona uwaga, z jaką wsłuchiwał się w mowę nauczycielki, i począł z całą swobodą myśleć o błyszczących szlifach²⁰ i dzwoniących ostrogach²¹. Byłby nawet przysiągł w owej chwili, że ostrogi i szlify są ową nieznaną chlubą.

Pokoik, do którego wprowadzono przybyłych, miał niesłychanie małe wymiary i zastawiony był mnóstwem gratów. Jeden kąt zajmowało wielkie łóżko, drugi kąt piec kolosalnych rozmiarów, trzeci znowu łóżko; na środku stała kanapa i okrągły stolik z jesionowego drzewa, pokrajany najwidoczniej *kozikami*²² i porysowany jakimś narzędziem tępym a zębatym. Na ścianach wisiały tu i ówdzie litografie²³ wyobrażające świętych i święte. Przy drzwiach prowadzących do izby szkolnej zawieszony był na sznurku duży kalendarz w zielonej okładce, a na nim rzemienna pięciopalcza dyscyplina²⁴ z trzonkiem do złudzenia naśladującym sarnią nóżkę. Właśnie w owej chwili, kiedy Marcinowi troiła się po głowie chłuba w kształcie szlif²⁵ ułańskich, wzrok jego padł na okropny instrument...

— No, i jakże tam, he? — zapytał nauczyciel, wyciągając chudą i kościstą rękę w kierunku czupryny Marcina z takim gestem, jakiego używał zwykle felczer²⁶ Lejbuś, kiedy się do strzyżenia „pod włos” zabierał. Jednocześnie przejęły malca dwa dreszcze: na widok dyscypliny i tej okrutnej, chudej łapy. Westchnął z głębi piersi w taki sposób, że tego aktu nikt nie widział, nawet matka, i poddał spokojnie głowę jakiejś dziwnej pieśczości nauczyciela, która przypominała rozcieranie świeżo nabitego guza. Straszna rezygnacja, do której zmuszał się całym wysiłkiem woli, skupiła się w cichych myślach:

„Mama mię tu zostawi samego... on mię z początku będzie brał za głowę... o, tak... a potem...”

Później z odwagą, która była trudnym do zniesienia cierpieniem, spojrzął na dyscyplinę i nawet podniósł wzrok na pana Wiechowskiego.

Tymczasem do pokoju weszła dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia, na cienkich nogach obutych w duże trzewiki — i dygnęła. Miała na sobie dosyć gruby kubrak i włosy zaplecione w tyle głowy w cienki warkoczek, noszący w tamtych okolicach nazwę „mysiego ogonka”.

— To Józia... — rzekła pani Wiechowska. — Uczy się i wychowuje u nas. Jest to właśnie *siostrzenica* księdza Piernackiego.

To słowo „siostrzenica” nauczycielka podkreśliła tonem zagrządzającym do umysłów osób obecnych drogę jakiegokolwiek, chociażby nawet minimalnej, wątpliwości.

— A... — mruknęła dosyć niechętnie pani Borowiczowa.

— Przywitajcie się, moje dzieci! — rzekła nauczycielka z emocją. — Będziecie się razem uczyli, powinniście więc żyć w zgodzie i pracować z zapałem!

Józia spojrzała na Marcinka iskrzącymi się oczami, a potem uległa całkowitemu zgłupieniu.

— Marcinek! — szepnął chłopcu do ucha pan Borowicz. — Przywitajże się... To tak zaczynasz postępować w szkole! Wstydz się!... No!

Chłopiec zaczerwienił się, spuścił oczy, a potem raptownie wyszedł na środek izby, rozstawił nogi szeroko, zsunął je z hałasem i zabawnie kiwnął przed koleżanką cały swój

Ksiądz, Dziecko

²⁰szlify — element munduru: epolety, naramienniki munduru z oznaczeniami stopnia wojskowego; przen. także: stopień oficerski. [przypis edytorski]

²¹ostroga — element metalowy przypinany do butów jeźdźca (rodzaj kabłąka z kolcem lub zębatym kółkiem), służący do ponagrania konia, ułatwiający jeźdźcowi prowadzenie wierzchowca. [przypis edytorski]

²²kozik — składany nożyk. [przypis edytorski]

²³litografia (z gr.) — obrazek odbity za pomocą płyty kamiennej, na którą uprzednio naniesiono rysunek. [przypis edytorski]

²⁴dyscyplina — tu: bicz o kilku rzemiennych. [przypis edytorski]

²⁵szlif — dziś popr. forma D.lm: szlifów. [przypis edytorski]

²⁶felczer — osoba uprawniona do wykonywania prostych zabiegów medycznych. [przypis edytorski]

korpus. Józia straciła do reszty przytomność umysłu. Spoglądała na mistrzynię swą wytrzeszczonymi oczyma i bokiem cofała się z pokoju. Była już blisko drzwi, gdy je właśnie otworzono. Ukazał się w nich kipiący samowarek²⁷ na rachitycznie²⁸ krzywych nóżkach, powyginany w sposób nadzwyczajny.

Niosło go przed sobą wielkie i brzydkie dziewczysko, odziane w czarną od brudu, zgrzebną koszulę, potargany i wytłuszczony lejbik²⁹, wełnianą zapaskę³⁰ i szmatkę na włosach nieczesanych od kilku miesięcy.

Samowarek ustawiono na rogu stołu przy pomocy czynnej pana nauczyciela i zaczęto zasypywać i zaparzać herbatę w sposób wysoko ceremonialny i obrzędowy.

Rodzice Marcinka spostrzegli, że jest to z pewnością pierwsza herbata w bieżącym półroczu szkolnym.

Mrok z wolna zalegał pokój. Pan Borowicz przysunął swe krzesło do rogu kanapki szczelnie wypełnionej przez panią Wiechowską i półgłosem zaczął prowadzić z nią ostateczną umowę o „leguminy”³¹, jakich miał dostarczyć w zamian za światło udzielać się mające³² w tym domu jego synowi.

Marcinek stał teraz obok matki i słuchał, jak ojciec mówił:

— Kaszy, wie pani, to nie mogę, bo ani mój młynarz tego jak się patrzy nie zrobi — a zresztą, wie pani... Wolę za to kazać zemleć na pytel³³ pszenicy. Będziesz pani miała czy na kluski, na łazanki, czy choćby też ciastko jakie upiec, żeby się przecie chłopczyzna rozerwał. Grochu... ileż byś pani chciała?...

Słowa te wnikały aż do głębi umysłu chłopca i sprawiały mu ból istotny. Teraz pojmował, że naprawdę w szkole zostaje. W tym brzmieniu mowy ojca, w naradach z nauczycielką czuł po raz pierwszy ton handlowy i nieodwołalną konieczność ulegania swemu losowi.

Chwilami owa boleść szerzyła się w małym jego ciele i przechodziła w chęć dzikiego oporu, wrzeszczenia, tupania nogami, szarpania sukien matki, to znowu w głuchą i osłabłą rozpacz.

Pani Borowiczowa brała również udział w tym sporządzaniu niepisanego kontraktu, zanotowywała³⁴ nawet w małej książeczce ilości owych „legumin”, ale czuła na sobie wzrok chłopca, pomimo że go nie widziała i miała oczy spuszczone. Przez serce jej ciągnęła prawie taka sama zawieja obłędnych uniesień. Kto wie nawet, czy nie absolutnie taka sama?... Kto wie, czy gwałt jego niecierpliwości nie szarpał jej tak samo i w tej samej minucie...

— Ale też pani jesteś nienasycona! — mówił pan Borowicz półserio do nauczycielki, gdy dopominała się to o ryby, to o włoszczyznę, to nareszcie o len, płótno zgrzebne itd.

— Ij! — odrzekła z jadowitym uśmiechem pani Wiechowska. — Nienasycona, proszę pana dobrodzieja, to ja tam nie jestem. Czyż to jedno z drugim wyniosą te drobiazgi tyle, co byćście państwo dobrodziejostwo musieli dać korepetytorowi u siebie na wsi? Taki korepetytor, proszę pana, dziś ledwo za trzydzieści rubli w *miesiąc* na wieś pojedzie, a chce mieć pokój osobny, wszelkie wygody, wszelkie przyjemności, usługę... młodą, konia pod wierzch, chce się zabawić kiedy niekiedy, chce świąt i wreszcie... co to mówić...

— Pani kochana wiesz — odrzekł szlachcic trochę szorstko — że dlatego do was dziecko oddaję, bo mię na korepetytora nie stać. Rzeczywiście nie stać mię. Choćbym się nawet szarpnął i dał mu te jakieś trzysta rubli, to nie mam w domu kąta, gdzie bym takiego guwernera ulokował. Pani kochana może i wiesz, może nie wiesz, że u nas nie co dzień mięso na obiad, a z obcym człowiekiem w domu trzeba by się było stawiać...

— Co to mówić, moja droga pani — rzekła pani Borowiczowa — przecie pan Wiechowski przygotowuje Marcinka do pierwszej klasy nie gorzej, a zapewne daleko lepiej niż najlepszy korepetytor, a u pani będzie mu tak samo jak u matki. On sam wie, że trzeba się uczyć, trzeba zębami i pazurami!... Mamusia kocha, mamusia bardzo kocha, ale to

²⁷samowar — daw. urządzenie do przygotowywania herbaty. [przypis edytorski]

²⁸rachityczny — chorobliwy, wątły; mający objawy krzywicy (choroby kośćca). [przypis edytorski]

²⁹lejbik (z niem.) — krótki wierzchni kaftanik. [przypis edytorski]

³⁰zapaska — fartuch. [przypis edytorski]

³¹leguminy — dosł. desery; tu: artykuły żywnościowe. [przypis edytorski]

³²światło udzielać się mające (...) jego synowi — światło, które będzie udzielane jego synowi. Mowa tu w przenośni i żartobliwie o „świecie” wiedzy. [przypis edytorski]

³³pytel — tu: rodzaj mąki, kilkakrotnie zmielonej, dokładnie oczyszczonej i przesianej. [przypis edytorski]

³⁴zanotowywała — dziś: notowała. [przypis edytorski]

trudno, to trudno. On to zresztą wie, on pokaże, jaki to z niego chłopiec i czy to słuszne, co o nim mówił pan Miętowicz, że on tylko beczeć umie. On pokaże!

Istotnie w Marcinku niespokojne wybuchy uciszyły się i cała jego rozpacz niby na jakimś haku zawisała. Spojrzał mężnie w oczy matki i dojrawszy w kącikach tych oczu pod samymi powiekami dwie łzy, uśmiechnął się dziarsko.

— Widzi pani, widzi pani, oto mój syn, mój kochany syn! — mówiła teraz pani Borowiczowa wypuszczając te łzy uwięzione mocą woli pod powiekami.

Ojciec przyciągnął go do siebie i głaskał po czuprynie, nie mogąc słowa wymówić. Tymczasem noc zapadła. Wniesiono do pokoju lampę i pani nauczycielowa zaczęła nalewać herbatę. Około godziny siódmej pan Borowicz wstał zza stołu. Jego lewy policzek drgał szybko, a usta uśmiechały się smutno.

— No, Helenko, na nas pora... — rzekł do żony.

— O, cóż znowu? — wyszeptała nauczycielowa. — Cóż znowu? Przecie na Gawronki w *kwadrans* czasu sankami się prześliznie...

— Tak, pani, ale teraz księżyc nie ma, zasyły duże, chłopak drogi nie zna, zresztą i na *państwa* czas.

Pani Borowiczowa ułożyła tłumoczek z bielizną Marcina obok łóżka, na którym malec miał sypiać, niepostrzeżenie wymacała ręką, czy siennik mu dobrze wypchano, następnie ucałowała go szybko, pożegnała Wiechowskich i wsunawszy jeszcze w rękę brudnej Małgosi dwa złote groszy dwadzieścia, wyszła na dwór i wsiadła na sanki. Również pośpiesznie mąż za nią wyszedł. Nauczycielka trzymała młodego Borowicza za rękę, gdy konie ruszyły z miejsca, a pan Wiechowski klepał go po ramieniu. Służąca trzymała wysoko lampę kuchenną. Gdy janczary odezwały się raz pierwszy, podniosła światło wyżej i biały krąg jego padł na śnieg rozestany dokoła. Wówczas właśnie Marcinek spostrzegł, jak tył sanek z zarysami głów rodzicielskich przesunął się na ostatnią linię światła i wpadł w ciemność. Chłopak z nagłą wrzasnął przeraźliwie, szarpnął się, wyrwał z rąk nauczycielki i pędem pobiegł za sankami. Trafił na rów idący wzdłuż drogi, jednym susem wybrnął z zasy i pędził przed siebie. Odbiegłszy od światła, nic nie widział w ciemności. Potknął się raz, drugi na jakichś kołkach i upadł na ziemię wrzeszcząc co sił:

— Mamusiu, mamusiu!

Obydwoje nauczycielstwo schwycili go pod ręce i zaprowadzili przymocą do szkoły. Janczary dzwoniły gdzieś daleko coraz ciszej, jakby spod wydm śniegu.

— Nigdy nie spodziewałam się czegoś podobnego! Nigdy! Żeby taki duży chłopiec chciał uciekać do Gawronek... Pfe, brzydko! — sapała nauczycielka.

Marcinek ucichł, ale nie ze wstydu. Dusilo go jakieś bolesne zdumienie: gdzie rzucił okiem, nigdzie matki nie było. W mózg jego wrzynała się myśl jak drzazga: nie ma, nie ma, nie ma... Ze ściśniętymi zębami wszedł do mieszkania, usiadł na wskazanym przez nauczycielkę krzeselku i słuchając jej długiego kazania ciągle myślał o matce. Te myśli były szeregiem wizerunków jej twarzy, które przemykały mu się pod powiekami i nikły. Znikanie ich było zawiązkiem, pierwszym sygnałem tęsknoty.

Brudna Małgosia słała tymczasem łóżka i ustawiała wraz z nauczycielem parawan przed posłaniem na kanapce, przeznaczonym dla koleżanki Józki. Ustawianie trwało dosyć długo i szczególnie nastrożać musiało trudności, bo służąca w małej przerwie czasu, gdy nauczycielka wydalila się do kuchni, co chwila odskakiwała z chichotem.

Nareszcie wszystkie łóżka zostały posłane i Marcinowi kazano się rozbierać. Położył się co tchu, nakrył kołdrą i zaczął knuć plan ucieczki.

Chytrze obierał stosowny moment o wczesnym poranku, przypominał sobie drogę do Gawronek, wmyślał się w fizjonomie³⁵ zakątków leśnych, pustek, które widział przed wieczorem, i uciekał przez nie w marzeniu. Z wolna rozczyniała się w jego sercu, znużonym nawałą uniesień, senna żalność i wylewać poczęła w cichym płaczu. Łzy dużymi kroplami spływały na poduszkę i rozlewały się w szerokie plamy... Zasnął splakany w znużeniu i bezzuciu.

Wśród nocy nagle się ocknął. Raptem usiadł na łóżku i rozszerzonymi oczyma patrzył przed siebie. Ktoś chrapał jak maszyna do ugniatańcia żwiru.

Rozstanie

Tęsknota

³⁵*fizjonomia* — tu: wygląd. [przypis edytorski]

Mała nocna lampka, ustawiona w kącie izby, oświetlała jedną ścianę i część powały³⁶. Marcin ujrzał czyjeś olbrzymie, grube i tłuste kolano wystające spod pierzyny, nieco dalej wielki nos i wąsy, które poruszały się miarowo wskutek chrapania, jeszcze dalej półokrągły koszyk wyszyty paciorkami, a przy mdłym świetle błyszczący jak kły obnażone.

Uczucie osamotnienia, graniczące z rozpaczą, chwyciło małego szlachcica stalowymi szponami. Wzrok jego latał niespokojnie od przedmiotu do przedmiotu, z miejsca na miejsce, szukając czegoś znajomego i bliskiego. Spoczął wreszcie na tym kącie kanapki, gdzie siedzieli rodzice, ale i tam spał ktoś obcy. Z kątów izby zasnutych mrokiem wychylał się strach wielkooki, a widok gratów stojących w półświecie zdawał się grozić w sposób złowrogi. Długo małe siedział na posłaniu, patrząc bezsilnie i nie będąc w stanie najsroższym swoim cierpieniem odgadnąć, po co to wszystko z nim zrobiono, co to znaczy, dla jakiej racji tak jest męczony.

Nazajutrz, po nocy źle przespanej, obudził się bardzo nierychło. W mieszkaniu nie było nikogo, łóżko nauczycielskie było posłane, kanapka uprzątnięta. Za drzwiami, obok których wisiał kalendarz i dyscyplina, rozlegało się prawie nieustające kaszlanie i cichy pomruk rozmów, urozmaicony od czasu do czasu przez śmiech rubaszny albo płacz hałaśliwy.

Marcinek, rozciekawiony do najwyższego stopnia, wyskoczył z łóżka, ubrał się co tchu i nasłuchiwał pod tajemniczymi drzwiami, które wczoraj taki miały pozór³⁷, jakby prowadziły do pustego lamusa³⁸, a dziś były zasłaną jakiegoś interesującego widowiska.

— A co to, kawaler ciekawy zobaczyć szkołę? — krzyknęła nauczycielowa, wynurzając się z kuchenki. — A mył się kawaler, czesał się, ubrał ochędożnie³⁹? Najpierw trzeba się ubrać, a później dopiero myśleć o zobaczeniu szkoły.

Marcinek ubrał się z mozołem, bo aż dotąd matka mu pomagała myć się i ubierać, szybko wypił kubek gorącego mleka i czekał. Po śniadaniu nauczycielowa wzięła go za rękę i tak jak stała, w białym kaftaniku, wprowadziła do izby szkolnej. Gdy się drzwi otwarły, w głowie Marcina prześliznęła się zaraz myśl: to jest kościół, nie żadna szkoła...

Izba była pełna. Na wszystkich ławkach siedzieli chłopcy i dziewczęta. Gromadka najpóźniej przybyłych, nie znalazłszy miejsca, stała pod oknem. Chłopcy siedzieli w sukmanach, w ojcowskich *spancerach*⁴⁰, nawet w matczyńskich lejbikach, niektórzy mieli szyje okręcone szalikami, a ręce w wełnianych rękawicach; dziewczęta miały na głowach zapaski i chusciny, jakby się znajdowały nie w dusznej izbie, lecz wśród zasp szczyrego pola. Wszystko kaszało, a znaczna większość przed wejściem nauczycielki ćwiczyła się w dawaniu sobie nawzajem *sera*, której to rozrywki nie byłaby zresztą w możliwości tym mianem technicznym określić.

— Michcik, masz tu panicza z Gawronek, pokażże⁴¹ mu szkołę, bo ciekawy — rzekła nauczycielka, zwracając się do chłopca siedzącego tuż obok drzwi w pierwszej ławie.

Był to wyrostek lat już kilkunastu, jasny blondyn z siwymi oczami. Grzecznie posunął się w ławie i zrobił miejsce dla Marcinka, który przycupnął na brzeżku zawstydzony i zmieszany. Pani Wiechowska wyszła, rzuciwszy głośnie i stanowcze zalecenie publicznego spokoju.

— Jakże ci na imię? — spytał Michcik uprzejmie.

— Marcin Borowicz.

— A mnie Piotr Michcik. Umiesz czytać?

— Umiem.

— Ale pewnie po polsku?

Marcin spojrział na niego ze zdumieniem.

— *Pa russki umiejesz czitat*⁴²?

Marcin zaczerwienił się, spuścił oczy i wyszeptał cichutko:

— Ja nie rozumiem...

³⁶*powala* — sufit. [przypis edytorski]

³⁷*pozór* — tu: wygląd. [przypis edytorski]

³⁸*lamus* — składzik; magazyn ze starociami, niepotrzebnymi przedmiotami. [przypis edytorski]

³⁹*ochędożnie* (przestarz.) — porządnie. [przypis edytorski]

⁴⁰*spancer* właściwie *spencer* (ang.) — krótki kaftan. [przypis edytorski]

⁴¹*pokażże* — pokaż koniecznie (daw. konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że*). [przypis edytorski]

⁴²*Pa russki umiejesz czitat* (ros.) — umiesz czytać po rosyjsku. [przypis edytorski]

Michcik uśmiechnął się z tryumfem i zaraz wydobyl z drewnianej teczki, zaopatrzonej w sznurek do wieszania jej na ramieniu, chrestomatię⁴³ rosyjską Paulsona, otworzył tę księgę na zatłuszczonym miejscu i zaczął szybko czytać, potrząsając głową i rozdymając nozdrza:

— „*W szapkie zolota litoho staryj russkij wielikan podżidał k-siebie drugobo*”⁴⁴...

Uwaga małego Borowicza była zupełnie pochłonięta przez rozmowę z Michcikiem. Tymczasem ze wszystkich ławek wylazili z wolna uczniowie i przybliżali się krok za krokiem, szturchając jedni drugich i wyglądając zza ramion. Utworzyło się wkrótce dokoła Michcika i Borowicza zwarte audytorium⁴⁵ dzieci. Wszystkim oczy zdawały się wyskakiwać na wierzch z ciekawości. Stali w milczeniu, patrząc na Marcinka bez zmużenia powieki i tak nieruchomo, jakby w paroksyzmie⁴⁶ ciekawości stężeli.

Tymczasem Michcik wciąż czytał ów wiersz szybko i coraz szybciej. Skończywszy, jeszcze raz tryumfująco spojrzął na Borowicza i rzekł:

— Tak się czyta! Zrozumiałeś też co?

— Nic a nic... — odrzekł nowicjusz, rumieniąc się po uszy.

— E, nauczysz się jeszcze i ty — rzekł tamten protekcyjnie. — I ja se myślałem, że trudno, a teraz i *stichi*⁴⁷ na pamięć umiem, i *rachonki* ci robię po rusku, i *diktowkę*⁴⁸. Gramatyka, ta to trudna... uuch! Sprawiedliwie! *Imia suszczestwitielnoje, imia priłagatielnoje, miestoimienije*⁴⁹... Cóż, nie rozumiesz, choćbym ci i powiedział...

Nagle podniósł głowę i patrząc na belki, rzekł, nie wiedzieć do kogo, głośno, z uczuciem, a nawet jakby w uniesieniu:

— „*Podleżaszczaje jest’ tot przedmiot, o ktorom goworitsia w przedłożenii*”⁵⁰!

Potem znowu rzekł do Marcina:

— Widzisz, i Piątek już umie czytać, choć kiepsko. Czytaj, Wicek!

Przy Michciku siedział chłopiec niezmiernie ospowaty. Ten otworzył tę samą książkę w równie wytłuszczonym miejscu i zaczął dukać jakiś ustęp. Od razu pogrążył się w tę czynność tak zupełnie, że wystrzały z armat nie byłyby w stanie przerwać jego roboty.

Raptem gromada obserwująca rozbiegła się wśród szturchańców i hałasu. Drzwi od sieni rozwarły się szeroko i wszedł nauczyciel. Twarz jego była ledwie podobna do wczorajszej. Była to teraz maska surowa, a bardziej jeszcze śmiertelnie znudzona. Rzucił okiem na Marcinka i kwaśno się uśmiechnął do niego, stanął na katedrze i dał znak Michcikowi. Ten wstał i zaczął głośno, z deklamacją mówić modlitwę:

— „*Prieblagij Gospodi, nisposli nam blagodat*”⁵¹...

W chwili zaczęcia modlitwy wszystkie dzieci jak na komendę zerwały się na równe nogi, a po jej ukończeniu siadły w ławkach. Szkołę wypełniał po brzegi nie tylko zaduch, ale literalny⁵² smród, ciężki i nieznośny.

Wiechowski spoglądał przez chwilę ponuro na załęknioną gromadę, następnie otworzył dziennik i zaczął czytać listę. Kiedy wymieniał jakieś imię w brzmieniu rosyjskim i nazwisko, izbę zalegała śmiertelna cisza. Dopiero po upływie pewnego czasu dawały się słyszeć szepty, podpowiadania, wynikało szturchanie i kopanie nogami danego indywiduum⁵³, no i koniec końców z jakiegoś miejsca ukazywała się ręka dziecka i słychać było głos:

— Jest.

⁴³chrestomatia (z gr.) — zbiór fragmentów tekstów literackich, służący jako podręcznik szkolny. [przypis edytorski]

⁴⁴*W szapkie zolota (...) drugobo* (ros.) — stary rosyjski olbrzym w czapie z litego złota wyczekiwał drugiego olbrzyma. [przypis edytorski]

⁴⁵audytorium — grupa słuchaczy; dziś też: widownia. [przypis edytorski]

⁴⁶paroksyzm — skurcz. [przypis edytorski]

⁴⁷stichi (ros.) — wiersze. [przypis edytorski]

⁴⁸diktowka (ros.) — dyktando. [przypis edytorski]

⁴⁹imie suszczestwitielnoje (...) miestoimienije (z ros.) — rzeczownik, przymiotnik, zaimek. [przypis edytorski]

⁵⁰podleżaszczaje (...) przedłożenii (ros.) — podmiotem nazywamy przedmiot, o którym mówi się w zdaniu. [przypis edytorski]

⁵¹Prieblagij (...) blagodat’ (ros.) — „Przenajświętszy Panie, ześlij nam łaskę”; początek modlitwy porannej w szkołach rosyjskich w XIX w. [przypis edytorski]

⁵²literalny — dosłowny. [przypis edytorski]

⁵³indywiduum — jednostka, osoba, osobnik. [przypis edytorski]

— Nie jest wcale, tylko *jest*’ — wołał głośno nauczyciel. Sam wymawiał kilkakrotnie wyraz dobitnie, dla przykładu, miękcząc ostatnią spółgłoskę. Miało to taki skutek, że gdy z kolei czytał nazwiska, chłopcy wstawali i podnosili palce wołając z całą satysfakcją i w brzmieniu zupełnie swojskim:

— *Jeść!*

Marcinek nie pojmował z tego wszystkiego nic zupełnie, bo ani wymagań *profesura*⁵⁴, ani całej ceremonii, a już najmniej objawów tak powszechnej żądy jedzenia.

Gdy przeczytane zostały wszystkie nazwiska, pan Wiechowski znowu skinął na Michcika, a sam usiadł na krześle, wsunął dłonie w rękawy, założył nogę na nogę i począł patrzeć w okno z taką determinacją, jakby to właśnie stanowiło jeden z punktów jego urzędowych czynności.

Michcik głośno czytał, a właściwie wyrzaskiwał z Paulsona tekst długiej bajki ludowej rosyjskiej o chłopie, wilku i lisie.

Nauczyciel poprawiał kiedy niekiedy akcenty wyrazów.

Tymczasem w całej izbie szkolnej gwar się ciągle szerzył. Słychać było dźwięki: *a, be, ce, de, e...* albo: *a, be, we, ze, ze...*

Dzieci, które umiały już alfabet, „pokazywały” go symplakom⁵⁵ świeżo przybyłym: niektóre uczyły towarzyszków *ślabizoka*⁵⁶, a przeważna⁵⁷ większość, patrząc niby to w elementarze i mrucząc coś pod nosem, nudziła się haniebnie.

Gdy Michcik odrzucił całą bajkę, złożył książkę i dał ją koledze Piątkowi, a sam wyszedł na środek do tablicy.

Wiechowski podyktował mu zadanie arytmetyczne na mnożenie.

Michcik wypisał dwie duże cyfry, podkreślił je okropnie grubą linią, przed mnożną ustawił taki znak mnożenia, że można by na nim powiesić palto, i zaczął szeptać do siebie, z cicha, tak przecie, że Marcin słyszał go dobrze:

— Pięć razy sześć... trzydzieści. Piszę *kółko*, a sześć mam *w rozumie*.

Cały ten akt mnożenia Michcik wykonywał z wielkim trudem i mazurem. Twarz mu się mieniła⁵⁸, mięśnie oblicza⁵⁹, ręk i nóg wykonywały bezcelową pracę takiego naprężenia, jakby uczeń dźwigał belki, rąbał drwa lub orał. Skoro jednak zmógł jakieś pięć razy sześć — i napisał *kółko* — zaraz półgłosem, tak żeby nauczyciel słyszał, tłumaczył całą sprawę:

— *Piat’ju szest’ — tridcat’*⁶⁰...

A nauczyciel nie zwracał teraz uwagi ani na Michcika, ani na Piątka, który zaczął pokazywać swoją sztukę — lecz ciągle z martwym stoicyzmem⁶¹ patrzył w okno.

Marcinek, słuchając po raz drugi czytania Piątka, przypomniał sobie Żyda Zelika, krawca wiejskiego, który często w Gawronkach siedział całymi miesiącami na robocie. Stał mu w oczach jak żywy — zgrzybiały, na pół ślepy, śmieszny Żydziński, z wiecznie oplutą brodą, gdy siedzi i zeszywa stary kozuch barani. Okulary związane szpagatem⁶² wiszą mu na końcu nosa, igła nie trafia w skórę kozucha, lecz w palec, później w pustą przestrzeń, później gdzieś więźnie...

Marcinek pragnąłby roześmiać się serdecznie z kłopotów Zelika, z jego powolnego ścibania, lecz czuje na twarzy łyż żalu i niewymownej miłości nawet dla tego Żyda z Gawronek... Czytanie Piątka wywiera na niego, nie wiedzieć czemu, tak dziwne wrażenie.

Piątek trafia na dźwięki, łapie je z pośpiechem, wiąże i spaja jakby uderzeniem pięści, pcha, jakby całym korpusem, do kupy... Słychać dziwne słowa... Oto malec stęka:

— „*Pie... piet... pietu... pietuch*”⁶³...

Marcinek schyla głowę, zatyka sobie usta i dusi się ze śmiechu, szepcząc:

— Co za *pietuch*? *Pietuch!*...

⁵⁴*profesura* — zniekształcone: profesora. [przypis edytorski]

⁵⁵*symplak* (z łac.) — prostak; tu: nowicjusz, początkujący. [przypis edytorski]

⁵⁶*ślabizok* — sylabizowanie. [przypis edytorski]

⁵⁷*przeważny* — dziś: przeważający. [przypis edytorski]

⁵⁸*mienić się* — zmieniać się. [przypis edytorski]

⁵⁹*oblicze* — twarz. [przypis edytorski]

⁶⁰*piat’ju (...) tridcat’* (ros.) — pięć razy sześć, trzydzieści. [przypis edytorski]

⁶¹*stoicyzm* — tu: obojętność. [przypis edytorski]

⁶²*szpagat* — sznurek. [przypis edytorski]

⁶³*pietuch* (ros.) — kogut. [przypis edytorski]

Nauczyciel budzi się jakby ze snu, powtarza ze złością kilkakrotnie ten wyraz ku tajemnej ucieśce całej klasy i znowu wpada w zadumę. Nareszcie Piątek skończył lekcję, siadł ciężko na ławce i zaczął wycierać spocone czoło.

Wiechowski otworzył dziennik i wyczytał nazwisko:

— *Warfolomiej*⁶⁴ Kapciuch.

Na środek izby wyszedł chłopak w nędznej sukmaneczynie i ojcowskich widocznie butach, gdyż posuwał się tak zgrabnie, jakby miał nogi obute w dwie konewki. Mały Bartek Kapciuch, który w szkole awansował na jakiegoś *Warfolomiej*a, rozłożył swój elementarz na brzeжку nauczycielskiego stolika, wziął w brudną rękę drewnianą wskazówkę, wyczytał całe *a, be, we, ze, ze*⁶⁵... chlipnął kilka razy nosem i poszedł na miejsce z taką uciechą, że nawet nie czuł pewno ciężaru swych niezmiernych butów. Powołany został znowu jakiś *Wikientij*⁶⁶, wyłożył nauczycielowi swoją umiejętność i znikł w tłumie.

Ta nauka trwała tak długo, że Marcinek o mało się nie zdrzemnął. Wodził sennymi oczyma po ścianach, z których tu i ówdzie wapno płatami obleciało, rozpatrywał wiszące obok drzwi wizerunki nosorożców i strusiów, wreszcie trzy grube szlaki błota między drzwiami i pierwszą ławką... Było mu duszno w okropnym powietrzu izby i nudziło go stękanie dzieci wydających przed nauczycielem alfabet rosyjski. Jednak mimo nieuwagi i roztargnienia, jakie go ogarnęło, spostrzegł przecież, że i pan Wiechowski nudzi się porządnie. Na szczęście w sąsiednim mieszkaniu nauczycielskim wybiła godzina jedenasta. Profesor przerwał egzaminowanie, zeszedł z katedry i rzekł po polsku:

— Teraz sobie zaśpiewamy jedną śliczną pieśń po rusku, nabożną. Będziecie śpiewać po mnie i tak samo jak ja. Dziewuchy cienko, chłopaki grubiej. No... a słuchaj przecie jedno z drugim — uchem, nie brzuchem!

Przymknął oczy, rozwarł usta i, wybijając takt palcem, jął śpiewać:

*Kol sławien nasz Gospod' w Sijonie*⁶⁷...

Śpiew

Z nauczycielem śpiewał Michcik, ryczał coś Piątek i usiłowało naśladować melodię kilkoro dzieci, widać muzykalniejszych. Reszta śpiewała także. Gdy jednak melodia była poważna, a w tamtej okolicy lud śpiewa tylko na nutę żywego *wywijasa*, więc dzieci wpadły zaraz na jedyny uroczysty motyw śpiewu, do którego w kościele ucho przyuczyły, i poczęły niesfornymi głosami wrzeszczeć:

Święty Boże, święty mocny,
świątą a nieśmiertelny⁶⁸...

Kilkakrotnie pan Wiechowski musiał przerywać i zaczynać od początku, gdyż melodia *Święty Boże* zaczynała brać górę nad *Kol sławien*. Chodziło tam zapewne nie o nauczenie dzieci śpiewu, lecz o wbicie, wciesanie w ucho pieśni cerkiewnej. Nauczyciel zmuszony był zwyciężyć chłopską melodię, pociągnąć za swoją całą ogół dzieci i wrzyczeć ją w ich pamięć. Śpiewał tedy coraz głośniejsze. Marcinek z najwyższym zdumieniem patrzył na to całe widowisko. Grdyka nauczyciela pracowała teraz forsowniej⁶⁹, twarz jego z mocno czerwonej stała się aż brunatna. Żył na czole nabrzmiały mu jak powrózki⁷⁰, czupryna spadała na oczy. Z zamkniętymi powiekami, a usta otwartymi jak czeluść, wywijając pięścią, jakby bił w kark niewidzialnego przeciwnika, nauczyciel istotnie przekrzyczał cały chór głosów dziecięcych i ze wszystkiego tchu, wniebogłosy śpiewał pieśń:

Kol sławien nasz Gospod' w Sijonie...

Nauczyciel, Religia, Szkoła

⁶⁴*Warfolomiej* (ros.) — Bartłomiej. [przypis edytorski]

⁶⁵*a, be, we, ze, ze* — fonetyczny zapis liter rosyjskiego alfabetu (poza trzema pierwszymi nie po kolei): *a, б, в, ж, з*. [przypis edytorski]

⁶⁶*Wikientij* (ros.) — Wincenty. [przypis edytorski]

⁶⁷*Kol sławien (...) w Sijonie* (ros.) — „Jak wielki jest nasz Pan w Syjonie”; początek prawosławnej pieśni kościelnej. [przypis edytorski]

⁶⁸*Święty Boże, święty mocny (...)* — początek tzw. suplikacji, polskiej pieśni kościelnej, śpiewanej w czasie niesporów. [przypis edytorski]

⁶⁹*forsownie* — z wysiłkiem. [przypis edytorski]

⁷⁰*powrózki* — sznurki, powrozy. [przypis edytorski]

II

W ciągu dwumiesięcznej bytności w szkole Marcinek „zdumiewające uczynił w naukach postępy”.

Tak donosiła listownie rodzicom chłopca pani nauczycielowa.

W istocie Marcinek umiał już czytać (rzecz prosta — po rosyjsku), pisać dyktanda, robić *zadaczki*⁷¹ na cztery działania i począł nawet ćwiczyć się w obu rozbiorach: etymologicznym i syntaktycznym⁷².

Pan Wiechowski szczególniejszą uwagę zwracał na owe rozbiory. Codziennie o godzinie drugiej po południu rozpoczynał z Marcinkiem lekcję. Chłopiec czytał jakiś urywek, później opowiadał treść tego, co przeczytał, w sposób tak śmieszny i tak zabawnie barbarzyńskimi wyrazami, że samego profesora rozweselała ta nauka.

Po czytaniu szły zaraz owe *rozbiory*, które gdyby mogły być do czegokolwiek przyrównane, to chyba do upartego strugania mokrej osiczyny tępym kozikiem.

Istotną trudność stanowiła dla małego Borowicza — arytmetyka. Chłopczyna pojmował wcale dobrze, choć niezbyt lotnie, ale kombinowanie jednoczesne arytmetycznego *kalkulu*⁷³ i wdzieranie się przemocą do tajemnic mowy rosyjskiej — było ciężarem z nadto wielkim na jego siły.

W chwili kiedy zaczynał rzecz całą rozumieć, kiedy nawet uderzała go i cieszyła oczywistość rachunku, wszystko mąciły — nazwy. Zamiast porwania umysłu chłopca zrozumiałym wykładem działań arytmetycznych, zamiast ukazania mu samej rzeczy arytmetycznej, o którą w nauce arytmetyki na pozór chodziło, pan Wiechowski całą usilność zmuszony był w to wkładać, żeby nie w umysł, lecz w pamięć ucznia wrazić nazwy rozmaitych przedmiotów. Pierwsze kształcenie inteligencji, ta piękna walka, to szacowne widowisko, ten zaiste wzniosły akt: uczenie się dziecka, opanowywanie pojęć nieznanych przez umysł, który to czyni raz pierwszy — były w Owczarach walką niezmierną, a często rzetelną i, co najgorsza, bezcelowo zadaną męczarnią.

Jeżeli mały Borowicz przypadkowo stracił wątek rozumowania, wówczas machinalnie powtarzał za pedagogiem i nazwy, i kombinacje, i formuły. Nagłony pytaniami, czy rozumie, czy pamięta, czy wie dobrze — odpowiadał twierdząco, a na zagadnienia bezpośrednie odpowiadał zgadując.

Trafiały się dni, że lekcje arytmetyki były dla niego od *a* do *z* niezrozumiałymi. Wtedy owiewał go strach idący z półświadomego przeświadczenia, że kłamie, że nie uczy się chętnie, że umyślnie martwi rodziców, że nie kocha ich wcale... Wówczas pot zimny występował mu na czoło, a mózg oblepiała jakby skorupa zeschłego ichtu.

Nauczyciel odszedł już był daleko, mówił o czym innym, zapytywał o co innego, a Marcinek, przestępując z nogi na nogę i ściskając kolana, wysiłkiem gonił jakąś *sfiję*⁷⁴, która w poprzek drogi jego rozumowania uwalila się jak góra. Mózg jego nie był w stanie wykonywać dwu prac na raz, toteż myślenie arytmetyczne musiało zejść na plan drugi ustępując miejsca ciągłym zapytaniom o znaczenie wyrazów. Specjalny kunszt stanowiło dyktando rosyjskie. Pan Wiechowski codziennie Marcinkowi powtarzał, że uczeń, który by na stronicy dyktanda zrobił trzy błędy, nie będzie przyjęty do klasy wstępnej. Kandydat do owej klasy zaprzysiągł sobie w duszy, że nie popełni trzech błędów na stronicy dyktanda. Usiłował nie robić ich wcale — z małym jednak skutkiem. Głowa mu od myślenia pękała, czy w danym wypadku należy pisać *jat'* czy *je*⁷⁵, pamięć robiła ciężko i bezmyślnie, a ponieważ pedagog nie mógł wskazać dostatecznych zasad pisania bez poprzedniego wyłożenia gramatyki, więc biedny Marcin umieszczał na stronicy po trzydzieści, czterdzieści i więcej monstrualnych błędów. Na pamięć uczył się gramatyki rosyjskiej i wierszy. Owo kucie wierszy miało miejsce zawsze przed południem.

Rzeczywiście największe postępy Marcinek zrobił w katechizmie ks. Putiatyckiego i w kaligrafii. Można go było przebudzić z twardego snu o północy i zapytać: — „Co za

⁷¹*zadaczki* (ros.) — zadania. [przypis edytorski]

⁷²*rozbiór etymologiczny i syntaktyczny* — analiza wyrazów pod względem ich pochodzenia i funkcji w zdaniu. [przypis edytorski]

⁷³*kalkul* (z łac.) — rachunek. [przypis edytorski]

⁷⁴*sfija* (ros.) — kłoda. [przypis edytorski]

⁷⁵*jat', je* (ros.) — litery daw. alfabetu rosyjskiego; w starej cyrylicy były najczęściej mylone: *ѣ* (*jat'* nieistniejąca od 1918 r.) i *е* (czyt. *je*), zaś ostatecznie *jat'* zlała się z *je*. [przypis edytorski]

naukę stąd brać mamy, że Pan Bóg jest dobrym i sprawiedliwym sędzią?” — a odpowiedziałby był jednym tchem, bez namysłu i wahania: „Stąd, że Pan Bóg jest sprawiedliwym sędzią, brać mamy tę naukę...” itd.

W kaligrafii lubił się znowu ćwiczyć na własną rękę. Zastępowała mu ona poniekąd rozrywki fizyczne, spacer i hasanie po dalekich miejscach. Nauczyciel zastawał go niejednokrotnie bazgrzącego z niezmiernym entuzjazmem litery ogromne i koślawe, już to kredą na tablicy, już piórem na starych kajetach. Zarówno pierwszy, jak drugi sposób ćwiczenia się w tyle szlachetnej i tak niezbędnej umiejętności pobudzał Marcinka do wywieszania języka i ciągnięcia nosem. Z czasem bazgranie w kajetach wzbronione mu zostało ze względu na to, że przy spełnianiu tej czynności obydwie jego ręce, mankiety kurtki i koszuli, a niejednokrotnie i koniec nosa, były unurzane w atramencie i powodowały zwiększanie się ekspensu⁷⁶ nauczycielskiego mydła, co w umowie z rodzicami Marcinka przewidziane nie zostało. Nie pozwalano mu również bawić się z chłopakami wiejskimi ze względu na tzw. dobre wychowanie. Siedział tedy ciągle w pokoju państwa Wiechowskich i kształcił swój umysł. Sam „pan” nauczał w izbie szkolnej albo był poza domem, żona jego wrzeszczała na dziewczkę służebną w kuchni, a mała Józia ćwiczyła się zazwyczaj w gniecieniu klusek, zwanych *paluszkami*, albo nawet w obieraniu kartofli. Marcinek siedział na kanapie pod oknem i mruczał. Kiedy go jednak gramatyka do cna znudziła, wtedy mrucząc obłudnie, gapił się na świat przez szyby.

Okna wychodziły na pola. Te pola były równe jak stół, gdyż tam kończyły się już wzgórza i lasy. Głęboki śnieg leżał ciężką warstwą na całym widnokręgu. Nigdzie wsi, nigdzie nawet samotnej chaty nie było widać na owej płaszczynie. W odległości mniej więcej trzech wiorst⁷⁷ czerniał szereg drzew bezlistnych i szarzały jakieś zarośla. Był tam rozległy staw okryty trzcinami, ale i on o tej porze przystał do płaszczyny i dopasował się do równiny śniegowej. W czasie odwilży grzbiety zagonów przezierwały spod śniegu. Ten widok był jedynym urozmaicheniem i rozrywką w życiu Marcinka. Odwilże zdarzały się nieczęsto, a następowały po nich zadymki i mrozy. Przestrzenie znowu tężały i powlekały się martwością. Dla żywego chłopca było coś bezdennie smutnego w tym obcym krajobrazie. Widok monotonnej płaszczyny dziwnie się jednoczył z nudą siedzącą między kartkami gramatyki rosyjskiej. Ani tego krajobrazu, ani misteriiów gramatycznych nie mógł objąć i przyswoić sobie. Gdyby go zapytano, co to jest, jak się nazywa owa spokojna, nudna przestrzeń, odrzekłby bez wahania, że jest to *imία suszczestwitielnoje*⁷⁸.

Przez całe dwa miesiące żadne z rodziców nie odwiedzało Marcinka. Postanowiono go zahartować, włożyć w rygor i nie *rozmażgać* wizytami. Raz jeden pani Wiechowska wyprowadziła Borowicza i Józję na spacer. Poszli za wieś drogą utorowaną w głębokim śniegu aż na górę okrytą starym lasem. Na skraju tego lasu sterczały oddzielnie duże świerki, które wpadały w oko ze znacznej nawet odległości. Dzień był śliczny, mroźny; w czystym powietrzu widać było bardzo daleką okolicę. Stanąwszy przy owych samotnych świerkach zdyszany Marcinek rzucił okiem w stronę południową i zobaczył górę, u której stóp stały Gawronki, gdzie się urodził i wychował. Ciemnobłękitnym kolorem znaczyły się po niej zwarte zarośla jałowcu na tle jednolitej powłoki śniegu. Wydatny garb szczytu dokładnie sterczał na niebie różowiejącym z zachodu. Nagle chłopiec głośno i serdecznie zapłakał.

Długie, opryskliwe, pełne niepojętych wyrazów kazanie nauczycielki uwieńczyło tę jedyną wycieczkę Marcina.

W pierwszych dniach marca pan Wiechowski, powróciwszy z sąsiedniego miasteczka, przywiózł wiadomość, która, rzecz można, zatrzęsła węglami budynku szkolnego. Wszedł do pokoju z omarzniętymi wąsami i nie strzepnąwszy nawet śniegu z butów, powiedział:

— Dyrektor przyjeżdża w tym tygodniu!

Głos jego miał ton tak szczególny i przerażający, że wszyscy obecni zadrżeli, nie łączyjąc Marcina, Józję i Małgosi, którzy wcale zrozumieć nie mogli, co by właściwie to zdanie mogło znaczyć.

Pani Wiechowska zbladła i poruszyła się na krześle. Jej duże, tłuste wargi drgnęły i ręce bezwładnie na stół opadły.

⁷⁶*ekspens* (z łac.) — koszt; tu: zużycie. [przypis edytorski]

⁷⁷*wiorsta* (z ros.) — daw. rosyjska miara długości, równa 1066 m. [przypis edytorski]

⁷⁸*imία suszczestwitielnoje* (z ros. *имя существительное*) — rzeczownik. [przypis edytorski]

— Kto ci mówił? — zapytała głosem zdławionym.
— No, Pałyszewski — ktoś miał mówić? — odrzekł nauczyciel, zdejmując szalik ze szyi.

Od tej chwili zapanowała w całym domu wielka trwoga i milczenie.

Małgosia, nie wiedząc dlaczego, chodziła na palcach, Józia całymi godzinami płakała rzewnie po kątach, a Marcinek wyczekiwał z przerażeniem i nie bez pewnej ciekawości jakichś zjawisk nadprzyrodzonych.

Profesor po całych prawie dniach trzymał dzieci wiejskie w szkole, uczył je sposobem zwanym na skoro⁷⁹ odpowiedzi na przywitanie: — „zdorowo rebiata⁸⁰!” — wszystkich śpiewu chóralnego *Kol sławien*, a Piątka i Wójcika ćwiczył w sztuce wyliczania członków panującej rodziny carskiej. Wpajaniu tych umiejętności towarzyszyło zdwojone rżnięcie dyscypliną.

Marcinek skulony przy swym oknie słyszał co chwila płacz wrzaskliwy, błaganie nadaremne i zaraz potem stereotypowe i nieodwołalne:

— Uch, nie będę, nie będę! Póki życia, nie będę! uch, panie, nie będę, nie będę!...

Wieczorami, nieraz do późna, pan Wiechowski przygotowywał dzienniki szkolne i wykazy, stawiał stopnie uczniom i w sposób niewymownie kaligraficzny pisał tak zwane *wiedomości*⁸¹. Oczy mu się zaczerwieniły, wąsy jeszcze bardziej obwisły, policzki wpadły i grdyka była w ciągłym ruchu od nieustannego przełykania śliny. Na wsi rozeszła się głucha pogłoska: naczelnik przyjedzie! Na tle tej wieści wyrastały dziwne domysły, prawie klechdy⁸².

Wszelkie baśnie zносиła do budynku szkolnego na powrót Małgosia i szeptała je do ucha Borowiczowi i Józii, budząc w nich trwogę coraz okropniejszą.

W stancji⁸³ szkolnej zaprowadzono radykalny porządek: zeskrobano rydłem z podłogi uschłe błoto i wyszorowano ją należycie, zmieciono kurze, otrzepano i wytarto popstrzone wizerunki żyraf i słoni, oraz mapę Rosji i globusik reprezentujący na górnym gzymsie szafy umiejętności odległe, wysokie i niedostępne.

Z sieni wyjechała do obórki beczka z kapustą, nie mniej jak cała zagródka i umieszczone w niej ciele. Kupa nawozu została okryta gałęziami świerczyny.

Sam pedagog przyniósł z miasteczka dziesięć butelek najlepszego warszawskiego piwa i jedną krajowego portera, pudełko sardynek i cały stos bułek.

Pani Wiechowska upiekła na rożnie zająca i pieczeń wołową, niewymownie kruchą, które to przysmaki miały być podane dyrektorowi na zimno, rozumie się, wraz ze słoikami konfitur, marynowanych rydzyków, korniszonów itd. Całe to przyjęcie nauczycielowa zgotowała nie mniej pilnie, jak on przysposabiał szkołę. Mogło się być wydawać, że tajemniczy dyrektor przyjeżdża po to, żeby z równą ścisłością zbadać i skontrolować smak zajęczego combra⁸⁴, jak postępy chłopaków wiejskich w *dukaniu*⁸⁵.

W przeddzień fatalnego dnia mieszkanie, kuchnia nauczycielska i izba szkolna były obrazem zupełnego popłochu. Wszyscy biegali z oczyma szeroko rozwartymi i spełniali najzwyklejsze czynności w niewymownym naprężeniu nerwów. W nocy prawie nikt nie spał, a od świtu znowu wybuchł w całym domu paroksyzm biegania, szeptania z zaschniętym gardłem i wytrzeszczonymi oczyma. Miał nadejść posłaniec od Pałyszewskiego, nauczyciela szkoły w Dębicach (wsi o trzy mile odległej), u którego wizyta dyrektorska pierwszej⁸⁶ niż w Owczarach wypaść miała. Zanimby dyrektor przejechał trzy mile gościńcem, szybkobiegacz, zdążając wprost przez pola, miał wcześniej o jaką⁸⁷ godzinę stanąć w szkole Wiechowskiego. Już od samego świtu nauczyciel wyglądał co moment oknem,

⁷⁹na skoro (z ros.) — na szybko; byle prędzej. [przypis edytorski]

⁸⁰zdorowo rebiata (ros.) — jak się macie, dzieci. [przypis edytorski]

⁸¹wiedomości (ros.) — sprawozdania. [przypis edytorski]

⁸²klechda — podanie ludowe; spokrewniona z baśnią opowieść fantastyczna osadzona w realiach społeczno-obyczajowych jakiegoś regionu. [przypis edytorski]

⁸³stancja — mieszkanie odnajmowane uczniom lub studentom, często wraz z utrzymaniem. [przypis edytorski]

⁸⁴comber — mięso z kością z części lędźwiowej grzbietu zwierząt hodowlanych i łownych, uważane za bardzo wartościowy kulinarnie i wykorzystywane do potraw pieczonych, duszonych i smażonych; krzyżówka. [przypis edytorski]

⁸⁵dukane — czytanie z trudem, z zacinaniem się, nie płynne. [przypis edytorski]

⁸⁶pierwej — wcześniej. [przypis edytorski]

⁸⁷jaką — dziś: jakąś. [przypis edytorski]

przy którym zazwyczaj uczył się Marcinek. Pokój mieszkalny był uporządkowany, łóżka nakryte białymi kapami. W kącie za jednym z nich stały butelki z piwem, w szafie gotowe pieczyści i całe przyjęcie. Gdy dzieci zaczęły ściągać się do szkoły i nauczyciel zmuszony był opuścić punkt obserwacyjny, wtedy zalecił Marcinkowi, ażeby on usiadł na tym miejscu i nie spuszczał oka z równiny. Mały Borowicz sumiennie spełnił ten obowiązek. Twarz przysunął do samego szkła, tarł je co chwila, gdy zachodziło parą oddechu, i wytrzeszczał tak oczy, że mu się aż napelniały łzami. Około godziny dziewiątej ukazał się na widnokręgu punkcik ruchomy. Obserwator przez czas długi śledził go wzrokiem z gwałtownym biciem serca. Nareszcie, gdy mógł już dojrzeć chłopca w żółtym kożuchu, szerokimi krokami idącego po grzbietach zagonów, wstał z krzesła. Była to jego chwila. Czuł się panem położenia, trzymając w ręku wiadomość tak stanowczą. Wolnym krokiem zbliżył się do kuchni i w sposób lapidarny⁸⁸, podniesionym głosem zawołał:

— Małgoska, *rypaj* powiedzieć panu, że... posłaniec. On tam już będzie wiedział, co to znaczy.

Małgosia wiedziała również, co w takich wypadkach czynić należy. Rzuciła się do sieni, otworzyła drzwi do izby szkolnej i z okropnym wrzaskiem dała znać:

— Panie, posłaniec!

Wiechowski wszedł natychmiast do swego mieszkania i zaczął wdziewać na się odświętne ubranie: szerokie spodnie czarne, kamaszki⁸⁹ na wysokich obcasikach i z wystrzępionymi gumami, bardzo głęboko wyciętą kamizelkę i za duży żakiet⁹⁰, wszystko nabyte przed laty, czasu bytności w grodzie gubernialnym⁹¹, u pewnego składnika *trochę przechodzowanej*⁹² tandety⁹³.

Marcinek wsunął się do pokoju i lęklwym głosem rzekł do nauczyciela:

— O, proszę pana, tam idzie...

— Bardzo dobrze, idź teraz, mój kochany, i schowaj się w kuchni razem z Józją. Niech ręka boska broni, żeby was dyrektor zobaczył!

Wychodząc z pokoju Marcinek obejrzał się na *belfra*⁹⁴, który w owej chwili stał przed jednym z obrazów religijnych. Twarz nauczyciela była biała jak papier. Głowę miał schyloną, oczy przymknięte i szeptał półgłosem:

— Panie Jezu Chryste, dopomóż⁹⁵ mi też... Panie Jezu miłosierny... Zbawicielu... Zbawicielu!...

W owej chwili wbiegła do izby pani Marcjanna i potrącając Borowicza, wołała:

— Idzie! Idzie!...

Pan Wiechowski wyszedł do szkoły, a tymczasem w stancji czyniono przygotowania ostateczne: okryto stół serwetą, nastawiono samowar i wycierano talerze, szklanki, noże i powyłamywane widelce.

Marcinek wynalazł już był dla siebie i towarzyszeki bezpieczne schronienie za drzwiami między ścianą i ogromną szafarnią⁹⁶, która zajmowała połowę kuchenki. Wtuleni w najciemniejszy kąt, oddawali się obydwójce z całą gorliwością co najmniej przez jakie półtorej godziny misji ukrycia swych osób. Nakazywali sobie wzajem nieustannie milczenie, przysłuchiwali się z biciem serc każdemu szelestowi i tylko kiedy niekiedy ważyli się półszepem wypowiadać jakieś niewyraźne sylaby.

Dopiero po upływie dwu godzin wbiegła raptem ze dworu nauczycielka, a za nią Małgosia. Ta ostatnia w okropnej trwodze powtarzała raz za razem:

⁸⁸*lapidarny* — skrótowy; za pomocą możliwie najmniejszej liczby słów. [przypis edytorski]

⁸⁹*kamaszek* — but z cholewką do kostek, bez sznurowania, wsuwany na stopę, z gumą po bokach. [przypis edytorski]

⁹⁰*żakiet* — tu: marynarka męska o długich, ukośnie ściętych połach. [przypis edytorski]

⁹¹*gród gubernialny* — miasto będące stolicą *guberni*, tj. wyższej jednostki administracyjnej w Rosji carskiej i podległych jej krajach. [przypis edytorski]

⁹²*przechodzowany* — przechodzony; mocno zniszczony wskutek długiego używania. [przypis edytorski]

⁹³*tandeta* (daw.) — tu: sklep ze starymi, używanymi, sprzedawanymi okazjnie rzeczami. [przypis edytorski]

⁹⁴*belfer* (daw.) — pomocnik nauczyciela w żydowskiej szkole (*chederze*); później pot. iron. a. żart.: nauczyciel. [przypis edytorski]

⁹⁵*dopomóż* — dopomóż koniecznie (daw. konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że*). [przypis edytorski]

⁹⁶*szafarnia* — spichlerz, spiżarnia; pomieszczenie część pomieszczenia a. mebel służące do przechowywania zapasów żywności. [przypis edytorski]

— Jedzie naczelnik! Jedzie naczelnik! W skórzanej budzie⁹⁷ jedzie! Oj, będzie tu teraz dopiero, będzie, mój Jezus kochany, drogi, oj, będzie tu, będzie!

Ciekawość przemogła wszelkie obawy: Józia i Marcin wyszli ze swej kryjówki, zbliżyli się na palcach do drzwi prowadzących do sieni i zaczęli kolejno wyglądać przez szczeliny i dziurę od klucza. Ujrzeni tył budy karecianej na saniach, ogromne futro pana wchodzącego do szkoły i plecy Wiechowskiego, które się nieustannie schylały.

Po chwili drzwi do izby szkolnej zamknięto. Wtedy z uczuciem gorzkiego rozczarowania powrócili do swej kryjówki za szafarnią i drżeli tam ze strachu.

Tymczasem do stancji szkolnej wkroczył kierownik dysektacji naukowej, obejmującej trzy gubernie, pan Piotr Nikołajewicz Jaczmieniew, i przede wszystkim zrzucił z ramion olbrzymie futro. Spostrzegłszy, że w tej izbie jest aż nadto ciepło, zdjął także palto i został w mundurze granatowym ze srebrnymi guzikami.

Był to wysoki i przygarbiony nieco człowiek, lat czterdziestu paru, o twarzy dużej, nieco rozlanej i obwisłej, którą otaczał rzadki zarost czarny. Z ust dyrektora Jaczmieniewa prawie nie schodził uśmiech łagodny i dobrotliwy. Zamglone jego oczy spoglądały przyjacielsko i życzliwie.

— Wszystko jak najlepiej, jaśnie wielmożny panie... — odpowiedział Wiechowski, uczuwając w sercu pewien promyczek otuchy na widok łaskawości dyrektora.

— Ależ zima u was tegą! Dużo się człowiek nakołatał po świętej Rusi, a takiego zimna w marcu rzadko doświadczał. Ja w karecie, w futrze, w palcie, a i tak czuję ten, wiesz pan, dreszczyk...

— A może by... — szepnął Wiechowski, mając dreszczyk stokroć bardziej przejmujący aż w piętach.

Dyrektor udał, że wcale nie słyszy tego, co powiedział Wiechowski. Odwrócił się do dzieci, które siedziały nieruchomo, ze zdumienia wytrzeszczając oczy i w przeważnej⁹⁸ większości szeroko rozwarłszy usta.

— Jak się macie, dziatki? — rzekł łaskawie — witam was.

Stojąc za plecami Jaczmieniewa, Wiechowski dawał znaki oczami, rękami i całym korpusem, ale na próżno. Nikt nie odpowiadał na powitanie zwierzchnika. Dopiero po chwili Michcik nagłony rozpaczliwymi spojrzzeniami i gestami swego mistrza zerwał się i zawołał:

— *Zdrawia żelajem Waszemu Wysokorodiju*⁹⁹!

Dyrektor mlasnął ustami i wzniosł brwi tak zagadkowo, że Wiechowskiemu mróz przedelfował po grzbiecie.

— Panie nauczycielu, bądź pan łaskaw wywołać któregoś ze swych uczniów — rzekł wizytator po chwili — chciałbym usłyszeć, jak też czytają.

— Może jaśnie wielmożny pan sam raczy rozkazać któremu z nich — rzekł uprzejmie Wiechowski podając dziennik, a jednocześnie całą duszą błagając Boga, ażeby jaśnie wielmożnemu panu nie strzelił czasami do głowy pomysł zgodzenia się na tę propozycję. Jaczmieniew z grzecznym uśmiechem odsunął dziennik, mówiąc:

— Nie, nie... proszę bardzo.

Wiechowski udał przez chwilę niby wahanie się, kogo by wyrwać, aż wreszcie wskazał palcem Michcika, którego umyślnie posadził w czwartej ławie.

Dyrektor wstał tymczasem na katedrę, usiadł i podparłszy pięścią brodę patrzył uważnie spod przymkniętych powiek na ten tłum dzieci.

Michcik wstał, z dystynkcją ujął Paulsona trzema *palicami* i dał koncert czytania. Przestrach jak płyta marmurowa usunął się na chwilę z piersi Wiechowskiego. Michcik czytał świetnie, płynnie, głośno. Dyrektor przysposobił sobie dłonią ucho do łatwiejszego chwytania dźwięków, z zadowoleniem reparaował¹⁰⁰ akcenty i kiwał głową potakująco.

— Czy możesz mi opowiedzieć *swoimi słowami* to, co przeczytałeś? — zapytał po chwili.

⁹⁷*w skórzanej budzie* — tj. w powozie a. saniach z wierzchem zakrytym rozkładaną, skórzaną budką. [przypis edytorski]

⁹⁸*przeważny* — dziś: przeważający. [przypis edytorski]

⁹⁹*zdrawia żelajem Waszemu Wysokorodiju* (ros.) — życzymy zdrowia Waszej Wielmożności. [przypis edytorski]

¹⁰⁰*reparować* (z łac.) — wyrównywać, poprawiać. [przypis edytorski]

Chłopiec złożył książkę, odsunął ją na znak, że będzie czerpał opowiadanie tylko z pamięci, i zaczął wyluszczać po rosyjsku treść bajki odczytanej.

Jaczmieniew ciągle się uśmiechał. W najciekawszym punkcie opowieści podniósł w górę rękę z gestem charakterystycznym, jakiego używa nauczyciel, pewny, że mu jego miły uczeń trafnie odpowie — rzucił szybko zapytanie:

— Siedem razy dziewięć?

— *Szest'diesiat tri*¹⁰¹! — z tryumfem zawołał Michcik.

— Wyśmienicie, wyśmienicie — rzekł głośno dyrektor, a schylając się do Wiechowskiego, szepnął półgłosem: — Szanowny panie nauczycielu, temu chłopcu w końcu roku... pojmuje pan?... Najpierwszą...

Pedagog schylił głowę i rozdał nieco nozdrza na znak nie tylko zgody, ale porozumienia się co do joty¹⁰² i przypominał w owej chwili kelnera z wykwintnej restauracji, który zgaduje życzenia gościa szczodrośliwego. Był już prawie pewien sytuacji i, jak czyni zazwyczaj człowiek szczęśliwy, zaczął kusić fortunę.

— Może jaśnie wielmożny pan zechce jeszcze Michcika... coś z arytmetyki, z gramatyki?

— Czy tak? Bardzo, bardzo jestem... Ale trzeba już temu dać spokój. Proszę, wyrwij pan kogoś jeszcze...

— Piątek! — zawołał nauczyciel nieco zbity z tropu.

— Jeść! — wrzasnął Piątek, pewny, że to chodzi o tak zwaną *pieriekliczkę*¹⁰³.

— Czytaj! — zgrzytnął na niego Wiechowski.

Czytanie Piątka mniej już zachwyciło dyrektora. Nie poprawiał go wcale, tylko uśmiechał się na poły dobrotliwie, na poły ironicznie. Zanim chłopiec przemordował trzy wiersze, rzekł do nauczyciela:

— Proszę jeszcze kogoś wywołać...

W czasie nauczyciela słowa powyższe sprawiły szum gwałtowny, który rozwał wszystkie jego myśli jak wicher plewy. Kilku jeszcze chłopców umiało sylabizować i to po parę liter zaledwie. Na chybił trafił jednak Wiechowski zawołał:

— Gulka *Matwiej*¹⁰⁴!

Gulka powstał, wziął wskazówkę w rękę i cichutko wyszeptał kilka nazw liter moskiewskich. Gdy dyrektor przynaglać go zaczął do głośniejszego mówienia, chłopak zląkł się, usiadł na miejscu, a koniec końców wlaź pod ławę. Wówczas Jaczmieniew zstąpił z katedry i wszedłszy między ławki po kolei sam egzaminował dzieci. Trwało to bardzo długo. Nagle Wiechowski, miotający się w dreszczach przerażenia, usłyszał, że dyrektor mówi najczystszą polszczyzną.

— No, a kto z was, dzieci, umie czytać po polsku, no, kto umie?

Kilka głosów odezwało się w rozmaitych kątach izby szkolnej.

— Zobaczymy, zaraz zobaczymy... Czytaj! — rozkazał pierwszej osobie z brzoza.

Dziewczyna owinięta w zapaski wydobyła *Drugą książeczkę* Promyka¹⁰⁵ i zaczęła dosyć płynnie czytać.

— A kto ciebie nauczył czytać po polsku? — zagadnął ją dyrektor.

— *Stryjna*¹⁰⁶ mnie nauczyli... — szepnęła.

— *Stryjna*, co to jest *stryjna*, panie nauczycielu? — zwrócił się do Wiechowskiego.

— A ciebie kto nauczył czytać po polsku? — spytał małego chłopca, nie czekając na odpowiedź Wiechowskiego.

— Pani nauczycielowa pokazała *nom* z Kaśką *durkowane*...

— Pani nauczycielowa? *Wot kak*¹⁰⁷! — szepnął, uśmiechając się jadowniczo.

¹⁰¹*szest'diesiat tri* (ros.) — sześćdziesiąt trzy. [przypis edytorski]

¹⁰²*co do joty* — najdokładniej. [przypis edytorski]

¹⁰³*pieriekliczka* (ros.) — odczytywanie listy obecności. [przypis edytorski]

¹⁰⁴*Matwiej* (ros.) — Mateusz. [przypis edytorski]

¹⁰⁵wydobyła „*Drugą książeczkę*” Promyka — *Druga książeczka do uprawy w czytaniu*, opracowana dla użytku dzieci wiejskich przez autora elementarzy i propagatora oświaty ludowej Konrada Prószyńskiego (1851–1908), publikującego pod pseud. Kazimierz Promyk. [przypis edytorski]

¹⁰⁶*stryjna* — żona stryja (tj. brata ojca). [przypis edytorski]

¹⁰⁷*wot kak* (ros.) — ot co. [przypis edytorski]

Wysłuchawszy jeszcze kilku chłopców i powziąwszy wiadomość, że im litery nierosyjskie wskazywał sam nauczyciel, dyrektor cofnął się spomiędzy ławek i rzekł do Wiechowskiego:

— Czy ksiądz jaki przychodzi do szkoły?

— Nie. U nas we wsi nie ma kościoła; dopiero w miasteczku Parchatkowicach, o dieś wiorst stąd, jest kościół i dwu księży.

— Tak, tak... No, panie Wiechowski — rzekł znienacka Jaczmieniew — bardzo, bardzo jest źle. Na takie stado dzieci — dwu czyta, a pozostali nic nie umieją. Źle mówię zresztą, bo dosyć znaczna ilość czyta po polsku, a w stosunku do czytających ruskie to ilość wprost kolosalna. I mnie to nawet nie dziwi. Pan, jako Polak i katolik, prowadzisz polską propagandę.

— Propagandę... polską? — jęknął Wiechowski, wcale nie będąc w stanie zrozumieć, co by mogły oznaczać te dwa wyrazy, ale dobrze pojmując to jedno, że kryje się w nich słowo: dymisja.

— Tak... polską propagandę! — zawołał Jaczmieniew krzykliwie. — To może się panu i innym uśmiechać, ale nie takie jest, jak wielokroć pisałem w cyrkularzach¹⁰⁸, życzenie władzy. Pan jesteś tutaj urzędnikiem i źle pan spełniasz swój urząd. Mało dzieci czyta... Nie widzę rezultatów.

— Michcik — szepnął Wiechowski.

— Co Michcik? Byłeś pan kiedy w teatrze, widziałeś pan głównego tenora i statystów? Otóż cała szkoła są to statysci, a ci dwaj — to główni śpiewacy, okazy... Stara to sztuczka, na której ja się znam nieźle. Powtarza się to przecie w każdej niemal szkole i jest śmiertelnie nudne... Ja nie jestem z pana zadowolony, panie Wiechowski...

W nauczycielu zatrzęsło się serce i wewnętrznosci. Nie widział już wcale osoby dyrektora i jak dziecko zwracał się ku szczelinie we drzwiach prowadzących do jego mieszkania, przez którą podpatrywała i podsłuchiwała bieg wizyty pani Marcjanna. W mózgu jego biegały jeszcze niektóre myśli jak strzykania bólu. Jedną z nich, ostatni środek ratunku, powiedział do Jaczmieniewa:

— Może jaśnie wielmożny pan dyrektor raczy wejść do mnie...

— Nie, ja nie mam czasu — i żegnam... — rzekł naczelnik szorstko, wdzierając palto z pośpiechem.

— Książki, wykazy prowadzę starannie... — rzekł jeszcze Wiechowski.

— Książki! — zawołał dyrektor szyderczo. — Sądziś pan tedy, że w zamian za pensję, mieszkanie i stanowisko nie trzeba nawet prowadzić ksiąg, a jeżeli się pisze w nich cokolwiek, to jest to już tytuł do nagrody? Cóż zresztą... książki? Ja mam przecie pańskie wykazy. Figurują tam cyfry czytających, których ja tu wcale nie znajduję.

Ostatnie słowa wypowiedział, zarzucając futro na ramiona.

— Żegnam was, dzieci, uczcie się pilnie, starajcie się!... — rzekł do zebranych uczniów. Potem, wychodząc, odezwał się do nauczyciela:

— Moje uszanowanie...

Wiechowski nie był w stanie ani wyprowadzić go, ani wyjść za nim. Stał oparty o stół katedry i patrzył na drzwi wchodowe¹⁰⁹. Mróz śmiertelny obejmował jego ciało i wstrzymywał krew w żyłach.

„Wszystko się skończyło... — myślał pan Ferdynand — masz teraz... Cóż tu robić, gdzieś się tu wynieść, z czegoż tu żyć? Utrzymam się to z pisania próśb do sądu? Przecież tam już to samo czterech robi...”

Skinął na dzieci, że mogą już iść sobie, otworzył drzwi do swego mieszkania i obejrzał tę izbę jednym spojrzeniem. Nagle rozpacz i żal w potoku łez buchnęły z jego piersi. Przez długi czas szlochał głośno jak dziecko, leżąc piersiami na stole. Gdy podniósł oczy, spostrzegł w kącie szereg butelek z piwem. Skoczył zaraz, chwycił pierwszą z brzegu, wyrwał korek i prawie jednym tchem wypił całą butelkę. Rzucił w kąt pierwszą i wysączył drugą, potem trzecią i czwartą. Pił, nie przestając głośno płakać, i już piątą butelkę odkorkowywał, gdy wtem ktoś mocno zastukał do drzwi. Wiechowski z gniewem otworzył je szeroko

¹⁰⁸cyrkularz (z łac.) — rozporządzenie. [przypis edytorski]

¹⁰⁹wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

i ujrzał przed sobą... znowu Jaczmieniewa w futrze i czapce, który uśmiechał się do niego i wyciągał obie ręce.

— Ot, pomyłka — mówił — ot, głupstwo! Jak łatwo skrzywdzić uczciwego człowieka, ach, jak łatwo! Wiechowski! Ja będę o panu pamiętał i podwyższę pensję. Trzeba tylko, żeby więcej czytało... usilności, rozumiesz pan, więcej... A co do śpiewów, to bardzo rad jestem, bardzo, bardzo... I nie zapomnę. Pensję już w następnym miesiącu dostaniesz pan lepszą... No, mnie się śpieszy, więc do widzenia. Proszę nie gniewać się za nieuważne słowa... Usilności tylko, usilności...

Ścisnął przyjaźnie rękę Wiechowskiego i wyszedł z izby. Nauczyciel postępował za nim krok w krok, najpewniejszy, że to, co widzi, słyszy i czego doświadcza, jest snem raptownym po wypiciu tyłu butelek Machlejda¹¹⁰. Przede drzwiami stała gromada bab, więc je rozsunał i zrobił miejsce dla dyrektora. Usadowił go w karecie, otulił mu nogi pledem, kłaniał się kilkanaście razy, następnie, gdy karetka znikła na skrócie drogi, powrócił do siebie i wciąż trwał w złudzeniu, że śpi coraz mocniej. Z tego oblędu wyrwała go dopiero pani Marcjanna. Wpadła do izby jak kula armatnia i podrygując, rzuciła się mężowi na szyję.

— A to szelmowskie¹¹¹ chłopstwo! A to nam usługę wyświadczyło! — krzyczała, zanosząc się od śmiechu.

— Jaką usługę, co ty pleciesz?

— To ty nic nie wiesz? Ano, przecie baby skargę na ciebie zanosły.

— Masz ci... jakie baby?

— Gulonka, Pulutowa, Piątkówka, stara Dulębina, Zalesiaczka, no, wszystkie baby...

— Gdzie, jak?

— Ano tak. Jak dyrektor przyjechał, zeszły się i czekały pode drzwiami całą wsią. Jak wyszedł z sieni, obstały go, skłoniły się i Zalesiaczka wyleciała pierwsza z głębą...

— Czegóż ona chciała?

— No, stul głębę, to ci rozpowiem po kolei, jak i co było. Powiedziała tak... Ażem ścierpła, jak zaczęła mleć tym pyskiem! Powiedziała tak: „Dopraszam się łaski, wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, co tu siedzi u nas we wsi”. On jej na to: „Nie chcemy tego nauczyciela, a to dlaczego?” Ona wtedy: „Nie chcemy tego pana Wiechowskiego, bo źle uczy”. „Jak to źle uczy? Co wam się nie podoba?” „Nam się — ona powiada — nic nie podoba, co ta on uczy”. „Tj, co ta długo gadać — wtrąciła się zaraz stara Dulębina — wielmożny naczelniku, nie chcemy tego nauczyciela, bo nam uczy dzieci jakichś śpiewaniów *po rusku*, na książce tylko to samo *po rusku*; cóż to za nauka taka? Dzieciska bez trzy zimy wałęsają się do tej ta szkoły i nie umie się żadne modlić na książce, a jak które umie, to się nie we szkole nauczyło, tylko jedno od drugiego, choć i na błoni¹¹² za bydłem. Nie wstyd to? Katolickiego śpiewania to ich nie ponaucza, tylko jakiesi ta... a nawet głębą nie można wymówić... I jak dzieci — gadała — złączą we szkole śpiewać nabożnie, to ten nic, tylko się drze sam, a znowu mądrała Michcik za nim i nie dadzą dzieckom Pana Boga pochwalić. Do czegoż toto podobne? A tu płąć, dawaj na niego osypkę¹¹³!”. Dyrektor się spytał: „Często też nauczyciel tak po rusku śpiewa z dziećmi?”. „Co dzień śpiewa! — wrzasnęły wszystkie razem. — To się przecie łatwo przekonać. Choćby i jego samego się spytać, przecie się nie może w żywe oczy zaprzeć! Nieraz to nawet ani jednemu na książce nie pokaże, tylko od samego rana wyśpiewują...” — trąkotała Piątkowa. „Tak wy *niedowolne*¹¹⁴ panem Wiechowskim — spytał się ich dyrektor — dlatego, że on uczy po rusku?” „A i mamy być dowolne! Dopraszamy się, wielmożny naczelniku, żeby go zabrać, a innego dać, co by po polsku uczył, a nie, to... nam ta szkoła niepotrzebna. Dzieciska się ta same nauczą, jak które chętliwe, i przypowiadki se przeróżne wyczytują z książek, a ten ogłupia do reszty, i pokój. Albo mu zakazać tych śpiewów...” „Dobrze, dobrze” — rzekł dyrektor i poszedł tu do ciebie.

Nauczyciel, Chłop, Polak,
Rosjanin, Urzędnik,
Polityka, Słowo

¹¹⁰Machlejd — marka piwa; od nazwiska właścicieli znanego warszawskiego browaru. [przypis edytorski]

¹¹¹szelmowski — przebiegły, podstępny. [przypis edytorski]

¹¹²błoni — łąka; duża, płaska przestrzeń porośnięta trawą. [przypis edytorski]

¹¹³osypka — opłata w zbożu. [przypis edytorski]

¹¹⁴niedowolny (z ros.) — niezadowolony. [przypis edytorski]

— Chi-cha! — zaśmiał się pan Wiechowski. — Tak to mię oskarżyły! A niechże im też Pan Jezus da zdrowie!... Samem¹¹⁵ nawet zapomniał dyrektorowi powiedzieć o tym śpiewaniu. Chy... — wrzasnął nagle, wywijając po stancji jakieś kozackie hołubce¹¹⁶. Zziąjany stanął przed żoną i rzekł:

— Marcysiu, wykpiłem się! Podwyższy mi pensję! Jeszcze lepiej stoję niż ten Pałyszewski. Wiesz ty co, żoneczko czarnobrewko, palnijmy sobie to piwko, co go dyrektor pić nie chciał. Okropnie *my* smakuje...

Pani Wiechowska zgodziła się bez trudu i nauczyciel zaczął łąpać szklankę po szklance. Sama pomagała mu w tym dosyć skutecznie. Nawet Józia, Marcinek i służąca dostali każde po ćwierć szklanki. Skończywszy z piwem, pan Wiechowski zaczął napierać się o gorzałeczkę. Wkrótce potem Marcinek, słysząc w pokoju wrzask okropny, uchylił drzwi i zobaczył z przerażeniem, że nauczyciel, odziany tylko w bieliznę, siedzi na stole, trzymając w jednej ręce flaszkę z jarzębinówką, w drugiej duży kieliszek, i wymyśla komuś zapamiętałe.

— Chamy, łajdaki! — wrzeszczał pedagog, wytrzeszczając oczy — musicie śpiewać, jak wam każe, i gadać, jak wam każe! Wszystkie bechy¹¹⁷ będą szczebrać *po russki!* *Ponimajesz, chołop, muzyczko?* Sam dyrektor własnym słowem wyraził się, że mi pensję podwyższy, *ponimajesz, chamskoje otrodje?* Bunt chciałyście zrobić? Chi-cha!... *Na, w zuby*¹¹⁸! — wołał, mierzając w niewidzialnych przeciwników.

Pochyliwszy się zanadto, zleciał ze stołu na sofkę i stoczył się na ziemię. Smaczna jarzębinówka wylała się z przechylonej butelki i długą strugą popłynęła w szparę między deskami. Mały Borowicz ze zgrozą widział potem, jak Małgośka i pani Marcjanna ciągnęły profesora za czuprynę do łóżka i jak tenże profesor, wierzgając nogami i broniąc się pięścią, zapamiętałe wyśpiewywał:

Ach, powstancy kochający
*Udirajut kak zajoncy*¹¹⁹...

Kiedy tak nauczyciel oddawał się radości, zwierzchnik jego przebywał tymczasem łańcuch wzgórz niezbyt wysokich. Gościniec ciął na ukos pochyłość bardzo wydłużonego pagórka, aż do przełęczy. Stamtąd zjeżdżało się na kilkumilową płaszczyznę, pośrodku której znajdował się gród gubernialny, siedziba oświaty ludowej. Z tej strony wzgórz doliny i wyniosłości okryte były czarnymi lasami. Wśród nich bieleły się szerokie polany z długimi smugami wsi chłopskich. Dzień był ciepły, przecudny. W godzinie południowej słońce literalnie topiło swym blaskiem powierzchnię tej całej rozległej okolicy. Ciepłe tchnienia wiały na kraj, lecąc od wiosny, która zza gór, zza lasów szła już w tamte strony. Konie ciągnące karety szły pod górę noga za nogą, toteż Jaczmieniew nie czuł wcale, że jedzie. Spuścił szybę karety i wygodnie półleżąc na siedzeniu oddawał się marzeniom. Bardzo dawne i niewymownie miłe mary zlatywały ku niemu na skrzydłach powiewów wiosennych i otaczały go rozkoszną ciżbą.

— Góry, góry... — szeptał, spoglądając ze swego okna na daleki widok. Przypomniały mu się młodzieńcze wędrówki w Bawarii, w Tyrolu, we Włoszech i Szwajcarii.

Po ukończeniu studiów na wydziale filologicznym w Moskwie Jaczmieniew, zapalony ludowiec, zdecydował się „iść między naród”, osiąść w szkole wiejskiej. Pragnąc wszakże zdobyć i przyswoić sobie metodę pracy, która by dawała plony jak najobfitsze, odbył wycieczki do Szwecji, Anglii, Niemiec i Szwajcarii i we wszystkich tych krajach pilnie studiował szkolnictwo ludowe. Najlepiej poznał Szwajcarię, z kijem w ręku i tornistrem na plecach wędrując od Jeziora Bodeńskiego¹²⁰ aż do Lugano¹²¹ i Genewy. W każdej

¹¹⁵*samem* (...) *zapomniał* — sam zapomniałem (daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

¹¹⁶*hołubiec* — figura w tańcach ludowych: uderzenie obcasem o obcas z jednoczesnym podskokiem. [przypis edytorski]

¹¹⁷*bechy* — bachory. [przypis edytorski]

¹¹⁸*ponimajesz* (...) *w zuby* (ros.) — rozumiesz, chłopski parobasie (...) rozumiesz, chamskie nasienie (...) Masz w zęby. [przypis edytorski]

¹¹⁹*Ach, powstancy* (...) *zajoncy* — piosenka śpiewana przez żołnierzy rosyjskich ścigających powstańców 1863 r.; *udirajut kak* (ros.): uciekają jak. [przypis edytorski]

¹²⁰*Jezioro Bodeńskie* — jezioro podalpejskie na pograniczu Szwajcarii, Austrii i Niemiec. [przypis edytorski]

¹²¹*Lugano* — miasto w południowej Szwajcarii na pograniczu Włoch. [przypis edytorski]

Pijaństwo, Nauczyciel,
Polak, Urzędnik

Urzędnik, Nauczyciel,
Nauka, Szkoła, Nacjonalizm

niemal szkole zapoznawał się z nauczycielem, słuchał wykładów, brał udział w wycieczkach i studiował szczególnie tak zwaną *Primarschule*¹²², gdzie nauczanie rozpoczyna się od wesołych gawęd i zabaw na świeżym powietrzu.

Teraz, jadąc, wspomniawszy sobie pewne małe dziewczątka w ogromnych trzewikach podbitych gwoździami, z wielkim parasolem w ręku idące do szkoły w szarugę i wicher ze swej chaty sterczącej pośród chmur, gdzie tylko koza, karmicielka rodziny, żywność dla siebie wynaleźć zdoła i gdzie człowiek biedniejszy jest stokroć niż koza.

Cóż by dał za to, żeby jeszcze raz w życiu pójść z sześcioletnimi obywatelami wolnego Schwyzerlandu¹²³ do lasu, szukać z nimi ukrytych między liśćmi „zwergłów”¹²⁴ w wielkich, spiczastych czapkach, a z ogromnymi brodami... Ach, co by dał, ażeby wrócić do tamtej młodości, toczyć długie rozprawy z uczciwymi belframi wiejskich szkółek szwajcarskich, długo w noc z nimi radzić o sposobach zniesienia ciemnoty w „strasznej Rosji” i mieć w piersi prawe, szlachetne serce!...

I nagle dyrektor Jaczmieniew zapłakał...

Ciepły wietrzyk wznosił się, gdy karetę dosięgła szczytu góry.

— Ach, jakże jestem już stary, jak bardzo stary... — szepnął do siebie Jaczmieniew. — Przeszło, minęło niepowrotnie, rozwiał się niby mgła nad jeziorem. Wczoraj, zda się, człowiek z kijem w ręku łaził po skałach, ażeby się nauczyć, jak najlepiej, najszybciej, najhumanitarniej rozniecać światło wpośród ciemnych mas chłopstwa, a dziś... Nie należy szerzyć oświaty w kosmopolitycznym znaczeniu tego wyrazu, lecz należy szerzyć „oświatę rosyjską”. Na to zdał się cały Pestalozzi¹²⁵... Pragnąc za pomocą zruszczenia tych chłopów polskich istotnie przyczynić się do szybkiego rozwoju Północy na drodze cywilizacji, należałoby to zrobić tak skutecznie, ażeby chłop tutejszy ukochał Rosję, jej prawosławną wiarę, mowę, obyczaj, ażeby za nią gotów był ginąć w wojnie i pracować dla niej w pokoju. Trzeba by więc wyrzucić z korzeniem tutejszy, iście zwierzęcy, konserwatyzm tych chłopów. Trzeba by zburzyć tę odwieczną, swoistą kulturę niby stare domostwo, spalić na stosie wierzenia, przesady, obyczaje i zbudować nowe, nasze, tak szybko, jak się buduje miasta w Ameryce Północnej. Na tym gruncie dopiero można by zacząć wypełnianie marzeń pedagogów szwajcarskich. To, co my robimy, te środki, jakie przedsiębiorzemy...

I coż by tu można zrobić, co tu właściwie zaprojektować celem wzmocnienia rusyfikacji, tej rusyfikacji nieodzownej i skutecznej?...

Pytanie to wytrysło niespodziewanie z głębi dumań Jaczmieniewa i stanęło przed nim z całą swoją stanowczą wyrazistością niby tajny agent policji ukazujący się zza węgła, kiedy się go najmniej spodziewają.

Kareta znajdowała się na szczycie góry, po której grzbiecie szła droga. Z prawej i lewej strony otwarty był widok rozległy na dwie płaskie doliny. Tu i tam ciągnęły się smugami lasy, pagórki, wielkie białe płaty pól... Daleko, daleko za ostatnimi sinymi borami szarzały lekkie mgły, przesłaniając widnokrąg. Było samo południe. Z kominów chat w ogromnych wsiach szły wszędzie dymy błękitnymi słupami. Był to jedyny ruch w tej niezmiernej przestrzeni. Cała ona leżała w niemym spokoju, jakby spała. Tylko długie pasma dymów zdawały się pisać na białych, martwych kartach polan nikomu nieznanym, tajemniczym znakom.

III

Na dolnym korytarzu gimnazjum klasycznego w Klerykowie znajdowało się mnóstwo osób. Byli tam urzędnicy, szlachta, księża, przemysłowcy, a nawet zamożniejsi chłopci. Cały ten tłum stanowił w owej chwili jedną kategorię: rodziców.

Korytarz był długi, wyłożony posadzką z piaskowca i bardzo dobrze przypominał pierwotną swoją fizjonomię: korytarz klasztorny. Wąskie okna wpuszczone były w mury bardzo grube i chłodne; panował tam jeszcze dawny cień i smutek.

Przez zestarzałe, zielonawoniebieskie szyby padały ukradkiem promienie rannego słońca i złościły świeżo wybielone ściany i żółtawą, wydeptaną posadzkę. Z prawej i lewej

¹²²*Primarschule* (niem.) — szkoła początkowa. [przypis edytorski]

¹²³*Schwyzlerland* — Szwajcaria. [przypis edytorski]

¹²⁴*zwergl* (niem.) — karzełek, krasnoludek. [przypis edytorski]

¹²⁵*Pestalozzi, Johann Heinrich* (1746–1827) — wybitny pedagog szwajcarski, zwolennik powszechnego nauczania i swobodnego rozwijania wrodzonych uzdolnień ucznia. [przypis edytorski]

strony był szereg drzwi prowadzących do sal szkolnych. Drzwi te równie jak okna były poroztwierane¹²⁶, gdyż właśnie świeżo pociągnięto ściany klas na kolor szaroniebieski, z wielkimi lamperiami¹²⁷, i wymalowano podłogi żółtą farbą olejną. Srogi zapach terpentyny i lakierów napelniał cały korytarz.

W przedsionku, za oszklonymi drzwiami spał najspokojniej, już o tak wczesnej godzinie, wysoki i chudy pedel¹²⁸, znany dwu generacjom pod pseudonimem „pana Pazura”.

Pomimo że pan Pazur wysłużył dwadzieścia pięć lat na *Kapkazie*¹²⁹ za Mikołaja, a drugie tyle siedział w instytucji z tak forsownym zamiłowaniem uprawiającej mowę rosyjską, nie nauczył się tego języka, zdążył jednak zamienić swój rodowity na gwarę niesłychaną, składającą się z wyrazów zupełnie nowych, których treść ani brzmienie nikomu na szerokim świecie, z wyjątkiem pana Pazura, znanymi nie były.

Sam pan Pazur chętnie zastępował niektóre wyrazy już to ruchami pięści, już tak zwanym *trąbieniem na nosie*, przymykaniem oczu, a nawet wywieszaniem języka.

Od czasu zniesienia *ostanówek po subotach*¹³⁰, czyli kary cielesnej, stosowanej często, pan Pazur stracił humor i fantazję. Zaczął drzemać i znosić mężnie urągowiska¹³¹ nawet wstępniaków i pierwszaków.

Na drugim krańcu korytarza znajdowała się kancelaria gimnazjalna, do której nieustannie wchodzili przybywający profesorowie. Tłum osób zwiększał się również.

Śmier żywej a przyciszonej rozmowy, przyciszonej z tego na ogół względu, że prowadzona była po polsku w obrębie murów gimnazjum rosyjskiego — wznosił się i nacihał¹³².

W ciżbie osób chodzących wzdłuż korytarza znajdowała się także pani Borowiczowa i Marcinek, kandydat do klasy wstępnej. Kandydat ubrany już był „po męsku”: zdjęto mu nareszcie sznurowane trzewiki i pończochy, odziano w rzeczywiste spodnie, sięgające aż do samych obcasów nowych kamaszków z gumami.

Te spodnie i kamasze były przygotowane do munduru gimnazjalnego, stanowiły jak gdyby przedmowę napisaną do dzieła, które jeszcze nawet w brulionie skomponowane nie zostało.

Ażeby przywdziać mundur — należało zdać egzamin. Prośba o zaliczenie Marcinka w poczet uczniów klasy przygotowawczej wraz ze świadectwem ogólnego stanu majątkowego rodziców, szczepienia ospy, metryką etc. — podana została na imię dyrektora o dwa miesiące wcześniej. W danej chwili czekano wyznaczenia terminu egzaminów. Termin taki był właśnie treścią ożywionej rozmowy osób spacerujących.

Każda jednostka należąca do personelu gimnazjalnego, przesuwając się między tłumem, była przedmiotem pilnej i skupionej uwagi, a niejednokrotnie składem zapytań o ten właśnie dzień egzaminów.

Żaden z pedagogów klerykowskich, a tym bardziej żaden z tak zwanych pomocników gospodarzy klas, nie był w możności dać odpowiedzi choć w przybliżeniu prawdopodobnej. Szczególniej zaniepokojonymi owym dniem tajemniczym czuli się obywatele ziemscy i na ogół ludzie z daleka przybyli. Właściwie termin ogłoszony w dziennikach już minął. W dniu wyznaczonym niektóre egzamina¹³³ odłożono na później, bez określenia bliżej daty, inne rozrzucono w ten sposób, że malec zdający do klasy wstępnej dziś miał być przesłuchiwany z rosyjskiego czytania, dopiero po upływie tygodnia z arytmetyki, a znowu kiedy indziej z pacierza i katechizmu. Rodzice, czasami o kilkanaście mil przybyli, bez upewnienia się, czy dzieci przyjęte będą, nie mogli odjechać. Stąd powstawały namiętne szeptu i zasięganie informacji.

Pani Borowiczowa miała wszystkiego trzy mile do Gawronek, ale również czuła się w Klerykowie jak na spilkach.

¹²⁶poroztwierane — dziś popr.: pootwierane. [przypis edytorski]

¹²⁷lamperia (z niem.) — kolorowy pas zdobiący od podłogi do pewnej wysokości płaszczyznę ścian wewnątrz budynku. [przypis edytorski]

¹²⁸pedel (z łac.) — woźny w zakładach naukowych. [przypis edytorski]

¹²⁹Kapkaz (gw.) — Kaukaz. [przypis edytorski]

¹³⁰ostanówki po subotach (ros. *ostanowki po subbotam*) — odsiadkiwanie kar z całego tygodnia w sobotę, po zakończeniu lekcji. [przypis edytorski]

¹³¹urągowisko — wyśmiewanie się, wyszydzanie. [przypis edytorski]

¹³²nacichać — dziś: przycichać. [przypis edytorski]

¹³³egzamina — dziś forma B.lm: egzaminy. [przypis edytorski]

Żadnego egzaminu Marcin jeszcze nie zdawał; nie było też wcale pewności, czy będzie przyjęty, wobec ogromnego napływu kandydatów. Wszystkie te okoliczności, połączone z obawą, pragnieniem, z niepokojem o dom itd., sprawiały, że matka Marcinka była smutna i zdenerwowana. Dość szybko chodziła po korytarzu, prowadząc syna za rękę. Jej stara, niemodna mantylka, wypłowiała parasolka i bardzo wiekowy kapelusz nie zwracały uwagi osób bogatszych, ale wpadły zaraz w oko jegomościowi w czarnym surducie, w szerokich spodniach, schowanych w cholewy grubych butów wygłancowanych szuwaksem¹³⁴. Jegomość był tęgi, czerwony na twarzy i miał widać astmę, bo sapał ciężko i pokaszliwał.

— Proszę też pani — rzekł szeptem, przystępując do pani Borowiczowej — nic nie wiadomo, kiedy egzamina?

— Nic nie wiem, mój panie. Pan syna oddaje?

— A chciałbym... Czwarty dzień siedzę. Nie wiem już, co robić nawet...

— Śpieszy się panu?

— A i jakże, proszę łaski pani, u mnie propinacja¹³⁵ zwłoki nie cierpi. Akcyźny¹³⁶ jeździ, a wiadomo, co to akcyźny, jak gospodarza w domu nie masz. Raz człowieka nie masz, drugi raz, to on tam natychmiast zada *corny* kawy z *czytryną*¹³⁷!

— Chłopiec do wstępnej klasy?

— Ma się wiedzieć, proszę łaski pani.

— Przygotowany?

— Ha, kto jego wie? Powiedział *korepetur*, że najpierwsza ranga.

Kiedy propinator zaczął szczegółowiej opowiadać o przygotowaniu swego syna, wszedł na korytarz dyrektor gimnazjum. Był to stary i siwy człowiek, średniego wzrostu, z brodą krótko przystryżoną. Szedł, podniósłszy głowę i rzucał szybkie spojrzenia na prawo i na lewo spod ciemnoniebieskich okularów. Znienacka wstrzymał się przed szynkarzem i głośno zawołał na niego:

— *Wam czewo*¹³⁸?

Gruby jegomość zapiął swój czarny surdut i uderzył się dłonią po karku.

— Kto pan jesteś? — pytał dyrektor coraz głośniejszym, natarczywiejszym i niegrzeczniejszym głosem.

— Józef Trznadelski... — wybełkotał.

— Czego pan sobie życzysz?

— Syn... — szepnął Józef Trznadelski.

— Co syn?

— Do egzaminu...

Dyrektor zmierzzył propinatora badawczym spojrzeniem od stóp do głów, dłużej zatrzymał wzrok na cholewach jego butów, a później zadarłszy głowę jeszcze wyżej, ruszył do kancelarii, nie odpowiadając na ukłony zgromadzonych. W czasie tej rozmowy pani Borowiczowa ze strachem oddaliła się z tego miejsca i stanęła aż w przedsionku. Kręciło się tam kilkunastu uczniów w mundurach, z pierwszej albo drugiej klasy, którzy mieli jakieś *poprawki*, gdyż nawet kopiąc się wzajemnie i wodząc za łby, nie wypuszczali z rąk łacińskich i greckich gramatyk. Marcinek oddalił się od matki i przypatrywał właśnie bójce dwu gimnazystów, gdy z podwórza nadbiegł trzeci w mundurze i niezwłocznie zaczął małego Borowicza:

— Te, ryfa¹³⁹! Kto ci sprawił takie majtasy?

— Mama... — szepnął Marcinek, cofając się do muru.

— Ma-ma? Nie pradiadek Pantaleon Zapinalski z Cieleńcej Wólki?

— Nie... ja nie mam pradiadka Zapinalskiego... — rzekł zdumiony Borowicz.

— Nie masz? To gdzieś go podział? Gadaj!

— A co to kawaler chce od mego syna? — zapytała pani Borowiczowa dotknięta trochę kpinami z jej syna.

¹³⁴*szuwaks* (z niem.) — pasta do butów. [przypis edytorski]

¹³⁵*propinacja* (z łac.) — prawo sprzedaży napojów alkoholowych; tu: karczma. [przypis edytorski]

¹³⁶*akcyźny* — poborca podatkowy; por. *akcyza*: podatek nakładany przez państwo na niektóre towary. [przypis edytorski]

¹³⁷*zada corny kawy z czytryną* (gw.) — tu: nałożyć zwiększony podatek. [przypis edytorski]

¹³⁸*Wam czewo?* (ros.) — Czego pan sobie życzy? [przypis edytorski]

¹³⁹*ryfa* — cymbał (przezwyśko). [przypis edytorski]

Zamiast odpowiedzi gimnazista siadł po damsku na poręcz schodów, zjechał w mgnieniu oka aż na sam dół i znikł jak senne marzenie w mroku suteryn, gdzie mieściły się drwalnie i składy szkolne.

Jednocześnie pan Pazur drzemiący na stołeczku dźwignął cokolwieczek jedną ze swych ogromnych powiek i chrapliwym głosem wrzasnął:

— *Wospreszcza*¹⁴⁰ się gadać *po polski*!

Dwaj uczniowie, którzy przed chwilą wyrwali sobie garściami włosy, posłyszawszy admonicję¹⁴¹ pana Pazura, jak na komendę zgodnymi głosami zaintonowali pieśń:

Pazur

Mazur

Obzał się grochu!...

Pedel zatrzasnął uchyloną nieco powiekę i naśladować od niechcenia wargami świst różgi wykonał ręką kilka ruchów dokładnie przypominających *rznięcie na pokładankę*. Pani Borowiczowa zbliżyła się do niego i dotknawszy ręką jego ramienia zapytała:

— Panie, czy nie mógłby mi pan powiedzieć, kiedy będzie egzamin?

Pedelisko spojrzało na nią leniwie i nic nie rzekło. Wówczas wsunęła mu w garść srebrną czterdziestówkę i powtórzyła swe pytanie. Stary ożywił się zaraz i począł skrobać swoją błyszczącą łysinę.

— Widzi pani, mnie nic nie *izwiestno*¹⁴². Ale trzeba by tak zrobić: jak *ucztyteli*¹⁴³ wyjdą z kancelarii i pójdą na *etaż*¹⁴⁴, to można iść do *sekretara*. Jeśli kto wie, to on...

— A prędko też mogą wyjść z tej kancelarii?

— Ha... tego to już *znać*¹⁴⁵ nie mogę.

Wiadomość tę matka Marcina powtórzyła kilku osobom na korytarzu. Wieść o możliwości powzięcia jakiejś wskazówki szybko się rozeszła wśród tłumu. Istotnie dyrektor, a za nim nauczyciele kolejno wychodzili z kancelarii i udawali się na piętro, gdzie mieściła się większość klas wyższych i dokąd nikomu z obcych wchodzić nie pozwalano. W kancelarii jednak zostało jeszcze kilku profesorów. Jeden z nich wszedł do klasy, której nie odnawiano, i wprowadził tam ze sobą uczniów zdających *poprawki*.

Drzwi do tej izby zostały niezamknięte i Marcinek z trwożną ciekawością przypatrywał się i przysłuchiwał procesowi egzaminowania. Stary nauczyciel w granatowym fraku chodził od drzwi do okna, coś pod nosem mrucząc, a uczeń rozwiązywał na tablicy zadanie algebraiczne. Ujrzawszy jakieś znaki i cyfry, których znaczenia wcale nie rozumiał, Marcinek ścierpł ze strachu i szepnął do matki ze łzami:

— Mama myśli, że ja zdam, kiedy ja tego wcale nie umiem!

— Ależ ciebie o to pytać nie będą... Widzisz przecie, że to uczeń z wyższej klasy odpowiada.

Swoją drogą Marcinek ze strachu nie ochłonął, a widok *iksów* i *igreków* bardziej jeszcze powiększył ciężar, który malca jak stos gruzu przyciskał.

Nareszcie wyszli z kancelarii ostatni nauczyciele i wówczas pewna grupa osób, do której przyłączyła się i pani Borowiczowa, wsunęła się do tego pokoju. Był on długi, ciemny, z jednym oknem, którego dolna rama znajdowała się na równi z brukiem podwórza. Siedział tam tyłem do drzwi zwrócony sekretarz szkoły.

Przybyli dosyć długo stali u drzwi, nie śmiejąc zaczepić sekretarza pogrążonego w pracy. Nareszcie ktoś chrząknął. Urzędnik obejrzał się i spytał zebranych, czego sobie życzą. Obywatel ziemski, który przywiózł do szkół dwu chłopców aż z drugiego końca sąsiedniej guberni, wyłożył językiem z kiepska-rosyjskim prośbę o podanie jakiejś wskazówki co do dnia egzaminów.

— Nic panu nie mogę powiedzieć — odrzekł sekretarz — gdyż nic nie wiem. Wszystko zależy od nauczyciela wykładającego w klasie wstępnej, pana Majewskiego, jeżeli o egzamina do wstępnej panu idzie. Przypuszczam, że w tym jeszcze tygodniu.

¹⁴⁰*wospreszcza* (popr. ros. *wosprieszczajetsia*) — zabrania się. [przypis edytorski]

¹⁴¹*admonicja* (z łac.) — upomnienie. [przypis edytorski]

¹⁴²*izwiestno* (ros.) — wiadomo. [przypis edytorski]

¹⁴³*ucztyteli* (ros.) — nauczyciele. [przypis edytorski]

¹⁴⁴*etaż* (ros.) — piętro. [przypis edytorski]

¹⁴⁵*znać* (ros.) — wiedzieć. [przypis edytorski]

— W tym tygodniu... — zamruczał szlachcic, który już osiem dni był poza swym folwarkiem¹⁴⁶.

— Tak sędzę... — rzekł sekretarz i zaczął natychmiast wycierać gumą, w drzewo oprawioną, jakiś błąd w swych papierach.

Szlachcic zwrócił się do osoby najbliższej przy nim stojącej, niby to jej wyjaśniając odpowiedź, a właściwie w oczekiwaniu, że urzędnik jeszcze coś powie. Ten wszakże nie tylko nic nie powiedział, ale się nadto spojrzął z wyrazem niecierpliwości.

Wówczas cała gromada opuściła kancelarię. Smutek jeszcze większy ogarnął Marcina i jego matkę, gdy się znaleźli na ulicy. Niepokój oczekiwania nie ustał, a wzmogło się znużenie. Chłopiec od chwili przyjazdu do tego miasta był smutny. Męczyła go i dławiała spiekota miejska, bruk palił i wykręcał mu nogi, widok murów, a brak horyzontu sprawiał mu przykrość bez nazwy, co mimo nieustannych westchnień nie mogła wyrwać się z piersi. Wszystko w tym mieście było inne niż na wsi, było dla niego zimne i szorstkie, traktowało go nie jak dziecko. Drzewa stojące gdzieniegdzie obok chodników, małe drzewa, ujęte w żelazne okratowania jak kajdaniarze¹⁴⁷, napawały go boleścią, czuł taki brak miękkiej murawy¹⁴⁸, że ze łzami poglądał na jej ździebélka wegetujące między kamieniami bruku, a jedyną ulgę i pociechę znajdował w spoglądaniu na niebo, które jedno było takie samo jak w Gawronkach i które jedno jak wierny przyjaciel szło za nim wszędzie, dokądkolwiek się skierował.

Wprost z gimnazjum powrócili do hotelu i zamknęli się w swoim numerze. Zajazd mieścił się w jednej z brudniejszych ulic miasta. Z bramy w piętrowym froncie domostwa wchodziło się tam na mało co szersze od niej podwórze, wybrukowane takimi bulwami kamiennymi, jakby ta robota wykonana została przez cyklopów, budowniczych Akryzjusza, dziada Perseuszowego¹⁴⁹. Stajnia nakryta wielkim i dość dziurawym dachem była przedłużeniem dziedzińca. Z obydwu stron odkrytego placu znajdowały się dwa długie parterowe domy, w których mieściły się pokoje hotelowe. Wchodziło się do nich wprost z bruku, na którym znać było, że konie szlachciców goszczących w murach Hotelu Warszawskiego nieraz bardzo długo czekać musiały na wyjazd swych władców. W rogu dziedzińczyka czerniały na odrapanym murze ogromne litery napisu: *Numerowy* — a niżej widać było okno do połowy schowane w ziemię. Tam właśnie mieszkał chudy i ponury Wincenty, istota żyjąca z napiwków składanych w jej dłoni tytułem wynagrodzenia za usługi wszelkiego rodzaju, do jakich jej używał świat goszczący w Hotelu Warszawskim.

Pani Borowiczowa kazała Marcinkowi powtarzać gramatykę rosyjską, a sama ułożyła się na kanapie, żeby odpocząć. Pragnęła choć chwileczką snu skrócić czas oczekiwania na rezultat swych zabiegów, ale nie udało się jej zmrużyć oka. Twarda poduszka hotelowa i wilgotna jej poszewka przejmowały ją wstrętem; co chwila rozlegał się łoskot straszliwy, gdy na dziedziniec wjeżdżała jakaś furmanka, a nadto z sąsiedniego numeru, dokąd prowadziły drzwi zamknięte na głucho i zatarasowane komodą, słychać było ciągle hałasy i wrzaski.

— Sam ojciec nie ma wyobrażenia o *udareniach*¹⁵⁰, a będzie tu mnie uczył! — wrzeszczał piskliwie i z zajądłością nadzwyczajną głos dziecięcy.

— Ja ci się nie pytam, *cembale*, o to, czyja umiem *udarenia*, czy nie, tylko ci każe czytać... — odpowiadał głos gruby.

— No to ja ojcu mówię, że ojciec nie umie! Golić brody ojciec umie, strzyc kłaki to samo, ale co do czytania, to tam już nie ojca głowa.

Miasto, Smutek, Lato,
Rośliny

¹⁴⁶folwark (z niem. *Vorwerk*) — gospodarstwo rolno-hodowlane, wykorzystujące pracę przymusową pańszczyźnianych chłopów, a po zniesieniu pańszczyzny pracę robotników najemnych w celu zapewnienia właścicielowi ziemskiemu wraz z rodziną środków utrzymania i zysku ze sprzedaży produktów rolnych i zwierząt hodowlanych. [przypis edytorski]

¹⁴⁷kajdaniarz — więzień. [przypis edytorski]

¹⁴⁸murawa — obszar porośnięty trawą. [przypis edytorski]

¹⁴⁹budowniczowie Akryzjusza, dziada Perseuszowego (mit. gr.) — obdarzeni olbrzymią siłą jednoocy cyklopi, którzy wznosili na rozkaz władcy Akryzjusza potężne budowle; wnukiem Akryzjusza był Perseusz. [przypis edytorski]

¹⁵⁰udarenie (ros.) — akcent. [przypis edytorski]

— Widzieliście wy, moi ludzie... — biadał głos gruby. — Jeszcze toto do sztu¹⁵¹by nie weszło, a już taki rezon¹⁵². A cóż to będzie potem? Ojcem swym, rodzicem gardzisz?

— E!... Daj mi tam, ojciec, święty pokój!... Pan inaczej kazał czytać, i cała rzecz.

— Ale tu pana nie ma, rozumiesz ty to? Jutro albo pojutrze wezmą cię na spytki¹⁵³ i pójdziesz na grzyby, jak nie będziesz czytał, bo zapomnisz na amen.

— A, zaraz na grzyby... — mruknął głos dziecięcy.

Marcinek, stojąc w oknie szeptał oklepane terminy gramatyczne, które umiał, nie dość powiedzieć jak pacierz, bo na wrywki jak tabliczkę mnożenia — i spoglądał apatycznie¹⁵⁴ na dziedziniec.

Rozmowa w sąsiednim numerze mało go interesowała, natomiast uderzało go to, co widział obok mieszkania stróża.

Stał tam Izraelita odziany w surdut długi, ale nie sięgający do kostek i zupełnie czysty. Trzymał w ustach białą, kościaną rączkę laski i słuchał tego, co mu żywo rozpowiadał numerowy. Kiedy niekiedy rzucił spod oka wejrzenie na szyby, przy których stał Marcinek, i ciągle palcami prawej ręki drapał się w brodę. Wkrótce zbliżył się wolno do drzwi numeru i zastukał.

— Któż tam? — z niepokojem spytała pani Borowiczowa, przekręcając klucz w zamku.

— To ja, proszę wielmożnej pani — rzekł przybyły, wsuwając do numeru głowę. — Jestem kupiec zbożowy, chcę troszkę powiedzieć o interesie.

— Ja nie mam teraz czasu mówić o tych sprawach, mój panie. Jedź pan z łaski swojej do Gawronek do mego męża, to się pan z nim rozmówisz.

— Tak to łatwo wielmożnej pani powiedzieć: jedź... Takie czasy okropne nastały z tą stagnacją¹⁵⁵, z tym... rządem. Zresztą, czy ja potrzebuję wielmożnej pani te rzeczy wytłumaczyć? — rzekł, wchodząc prawie forsą¹⁵⁶ do pokoju.

— Mój panie kupiec, ja nie jestem wielmożną, o interesie teraz i tutaj mówić nie będę, bo mam inne, ważniejsze sprawy na głowie...

— Z tym młodym kawalerem. Ja rozumiem, moja pani kochana. To jest niemały kłopot... ja to wiem... — rzekł z westchnieniem.

Westchnienie i sama wzmianka o kawalerze zmiękczyły zaraz serce pani Borowiczowej.

— Oddawałeś pan może syna do gimnazjum? — spytała.

— Ja nie oddawałem, bo mnie nie bardzo stać na takie fanaberie¹⁵⁷ w dzisiejszych czasach, ale mój brat, ten oddawał. No i użył na tej zabawce... A do której klasy? — spytał Marcinka z uśmiechem.

— Do wstępnej, panie.

— Uu! Bardzo dużo *kandydaty*, całe sto ludzi, powiadają, na trzydzieści cztery miejsca. Czy dobrze przygotowany... przepraszam, jak imię synka?

— Marcinek... — odrzekła pani Borowiczowa. — Pan się pyta, czy dobrze przygotowany? Zapewne że dobrze, ale czy zda... któż to może wiedzieć?

— Dlaczego on nie może zdać, taki Marcinek! — zawołał kupiec. — On zda na pewno, tylko od tego zdania do przyjęcia — to jeszcze cały loch. Niech pani obliczy: sto kilka i może jeszcze więcej *kandydaty*, na trzydzieści cztery miejsca... to jest okropna cyfra. Oni... te Moskałe — dodał ciszej — oni chyba będą od razu nasze biedne dzieci pytać z łaciny przy egzaminie do wstępnej klasy!... Dzisiaj prawie każdy przygotowany, wszystkie mówią po rusku, a oni wybierają tylko niektórych. To są ciężkie czasy, moja pani, dla *oszwiate*¹⁵⁸...

Wejrzenie Marcinka spotkało się ze wzrokiem matki i nie zaczerpnęło tam otuchy. Ten Żyd zdał się nagle pani Borowiczowej złym zwiastunem. Miała chęć wyprosić go z numeru, kiedy on rzekł znowu:

¹⁵¹*sztu¹⁵¹ba* (pot., z niem.) — szkoła. [przypis edytorski]

¹⁵²*rezon* (daw.) — pewność siebie. [przypis edytorski]

¹⁵³*wziąć na spytki* — przepytować kogoś; odpytywać; badać czyjąś wiedzę na jakiś temat. [przypis edytorski]

¹⁵⁴*apatycznie* — z obojętnością. [przypis edytorski]

¹⁵⁵*stagnacja* (z łac.) — zastój. [przypis edytorski]

¹⁵⁶*forsą* (z fr.) — siłą, przemocą; por.: forsować. [przypis edytorski]

¹⁵⁷*fanaberie* — rzecz wyszukana, wymyślna; dziwactwo. [przypis edytorski]

¹⁵⁸*oszwiate* — zniekształcone: oświaty. [przypis edytorski]

— Mój brat dwa lata temu, jak oddawał synka tak samo do wstępnej klasy, to on się doskonale urządził.

— Jakże on się urządził?

— On sobie pomyślał: Kto może najlepiej wiedzieć, jak trzeba odpowiadać, żeby zdać do pierwszej klasy? Oczywiście ten, co egzaminuje do pierwszej klasy. On sobie pomyślał dalej: Dlaczego ten, co egzaminuje do pierwszej klasy, nie ma nauczyć mojego Gucia dobrze odpowiedzieć? Dlaczego on jemu nie może dać *korepytycje*, kiedy wszystkie profesory mają prawo dawać *korepytycje*? Mój brat tak sobie pomyślał i udał się do pana Majewskiego, który egzaminuje, który później przez cały rok uczy we wstępnej klasie ruskiego, *artymetyki*... on jego grzecznie poprosił...

— Dużo też zapłacił brat pański za takie lekcje?

— Tego ja nie wiem dokładnie, ale mnie się zdaje, że niedużo. To jest wyrozumiały człowiek, ten pan Majewski.

— A czy długo bratanek pański chodził do niego?

— To samo niedługo. Cały parady tydzień chodził.

— I zdał?

— Zdał bardzo dobrze, lepiej niż takie, co mieli *korepytory* akademiki...

— Panie łaskawy — rzekła matka Marcinka — nie mógłbyś się pan czasem dowiedzieć od swego brata, ile on też zapłacił panu Majewskiemu?

— Dlaczego nie? Ja mogę się dowiedzieć, ale odpowiem chyba aż jutro, bo mój brat mieszka bardzo daleko, na drugim końcu miasta, za przedmieściem Podpórką, a ja nie mam tam żaden interes...

— Ja bym panu zwróciła kosztą na dorożkę — rzekła pani Borowiczowa, wydobywając z woreczka paperek rublowy i podając go kupcowi — gdybyś pan zechciał zaraz pojechać i dowiedzieć się szczegółowo.

— Owszem, ja to mogę zrobić dla pani — rzekł starozakonny, od niechcenia chowając paperek do portmonetki. — Ja się dowiem i niedługo wrócę. *Adiu*¹⁵⁹!

Zanim pani Borowiczowa zdołała ochłonąć z ogniów, które na nią uderzyły, gdy słyszała o możliwości takiego polepszenia sprawy egzaminów, nim zdążyła skupić myśli i zważyć okoliczności, Izraelita już pukał do drzwi. Misję wywiedzenia się całego sekretu od brata mieszkającego na drugim krańcu miasta Klerykowa załatwił tak szybko, jakby w tym Klerykowie funkcjonowały jakieś piorunujące środki komunikacji, nigdzie dotychczas na łądzie stałym niewprowadzone.

— Mój brat powiada — rzekł jeszcze we drzwiach — że on na tę całą sztukę wydał po trzy ruble za godzinę, to znaczy dwadzieścia jeden. Żeby to było grzecznie w jednym papierku, to on dał dwadzieścia pięć rubli.

— A nie wiesz pan przypadkiem, gdzie mieszka pan Majewski?

— On mieszka na Moskiewskiej ulicy, w domu Baranka, z bramy po lewej ręce.

— Dziękuję panu bardzo — rzekła pani Borowiczowa — za pańską grzeczność. Kto wie, może i ja poproszę pana Majewskiego o lekcje dla mego syna.

Starozakonny usiłował znowu rozpocząć gawędkę o zbożu i jego cenach, ale pani Borowiczowa nie chciała już z nim więcej konwersować. Wychodził z numeru, ociągając się i jeszcze w głębi dziedzińca medytował nad czymś głęboko.

O godzinie pierwszej dziedziczka Gawronek wyszła z synem na obiad do restauracji. Furmana¹⁶⁰ z końmi i bryczką wyprawiała zaraz do domu. Opisała cały stan rzeczy mężowi prosząc go usilnie o pożyczanie od miejscowych bankierów dwudziestu pięciu rubli. W restauracji matka i syn nic prawie nie tknęli. Kelner, pół na pół zjedzony przez gruźlicę, biegł daremnie z ogromną elegancją w swym fraku¹⁶¹, tak olśniewająco błyszczącym, jakby był uszyty z wysuszonej pozłoty rosoli — przynosił różne wazki, półmiski, talerze z ciekłymi, prażonymi i duszonymi potwornościami — i odnosił je do kuchni prawie w takich samych ilościach i rozmiarach. Wszystko, co robiła i o czym myślała pani Borowiczowa, to były w warunkach życia rodziny szlacheckiej tego rodzaju — po prostu zamachy stanu. Już samo oddawanie syna do gimnazjum, konieczność płacenia stancji¹⁶²,

¹⁵⁹*adiu* (popr. fr. *adieu*) — bądź zdrów, do widzenia. [przypis edytorski]

¹⁶⁰*furman* — woźnica; osoba kierująca końmi zaprzężonymi do wozu, bryczki itp. [przypis edytorski]

¹⁶¹*frak* — część stroju męskiego o polach z przodu obciętych, z tyłu wydłużonych. [przypis edytorski]

¹⁶²*stancja* — mieszkanie z utrzymaniem odnajmowane uczniom a. studentom. [przypis edytorski]

wpisów, nabywania książek, odzieży mundurowej itd. stanowiły wysiłek niezmierny. Teraz, kiedy przyszło jeszcze płacić po trzy ruble za godzinę lekcji, była to już gra. Pani Borowiczowa rozważała to wszystko, przebiegała w myśli wszelkie szanse i zdecydowała się nieodwołalnie: choćby przyszło łachmany wiązać, chłopca uczyć trzeba. Liczyła zresztą na indyki, prosięta, kaczki itp. i obiecywała sobie, że pokryje niespodziewane wydatki. W czasie obiadu znajdowała się w tym stanie szczególnego podniesienia umysłu, kiedy się różne sprawy i zjawiska życia tak trafnie ocenia, że się prawie ich bieg przyszedł na jawie widzi. Były to jednak sprawy blisko stojące. Nad rozleglejszą granicą tego widnokregu zwieszała się ciemność nieprzenikniona, zakrywająca go nawet przed wzrokiem matki. Kto to jest ten mały Marcinek? Jaki mężczyzna wyrośnie z tego dziecka? Jaka będzie jego twarz? Jak on będzie mówił? Co on będzie myślał?... Zagłębiała się w te pytania bez przerwy, spoglądając na jego ostrzyżoną głowinę.

Restauracja była prawie pusta. W salkach przystrojonych z brudnym szykiem — *notabene* z brudnym szykiem małomiejskim — uwijał się ów kelner. Wyszwarzowane¹⁶³ i podkreślone do góry jego wąsy, rozczesana na środku głowy czupryna kapitalnie pasowały do twarzy powleczonej trupią, zielonawą skórą, na której lewym policzku ceglasto czerwieniła się plama wypieku. Zbliżając się do gości, przybierał ten człowiek na twarz swoją uśmiech swój kelnerski, który był taką samą w fachu jego szatą jak frak; wykonywał ruchy pełne elegancji, szastał się i kłaniał z wielką swobodą. Pani Borowiczowa spoglądała na niego przez kilka chwil z uwagą — wtedy właśnie, kiedy jej marzenia zaglądały w przyszłość kandydata do klasy wstępnej. I znowu stanął jej w myśli nowy wydatek, wydatek najbardziej nieodzowny ze wszystkich. Gdy przyszło do płacenia należnych za dwa obiady pięciu złotych, złożyła na tacce obok tej sumy trzy ruble papierowe i posunęła je kelnerowi, myśląc w głębi swego serca:

„Na intencję szczęśliwego życia mojego Marcinka...”

Zaraz po obiedzie udali się obydwójce na ulicę Moskiewską i z łatwością wyszukali mieszkanie pana Majewskiego. Na odgłos dzwonka otworzyła im drzwi tego mieszkania dama bardzo piękna i ubrana w negliz¹⁶⁴ wykwinny.

Dowiedziawszy się, że pani Borowiczowa ma interes do „profesora”, wprowadziła ją do saloniku i radziła uprzejmie oczekiwać tam powrotu jej męża, co miało nastąpić punktualnie za pół godziny.

Salonik ów było to istne pudełeczko wyłożone pięknymi sprzętami. Na środku błyszczącej posadzki leżał dywan, a na nim stały niewielkie mebelki obite jasną materią: wykwinna kanapka i foteliki skupione dokoła małego stołu, gdzie leżały albumy, całe stosy fotografii w pięknych pudłach i misa napełniona biletami wizytowymi.

Pod oknem mieściło się biurko zastawione mnóstwem ciekawych cacek: szeptał tam zegar podobny z kształtu do altanki, w której głębi wahadło w formie kolebki z uśpionym dzieciątkiem kołysało się łagodnie; stały tam przeróżne kałamarze, sprząciki na papierosy, na zapalki, stalówki itd. najrozmaitszych pomysłów; wyżej na dwu półkach błyszczało mnóstwo przycisków, figielków z porcelany, brązu, kubków i szkieł kolorowych. Przed biurkiem było lekkie krzesło na biegunach, obok niego kosz ze zniszczonymi papierami. Na wszystkich ścianach wisiały tak zwane chińskie parawaniki z rozpostartymi w nich na kształt wachlarzy fotografiami pięknych dziewcz o niesłychanie wielkich oczach i biustach do najniższego stopnia odsłoniętych, albo reprodukcje miłych kociąt, scen zabawnych i widoki miasta gubernialnego Klerykowa.

W rogu saloniku obok żardinierki¹⁶⁵ stało pianino i znowu na nim zadziwiająco piękne sprząciki i fotografie w wykwinnych stojących ramkach z pluszu i połyskującej blachy.

Pani Borowiczowa usiadła na brzeжку pierwszego krzesła, w bliskości drzwi; zaleciła synowi kilkakrotnie, żeby stał spokojnie, a nie zbił czego, broń Boże — i czekała z bijącym sercem.

Teraz, kiedy już prawie wykonany został taki zamach stanu, trwoga ją obejmować zaczęła, czy też to nie jest krok szalony. Zegar na biurku szeptał, zdawało się: nic z tego, nic z tego...

¹⁶³wyszwarzowany (z niem.) — uczerniony. [przypis edytorski]

¹⁶⁴negliz (z fr.) — swobodny strój domowy. [przypis edytorski]

¹⁶⁵żardinierka (z fr.) — ozdobna stojąca półka pokojowa na kwiaty doniczkowe. [przypis edytorski]

W sąsiednich pokojach słyhać było jakieś kroki i rozmowy szeptem prowadzone. Nasłuchując, czy to już sam pan profesor nie wchodzi, pani Borowiczowa zwróciła machinalnie oczy w kąt pokoju i dostrzegła tam ikonę w srebrnej szacie i płonące przed nią światelko.

„Prawda, prawda... — pomyślała — przecie to ten, co przeszedł na prawosławie”.

W danej chwili najmniej by ją ta kwestia obchodziła, gdyby nie to, że za nią jak cień włókł się zabobon:

„...To nie musi być dobry człowiek...”

Zegar z kolebką wydzwonił srebrnym głosikiem godzinę drugą, a pana Majewskiego jeszcze nie było.

Dopiero przed trzecią rozległ się dzwonek w przedpokoju, a po upływie kilkunastu minut drzwi do saloniku otwały się cicho i stanął w nich pan profesor.

Był to blondyn wysoki, z jasnym zarostem i bardzo przerzedzoną czupryną. Miał na sobie jeszcze frak granatowy i takąż kamizelkę ze srebrnymi guzikami, z których każdy zaopatrzony był w orla państwowego. Kamizelka ta była głęboko wycięta i odsłaniała gors koszuli promieniająco biały, wykrochmalony i błyszczący jak szyba lustrzana.

Nauczyciel złożył ukłon, wyciągając pięknym ruchem obydwie mankiety, a gdy pani Borowiczowa powiedziała swe nazwisko, zapytał po rosyjsku:

— Czym mogę służyć?

Matka Marcinka nie mówiła tym językiem, a bała się obrazić profesora, jeżeli zacznie mówić po polsku, toteż ją wyklądać mu swą prośbę po francusku, z mozołem wymawiając zdania i zwroty dawno zapomniane.

Pan Majewski z wdziękiem usiadł na pobliskim fotelu, nastawiał mimowiednym ruchem swe ciemnoniebieskie binokle, otwierał przy tej sposobności nieznacznie usta, ale nie zdawał się rozumieć, o co rzecz idzie.

Wkrótce też spytał po polsku z przeciąganiem i akcentowaniem z ruska wyrazów, aczkolwiek dopiero przed dwoma laty został Rosjaninem, nigdy w Rosji nie był i z granic guberni klerykowskiej zamieszkaną przez samych Polaków (ze znaczną domieszką żydowską) ani razu nie wyjechał:

— Otóż, chodzi tutaj o tego młodzieńca... *tak li?*...

— Tak, panie profesorze — mówiła teraz jednym tchem pani Borowiczowa — pragnęłabym oddać go do klasy wstępnej. Uczył się na wsi, w szkole elementarnej. Czy jest przygotowany... tego właśnie osądzić nie jestem w stanie. Dlatego też śmiem prosić pana profesora, czyby nie zechciał przygotować go jeszcze nieco, zanim egzamin... Z pewnością kilka lekcji udzielonych przez takiego jak pan profesor pedagoga więcej go oświeci niż pół roku nauki w szkole wiejskiej...

— No, cóż znowu? — zawołał pan Majewski z satysfakcją kierownika klasy, wprawdzie tylko wstępnej, aleć zawsze w gimnazjum, który jeszcze parę lat temu był nauczycielem szkółki elementarnej w jakiejś Kiernozji.

— Jestem najmocniej przekonana, że tak jest... Gdyby tylko pan profesor raczył zwrócić na mego syna uwagę...

— Widzi pani — przerwał pan Majewski — masa kandydatów... Nie wiem, co on umie, czy to się na co przyda...

— Panie profesorze...

Pan Majewski uprzejmym gestem przerwał pani Borowiczowej i zadał Marcinowi kilka pytań rosyjskich z zakresu arytmetyki, gramatyki itd. Wysłuchawszy jego względnie dobrych odpowiedzi, wsparł czoło na ręce i przez kilka chwil coś głęboko rozważał.

— Panie... — szepnęła ze drżeniem matka kandydata.

— Tak... Jeżeli pani sobie życzy, mogę dać małemu kilka lekcji. Czy zda... tego, rozumie się, przewidzieć niepodobna...

— Żle jest przygotowany?

— Nie to, żeby źle, owszem, na ogół biorąc... Ale, widzi pani, wymowa, akcent, to, czego jakiś korepetytor, jakiś belfrzyzna na wsi wpoić nie jest w stanie, bo sam tego nie posiada... System, widzi pani, wymaga, to jest... akuratsnej wymowy, a tego... nie ma. Wszyscy w tych stronach mówią w domu po polsku, rodzice... więc też i dzieci nie

Nauczyciel, Urzędnik,
Państwo, Polak, Rosjanin,
Państwo, Służalność

mogą mówić dobrze. A system, pojmuje pani, wymaga tej, że tak powiem — akuratnej wymowy.

Ktoś z lekka zapukał do drzwi. Profesor poruszył się niecierpliwie, jakby na znak, że sprawa jest wyczerpana. Chwila ta była istną katuszą dla pani Borowiczowej, gdyż należało przystąpić do kwestii zapłaty, skutecznie ją stanowczo, dyplomatycznie i z całym mistrzostwem grzeczności.

— Będę — rzekła — nieskończenie panu profesorowi wdzięczna za tę istotną łaskę... Czy mogłabym od razu teraz uiścić się z należności za te lekcje? Zapewne wypadnie mi w tych dniach odejść i dlatego tylko trudzę pana...

— O to... tego... Biorę zwykle po trzy ruble za godzinę. Mam tutaj kilkunastu chłopców, których również przygotowuję. Od nich biorę w tym stosunku...

— Mam nadzieję, że wystarczy jeszcze czasu na jakie osiem lekcji. Władza tak zwleka... — rzekła pani Borowiczowa z rodzajem łaskawej i uprzejmej wymówki. — Dla nas, zaśnieżdżonych po wsiach, jest to właściwie dobrodziejstwo, gdyż możemy przy sposobności używać miasta, ale za to nasze role i gumna¹⁶⁶... Oto jest dwadzieścia pięć rubelków...

— Ach... to ja pani rubla reszty... — zawołał z pośpiechem nauczyciel, rzucając się do wykwintnego biurka.

— Och... tyle subiekcji¹⁶⁷...

— A, nie, nie! — wołał nauczyciel. — Jestem tej zasady, rozumie pani: kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak Żydzi...

Pomimo że pani Borowiczowa wcale nie nadawała się na brata pana Majewskiego, nie wzięła mu jednak za złe tej maksymy. Przyjąwszy rubla, wśród ukłonów zobopólnych¹⁶⁸ oraz tysiącznych komplementów profesora wyszła odprowadzona przezeń aż do drzwi wchodowych¹⁶⁹. W sieni pan Majewski ujął malca za ramię i otworzywszy drzwi na lewo wskazał mu duży pokój, prawie pusty, z ogromnym sosnowym stołem na środku.

— Przychodź na lekcje od dziś codziennie punkt o piątej... i od razu wchodź do tego pokoju... — rzekł głaszcząc chłopcu czuprynę.

IV

Tylko trzy razy pani Borowiczowa zaprowadziła jedynaka z hotelu na popołudniowe lekcje do profesora, już bowiem czwartego dnia odbył się pierwszy egzamin z języka rosyjskiego. Na korytarzu gimnazjalnym panował tego dnia istny stan oblężenia. Publiczność tłoczyła się tak zapamiętale w celu podpatrywania i podsłuchiwania tego, co się odbywało w sali egzaminacyjnej, że władza zmuszona była wydelegować aż trzech asystentów gospodarzy klas i pana Pazura do wypowiadania grubiańskich uwag pod adresem rodziców, a nawet do forsownego¹⁷⁰ rozpychania ich łokciami.

Komisja egzaminacyjna składała się z trzech osób: z inspektora gimnazjum, pana Majewskiego i jednego z nauczycieli. Ten ostatni zresztą niewielką do całej sprawy zdawał się przywiązywać wagę, gdyż zajęty był wyłącznie grzebaniem w uchu za pomocą bardzo cienkich patyczków brzoźowych uciętych z miotły. Cały pęk tego rodzaju instrumentów wychylał się z bocznej kieszeni jego fraka. Inspektor był mężczyzną ogromnego wzrostu, z głową porośłą istnym wygrabkiem rudawych włosów. Jego wielkie, niebieskie oczy spoglądały tak posępnie i złowrogo, że dreszcz trwogi przejmował nie tylko uczniów, ale i rodziców. Stos papierów leżący przed inspektorem służył mu za rodzaj listy przystępujących do egzaminu. Były to prośby i dokumenty kandydatów. Papiery te, w miarę jak nauczyciel Majewski egzaminował malca, inspektor odczytywał z uwagą i dawał swoją notę. Przesłuchiwanie trwało krótko: dwa, trzy zdania chłopiec czytał, później opowiadał, wygłaszał jakiś wiersz rosyjski, jeśli go umiał na pamięć, następnie rzucano mu pytanie z gramatyki i polecano wykonać rozbiór. Rozbiór i pytania zadawane chłopcom znienacka, pospolite pytania konwersacyjne, ogłupiały większość niewielkich Polaczków.

Szkola, Rosjanin, Polak,
Słowo

¹⁶⁶*gumno* — część gospodarstwa wiejskiego, gdzie młócono i przechowywano zboże, niekiedy obejmująca stodołę, spichlerz itp., niekiedy oznaczająca klepisko. [przypis edytorski]

¹⁶⁷*subiekcja* (z łac.) — kłopot. [przypis edytorski]

¹⁶⁸*zobopólny* — obopólny; obustronny. [przypis edytorski]

¹⁶⁹*wchodowy* — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

¹⁷⁰*forsowny* — tu: z użyciem siły fizycznej. [przypis edytorski]

Co chwilę jakiś zerżnięty wychodził na korytarz, gdzie go witała zrozpaczona, częstokroć zalana łzami twarz matki lub ojca. Malcy, którzy dali odpowiedzi zadowolające, na rozkaz inspektora powracali na swe miejsca. Gdy tak przebrano kandydatów, setka ich z górą zredukowała się do ilości pięćdziesięciu paru. Wtedy pan Majewski rozsądził ich w ten sposób, żeby między jednym a drugim była znaczna przestrzeń ławy, i rozkazał pisać dyktando. Gdy odebrano zapisane kartki, miał miejsce drugi egzamin, bardziej szczegółowy i głównie zahaczający o pisownię. Indagował teraz sam inspektor, a pan Majewski powtarzał wszystko, co zwierzchnik jego wykonywał. Kiedy inspektor Siel-diew marszczył swe niskie czoło i mrużył oczy — pan Majewski przybierał minę surową; kiedy się natrząsał szyderczo z głupich mniemań małych „przywiślańców”¹⁷¹ na punkcie arkanów¹⁷² etymologii¹⁷³ i syntaksy¹⁷⁴ — pan Majewski chichotał do rozpuku; kiedy inspektor spoglądał na drzwi ze złością i podglądającym rodzicom dawał znaki, aby się usunęli i zachowywali cicho — pan Majewski trzepał rękami i wykrzykiwał się spazmatycznie. Krzesło jego stało nieco w tyle za krzesłem inspektora, a ta pozycja pozwalała nauczycielowi klasy wstępnej obserwować każdej chwili spod oka wyraz twarzy potentata gimnazjalnego. Zdarzyło się jednak, że inspektor w sposób rdzennie rosyjski wydłubywał sobie z zęba paznokciem jakieś dokuczliwe włókienko i wyszczerzył przy tej czynności lewą połowę swej paszczęki. Majewski dostrzegłszy spróchniałe zęby wybuchnął zaraz głośnym śmiechem, na którego odgłos nie tylko Siel-diew przyjrzał mu się z podziwem, ale nawet Ilarion Stiepanycz Ozierski, zwany przez wszystkich uczniów, mieszkańców miasta Klerykowa, kolegów nauczycieli i członków własnej rodziny „Kałmukiem”, cofnął patyk z ucha, wytrzeszczył swe białe oczy, uderzył pięścią w stół i mruknął:

— *Da-s, eto toczno*¹⁷⁵!

Marcin Borowicz należał do liczby zostawionych w klasie. Utrzymał się nawet po drugim egzaminie i zasłużył na przychylną decyzję inspektora. Ogromna większość chłopców zebranych na korytarzu mogła już opuścić gimnazjum, gdyż jasną było rzeczą, że przyjętych będzie trzydziestu kilku, którzy siedzieli w klasie. Ci ostatni, z wyjątkiem kilku prawosławnych i synów ludzi zamożnych albo wysoko postawionych, byli dziwnym zbiegiem okoliczności uczniami pana Majewskiego. Tak chlubnym złożeniem egzaminu wystawili oni najlepsze świadectwo jego zdolnościom pedagogicznym i wykazali, co znaczy przed wstąpieniem do gimnazjum chociażby tylko parę lekcji konwersacji z dobrym akcentem.

Niepodobna opisać radości pani Borowiczowej. Spoglądając przez szybę, kiedy Marcinka wołano na środek, wytrzymała ona prawdziwy paroksyzm wszelakich cierpień. Dookoła siebie widziała rozpacz osób, których najśłodsze nieraz nadzieje już się rozwiały; czuła tę rozpacz ich wszystkich, ale tak ją czując, deptała nogami cudze nieszczęście i wdzierała się jakby po trupach, pędzona przez swoją miłość i swoją nadzieję.

Kiedy pan Majewski uśmiechał się do jej syna i kiedy po odpowiedzi wskazywał mu miejsce w ławie — uwielbiała tego profesora wszystkimi władzami serca matki, których niczym wymierzyć nie można; ale wkrótce potem, gdy tenże pedagog wyszedł z klasy i ze zgnitym uśmiechem spoglądał na zastęp rodziców i dzieci odrzuconych z jego woli, uczuła, że i w niej, pomimo wszystko, szarpie się serce wzburzone i że się z niego wyrывa głucha i śmiertelna nienawiść. Pan Majewski siedł wśród tłumu, rozdzielając ukłony na prawo i lewo osobom, które się do niego zwracały z błaganiami, płaczem i zapytaniem.

Wkrótce po nim wyszedł z klasy inspektor. Ten na nikogo uwagi nie zwracał, a gdy go zaczepił jakiś chudy jegomość pytaniem, jak też zdał jego młodszy synek, odpowiedział po rosyjsku głośno i zwracając się do wszystkich:

— Nie może być dobrych rezultatów, bo złe jest przygotowanie. Dzieci nie mówią po rosyjsku, więc jakże się mają uczyć w tej szkole, gdzie wykład nauk odbywa się w tym

Szkola, Państwo, Urzędnik,
Słowo, Władza

¹⁷¹*przywiślańcy* — mieszkańcy „Kraju Nadwiślańskiego” (ros. *Priwiślinskij Kraj*); tak po upadku powstania styczniowego rząd carski określał oficjalnie terytorium i mieszkańców daw. Królestwa Polskiego. [przypis edytorski]

¹⁷²*arkana* — zasady. [przypis edytorski]

¹⁷³*etymologia* — nauka o pochodzeniu wyrazów. [przypis edytorski]

¹⁷⁴*syntaksa* — składnia języka. [przypis edytorski]

¹⁷⁵*da-s, eto toczno* (ros.) — tak, rzeczywiście. [przypis edytorski]

języku. Należy zrzucić pychę z serca i zabrać się do reformy. Wtedy dopiero dziecko może być przyjęte...

— Do jakiejże reformy, panie inspektorze, zabrać się należy? — spytał ów jegomość.
— Niechże wiem przynajmniej, czego ci moi chłopcy nie umieją i czego się mają jeszcze uczyć, ażeby mogli zdać do klasy wstępnej. Trzymałem do nich nauczyciela przez półtora roku...

Głuchy szmer poparcia rozszedł się w tłumie.

— Należy jeszcze — zaczął wrzeszczeć inspektor — należy jeszcze mówić z nimi w domu po rosyjsku. Oto, jaka reforma przeprowadzona być musi! Pan wymagaś, żebyśmy przyjmowali pańskich synów do szkoły rosyjskiej, a sam nie umiesz czy nie chcesz mówić po rosyjsku, i do mnie, zwierzchnika tej szkoły, w murach jej ośmielasz się mówić jakimś obcym językiem! Pomyśl pan, czy to nie jest skandal?

— To nie jest bynajmniej skandal, jeżeli ja, nie posiadając żadnego obcego języka, przemawiam do pana inspektora tym, jaki umiem...

— Język rosyjski tu, w tym kraju, nie jest językiem obcym, jak się panu wyrażać podoba... Za pozwoleniem... pańskie nazwisko?

Chudy pan cofnął się i ukrył za plecami kobiet, które zwartym kołem otoczyły inspektora, poczęły przedkładać mu swe prośby, słuchać jego maksym i pogroźek.

Tegoż jeszcze dnia odbył się egzamin z religii. Słuchano z tego przedmiotu już tylko wybrańców losu.

Wskroś tłumu przecisnął się ksiądz prefekt Wargulski i wszedł do klasy.

Ksiądz Wargulski pochodził z *gulonów*¹⁷⁶ i miał wszystkie ich fizyczne i moralne przymioty. Był wielki, zgarbiony, o bardzo szerokich ramionach, rękach długich, żyłastych i ogromnie muskularnych. Siwizna dobrze już przyprószyła jego krótkie włosy, jak szczotka stojące nad kwadratowym czołem.

Ksiądz Wargulski patrzył zawsze spod oka i stulał wielkie swe wargi w taki sposób, że usta znać było na tej wygolonej twarzy tylko jako prostą linijkę. Mówił strasznie prędko, niezrozumiale i rzadko kiedy.

Wszedłszy do klasy, gdzie malcy siedzieli w dużych ławach nieruchomo jak sztachety w przesłach, ksiądz zbliżył się zaraz do pierwszego z brzegu, wyciągnął w kierunku jego nosa najdłuższy ze swych ogromnych palców i szybko wymamrotał:

— Jak się nazywasz? Przeżegnaj się, zmów *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maria*...

Zanim chłopiec zdobył się na trzecią część odpowiedzi, już prefekt wyciągał palec do drugiego:

— Jak się nazywasz? Przeżegnaj się, zmów *Ojcze nasz*...

Po upływie kwadransa wszyscy kandydaci dostali *piątki* i wychodzili z klasy.

Następnego dnia odbył się egzamin z arytmetyki. Była to już prosta formalność. Uczniowie pana Majewskiego i na tym polu odznaczyli się wybornie. O godzinie dwunastej inspektor przeczytał publiczności listę chłopców przyjętych do klasy wstępnej. Usłyszawszy wymienione imię i nazwisko swego syna, pani Borowiczowa krótko westchnęła. W owej chwili dopiero mogła zmierzyć smutną dolę, w której pogrążone zostały dzieci rodziców niezamożnych, do szkół nieprzyjęte.

Po obiedzie, spożytym wesoło i z apetytem, wyruszono do „starej Przepiórzczy”. Pani Przepiórkowska, zwana w całym Wygwizdowie i przyległych do tego przedmieścia okolicach miasta „starą Przepiórzycą”, była dawną znajomą pani Borowiczowej z owych jeszcze czasów, kiedy mieszkała w sąsiedztwie Gawronek na leśnictwie w Grabowym Smugu u syna, podleśnego lasów rządowych. Pani Przepiórkowska trzymała uczniów na stacji, toteż matka wstępniaka uznała za rzecz najstosowniejszą pod opiekę starej i dobrej znajomej go oddać. „Stara Przepiórzycza” miała onego czasu trzech synów i dwie córki. Z taką przynajmniej gromadką została po śmierci męża, oficjalisty fabryk żelaznych, na bruku, a raczej na błocie miasteczka Belchatowa. Nie wiadomo nikomu, jakim sposobem z owego błota wybrnęła i dała dzieciom jaką taką edukację, dość że najstarszy i najukochańszy jej syn Teofil dostał miejsce podleśnego i zabrał całą rodzinę do siebie; młodszy otrzymał urząd na pocztę, a najmłodszy był kancelistą w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim.

¹⁷⁶*gulon* — mieszczanin. [przypis edytorski]

Życie uśmiechnęło się wtedy do starej, ale krótko trwał jego uśmiech. Wybuchło powstanie, młodszy syn znikł z domu i więcej nie wrócił. Nie odnalazła nawet jego ciała, pomimo że zjeżdżała całą okolicę wzdłuż i w poprzek. W osiem lat później najstarszy syn Teofil, dobrodziej i opiekun całej rodziny, zmarł nagle w lesie ukąszony przez żmiję. Wtedy matka i dwie siostry sprowadziły się do najmłodszego, Karola, i zamieszkały u niego, czyli, jak w tamtych okolicach miasta bez żadnej złośliwości, przenośni, a z zupełną ścisłością mówiono, usiadły mu wszystkie trzy na karku. Panny Przepiórkowskie nie powychodziły za mąż, zestarzały się i uczyniły ze swych nawyków, usposobień i humorów prawdziwy ocet siedmiu złodziei¹⁷⁷. Starsza z nich była osobą około lat czterdziestu i zachowała do tak późnego wieku zdolność uśmiechania się w niektórych momentach życia; młodsza z niewiadomych przyczyn tak skandalicznie zbrzydła, że według relacji uczniów z klasy siódmej i ósmej najspokojniejsze psy miejskie, których głosu nikt nigdy nie słyszał, szczekały zajadle, gdy przechodziła.

Kobieta, Obyczaj,
Mizoginia

Pan Karol Przepiórkowski pobierał 50 rubli srebrem miesięcznej pensji. Codziennie rano, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych, był w biurze; codziennie po południu, nie wyłączając niedziel i świąt uroczystych, grał w preferans¹⁷⁸ z dwoma przyjaciółmi i *dziadkiem*¹⁷⁹.

Przedmieście Wygwidzów leży w kotlinie, ku której miasto Kleryków zsuwa się nieznacznie i w której się zwęża, formując jedną długą i powykrzywianą ulicę. Domy tam są bardzo stare i okropnie wilgotne, podwórza cuchnące, mieszkania ciemne i brudne. „Stara Przepiórzyca” mieszkała w domostwie z dawien dawna noszącym przezwisko Cegielszczyzny. Gdy matka Marcinka otworzyła z cicha drzwi z sieni na lewo i stanęła na progu, z głębokiego fotelu podniosła się na jej spotkanie staruszka wysoka, czerstwa, okazała i bardzo jeszcze żwawa. Była ubrana czysto w szare odzienie i duży biały czepiec z ogromnymi falbanami, które piętrzyły się na jej skroniach i na ciemieniu. Spod tego czepka wysuwały się pasma włosów bielutkich jak mleko, a połyskujących jak czyste srebro. Duża twarz babci była poprzecinana masą zmarszczek tworzących istne sieci komunikacyjne między oczyma i ustami, między brodą i środkiem dolnej wargi. Skóra tej twarzy była biała, a raczej popielata, białoszara. Wśród zmarszczek nadających obliczu pani Przepiórkowskiej cechę martwoty świeciły się żywo jej oczy duże, ruchliwe, ale już zupełnie wyblakłe i prawie zbielełe.

Starość, Ciało, Kobieta

— Paniusia, moja sąsiadeczka! — zawołała staruszka, z nieklamana radością rozwierając ramiona. — Oto mi dobry dzień nastał! Oto mi gość! Nastka! — krzyknęła głośniejszym głosem w kierunku sionki, za którą była kuchnia — przystawiaj mi zaraz *jembryk* do ognia, duży, odrutowany. Jeśli wygasło, to napal, tylko przecie patyczkami... A cóż was tu do Klerykowa zagnało, moje złotko, a któż was też natchnął?...

— Ten oto kawaler! — odrzekła pani Borowiczowa, ukazując kawalera, który na ogół w takich razach chętnie przebywać lubił za kotarą matczynej spódnicy.

— Prawda! Jedynak, *syngielton*¹⁸⁰! — krzyknęła stara, przyciskając głowę Marcinka do swej piersi i wygniatając mu na policzkach kształt trzech dużych rogowych guzików swego kaftana.

— To już uczeń gimnazjum, moja pani, uczeń rzeczywiście... — wyszeptała przez lzy radości pani Borowiczowa.

— Masz, diable, fartuszek! Taka historia! — zawołała stara, zwijając język w trąbkę i pogwizdując.

Za chwilę wyciągnęła rękę na stół i głębokim, stanowczym głosem, ze zmarszczonymi brwiami spytała:

— Oddajesz go pani do mnie na stancję?

— Właśnie przyszedł...

Teraz staruszka upuściła z oczu kilka łez, które potoczyły się kanałami zmarszczek i zaświeciły dopiero koło ust.

¹⁷⁷ *ocet siedmiu złodziei* a. *ocet czterech złodziei* — aromatyczny specyfik na bazie octu i ziół służący odkażaniu części ciała i sprzętów narażonych na zetknięcie z osobami chorymi. [przypis edytorski]

¹⁷⁸ *preferans* (z fr.) — rodzaj gry w karty. [przypis edytorski]

¹⁷⁹ *grać z dziadkiem* — sytuacja, w której jeden z graczy nie uczestniczy aktywnie w grze, a jego kartami rozporządza rozgrywający. [przypis edytorski]

¹⁸⁰ *syngielton* (z ang.) — jedynak. [przypis edytorski]

— Zobaczysz, że mu u mnie będzie dobrze. Już on u mnie zmarnować się nie zmarnuje, już ja jego zrobię człowiekiem. Kiedy mój Teofil był taki oto smarkaty...

Zza kotary dzielącej izbę na dwie części wyszły jedna za drugą panny Przepiórkowskie i z oznakami mniemanej radości rzuciły się do pani Borowiczowej.

Wiedziały doskonale, kto przyszedł, słyszały całą rozmowę, a jednak robiły miny zdziwione. Dowiadując się niby to w owej chwili o pomyślnym egzaminie Marcinka, jak na komendę zwróciły się do niego i rzekły:

— Aa... powinszować!...

Obydwie zresztą zaraz umilkły i przybrały zwyczajne wyrazy twarzy ziejące kwaskowatym chłodem jak dwie piwnice.

— Pewno, że powinszować — rzekła głośno „stara Przepiórzyca” — na takie facecje¹⁸¹, jakie oni tam wyprawiają, te...

Tu schyliła się i szepnęła do ucha pani Borowiczowej:

— Te lajdaki!

Drzwi do sąsiedniego pokoju otwarły się i wszedł pan Karol Przepiórkowski.

Był to kawaler lat około czterdziestu, łysawy już, mizerny i równie jak siostry wiekuiście niekontent¹⁸².

— A!... — rzekł, całując rękę pani Borowiczowej.

Potem odsunął się w kąt i usiadł. Na twarzy jego malowała się prawdziwa radość, słyszał bowiem z sąsiedniego pokoju, że pani Borowiczowa sama przyprowadziła ucznia na jego stancję.

To go uwalniało od biegania po zajazdach, zaczepiania szlachciców, błagania profesorów. Żadna męczarnia nie może być przyrównana do tej, jaką znosił ten człowiek nieśmiały, małowówny, nieposiadający za grosz ani inicjatywy, ani sprytu, gdy mu przyszło kaptować¹⁸³ rodziców, narzucać im się po faktorsku¹⁸⁴, zachwalać swoją stancję.

Toteż matka Marcinka sprawiła mu ulgę głęboką, zwała jeden z kamieni przygniatających jego plecy.

Stara nie porzuciła tematu, który właśnie jej przerwano:

— Moja pani Borowiczowa, to ci sumiennie mówię, że tu chłopcu będzie jak w domu. Ja tam dobra nie jestem, ale i nie kłamię. Do nauki i dobrego zawsze go napędzę i całą rzecz. Głodny u nas nie będzie, tego możesz być pewna, a jak mu będzie strasznie źle, to niech zadrze ogona i rwie do Gawronek... Co? Może mu pozwolisz, jedynaczkowi, gagatkowi... Kiedy mój Teofil był taki oto...

— Niechże też matka da pokój! — syknęła przez zęby starsza córka i babcia zaraz umilkła. Wszelako nie dała za wygraną i po chwili znowu mówiła:

— Porządek u mnie grunt, a co do nauki, to go będzie pilnował korepetytor, a my znowu wszyscy korepetytora. Oto, jak jest... Nastka!... — zawołała, przerywając sobie — Postaw drugi, bo pewno zaraz starzy nadejdą, tylko ich patrzeć. Widzisz, moja pani Borowisiu, co do *gielców*¹⁸⁵, to cię nie będziemy obdzierać, nic się nie lękaj... Dacie nam — mówiła w sposób uroczysty — 150 rubli i może tam jaką fureczkę drzewa na miesiąc, w zimie, na saniach, to się wam nawet koniska nie ściągną; parę skrzyń ziemniaków w jesieni, no i tej maki z waszego młyna... U was ją tam dobrze Wojciech robi, nie można powiedzieć... Mój Boże, jak Teofil żył, częstośmy na Gawronki posyłali do waszego...

— Dajże też matka pokój! — mruknęła znowu panna Konstancja.

— Dużo uczniów macie państwo u siebie? — zapytała pani Borowiczowa, pragnąc zyskać chwilę czasu do rozważenia postawionych warunków.

— Pięciu było w zeszłym roku, moja pani. Trzech Daleszowskich, obywatelscy synowie spod Grzymałowa, jeden tam Szwarc, mały, z pierwszej klasy, to chłopak sztygara¹⁸⁶, wnuczek dawnego znajomego, i jeden także z pierwszej, Soraczek, to znowu rządcy z Dzieciółowa, a korepetytor szósty. Pójdźże pani, pokażę ci stancję!

¹⁸¹*facecja* (z łac.) — żart, dowcip; tu: z ironią. [przypis edytorski]

¹⁸²*niekontent* — niezadowolony. [przypis edytorski]

¹⁸³*kaptować* — pozyskiwać kogoś. [przypis edytorski]

¹⁸⁴*po faktorsku* — w sposób właściwy faktorowi; *faktor* (daw.): pośrednik handlowy. [przypis edytorski]

¹⁸⁵*giel* (z niem.) — pieniądze. [przypis edytorski]

¹⁸⁶*sztygar* (z niem.) — pracownik sprawujący nadzór nad określonym działem pracy w kopalni. [przypis edytorski]

Staruszka ruszyła się żwawo, roztwarla drzwi do sieni, a później na prawo do swojej stancji, gdzie o tej porze stał tylko na środku długi stół sosnowy, zalany atramentem, a dokoła niego krzesła i długie ławy drewniane. W jednym kącie sterczało żelazne łóżko bez pościeli, z tak okropnie zgiętymi prętami, jakby je pozwijał jakiś straszliwy reumatyzm. Okna były niezamknięte i żelazne haczyki tych okien monotonnie stuknęły. Marcinka, który tam wszedł za matką, ścisnął dziwny żal na widok tego pokoju.

— Widzisz... Tu będziesz sypiał z kolegami... — szepnęła do niego matka — wybierz sobie kącik, gdzie ci będzie najlepiej.

Potem, zwracając się do „starej Przepiórki”, rzekła:

— Droga babciu, nic taniej nie można?

— Moja pani Borowiczowa, ty wiesz, że ja cię skrzywdzić nie chcę! Wbij zęby w ścianę, nie można! Ani grosz!

— Ha, cóż robić, co robić? — szepnęła matka. — Trzeba się rujnować dla tego huncwota¹⁸⁷, to trudno. Muszę mu jeszcze łóżko kupić. Żelazne chyba? Siennik — to w domu się wypcha, pościel przysłę w tych dniach.

— Żelazne łóżko kup, z gałkami, za osiem rubli, u Siapiowicza! — doradzała staruszka, zawsze w sposób uroczysty. — Dziś już by mógł spać tutaj...

— A nie, nie... Jeszcze dziś razem przenocujemy w hotelu, a jutro koło południa to się już wprowadzi.

— Zaraz pewno i tamci chłopcy zjadą, ale czy też wszyscy staną znowu u nas, Bogu Wszechmogącemu wiadomo... Od Soraczka jakoś żadnej wieści nie ma...

Długo jeszcze pani Borowiczowa roztrząsała ze „starą Przepiórką” różne drobne sprawy dotyczące się urzędzenia Marcinka na stancji. Kiedy wyszły z izby uczniów i wracając mijaly się, w pokoju staruszki słychać było głośną rozmowę.

— Oho! Już są radcy! — rzekła pani Przepiórkowska.

— Któż to tam jest? — spytała matka Marcina.

— A, to dawni znajomi: Somonowicz i Grzebicki. Co dzień tu dziadygi przyłazą do mnie na kawę. Z nieboszczykiem mężem znali się jeszcze przed rewolucją¹⁸⁸.

Otworzyła drzwi i wprowadziwszy panią Borowiczową, przedstawiła jej emerytów.

Pierwszy z brzegu, starzec zgarbiony, siwy, z brodą krótko ostrzyżoną, która mu zarastała całe prawie policzki, ubrany w surdut długi do kolan, kiwnął przybyłej głową i kontynuował swoją przechadzkę po stancji.

Drugi, pan Grzebicki, był to jegomość malutki, ale ogromnie czupurny i elegancki. Skórę na czole, nosie, policzkach, na łysinie i szyi miał czerwonawą, koloru wypalanej cegły. Nad uszami zaczesywał w kierunku czoła dwie kępy białych włosów. Dokoła jego wygolonej brody srebrzył się na czarnej chustce półksiężyc siwiuteńkiego zarostu.

Radca Grzebicki trzymał swą małą głowę sztywno, do czego przyczyniały się dwa kołnierzyki obwiązane czarną chustką z dużym węzłem pod brodą.

Radca Somonowicz żuł coś nieustannie i cmokał bezzębnymi ustami. Włokąc swe pantofle, defilował z kąta w kąt i stękał. Naraz spostrzegł Marcinka, który lokował się właśnie na krzesłem matki — wstrzymał się i przestając mlaskać, spytał:

— A to znowu co za jeden?

— No, cóż ma być za jeden! — zawołała opryskliwe „stara Przepiórka” — syn pani Borowiczowej. Pochwalilibyś go radca oto, bo zdał do szkół, do wstępnej klasy...

— Co znowu? Ja? Chcesz jejmość, żebym ja chwalił takie postępowanie? Ja mam chwalić za to, że się najniepotrzebniej pcha dzieci do szkół... Paradne!

— Jak to... najniepotrzebniej, łaskawy panie? — wtrąciła pani Borowiczowa dotknięta do żywego.

— Najniepotrzebniej! — zawyrokował stary radca i urwał rozmowę. Wyjął potem z papierowej torebki cukierek landryna i zaczął go ssać przymykając oczy.

— Facecja! Słowo uczciwości!... — zaśmiał się drugi radca.

— Znowu coś nowego wymyślił? — zapytała pani Przepiórkowska radcę Grzebickiego.

¹⁸⁷ *huncwot* (z niem.) — nicpoń, ladaco. [przypis edytorski]

¹⁸⁸ *przed rewolucją* — określenie to dotyczy tu najpewniej powstania listopadowego (1830–1831), w czasie którego m.in. zwołano Sejm Królestwa Polskiego i uchwalono detronizację cara Mikołaja I (25 stycznia 1831). [przypis edytorski]

— Wcale nic nowego i nie wymyślił, jeśli jejmość chcesz wiedzieć... — rzekł Somonowicz. — Wszystko idzie do szkół, wszystko się pcha do fraka¹⁸⁹. Jest nadmiar tego wszystkiego, oto co mówię od lat tyłu. Byłe szewczyna, krawczyna, już pędraczka do terminu nie oddaje, tylko na mędrca, na mędrca! A na mędrca nie każdego Pan Bóg powołał, toteż naokoło siebie widzisz jejmość jakichś rozgrymaszonych, rozlazłych, rozkisłych półmędrców, ćwierćmędrców albo i całkiem głupich mazgajów. A ja już widziałem, moja jejmość, jaki to z takiej mąki chleb bywa. Oto, co ja mówię...

— Przesada, jak zawsze... — wyszeptał piskliwym głosem pan Grzebicki, rozczesując palcami lewej ręki swe faworyty.

— To samo słyszałem i *wtedy*, akurat to samo słowo: przesada... — odrzekł Somonowicz głosem gardłowym, patrząc nie na radcę Grzebickiego, lecz na Marcinka.

— Wtedy rząd nie stawiał tych dzikich wymagań...

— Rząd zawsze wie, co robi, i teraz wie również, a nadto czyni, co do niego należy w takim porządku rzeczy. Nie trzeba było...

— Przecie ja, mój radco, nie zarzucam rządowi złych intencji i daleki jestem w ogóle od myślenia o tym. Nie należy jednak, zdaje mi się, pałać pożądaniem tłumienia oświaty, che-che... — szydził mały radca.

— Powtarzam jeszcze raz, że nie wszyscy możemy być filozofami, bo któż by świnię pasał? — rzekł radca grubianin, zabierając się do wydobywania z torebki trzeciego cukierka.

— Nigdy, zdaje mi się, nie brakowało jeszcze urzędników do spełniania, zaszczytnego zresztą jak każdy inny, obowiązku pastuchów trzody chlewnej. Obawiać by się raczej trzeba ich nadmiaru.

— Wolę ja nadmiar świniopasów niż nadmiar mądraków.

— Co kto lubi.

— Nie o to chodzi, co kto lubi, tylko o to, gdzie jest rozum, *ergo*¹⁹⁰ racja. Czy powiesz mi waćpan, że może nie od półmędrków wychodziła ta *inicjatywa*, ów tak zwany *duch*? Czy nie w tych łbach, z błota podniesionych, legła się anarchia? O to właśnie pytam się waćpana po raz tysięczny!

— Ależ na miłość boską, przecie z tych głów, jak radca mówisz, z błota podniesionych, wypływało również, że się tak wyrażę, światło.

— Co mi tam z pańskiego światła! — wołał Somonowicz, wytrząsając ręką. — Gdzie było światło, kiedy błazniska budowały awantury? Co zwyciężyło: skandal czy jakieś tam światło? Pytam! Zwyciężył, mości dobrodzieju, skandal. Owo światło — mówił dalej, wytrzeszczając oczy i miażdżąc wzrokiem Grzebickiego — częstokroć, a nawet prawie zawsze wspierało skandal. Oto co mówię od dawien dawna!...

— Ja nie jestem zwolennikiem skandalów, owszem, jestem ich zajadłym wrogiem — mówił Grzebicki, wydymając groźnie swe czerwone policzki i wznosząc brwi wysoko — byłem i jestem wrogiem zdecydowanym, powiadam, o tym radca wiesz najlepiej, ale...

— Co za *ale*? Nie ma żadnego *ale*! Jest na świecie jedna tylko logika i ta mówi, co następuje: Kiedy my z waćpanem wstępowaliśmy na drogę życia, nikt nam nie bronił patrzeć na własne znaki narodowe, nikt nam nie rozkazywał pojmować tamtego języka. A dziś co? Na własne moje stare oczy widziałem w tamtym pokoju gramatykę języka polskiego napisaną po rosyjsku, w ręce żaka z pierwszej klasy, który się w mojej obecności uczył tej gramatyki polskiej po rosyjsku, tu, w tym domu, w mieście Klerykowie, o którym kronikarz Mateusz, herbu Cholewa¹⁹¹, pisze, że „gród ten polski, od niepa-miętnych czasów bogactwy¹⁹² słynący, na płaszczyźnie pochyłej jest rozłożony”... Któż to sprawił, że na taki szary koniec przyszło onemu grodowi polskiemu, rozłożonemu na

¹⁸⁹*pchać się do fraka* — starać się o posadę państwową (w carskiej Rosji przepisowym strojem urzędników państwowych średniego i wyższego stopnia był frak). [przypis edytorski]

¹⁹⁰*ergo* (łac.) — więc, a zatem. [przypis edytorski]

¹⁹¹*Mateusz, herbu Cholewa* (zm. 1166) — biskup krakowski, występujący w kronice Wincentego Kadłubka jako jeden z uczestników dialogu o dziejach Polski, dlatego mylnie przypisywano mu autorstwo trzech pierwszych ksiąg *Kroniki*; gruntownie wykształcony, czytany w literaturze łacińskiej, był zapewne nauczycielem mistrza Wincentego, Cholewa to jego przydomek lub herb. [przypis edytorski]

¹⁹²*bogactwy* — dziś popr. forma N.l.p: bogactwami. [przypis edytorski]

plaszczyźnie pochyłej? Sprawiała to owa mania demokratyczna, owo pożądanie fraka, owa ambicja hołoty, domaganie się praw bez żadnych zasług¹⁹³...

Kiedy radca Somonowicz to mówił, pan Karol Przepiórkowski zaczął głośniej pociągać nosem i przybrał tak dziwną minę, jakby miał zamiar coś mówić.

Radca spojrzał na niego kilka razy i rzekł porywczo:

— Ależ, mówże pan u licha! Czekamy, słuchamy!

Pan Karol jeszcze raz pociągnął nosem i nic nie powiedziawszy, usiadł na swoim miejscu.

Wtedy radca wpadł w istną ekstazę.

— Chcąc wytepić w sobie wroga, który w nas siedzi, musimy zacząć od gruntu, od rdzenia, od takiego pędraka — wołał chwytając Marcinka za ucho i wyciągając go na środek pokoju.

— Daj no dobrodziej chłopcu święty spokój! — wstawiła się za Marcinkiem „stara Przepiórzyca”. — Polityka polityką, a co do uszu, to nie ma racji wyciągać ich po próżnicy.

Radca wpakował sobie do ust trzy cukierki, zadarł głowę do góry, ręce w tył założył i jął szybko dreptać po izbie.

— O! tak, tak... — rzekł Grzebiński. — Kiedy my wchodziliśmy do urzędowania... Bagatela! Uwierzy też pani dobrodziejka, że do tej chwili tkwi mi w uchu, ale jak tkwi!... marsz powitalny na wjazd Najjaśniejszego Pana¹⁹⁴, kiedy przybyć raczył do Warszawy na koronację w roku pańskim 1829...

Mały radca zerwał się, wyprostował, oparł mocno ręce na stole i wpatrując się bystro w panią Borowiczową, zaczął głośno gwizdać owego marsza.

Somonowicz, defilując, wtórował mu gwizdaniem, a raczej dmuchaniem do taktu.

Marcinek, którego ta produkcja daleko bardziej interesowała niż poprzednie wywoły, zauważył po chwili z głębokim zdumieniem, że z oczu radcy gwizdzącego pierwszym głosem kapią duże krople łez i z hałasem spadają na ceratę stołu.

— Co to marsz?! — zawołał Somonowicz. — Pamiętam... zresztą mówię wam to już od dawien dawna, co do mnie rzekł książę pan...

— Lubecki... — szepnął pani Borowiczowej w kształcie objaśnienia radca Grzebiński, wycierając swe zapłakane oczy.

— Co do mnie rzekł książę pan... rozumie się, Lubecki, Drucki-Lubecki¹⁹⁵, kiedy to błaznisko, Morusek Mochnacki¹⁹⁶, znalazło się w przedpokoju, błagając o ukrycie go przed tłuszcza¹⁹⁷, którą nieustannie od samego początku awantury podbechtywał¹⁹⁸, a która w końcu ścigała go po ulicach, żeby go jak psa podłego na szubienicy obwiesić. Książę pan zapłakał i kładąc mi rękę na ramieniu powiedział te słowa: „Somonowicz, młodzieńcem jesteś i wchodzisz w życie. Nie mówię do waćpana jak do kancelisty, lecz jak do męża, do obywatela. Oto przyjąłem do domu i ukryłem przed motłochem wroga narodu, Mochnackiego. Czy wiesz, mówił mi książę, że ten nędznik szedł na czele żołnierzy, aby mię rozstrzelać. I patrzże¹⁹⁹, jak Pan Bóg zmiażdżył jego zamiary: przed chwilą ten sam Mochnacki klęczał przede mną, przypędzony do mojego progu przez palec boży. Weź waćpan do serca tę naukę i wszystkimi siłami zwalczaj szatana, którego sługami są tacy Mochnacy...”

Przemoc

Polak, Powstanie

¹⁹³Kiedy my z waćpanem wstępowaaliśmy na drogę życia, nikt nam nie bronił patrzeć na własne znaki narodowe (...) Sprawiała to owa mania demokratyczna, owo pożądanie fraka, owa ambicja hołoty, domaganie się praw bez żadnych zasług — dyskusja dotyczy tu represji popowstaniowych Rosji. [przypis edytorski]

¹⁹⁴wjazd Najjaśniejszego Pana — chodzi o cara Mikołaja I, ostatniego koronowanego (24 maja 1829 r.) króla Polski; pozostali cesarze Rosji z dynastii Romanowów nosili tytuł królów Polski na mocy sprawowania władzy nad jej terytorium, ale nie organizowali uroczystej osobnej koronacji. [przypis edytorski]

¹⁹⁵Drucki-Lubecki, Ksawery (1779–1846) — minister skarbu w rządzie Królestwa Polskiego, konserwatywny polityk, zwolennik współpracy z Rosją. [przypis edytorski]

¹⁹⁶Mochnacki, Maurycy (1804–1834) — wybitny krytyk literacki i publicysta, przedstawiciel romantyzmu, członek Sprzysiężenia Piotra Wysockiego i uczestnik powstania listopadowego; po jego wypadku znalazł się na emigracji, gdzie dalej publikował, zmarł z przyczyn naturalnych (najprawdopodobniej wskutek wylewu) w Auxerre we Francji. Autor m.in. prac: *O duchu i źródłach poezji w Polsce* (1825), *O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym* (1830), *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831* (wyd. Paryż 1834). [przypis edytorski]

¹⁹⁷tluszcza — tłum, zwłaszcza wrogo usposobiony; motłoch. [przypis edytorski]

¹⁹⁸podbechtywać — podżegać, rozdrażniać, pobudzać do zdecydowanych działań. [przypis edytorski]

¹⁹⁹patrzże — patrz koniecznie (konstrukcja z partykułą wzmacniającą -że). [przypis edytorski]

— Kiedy bo radca wpadasz, u diabła, w przesadę! — wypaliła naraz „stara Przepiórzyca”. — Pewno, że tacy ludzie... kto ich tam zresztą wie... no jużci²⁰⁰ pewno, że wy to lepiej rozumiecie ode mnie. Ale przecież są inni wrogowie, u kaduka²⁰¹! Kiedy mój Ignacy...

— Taki Murawiew²⁰²! — syknęła panna Konstancja.

— Zostaw no waćpanna tę sprawę, zostaw... — rzekł pontyfikalnie²⁰³ Somonowicz. — Nie do ludzi ta sprawa należy i nie do ludzkiego sądu. Człowieka, którego nazwisko waćpanna wymówiłaś, Pan Bóg wziął w swoją rękę. Jeżeli dusza ludzka jest nieśmiertelna, a nie masz waćpanna najmniejszego powodu wątpić o tej prawdzie, bo wszystko za nią przemawia, to dusza tego człowieka cierpi już męki takiego potępienia, jakich nie obejmie rozum śmiertelny, za te łzy rozlane po ziemi, za tę krew niewinną, za krzywdy wyrządzone nie dla mocy prawa, nie dla władzy miecza, ale dla samych krzywd i dla samego płaczu. Zresztą, ja nie chcę o tym mówić, ja nie chcę o tym myśleć za żadne skarby. Dajcie mi święty pokój! Nie chcę o tym słyszeć. Oto, co wam mówię i powtarzam od początku świata...

— Chryste ukrzyżowany! — zawołał Grzebicki. — Radca Somonowicz chce w nas utwierdzić mniemanie, że on naprawia społeczność od początku świata!

Kiedy tak radcowie roztrząsali sprawy wielkiej polityki, pani Borowiczowa, słuchając na pozór uważnie ich twierdzeń, daleko odbiegła myślami. Jakieś kształty i zjawienia, jakieś cienie i widma bezcielesne ukazywały się przed nią, tworząc ze siebie jakby sceny i wypadki z przeszłego życia Marcinka. Kiedy je chciała złapać wzrokiem i myślami — znikwały... Mochnacki, którego tłuszcza ściga dla powieszenia jak psa na szubienicy... „Któż to jest Mochnacki, co to za jeden? Ach, to ten, to to znaczy... — myślała rzucając się duszą w jakiś widok pełen ludzi i wrzasku. — Murawiew? Kto to Murawiew?” I nagle serce jej przestawało uderzać i umierało jak żywa istota, którą przebiło zabójcze żelazo.

V

Niski mur, tu i ówdzie rozwalony, zarośnięty trawą i mchem, stanowił granicę podwórza. Za murem płynął kanał w obmurowanym niegdyś łózysku. Z czasem wiele kamieni wysunęło się, wpadło do wody i ugrzęzło w cuchnącym ile²⁰⁴ dna tej strugi, a bujne krzaki i błotne zielska obsiadły jej brzegi.

Dalej, za rowem, ciągnął się czyjś park rosnący na błotnistym gruncie, zaniedbany tak dalece, że mógł przedstawiać małą puszcę, której nigdy stopa ludzka nie przebyła i gdzie tylko ptaki mieszkają.

Z tej strony muru stała szopa i drwalnie²⁰⁵ wybudowane w sposób nadzwyczaj lekomyślny. Tuż przy szopie, pod samym murem, leżało kilka starych, opalonych i na pół zgniłych belek, o których istnieniu ani właściciel, ani żaden złodziej zapewne nie pamiętał. Pokrzywy i osty usiłowały do cna je zakryć.

Na tych balach, po otwarciu roku szkolnego, Marcinek przesiadywał całe odwieczera, *wykuwając* swoje *uroki*²⁰⁶. Wielkie drzewa zarośli, stare wierzy o niezliczonej ilości gałązek, wiszących nad ziemią, przypominały mu wieś, dom i matkę.

Uczył się pilnie, ze wzniosłą bezwzględnością, do której nie znalazło jeszcze dostępu ani zwątpienie, ani nieufność, ani żadne wyrachowanie, ani szacherka²⁰⁷.

Z historii świętej, czyli „Zakonu Bożego”, tłoczył sobie w pamięć wszystko — poczynając od nazwy danego rozdziału aż do ostatniego w nim słowa. Siadał na belce, ujmował głowę w dłonie i powtarzał głośno *zadane* — aż do skutku, aż do takiego stopnia doskonałości, że mu zasychało w gardle i mąciło się w głowie. Inna rzecz była z arytmetyką

²⁰⁰juści — owszem. [przypis edytorski]

²⁰¹kaduk — diabeł. [przypis edytorski]

²⁰²Murawiew, Michaił Nikolajewicz (1794–1866) — rosyjski generał-gubernator wileński, krwawo stłumił powstanie styczniowe na ziemiach północno-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, zyskując sobie przezwisko „Wieszatiela”. [przypis edytorski]

²⁰³pontyfikalnie (z łac.) — tu: uroczyście (niczym papież). [przypis edytorski]

²⁰⁴il — rodzaj drobnoziarnistej skały osadowej. [przypis edytorski]

²⁰⁵drwalnia — miejsce do cięcia a. rąbania i składowania drewna dla potrzeb gospodarstwa domowego (np. na opał). [przypis edytorski]

²⁰⁶uroki (ros.) — lekcje. [przypis edytorski]

²⁰⁷szacherka a. szachrajstwo — oszustwo. [przypis edytorski]

i rosyjskim. W obydwu tych gałęziach nauk trzeba było odbywać *urok* z korepetytorem, który mówił i objaśniał po rosyjsku, równie jak pan Majewski w klasie.

Z tych wykładów Marcinek nie osiągał nie tylko żadnego zrozumienia rzeczy, ale owszem głupiał coraz okropniej i męczył się coraz bardziej. Prawiono mu ciągle w domu i w szkole o liczbach z nieskończoną ilością zer, polecano wykonywać z tymi wielkimi liczbami jakieś manipulacje, a wykładano, jak to mówią, niby łopatą rzeczy tak łatwe i objaśniano to wszystko najlepiej, najpoprawniej, czysto i wzorowo stawiając akcenty, a tymczasem Marcinek truchlał, przychodząc²⁰⁸ do niejasnej refleksji, że nie rozumie, co do niego mówią.

Wszelkie czytanie lekcji zadanych z rosyjskiego musiało się również odbywać w obecności korepetytora, z uwagi na doskonałość akcentów.

Właściwie tedy na belkach wyuczał się Marcinek „Zakonu Bożego”, gdyż czwarty przedmiot, język polski, nie nastroczał żadnych utrapień wskutek tego, że nic z tej dziedziny nie zadawano do uczenia się w domu.

Korepetytor na stancji „Przepiórzyca”, pan Wiktor Alfons Pigwański, był uczniem klasy siódmej, a zarazem gimnazjalnym i poniekąd, dzięki nieobecności innego, miejskim, ogólnoklerykowskim poetą. Był to młodzieniec szczupły, mizerny, krostowaty, zawsze niedbale odziany i usiłujący zapuścić długie włosy, bez względu na surowe kary szkolne. Wypalał niezmierną ilość papierosów i wskutek tego zapewne przeżywano go „Pytią”²⁰⁹ (dlaczego jednak zwano go także „Żydówką” — trudno dociec). „Pytia” uczył się dobrze, nie tak wszakże, jakby się tego można było spodziewać po jego rzeczywistych zdolnościach.

— Pigwański... — mawiała do przyjaciółek „stara Przepiórzyca” — to głowa otwarta jak wielka stodoła, ale cóż pani poczniesz, kiedy mu akurat poezyjka w łeb wjechała jak fura siana. Nic, tylko, pani, siedzi i smaruje *wirsze!*

Poeta częstokroć zaniedbywał się umyślnie, zapominał o rzeczach, kajetach, książkach, ażeby pozyskać przydomek roztargnionego, który mu niesłychanie przypadał do smaku. Bardzo często umyślnie zostawiał w domu kajet z zadaniami trygonometrycznymi, wypracowaniem rosyjskim czy łacińskim albo greckim *extemporale*²¹⁰ — byleby tylko ujawniać roztargnienie poetyckie. Wiersze pisał prawie bez przerwy i w sposób piorunujący. We wszelkich zaś utworach, jakiegokolwiek dźwigały nazwy i dewizy, za pomocą niezmierniej ilości rusycyzmów i przy współudziale sporej kolekcji błędów ortograficznych szczerze polskich, opłakiwał śmierć swoją, opiewał swój pogrzeb albo malował pejzaż posępny ze swym grobem w głębi i księżycem ukrytym za czarnymi chmurami. Myśli i uczucia, tło i akcesoria, porównania i rytm tych utworów były zapożyczone, częstokroć żywcem wzięte, z Puszkina²¹¹ i Lermontowa²¹². Nie licząc rozpacz z powodu własnej przedwczesnej śmierci, znajdował jeszcze poeta czasami podniecie do pisania jakiejś elegii czy idylli w uczuciu miłości. Kto był przedmiotem tego namiętnego uczucia, niepodobna odgadnąć, rozpatrując sprawę w świetle utworów. Raz bowiem były tam uwielbienia przyłączone do gwałtownego pragnienia zgonu z racji jakichś „złotych kędziorów”, a już o stronicę dalej — z powodu „czarnobrewej, czarnoookiej, ozdobionej kaskadą czarnych pierścieni”.

²⁰⁸ *przychodząc* — dziś: *dochodząc*. [przypis edytorski]

²⁰⁹ *Pytia* — kapłanka świątyni Apollina w Delfach w starożytnej Grecji, słynąca z przepowiedni, które wygłaszała wśród dymów i oparów wydobywających się ze skalnej pieczary. [przypis edytorski]

²¹⁰ *extemporale* (z łac.) — ćwiczenie klasowe polegające na tłumaczeniu z jednego języka na drugi. [przypis edytorski]

²¹¹ *Puszkina, Aleksandr Siergiejewicz* (1799–1837) — poeta i pisarz, główny przedstawiciel romantyzmu ros., reformator ros. języka literackiego; kamerjunker (młodszy szambelan) cesarza Mikołaja I Romanowa. W swoich utworach krytykował carski despotyzm, przebywał na zesłaniu w Kiszyniowie, Odessie, na Kaukazie i na Krymie, następnie w odosobnieniu w rodzinnym majątku; po przywróceniu do łask i wezwaniu do Moskwy car osobiście zajmował się cenzurowaniem pism poety przed publikacją. Autor m.in. poematu *Ruslan i Ludmila* (1820), *Jeniec kaukaski* (1822), *Fontanna Bachczyseraju* (1823), *Cyganie* (1824), poematu dygresyjnego *Eugeniusz Oniegin* (1833), tragedii romantycznej *Borys Godunow* (1825). W Moskwie poznał osobiście Adama Mickiewicza, tłumaczył jego utwory na rosyjski. Zginął 10 lutego 1837 r. w wyniku ran odniesionych w zaaranżowanym wskutek intrygi dworskiej pojedynku w obronie honoru żony. [przypis edytorski]

²¹² *Lermontow, Michaił Jurjewicz* (1814–1841) — romantyczny poeta i prozaik rosyjski, autor pierwszej ros. powieści psychologicznej pt. *Bobater naszych czasów* (1840); za wiersz *Śmierć poety* (1837), w którym oskarżał polityczne koterie Rosji o doprowadzenie do śmierci Puszkina, został zesłany na Kaukaz. Zginął na zesłaniu w Piatigorsku w pojedynku z emerytowanym wojskowym. [przypis edytorski]

Uczeń, Nauczyciel, Poeta,
Obyczaje

Poeta

Stare panny Przepiórkowskie, które podczas bytności autora w klasie wyciągały z jego kuferka olbrzymiej grubości bruliony i zanosily się od śmiechu, deklamując najbardziej rzewne elegie, zachodziły w głowę, kto przecież mógłby być bohaterką tylu dramatów, eposów i liryk. Gdy jednak żadna z postaci niewieścich, w tych dziełach przedstawionych, ani wiekiem, ani pięknoscia cielesną nie przypominała z nich żadnej, powzięły wniosek zdecydowany, że owe bohaterki są to po prostu osoby nieistniejące w Klerykowie i z palca wyssane.

Najstarszy z trzech braci Daleszowskich, uczeń klasy czwartej, odznaczał się w ogóle — posiadaniem srebrnego zegarka z wielką tombakową²¹³ dewizką, a w stosunku do Marcinka — pogardą tak przygniatającą, że mały wstępniak nie był w możności wyrobić sobie pojęcia o różnicy zachodzącej między samym korepetytorem a „panem” Daleszowskim. Był prawie pewny, że ci obadwaj „panowie” są czymś w rodzaju profesorów, istotami, które, krótko mówiąc, umieją więcej od pana Wiechowskiego, bo uczą się po grecku i po łacinie, o czym tamten „pan” z Owczar wcale nie miał wyobrażenia. Nie więcej życzliwości okazowali Marcinkowi dwaj młodszy bracia Daleszowscy z drugiej klasy. Rozmawiali z nim wprawdzie, ale za to wydrzewili go niemiłosiernie, *brali go na kawały*, wysyłali do apteki po *Verstand*²¹⁴, puszczały mu w nos *finfy*²¹⁵, gdy zasypiał itd.

Ci obadwaj drugoklasiści byli namiętnymi graczami w *obrazki*. Mieli w kuferkach pełne pudła kolorowanych żołnierzy, oficerów na koniach oraz innych malowanek — i stosy zużytych stalówek. Gra polegała na tym, że między karty książki wkładało się tu i ówdzie obrazek i podawało ją koledze do odnalezienia malowanek za pomocą wsuwania między kartki stalówki — na chybił trafił. Jeżeli stalówka trafiała w miejsce puste, przechodziła w posiadanie proponującego grę, w razie przeciwnym obrazek stawał się własnością posiadacza piór.

Marcinek Borowicz nie tylko był ogrywany przez Daleszowskich, bo umieli oni w porzebie *naciągać frajera* w sposób tak zgrabny, że żadną miarą dostrzec tego nie mógł, ale jeszcze dostawał od nich szturchańca, jeżeli z bekiem upominał się o stalówki przywłaszczone przez graczy z pogwałceniem kardynalnych zasad wymiany.

Nieco odmienny stosunek zachodził między Marcinem i Szwarem, drugorocznym uczniem klasy pierwszej, znanym z tego, że mu wszyscy, nie bez wyraźnych, a nawet umotywowanych pozorów słuszności, udowadniali, że jest dardanelskim osłem.

Ale i ten nieszczęsny *pierwszak*, któremu nigdy zadania *nie wypadły*, ale za to słówka łacińskie nie tylko wypadły, ale wylatywały jak wiatr z pamięci — przy każdej sposobności starał się nękać Marcinka dowodzeniem, że, właściwie mówiąc, *wstępniaki* nie są jeszcze uczniami i chociaż z łaski pozwala się im nosić mundur i czapkę z palmami, to jednak każdy uczeń klasy już rzeczywistej pierwszej ma zupełne prawo pierwszemu lepszemu *kapcanowi*²¹⁶ z wstępnej dać w zęby, kiedy mu się tylko żywnie spodoba.

Marcinek nie znał, rzecz naturalna, praw gimnazjalnych do tego stopnia, żeby mógł Szwaremowi kłam zadać ustnie lub na piśmie, toteż najczęściej odpierał podobne twierdzenia pięściami i obcasami.

Pomimo jednak nierówności sił i różnicy zapatrywań — między Szwarem i Borowiczem istniał *de facto*²¹⁷ pewien rodzaj naturalnej koalicji, która stanowiła jaką taką przeciwwagę względem przemożnej potęgi zjednoczonej Daleszowszczyzny oraz jej jawnych i skrytych zamachów.

Swoją drogą mały Borowicz czuł się na stacji samotny jak palec. Jego troski, okropne trwogi, wyrastające szczególnie na glebie arytmetyki, nikogo nie interesowały.

Jeżeli próbował kiedykolwiek zwierzyć się Szwaremowi ze swym niepojmowaniem zadanej lekcji lub ze swym strachem — „Buła” (taki przydomek Szwarem nosił) odpowiadał mu z wraskiem i pogardą, że tylko taki, co przyjechał do Klerykowa z Gawronek, może podobne głupstwa nazywać trudnymi. Cóż może być trudnego w „owczarni”, gdzie nie ma łaciny ani geografii? Niechby *kto* — (Marcinek czuł, że owo *kto* do niego jednego

Szkoła, Uczeń, Strach,
Nauka

²¹³tombakowy — zrobiony z metalu imitującego złoto, będącego stopem miedzi, cynku i cyny. [przypis edytorski]

²¹⁴Verstand (niem.) — rozum. [przypis edytorski]

²¹⁵finfa — dym puszczonej komuś w nos. [przypis edytorski]

²¹⁶kapcan (z jid.) — niedołęga, niezdara. [przypis edytorski]

²¹⁷de facto (łac.) — w rzeczywistości. [przypis edytorski]

było wycelowane) — spróbował trzeciej deklinacji z wyjątkami albo niechby na wielkiej mapie spróbował „przejechać wodą” z Morza Białego do Czarnego...

A przecie Marcinek nie mógł sobie dać rady z przedmiotami tak łatwymi. Nieraz budził się w nocy, o zimnych rankach jesiennych, i w smutnym drzemaniu widział klasę, nauczyciela i siebie przy tablicy... Zimno wstrząsało jego ciałem i bojaźń niewymowna ssala jego krew jak zmora.

Na stacji okazywała mu dużo serca i troskliwości „stara Przepiórzyca”, ale ta jej przyjaźń wyrażała się przeważnie w zachęcaniu go do częstych zmian bielizny i w sekretnych darach kilku śliwek, dwu jabłek, garści suszonych gruszek albo spodeczka kwaśnych powideł. W klasie miał na niego pewien wzgląd wszechwładny nauczyciel pan Majewski, chociaż ten wzgląd, manifestujący się w mdłym uśmiechu, z biegiem czasu nicestwiał coraz bardziej. Pan Majewski w rozmaitych porach dnia i wieczora odwiedzał stancję „Przepiórzyca”, gdyż wizytowanie stancji uczniowskich należało do zakresu jego obowiązków, łatwo tedy spostrzegł, że Borowicz nie jest synem rodziców zamożnych — i coraz szczuplejszą miareczką sympatię swoją mu wymierzał.

Sala klasy wstępnej mieściła się na dole gmachu gimnazjalnego. Prowadziły do niej drzwi z korytarza, dobrze Marcinkowi znanego od czasu egzaminów. Oprócz wstępnej znajdowały się jeszcze przy tym samym korytarzu dwa równoległe oddziały klasy pierwszej, dwa drugiej oraz pojedyncze sale trzeciej i czwartej. Klasy wyższe — aż do ósmej — mieściły się na piętrze. Rzecz prosta, że dół nieskończenie weselszy był od piętra. Całe to piętro mieszkańcy dołu mieli w głębokiej pogardzie, a przezywali je, nie wiedzieć dlaczego, „cukiernią”. Na dolnym korytarzu pracowało usilnie kilku pomocników gospodarzy klasowych i zwyczajnych pedagogów pilnujących porządku, kiedy na górze nudził się jeden tylko; na dole zazwyczaj pewna ilość frantów²¹⁸ za zbyt wesoły nastrój ducha odsiadywała popołudniową kozę, kiedy coś podobnego na górze uchodziłoby za skandal. Nigdy też „cukiernia” nie witała tak piekielnym hałasem żadnej pauzy, jak to stale czynił „korytarz”. Skoro tylko zadrżał w powietrzu cienki a przenikliwy krzyk dzwonka targanego wprawna ręką „pana Pazura”, wybuchał tam w głębokiej ciszy istny huragan. Przez każde odemknięte drzwi wyskakiwał nowy hufiec i wносił do kolosalnego chóru daninę swego wrzasku, płaczu i śmiechu. W mgnieniu oka korytarz napelniał się kurzem, a cały ten wielki dom drżał, zdawało się, od fundamentów do szczytu, jakby wewnątrz niego grasowała trąba powietrzna.

Stary pedel, patrząc ze swego posterunku przy końcu dolnego korytarza, widział w nikłym pyłe te setki głów ostrzyżonych, zawsze mnóstwo wzniesionych pięści, a nieraz tu i ówdzie zadarte nad głowami — nogi. Lubił ten widok, te walne²¹⁹ facecje, których żadna mowa nie wyliczy i żadne pióro nie opisze, te szczytne dowcipy i błazeństwa pobudzające go nieraz do takiego śmiechu, że z miną urzędowo posępną i zagryzionymi wargami starowina trząsł się na swym stołku jak galareta z cielejących nóżek.

W jesieni, w pogodne przedpołudnia, gdy jeszcze świetlne promienie słońca wpadały do korytarza, stary pedel miał chwilę wesołości prawie dziecięcej.

— Nuże! — wołał na drapichrustów znanych mu bliżej. — Jazda, *poka*²²⁰ czas. *Za szest’ sekund zwonok*²²¹! Stawajta, chłopcy, na łbach — nu! *Prawoje pleczo wpirod*²²² — marsz!

Gdy znowu rozlegał się dzwonek, hałas wielkimi falami szybko i raptownie opadał, zamieniał się w gwar, w szmer przyciszonych rozmów, w szmer przedziwny, którego brzmienie człowiek do starości pamięta... Olbrzymie interesy, kolosalne sprawy, marzenia niespokojne jak woda górskiego potoku, natężone ambicje i gwałtowne niby grom boleści serc małych wyrażały się w szeptach urwanych a tworzących tę wzruszoną mowę szkoły. Przed każdą klasą czatowała niewielka postać ukryta za odrzwiami w ten sposób, że na zewnątrz widzialny był tylko kontur jej twarzy i oko zwrócone w kierunku kancelarii. Gdy drzwi pokoju nauczycielskiego uchylały się, jedna z postaci znikła i nad jakąś salą rozciągało się nieme milczenie.

²¹⁸*frant* (z czes.) — żartowniś. [przypis edytorski]

²¹⁹*walny* — ogólny, powszechny; mający decydujące znaczenie. [przypis edytorski]

²²⁰*poka* (ros.) — póki. [przypis edytorski]

²²¹*zwonok* (ros.) — dzwonek. [przypis edytorski]

²²²*prawoje pleczo wpirod* (ros.) — prawe ramię naprzód (komenda wojskowa). [przypis edytorski]

W czasie półgodzinnej, czyli tak zwanej *dużej przemiany*²²³, prawie cały dolny korytarz wypadał na dziedziniec i w mgnieniu oka rozpoczynał wojnę.

Był to właśnie czas kasztanów. Podwórze było wielkie, nierówne, obfitujące w pewien rodzaj łańcuchów górskich, formacji dawno-śmietnikowej, w doły po wapnie i gruz zwalonego muru.

Całe to rozległe podwórze było otoczone wysokimi i grubymi murami, za którymi z jednej strony był park publiczny, z drugiej pusta uliczka, a z trzeciej ogrody księżę.

Z parku i ogrodu wznosiły się i zwisały nad gimnazjalnym dziedzińcem stare drzewa kasztanowe, rodzące niezliczoną ilość owoców, kapitalnie nadających się do podbijania oczu i wywabiania na czaszkach guzów wielkości indyjskiego jaja.

Przebiegła klasa trzecia prawie zawsze potrafiła zaraz po dzwonku owoładnąć „Himalajami” i przeciągnąć na swą stronę jeden z oddziałów klasy drugiej, wskutek czego cały ogół pierwszaków i wstępniaków, aczkolwiek osłonięty męznymi piersiami oddziału klasy drugiej, wiernego sprawie tłumy — zajmował pozycję nad wszelki wyraz niedogodną w szczerym polu, pod murem.

Już gdy pierwsze kasztany zaczynały przeraźliwie gwizdać, odbijać się od muru, dawać piekielne *kapry*²²⁴ — wstępniactwo zazwyczaj podawało tył²²⁵ w sposób obrzydliwy, szeregi pierwszoklasistów przerzedzały się do takiego stopnia, że „Grecy” zaczęli wylazić zza „Himalajów” i z furią nacierać.

Wtedy wywiązywała się rzetelna batalia. Ogłuszające „hura!” rozlegało się ze stron obu, kasztany cięły jak grad najsroższy, ranni zmiatali z głośnym bekiem, wodzowie darli się wniebogłosy, zagrzewając do boju szeregowców, zwykle plecami do nieprzyjaciela zwróconych... Biada pomocnikowi gospodarzy klas, wysłanemu przez inspektora dla zażegnania awantury, który by wtedy zbliżył się do placu boju! Zarówno z obozu „Greków” jak „Persów” odzywały się niezwłocznie głosy dziko pozmieniane a zachęcające do czynów wprost zbrodniczych.

— *Grajcarek!* — wołano po polsku. — Celujemy w twój cylinder²²⁶. Chodźże bliżej, kłapouchu!...

I rzeczywiście — cylinder powalony licznymi naraz ciosami spadał z głowy pana Galszewskiego.

Jeżeli zjawiał się pan Sieczenski, wzywano go również po polsku:

— Chodź, chodź, *Perispomenon*²²⁷, zbliż się, ananasie z pestką, wyjmij notesik i zapisuj! Panowie, celnie w notesik!

„Perispomenon” cofał się zaraz do sieni i ukryty za drzwiami obserwował przez szparę dalszy bieg wypadków.

Pan Majewski nie ukazywał się w takich razach na podwórzu z zasady, gdyż nie mógł znieść przezwisk wykrzykiwanych tak głośnie i tak bezkarnie.

Tym sposobem bitwa, której władza nie była w stanie przerwać, trwała zazwyczaj w ciągu całej „dużej” pauzy. Dopiero na odgłos dzwonka zwycięzcy i zwyciężeni wracali do klasy, okryci chlubnymi sińcami, na dwie ostatnie godziny lekcji.

Marcinek był dzielnym „Persem” i dostał pewnego razu taki postrzał w okolicy piątego żebra, że blisko przez dwa tygodnie nie mógł leżeć na prawym boku.

Po jednej z takich kampanii wrócił do klasy zmęczony i nie przypominał sobie nawet dokładnie, jaka lekcja ma nastąpić. Siedział w czwartej ławie pod oknem, przy Gumowiczu, niedużym chłopcu z włosami tak czarnymi, że miały odcień fioletowy.

Ten Gumowicz był synem akuszerki, kobiety bardzo biednej, ogromnie energicznej i krzykliwej. Mama Gumowiczowa zjawiała się czasami na dolnym korytarzu, rozmawiała z księdzem Wargulskim i panem Majewskim, wypytywała się o stopnie i sprawowanie swego Romcia, który już drugi rok siedział w klasie wstępnej, a nieraz wobec wszystkiego tłumy groziła mu pięścią. Jak wieść niosła, po każdej takiej bytności pani Gumowiczowej w gmachu szkolnym Romcio brał w domu ciężkie *lanie*, czyli *waty*.

²²³*przemiana* (z ros. *перемѣна*: *pieriemiena*) — tu: przerwa. [przypis edytorski]

²²⁴*kapry* — skoki. [przypis edytorski]

²²⁵*podawać tył* (daw.) — cofać się, uciekać (szczególnie w walce). [przypis edytorski]

²²⁶*cylinder* — męskie nakrycie głowy używane w XIX i na pocz. XX w.; wysoki kapelusz o kształcie cylindrycznym z niewielkim wyprofilowanym rondem. [przypis edytorski]

²²⁷*Perispomenon* (gr.) — nazwa jednego z akcentów w jęz. greckim; tu: przezwisko. [przypis edytorski]

Bijatyka

Pozycja społeczna, Dziecko,
Uczeń, Szkoła, Bieda,
Przemoc, Śmiech

Pan Majewski wzywał go często do katedry, wytykał mu jego wady, próżniactwo, niedołęstwo, osłostwo, wspominał o biedzie i procederze starej matki, o niskim jego pochodzeniu i wystawiał go na urągowisko. Wszyscy w klasie, nie wyłączając nauczyciela, chichotali, gdy pucowałowy Romcio stawał przy tablicy. Miał on zawsze kajety w porządku, wiedział najlepiej, jaki rozdział przeznaczony jest do opowiadania, i umiał doskonale *zadane*, ale czytał tak gdaczącym głosem, tak paradnie syczał, dmuchał i jęczał, namyślając się przy dodawaniu, że koniec końców dostawał zazwyczaj dwójkę.

Tego dnia pan Majewski *wyrwał* Gumowicza do arytmetyki i podyktował mu dużą liczbę. „Czarny” drżał na całym ciele. Kilkakrotnie upuścił kredę i widocznie trudno mu było zebrać myśli, gdyż pisał zupełnie inne cyfry. Po klasie przelatywał śmiech tłumiony. Zdolni chłopcy z pierwszych ławek, umiejący zawsze z pochlebstwem patrzeć w oczy nauczyciela i zgadywać jego intencję, umyślnie zatykali sobie usta, żeby głośno nie parsknąć. Pan Majewski jeszcze dwa razy powtórzył długą liczbę, a gdy Gumowicz znowu napisał co innego, kazał mu iść na miejsce.

— Ty, Gumowicz, akurat tyle umiesz z arytmetyki, co pachciarska²²⁸ kobyła... — rzucił mu na pożegnanie.

Te dwa ostatnie wyrazy pan Majewski wygłosił w brzmieniu polskim. Sprawilo to szalony efekt. Malcy wszczęli okropny krzyk radości.

— Pachciarska kobyła. Oho-ho... — Gumowicz — pachciarska kobyła!...

Gumowicz usiadł na miejscu i po swojemu zwiesił głowę. Gdy się wesołość ogólna z rozkazu nauczyciela uciszyła nieco — spojrzał na Marcinka bawiącego się nim również doskonale i zapytał go nieśmiało, cichym szeptem:

— Co mi postawił?

Borowicz wysunął głowę i śledził uważnym okiem ruch dłoni nauczyciela. Dostrzegłszy znamienne pochylenie pióra szepnął z okrucieństwem:

— *Pałę!*

Mały Gumowicz skurczył się dziwnie i tak został bez ruchu, zapatrzony w kajet z arytmetyką. Marcinek przyglądał mu się i pokazywał go sąsiadom. Po chwili na długiej czarnej rzęsie „pachciarskiej kobyły” ukazała się jedna wielka łza, samotna łza, sygnał bezdennej rozpacz. Borowicz przestał się śmiać i ze zmarszczonym czołem wciąż patrzył na tę łzę błyszczącą. Pochłonęła ona jego uwagę, pamięć i jakby całą duszę. Pierwsze w życiu współczucie drgnęło w jego piersi.

VI

Z twardej szosy bryczka skręciła na uboczny gościniec, z gościńca na drózkę, zajmującą między działkami chłopskimi szerokość nie większą od pospolitego wygonu. Słońce już się skryło za grzbietem wzgórz, zostawiając po sobie tylko przecudną zorzę, w której kierunku bryczka zdążyła i na którą zwrócone były oczy Marcinka i jego matki. Konie biegly miernego klusa, wózek toczył się z wolna w głębokich koleinach drożyny. Po obydwu jej stronach stały niwki²²⁹ żyta, na którym nie widać było jeszcze kłosów, stajonka²³⁰ wczesnych kartofli, mocno zielone smugi owsa i zagony lnu. W pobliżu czerniła się biedna wioska. Dalej, na tle przejrzystego firmamentu²³¹, widać było ciemne kształty łańcucha wzgórz porośłych jałowcem i brzezina.

Zdarzyło się, że w przeddzień uroczystości Zielonych Świątek wypadł pani Borowiczowej jakiś pilny interes w Klerykowie. Zawarta na początku roku szkolnego znajomość z panem Majewskim ułatwiła jej pozyskanie dla Marcinka na dwa dni świąteczne urlopu, wypisanego na urzędowym blankiecie z ogromną pieczęcią. I oto wiozła do Gawronek jedynaka jako niespodziankę dla ojca i całego folwarku. Radość obojga była tym większa, że ani matka, ani syn nie spodziewali się tak pomyślnego załatwienia sprawy, gdyż rzadko kiedy dawano na te święta urlopy. Gdy wózek polnymi drózkami zjeżdżał z pochyłego przestworza i znalazł się u wejścia do rozdołu między dwoma wielkimi wzgórzami, noc

²²⁸*pachciarski* — odnoszący się do pachciarza, powiązany z pachciarzem: *pachciarz*: osoba dzierżawiąca pomieszczenia, budynki (np. karcznię), maszyny itp.; por. daw. *pacht*: dzierżawa. [przypis edytorski]

²²⁹*niwka* — mała *niwa*, tj. pole. [przypis edytorski]

²³⁰*stajonko* a. *stajanie* — większy obszar gruntu uprawnego. [przypis edytorski]

²³¹*firmament* — sklepienie niebieskie; tu: niebo. [przypis edytorski]

Uczeń, Okrucieństwo, Łzy,
Współczucie

już zapadała. Zbocza gór wznosiły się stromo po prawej i lewej ręce, a wielkie ich garby niby kolana i stopy wysuwały się z mroku i rosły w oczach, gdy się ku nim zbliżano.

Dolina była dość długa, a nie szeroka — w niektórych miejscach tak nawet wąska, że na dnie jej ledwo mogły zmieścić się obok siebie: strumień i droga. Na wiosnę i około św. Jana²³² potok przemieniał się w rzekę, w wielką, oszalałą rzekę, której wody dosięgały wysoko rosnących brzoź na zboczach pagórków i zostawiały na jałowcach pokosy zmulonego siana, garście lnu i całe nieraz krzewy, z korzeniami wydarte na odległych górach. Toteż droga sąsiadująca z tą burzliwą rzeczulką była, ściśle mówiąc, suchym łóżyskiem potoku. Nikt jej tam nigdy nie naprawiał ani nie przeinaczał²³³; była sama sobą, zmieniała się i kształtowała swobodnie, posłuszna tylko prawom przyrody, zupełnie tak jak drzewa okoliczne, jak osypiska i wyrwy. Były w niej kawałki z natury dobre, zupełnie gładkie, były inne, zavalone sporymi bryłami na dość znacznej przestrzeni, a były też i tak zwane dolki, istniejące tam od czasów jeżeli nie piastowskich, to na pewno zygmunto²³⁴.

Kto nie umiał przez te dolki przejechać, ten nie przejechał. Łamał tam dyszel, oś, rozworę²³⁵, wlatywał w błoto z głową i czapką albo zostawał w dolku z półkoszkami, a konie szły dalej z przodkiem wozu. Na szczęście nie było w całej okolicy człowieka, który by nie miał „sposobu” na szczęśliwe przebycie tych wyrw zdradliwych. W pewnym miejscu jechało się dość długo tym porządkiem, że przednie i poślednie²³⁶ koło z prawej strony szło blisko o jaki łokieć wyżej niż koła z lewej, ale ludzie tamtejsi nawykli do tego przymiotu²³⁷ drogi i nikt go tam nawet nie spostrzegał. Nad wodą rosły zwarte olszyny i przysłaniały zakręty rzeczne. Gdzieś tam stały kępami duże, smutne wierzby o długich gałązkach i wąskich liściach. Konie wlokły się noga za nogą po kamienistym szlaku i były w pierwszym dopiero skrócie doliny, gdy na górę wszedł księżyc. Białe światło z wolna rozpadło się w dole, na zboczach gór i po wąwozach. Widać było spiczaste jałowce pod samymi szczytami i brzoźki o listkach srebrzyście lśniących, kołyszące się od wietrzyków. Na dalekiej przestrzeni bieleły się kamienie rzeczno²³⁸go łóżyska. Tu i ówdzie poza cieniem krzewów lśniły się między kamieniami ruchliwe, małe fale i wodospady płytkiego w tej porze strumienia, który jak żywa istota coś szeptał w głębokiej ciszy.

Ten szept opowiadał Marcinkowi cudowne rzeczy o wszystkim, co zaszło w wodach, odkąd pewien uczeń klasy wstępnej przestał ta²³⁹pląc się na bosaka w rzece, łapać sakiem²³⁸ płotki, okonie i małe szczupaki podobne do ciemnych kawałków drzewa...

Osoba wychowanka gimnazjum została gdzieś na uboczu i Marcinek zapatrzony w blask wody począł na szum jej odpowiadać jakiejś innej osobie, która była na poły nim samym, na poły kimś zupełnie nieznanym.

Tak siedząc cicho przy matce, zabrął w niezmiernie daleki świat marzeń.

— Paniczek to nawet nie wie, że nam gniadą ukradli! — zawołał nagle Jędrzek, służący za fornała.

— Gniadą ukradli? — rzekł Marcinek jak zbudzony ze snu. — Przecie gniada idzie przed twoim nosem u dyszla...

— E!... i cóż ta z tego, kiedy ją ukradli...

— Czy on prawdę mówi, mamusiu?

— Opowiedzże paniczowi, jak to było!... — rzekła matka Marcinka.

Gniada klacz była ulubienicą całego folwarku. Pochodziła z rodziny tak dalece arystokratycznej, że rozpowiadano istne o niej legendy. Jedno z takich wierzeń głosiło, że gniada w prostej linii pochodzi z dziada araba i matki spolszczonej angielski — inne, że jest wnuczką jakiejś Hatfy, importowanej wprost z Arabii — i tam dalej.

W istocie klacz miała główkę małą, oczy mądre, łopatki wydatne, piersi bogate i skórę cienką, ale wszystkie te przymioty od ciężkiej pracy w roli, przy zwózce drzewa, zboża

²³²około św. Jana — ok. 24 czerwca. [przypis edytorski]

²³³przeinaczać — zmieniać. [przypis edytorski]

²³⁴zygmuntowskie czasy — okres panowania dwóch ostatnich dziedzicznych królów Polski z dynastii Jagiellonów: Zygmunta I Starego (1467–1548), koronowanego w 1507 r. i jego syna, Zygmunta II Augusta (1520–1572) od 1530 koregenta (panującego wraz z ojcem), od 1548 króla Polski. [przypis edytorski]

²³⁵rozwora — drag łączący przednią i tylną część wozu. [przypis edytorski]

²³⁶pośledni — ostatni. [przypis edytorski]

²³⁷przymiot — tu: cecha. [przypis edytorski]

²³⁸sak — rodzaj sieci w formie worka rozpiętego na obręczy z długim uchwytem. [przypis edytorski]

Koń, Kradzież, Wierność,
Zwierzę

i nawozu, od długich podróży w bryczce straciły na wartości i nikomu obcemu nie wpadały już w oko, gdy szlachetnie urodzonej boki zapadły i grzbiet jak piła sterczeć zaczął.

Jednakże zimową porą, gdy roboty było mniej, a obrok wymierzano regularnie, gniada odyskiwała cechy swej rasy. Wówczas, zbliżając się w niedzielę do kościoła, niejednokrotnie musiał pan Borowicz strofować Jędrka furmana:

— Trzymaj no konie, cymbale, nie gap się! Jeszcze poniosą i w rów gdzie wywalą...

Klacz była zła, nikomu do siebie przystępu niepozwalająca; nawet swego furmana nie ważyła się przy okazji chwycić zębami albo trzepnąć kopytem.

Pomimo to lubiono ją. Lubiono ją przez chępliwość za przymioty, dzięki którym klacz odrabiająca najcięższe fornalskie powinności, istną końską pańszczyznę, mogła w potrzebie obstać za najlepszą cugową. Miała zresztą kilka pięknych źrebiąt, a te wyratowały pana Borowicza z niejednego ciężkiego kłopotu, gdy je w kwiecie lat końskich na jarmark wyprowadzono.

— A to tak było... — zaczął Jędrk. — Z soboty na niedzielę, będzie ze cztery tygodnie temu, poszliśmy z Wincentym spać... zwyczajnie w stajni. Spać duszno z koniami, to my otwarli drzwi, tylko my *stange*²³⁹ założyli. Samem²⁴⁰ śrubę zakręcił *na fest*²⁴¹, kluczem²⁴² pod żłób cisnął i układałem się. Oni ta tylko głowę przytkną do słomy, już ci po nich...

— A ty, toś znowu czujny nadzwyczajnie! — wtrąciła pani Borowiczowa.

— E... bo mnie, proszę pani, jedna baba urzekła w Trzebicach, żebym niby do spania był taki chytry... A no i pospalimy się. Ledwie świt, jak ci mię ten Wincenty wyrzną w łeb trepem! — „Gdzie kobyła?” — powiadają. Ja spojrzę: *stanga* wisi, gniadej nie ma. Pod progiem my spali — jakże on ta wyszedł, mój Jezus kochany? Dopiero to jest *machenik*²⁴³! *Łabas*²⁴⁴ my za *stangę*, a tu przerżnięta jak mydło. Powiadają, że ma taką piłeczkę cienką, ale to głupiemu powiedzieć, żeby kto żelazo piłką urznął. Musi *para* mieć włos z żydowskiego trupa i tym tak rżnie. Wylecieliśmy na świat... Przed stajnią widać było ślad do stawu. Skoczyli my do stawu. Poszedł we wodę! My na drugi brzeg ku Cieplakom — nie ma nigdzie! Rosa bielusienieczka stała na łąkach, a śladu ani — ani! Dopiero oni powiadają, że może brzegiem stawu się wziął²⁴⁵, a potem wjechał w rzekę. Polecielimy i tam, ale nie było nic, i pokój. Pan wstał, ludzie się zeszli, gwar, krzyk, ale śladu nikt wypatrzyć nie mógł. Jak słońce przygrzało, rosa zginęła, to tam już nie było o czym gadać. Sobieraj powiadali, że był gdzieś ślad na smugu²⁴⁶, ale kto ich wie. Oni zawsze muszą wszystko gębą rozpowiedzieć, co im do łba przyjdzie. Poszli ludzie do kościoła, dobrodziej opublikował z ambony, że tak i tak: kobyłę ukradli u pana na Gawronkach, a kto by zaś wiedział, żeby zaraz znać dawał; ale gwaru tylko z tego było dosyć przed kościołem po sumie²⁴⁷, a nikt nie mógł nawet wziąć na rozum, w którą stronę złodziej pojechał. Pan to się tak zafrasował, co o kęs... Mnie pan wyprał, ale co ja krzyw, kiedy my spali? Obiadu pan nie jadł, tylko chodził po polach, pani to samo poszła — i tak do wieczora. Ja pojechałem na siwym pod Wybrankową, Wincenty poszli ze Stasińskim do Dolnej, ale my z niczym wrócili na wieczór. Po kolacji siedzieliśmy tak wszyscy przede drzwiami. Cicho się stało, tylko żabska rechotała jak muzyka. Wtem jakoś mi się zdało, że kobyła rży... Zerwałem się, aże mię ognie przeszły. Słyszę, a tu daleko, daleko spod lasu — drugi raz. Jak ja pójde z nogi za staw! Miesiąc wszedł, nie przymierzając jak teraz, widno było na rosie het, het... Stałem pod krzyżem, na góreczce. Słucham, słucham, a tu znowu rży... Patrzę niedługo, a tu rwie łąkami z tamtej strony stawu galop, ale tak, co ino-ino... Bez²⁴⁸ płot na pastewniku to wraz *trzunęła*²⁴⁹ jak bez próg. Przyleciała

²³⁹*stanga* właśc. *sztanga* (z niem.) — sztaba żelazna tu: zabezpieczająca wrota. [przypis edytorski]

²⁴⁰*samem* (...) *zakręcił* — sam zakręciłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

²⁴¹*na fest* (z niem.) — mocno. [przypis edytorski]

²⁴²*kluczem* (...) *cisnął* — klucz cisnąłem (konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

²⁴³*machenik* — zniekształcone: mechanik. [przypis edytorski]

²⁴⁴*łabas* (gw.) — cap, chaps. [przypis edytorski]

²⁴⁵*wziąć się* — tu: ruszyć, pójść. [przypis edytorski]

²⁴⁶*smug* — wąski pas łąki a. pola, położony niżej niż reszta terenu, by spływała do niego woda. [przypis edytorski]

²⁴⁷*suma* — tu: długa, uroczysta msza niedzielna w kościele katolickim, zwykle odprawiana około południa. [przypis edytorski]

²⁴⁸*bez* (gw.) — przez. [przypis edytorski]

²⁴⁹*trzunąć* — skoczyć, runąć. [przypis edytorski]

pode wrota. Mój Jezus kochany! Jak wzięła rzeć raz za razem, to jakby ten człowiek na człowieka wołał. Sam pan polecał otworzyć jej wrota. To my tak zaczęli hurtem beczeć z radości!... Miała na szyi postronek grubaśny, a na nogach koło pęcin poprzywiązywane jakiesi²⁵⁰ gałgany, żeby, widać, śladu nie było. W lesie ją pewno przywiązał i układał się spać, a ona sobie tam już poradziła... Albo go może trzepnęła gdzie o ziemię — i poszła. Boki to miała zapadnięte jak wściekła suka. Kazał jej pan dać tę resztkę owsa, co była w spichlerzu, chleba jej pytlowego trzy kromki pani dała, cukru słodzińskiego chyba ze cztery kawałki... Aż mi dziwno, bo kobylicko nikomu tego wieczora nic nie mówiło, ani razu nikogo nie chwyciło zębami, nikogo nie wierzgnęło, a co je kto poklepał, to ino se zarżało po cichu...

Marcinek słuchał tej opowieści w głębokim wzruszeniu. Oczy jego z miłością i pieszczotą obejmowały kleszczyny²⁵¹ chomąt i łeb gniadej, widoczne dobrze na tle srebrnej wody.

Po małych nadrzecznych łąkach rozpościerała się już rosa jak lśniący obrus, utkany z włókienek mgły i światła.

Na niebie rozprysły się gwiazdy w niewysłowionym ich mnóstwie i przepychu. Zdało się, że od nich urywają się niezmiernie małe świecące cząsteczki i powoli, nikłymi warstwami, zsypują się ku ziemi.

Stały tam w przeźroczystym lazurze jakieś smugi dziwnie oświetlone, śpiące w niebiesiech ciała obłoków, drogi i znaki, kształty blasku niepojęte, nęcące oczy i duszę. Z traw szerzyły się zapachy dojrzewających kwiatów, od rzeki pociągał wilgotny, mocny i miły odór²⁵² rokit i wikliny.

A wody wciąż szeptały...

Cichą ich melodię przerywało tylko ostrożne stąpanie koni po głazach i dźwięk żelaznych obręczy, gdy trafiały na kamienie, wspinały się na nie ze zgrzytem i opadając stukały. Rozmowa ucichła.

Pani Borowiczowa miała wzrok skierowany na roziskrzone niebo. Dawne wspomnienia ciągnęły ku niej z dalekich przestworów cudownej nocy, młode nadzieje wypływały z serca przezuwającego już schyłek swych snów, kres marzeń i jakieś wielkie znużenie.

Teraz to serce roztwierało się na oścież dla przyjęcia wszystkiego, co człowiek uczciwy pielęgnuje i kocha.

Ziemskie troski, codzienne znoje, interesy i małostki ustąpiły na chwilę i matka Marcinka o wielu rzeczach i sprawach niemal zapomnianych myślała, myślała...

W pewnym miejscu przejeżdżało się w bród²⁵³ rzeczulkę. Wkroczywszy do wody, konie natychmiast zatrzymały się, schyliły łby i jęły głośno żłopać wodę.

Marcinek położył głowę na kolanach matki i przycisnąwszy usta do jej rąk spracowanych szepnął:

— Mamusiu, jak to dobrze, że mama po mnie przyjechała... Tak sobie jedziemy razem... To dopiero dobrze...

Gładziła pieszczotliwie jego włosy i schylając się, w sekrecie nie wiedzieć przed kim, szepnęła mu do ucha:

— Będiesz zawsze kochał swoją matkę, zawsze a zawsze?...

Słodkie łzy padające wielkimi kroplami z oczu chłopca zastąpiły jej wyrazy odpowiedzi.

Tuż za rzeką droga wieszała się po urwistym zboczu góry zarosłym tarniną i lasem dzikich głogów.

Gdy te zarośla zrzedły i rozsunięły się, widać już było w pobliżu migające światelka wioski, a dalej za nią w nizinie wielką, białą od księżycza szybę stawu i światła w gawronkowskim dworze.

Konie szły z wolna pod górę. Marcin wyskoczył z wózka i oczyma pełnymi łez spoglądał na te dalekie, duże okna świecące w ciemności.

Przedę wsią, w pustce na wzgórzu stała drewniana kapliczka, spróchniała już zupełnie od przyciesi²⁵⁴ aż do żelaznego kogutka na szczycie dachu.

²⁵⁰jakiesi (gw.) — jakieś. [przypis edytorski]

²⁵¹kleszczyny — drewniane, wygięte łukowato części uprzęży koniskiej. [przypis edytorski]

²⁵²odór — zapach, zwłaszcza przykry. [przypis edytorski]

²⁵³bród — płytsze miejsce na rzece, w którym można przejść na drugi jej brzeg brodząc. [przypis edytorski]

²⁵⁴od przyciesi — od podwalin. [przypis edytorski]

Dokoła tej staruszki rosły bujne bzy z ogromnymi kiściami pachnących kwiatów. Marcinek szybko skoczył ku kapliczce, wspiał się na płot i ułamał ogromny pęk kwitnących gałęzi. Wózek oddalił się i zbliżał już do wioski. Chłopiec rzucił się pędem po równej już tam drodze, strząsając rosę z kwiatów i zziębnięty cały ten pęk rozkwitły rzucił matce na kolana.

Nie miała serca wymawiać mu, że obrabował biedną, starą kapliczkę.

Mokre kwiateczki odrywały się, spadały wraz z kroplami rosy i lgnęły do jej palców, a duszny zapach tak dziwnie ją upajał...

VII

Otrzymawszy promocję do klasy pierwszej Marcinek się zaniedbał, a z dawnej jego pracowitości niewiele pozostało. W jesieni uczył się jeszcze jako tako, ale około Bożego Narodzenia uprawiał *wykpiwankę* zarówno przed korepetytorem, jak i w klasie. Wszyscy mniej teraz uwagi na niego zwracali i on czuł na sobie mniej obowiązków.

Pani Borowiczowa zmarła była w lecie owego roku. Marcinek początkowo nie odczuł tej straty. Na pogrzebie zmuszał się do płaczu i przybierał miny efektowne, wrzeszczał i usiłował rzucić się za trumną do jamy mogilnej, wiedząc ze słuchu, że to pasuje, i prze-czuwając, że to jeszcze go bardziej w tym dniu wyróżni. Z pogrzebu zabrał go ojciec do Gawronek. Dom był w nieładzie. Największy pokój, gdzie jeszcze tak niedawno stała trumna, cuchnęła zgnilizną i kopciem świec. Pan Borowicz pociągnął Marcinka do sąsied-niego, który był sypialnią nieboszczki. Panował tam jeszcze większy nieład. Łóżko było nieprzykryte, prześcieradło i kołdra leżały na ziemi, w drewnianej kraszuarce²⁵⁵ więcej było plwocin niż piasku. Pan Borowicz usiadł pod oknem i, zdawało się, słuchał, jak haczyki okna monotonnie stukają w ramę, jak wiatr dzwoni po szybach... Marcinek wpatrzył się w opustoszałe łóżko i wtedy poczuł, że mu matka umarła.

Był to koniec wakacji. Zaraz potem życie szkolne całkowicie go pochłonęło. Czasami, w chwilach nieszczęść i katastrof, budziło się w nim owo zdumienie, jakiego doznał w pu-stym pokoju matczynym — i wtedy czuł w sercu wielką i nieopisaną sierocą boleść. Kiedy w trwogach i rozpaczach biegł do matki, do jedynej swojej ucieczki, stawał mu w oczach tamten pokój głuchy i oniemiały... Ojciec, zapracowany na swym folwarku z podwójną teraz energią, bo sam musiał doglądać gospodarstwa kobiecego, mało się chłopcem zaj-mował. Dbał o to przede wszystkim, żeby wyciągnąć grosz na wpis, na stancję i książki. Marcin nie miał już teraz ani wykwintniejszej bielizny, ani przysmaków. Nikt już teraz nie dzielił tak namiętnie jego tryumfów szkolnych ani opłakiwał niepowodzeń, ani zachę-cał do nowych wysiłków. Ojciec dowiadywał się o to jedynie, czy nie ma *dwójek* i *patek*, a reszta mało go interesowała. Toteż chłopcu świat opustoszał, zagasło nad nim słońce i nastał jakby po dniu promiennym wieczór zimny i nielitościwy.

W owym czasie Marcinek zawarł ścisłe pobratymstwo z pewnym „Wilczkiem”. Był to drugoroczny pierwszak, syn bogatej lichwiarki²⁵⁶, pani Wilczkowskiej, jedynak, piesz-czoch i łobuz niesłychany. Umiał on wszelkie przespiewki, znał na pamięć usposobienie każdego z profesorów i na tej znajomości psychologicznej fundował swe *nabieranie bel-frów*, *ściągnięcia* wszelkiego rodzaju, podpowiadanie i sposoby wydalen²⁵⁷ z klasy na *waga-ry*. Nigdy nie odrabiał żadnej lekcji, okpiwał²⁵⁸ korepetytorów, a mnóstwo czasu i sprytu tracił na wyprowadzanie w pole nauczycieli w szkole. Zawsze wychodził do tablicy z cu-dzym kajetem, owiniętym w arkusz papieru ze swym nazwiskiem, umiał do tłumaczeń łacińskich kłaść jakieś karteczki w taki sposób, że ich nawet sam pan Leim znaleźć nie był w stanie, wszystkie lekcje ustne wydawał z podpowiadania lub genialnie *ściągał*. Do stałych zwyczajów Wilczka należało uciekanie z kościoła w niedzielę i dni galowe²⁵⁹. Wy-mykał się prawie z rąk księdza prefektowi, jakby mu się przed nosem w ziemię zapadał, potem uciekał na dwór jakimś dziurami pod chórem i gnał na parę godzin w pola. Jesie-

²⁵⁵*kraszuarka* (z fr.) — spluwaczka. [przypis edytorski]

²⁵⁶*lichwiarka* — kobieta zajmująca się pożyczaniem na procent oraz pod zastaw cennych przedmiotów. [przypis edytorski]

²⁵⁷*wydalenie* — tu: oddalenie się, wyjście. [przypis edytorski]

²⁵⁸*okpić* — oszukać. [przypis edytorski]

²⁵⁹*dni galowe* — święta państwowe, obchodzone w Rosji w rocznicę urodzin lub wstąpienia na tron cesarza. [przypis edytorski]

Syn

Syn, Matka, Żaloba

Ojciec, Syn, Dziecko

nią wykradał rzepę z ogrodów. Zaznajomiwszy się bliżej z Marcinem Borowiczem dzięki temu, że ich posadzono w jednej ławie, Wilczek jął edukować Symplicjusza²⁶⁰. Marcin uległ jego wpływowi, za punkt honoru teraz uważał praktykowanie różnych sztuk i sposobów zamiast mozolnej nauki — i dawał się wodzić na *wagary*.

Pewnej galówki w grudniu obydwaj bryknęli za miasto przed nabożeństwem, które w miejscowym kościele miało się odbyć o godzinie dziesiątej. Na rzeczce lód był jaki taki, więc używali do syta, później włóczyli się obok plantu kolejowego, brnęli po śniegu i z satysfakcją taplali się w wodzie. Marcin zmarzł i powiedział do Wilczka:

— Ty, ja idę do kościoła.

— E, widzisz, ośle... Takiś stary kolega! Już się boisz księdza...

— Nie boję się, tylko mi zimno.

— O bydlę! Zimno mu. Mnie wcale nie zimno.

— Ja już idę. Chodź, Wilczek! Co tu będziesz robił!

— To idź sobie, ośle! Widzisz go. Jeszcze ty pożałujesz... Niby to udaje... stary kolega, a *fągasuje*²⁶¹ księdzu...

Marcinek pędem ruszył ku miastu. Wilczek cisnął za nim bryłą grudy i pokazał mu język, a sam znowu zaczął się ślizgać. Borowicz rozpiął szynel²⁶² i biegł prędko. Mijał ulice, jakich o tej porze nigdy jeszcze nie widział, gdyż był to czas, kiedy codziennie siedział na lekcjach. Zdawało mu się, że robotnicy, emeryci, stare panie, a nawet kucharki, z koszykami wracające do domów, niewątpliwie widzą jego lotrostwa. Zmęczony przybiegł nareszcie do kościoła, pchnął wielkie drzwi wchodowe²⁶³ i wsunął się do zimnych przedsionków prowadzących na chór. Marcinek należał do grona śpiewaków, którzy po ukończeniu sumy wykonywali hymn państwowy.

W przedsionkach, korytarzach i krużgankach²⁶⁴ nie było nikogo, szedł tedy²⁶⁵ na palcach, skradając się do małych drzwiczek, które prowadziły na schody i do chóru. Uroczyste nabożeństwo galowe jeszcze trwało. Organy huczały, toteż nikt nie słyszał, jak drzwi skrzypnęły.

Marcinek wszedł na kręcone schody kamienne i stąpał cicho, pragnąc niepostrzeżenie wejść na chór i uniknąć noty w dzienniku nauczyciela śpiewu grającego na organach.

W wieży było ciemno, tylko w pewnych miejscach padał na kamienne stopnie blask światła z wąskich okienek, które na zewnątrz były tylko szparami, a ze strony wewnętrznej tworzyły dosyć szerokie framugi.

Marcinek przebył już był prawie cały komin i zbliżał się do drzwiczek chóru, kiedy nagle ścierpł ze strachu.

Oto pod samymi drzwiami klęczał prefekt ks. Wargulski.

Z okienka padała na jego głowę i płaszcz granatowy z dużym kołnierzem biała plama i dozwalała widzieć całe podługowate czoło i twarz surową.

Prefekt miał oczy zamknięte, ręce złożone i gorąco się modlił. Wargi jego poruszały się z wolna, a głowa czasami drgała niespokojnie.

Marcinek stał bez ruchu, nie śmiejąc oddychać z przerażenia.

Ksiądz był surowy i trzymał całą szkołę w trwodze panicznej.

Powoli Borowicz zaczął cofać się, trafił na framugę okienka, wlaźł w nią, przytulił się do muru i nie spuszczaając oka z głowy księdza, drżał na całym ciele.

Tymczasem gdzieś nisko rozlegał się głos kanonika śpiewającego modlitwy za cara:

Panie, zachowaj imperatora i króla naszego Aleksandra...

Niech będzie pokój w mocy Twojej...

Z chóru odpowiadano na te modlitwy. Później nastąpiła krótka przerwa, w ciszy rozległa się przygrywka do hymnu carskiego i dał się słyszeć czysty i równy śpiew młodzieży.

²⁶⁰*Symplicjusz* (z łac.) — człowiek naiwny, prostaczek. [przypis edytorski]

²⁶¹*fągasować* — wysługiwać się, podlizywać. [przypis edytorski]

²⁶²*szynel* (z ros.) — płaszcz o wojskowym kroju. [przypis edytorski]

²⁶³*wchodowy* — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

²⁶⁴*krużganek* (łac. *claustrum*, niem. *Kreuzgang*) — długi ganek (zadaszony i podparty kolumnami korytarz usytuowany na zewnątrz budynku) obiegający budynek, zwykle wokół wewnętrznego dziedzińca. [przypis edytorski]

²⁶⁵*tedy* (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

Zaledwie przebrzmiała pierwsza strofa pieśni, kiedy dolne drzwi schodów otwarły się, Marcina przejął zimny ciąg powietrza i dały się słyszeć kroki osoby biegnącej na górę.

Marcinek skurczył się i czekał. Włosy zjeżyły mu się na głowie, kiedy tuż obok niego przesunął się — inspektor gimnazjum.

Potentat gimnazjalny przebył schody i zdążając do drzwi chóru, wlał w ciemnym przejściu na klęczącego prefekta.

— Kto to idzie? — zapytał ksiądz.

— Ach, *eto wy, otiec*²⁶⁶... — rzekł inspektor. — Kazałem wyraźnie, żeby hymn po nabożeństwie śpiewano w języku rosyjskim. Zalecałem to dwa razy nauczycielowi śpiewu...

— Nauczyciel śpiewu wcale nie jest temu winien — rzekł ksiądz ze spokojem, chowając w zanadrze swą książeczkę do nabożeństwa.

— Więc któż zawinił?

— Ja!

— Co takiego? — głośniej zawołał inspektor. — Kazałem śpiewać...

— Panie inspektorze — rzekł ksiądz spokojnie i z zimną uprzejmością — uczniowie będą śpiewali tutaj, w kościele, hymn po polsku, i to nie tylko dziś, ale zawsze.

— Co takiego? — krzyknął Rosjanin. — Tak będą śpiewali, jak rozkazałem! Ja tu nie zniosę żadnych jezuickich fanaberii. A toż co nowego? Proszę mi wskazać drzwi na ten wasz chór...

— Mogę panu inspektorowi wskazać jedno tylko drzwi... na dole... — powiedział ksiądz kładąc ogromną dłoń swoją na klamce.

Właśnie potężnie brzmiała druga strofa hymnu: Wrogów zamiary złam,

Władco wspaniały,

Panuj na sławę nam...

kiedy Marcinek spostrzegł, że ręka księdza Wargulskiego z klamki przeniosła się na ramię przybysza, inspektor rzucił się do drzwi i szarpnął księdza. Wtedy prefekt jednym ruchem drugiej ręki odwrócił inspektora i trzymając go mocno prawicą za futrzany kołnierz, począł znosić tę dużą osobę ze schodów, inspektor szarpał się i krzyczał donośnie, ale cały ten hałas ginął w huku organów.

Marcinek uszczęśliwiony tak paradnym widowiskiem wyszedł z kryjówki i zatykając sobie usta rękami, żeby nie parsknąć śmiechem, szedł krok w krok za prefektem.

Gdy ksiądz Wargulski sprowadził inspektora na sam dół — otworzył drzwi i silnie wypchnął go na korytarz. Inspektor uderzył się wyciągniętymi rękami o przeciwległą ścianę, potem stanął, poprawił na sobie futerko, namyślił się i ruszył na dół po schodach.

Tymczasem ksiądz wyjrawszy na korytarz i obaczywszy, że nikt tej sceny nie spostrzegł, zawrócił się, postawił wielki krok w ciemności i utknął na Marcinku. Z niepokojem otworzył zaraz drzwi i pociągnął malca do światła.

Borowicz zadarł głowę z rozpaczliwą odwagą, pewny, że teraz nic go już nie uratuje, że wypędzą go z gimnazjum na cztery wiatry albo mu zerzną skórę na kwaśne jabłko.

— Co tu robisz, błaznie jeden? — zawołał prefekt.

— Nic nie robię, proszę księdza.

— Dlaczego nie siedzisz na chórze?

— Musiałem wyjść na dwór, proszę księdza... — zęgał na poczekaniu.

Ksiądz chrząknął, zakaszlał i spytał go cicho:

— Widziałeś?

— Widziałem! — rzekł Marcin z determinacją, choć nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

— Słuchajże, ty ośle, jeżeli mi piśniesz jedno słowo o tym, coś tu widział, to ja ci sprawię! Będziesz gadał?

— Nie będę gadał, proszę księdza.

— Ani matce nie będziesz gadał?

— Ani matce nie będę gadał. Ja nie mam matki.

— Wszystko jedno! Ani ojcu?

Ksiądz, Władza, Polak,
Słowo

²⁶⁶ *eto wy, otiec* (ros.) — to wy, ojciec [przypis edytorski]

- Ani ojcu.
- Ani żadnemu koledze, nikomu a nikomu?
- Ani żadnemu, ani nikomu.
- No, pamiętaj se, ośle zatracony!

VIII

Gospodarzem klasy pierwszej oddziału A był pan Rudolf Leim, nauczyciel łaciny w klasach niższych. Należał on do grupy starszych profesorów i weteranów szkoły. Pochodził z rodziny niemieckiej, która dawno przywędrowała do kraju i na poły się spolszczyła. Profesor Leim skończył onego czasu nauki uniwersyteckie w Lipsku i od niepamiętnych czasów wykładał w szkołach jeszcze wojewódzkich²⁶⁷ historię powszechną, języki starożytne i niemiecki. Z usposobienia i fachu niejako był zajadłym, zakamieniałym historykiem. Przez całe życie układał jakieś niesłychanie szczegółowe i dowcipne tablice synchronistyczne²⁶⁸. Po zamianie szkół wojewódzkich w Klerykowie na gimnazjum rosyjskie Leim utrzymał się na posadzie, ale zepchnięty został do ostatnich szeregów. Po rosyjsku źle mówił, wykład historii powszechnej (a właściwie „rosyjskiej w związku z powszechną”) mógł być prowadzony tylko przez Rosjanina, więc Leim z najcięższą ongi²⁶⁹ nauczyciela zjechał do klasy pierwszej. Z łaski dawano mu jeszcze gospodarstwo w jakiejś paralelce²⁷⁰, co nabawiało go mnóstwa kłopotu, ale czyniło kilkaset rubli.

Nauczyciel

Pan Leim był to starzec wysoki, bardzo chudy i wiecznie pokaszlujący. Twarz goił starym obyczajem, czaszkę łysą jak kolano nakrywał pewnego rodzaju wiekiem z włosów wyhodowanych w okolicy ucha. Idąc, wydymał policzki zawsze różowe i wyszczerzał raz za razem szeregi zębów jak ser białych. Nie było wypadku, żeby profesor Leim opuścił kiedykolwiek lekcję. Zakatarzony, kaszlący, z ustami osłoniętymi szalem, przyłaził w najcięższe mrozy i gwałtowne wichry regularnie o godzinie ósmej, pozdrawiał skinieniem głowy pana Pazura, drugiego z rzędu, a jednak znacznie młodszego weterana gimnazjum, i rozpoczynał swój monotony spacer po górnym korytarzu. Był nadzwyczajnie starannym służbistą i lojalistą gorliwym.

Od chwili wprowadzenia zakazu mowy polskiej w murach gimnazjum karał ostro wykroczenia tej kategorii, ilekroć któryś z gospodarzy klas wskazał mu winowajcę. Sam mówił w domu po polsku, był ożeniony z Polką i miał córki, które w całym mieście czyniły rejdach²⁷¹ patriotyczny za pomocą zgromadzeń, prelekcji i zwykłego odczytywania zakazanych przez cenzurę utworów literatury polskiej, utworów potajemnie wydobytych z własnej pana Leima biblioteki albo nawet własną jego ręką niesłychanie kaligraficznie ongi przepisanych.

W dni galowe dworskie pan Leim maszerował przez miasto ustrojony w mundur z haftowanym kołnierzem, z orderami, wśród których wisiał miedziak²⁷² „za *usmirenje polskawo miatieża*”²⁷³, ze szpadą u boku i w pierogu²⁷⁴.

Strój

Ten pieróg znany był z dawna całemu miastu. Ilekroć profesor zjawiał się w paradnym stroju na ulicy Warszawskiej, szewc Kwiatkowski, którego warsztat znajdował się na rogu tegoż zaułka, stawał we drzwiach, wtykał ręce pod fartuch i trzymając się za wpadniętą i wiecznie bolącą brzuszynę, raz na jakiś kwartał wybuchał szczerym i głośnym śmiechem.

Na rynku przekupki wnet sygnalizowały ukazanie się profesora w gali²⁷⁵.

— Pani Jacentowa! — wołała zaraz spostrzegawcza Połoweczka — spójrz no pani z łaski swojej! Przecie to, widzi mi się, profesor idzie w swoim kapelusiku.

²⁶⁷ *szkoły wojewódzkie* — szkoły średnie z polskim językiem wykładowym w Królestwie Polskim przed rokiem 1864 (tj. przed powstaniem styczniowym). [przypis edytorski]

²⁶⁸ *synchronistyczny* (z gr.) — zawierający zestawienie współczesnych sobie wydarzeń. [przypis edytorski]

²⁶⁹ *ongi* — niegdyś, dawniej. [przypis edytorski]

²⁷⁰ *paralełka* — równoległa klasa w szkole. [przypis edytorski]

²⁷¹ *rejdach* — hałas, zamęt. [przypis edytorski]

²⁷² *miedziak* — tu: brązowy medal. [przypis edytorski]

²⁷³ *za usmirenje polskawo miatieża* (ros.) — za stłumienie polskiego buntu; nazwa medalu nadawanego przez władzę carską m.in. urzędnikom, którzy w czasie powstania styczniowego odznaczyli się szczególną lojalnością. [przypis edytorski]

²⁷⁴ *pieróg* — tu: rodzaj kapelusza, używanego od XVIII w., szczególnie w wojsku, kojarzonego często z Napoleonem Bonaparte; jako element munduru galowego obecne w wielu armiach aż do lat 20. XX w.; także: bikorn, dwuróg, kapelusz stosowany. [przypis edytorski]

²⁷⁵ *w gali* — w stroju galowym, odświętnym. [przypis edytorski]

— Tak ci, moja kochana pani, tak... — wołała Jacentowa — on sam. Musi to być ciężkie, choć i taki cudacki pieróg, bo jak to profesorzyzna nadyma się, a dmucha, a chucha, jakby furę drzewa dźwigał na głowie.

Wszystkie te nieprzyjemności były niczym w porównaniu z wrzaskami powstającymi w gimnazjum.

Już z daleka, gdy profesor Leim zbliżał się do szkoły, słyszał on wtedy wołania:

— Panowie! Uwaga! Stary Klej²⁷⁶ nadciąga w swojej kanapie na głowie i z bronią u boku...

Nie odwracał głowy, kiedy go ściagały głosy uczniów pochowanych między sągami²⁷⁷ drzewa na podwórzu:

— Panie Klej, może byśmy byli w stanie ulżyć cokolwieczek! Wzięlibyśmy pierożek widłami, jeden z przodu, drugi z tyłu. Nawet byś pan profesor nie czuł, że niesiesz tak wielki statek...

Profesor szedł wówczas prędzej niż zwykle, szybko wydymał policzki, na których kwitły istic pensjonarskie²⁷⁸ rumieńce. Nie patrzył ani na prawo, ani na lewo i miał taki wyraz oblicza, jakby w zupełności podzielał zdanie uczniów wyśmiewających się z jego starożytnego pieroga.

Koledzy młodszy, ustrojeni w kapelusze lśniące, niskie, płaskie, ostatniego pokroju — niejednokrotnie doradzali mu, ażeby nabył modny pieróg i zamknął tym sposobem usta gawiedzi²⁷⁹ żakowskiej²⁸⁰, ale pan Leim machał tylko ręką i wydymał policzki:

— Do śmierci może doba — mawiał — a ja będę się zabawiał w nabywanie galowych strojów. Prawie wam o tym myśleć, wiercipiętom. Mój pieróg pamięta lepsze czasy. Taki sam on emeryt jak i ja — i taki sam go też los na starość jak mnie spotkał... Obydwa wyglądamy wpośród współczesnych jak szczątki mastodonta...

Na lekcji profesor Leim nie znośił szelestu i za najlżejszym zakłóceniem ciszy wykrzykiwał się i niecierpliwie sykał. Do pomocy w przestrzeganiu porządku w klasie delegował zawsze kolejno tak zwanego dyżurnego. Dygnitarz taki przynosił kredę, dbał o atrament i pióro na katedrze oraz wypisywał wielkimi literami nazwiska kolegów sprawujących się hałaśliwie.

Chłopcy w klasie pierwszej mówili w czasie pauz²⁸¹ po polsku i nie było sposobu zmuszenia ich do konwersacji rosyjskiej wprost dlatego, że ani jeden z malców swobodnie w języku urzędowym wyrażać się nie był w stanie.

Pewnego razu pan Leim, wchodząc do klasy, ujrzał na tablicy wypisane nazwisko Borowicza i obok niego zaskarżenie: „ciągle głośno mówi po polsku”.

Pan Leim uważnie i dość długo czytał ten napis, który zdarzyło mu się widzieć po raz pierwszy, następnie zwrócił się do klasy i zapytał:

— Kto jest dyżurnym?

— Ja — rzekł puciołowaty chłopiec, nazwiskiem Makowicz.

— To ty napisałeś, że Borowicz ciągle głośno mówi po polsku?

— Tak, ja. On, panie profesorze, ciągle wrzeszczy po polsku i bije się.

— I bije się z tobą?

— Ja z nim nie zaczynam! Niech wszyscy powiedzą! On przyszedł pierwszy i powiada: oddawaj mi zieloną okładkę... Ja mu nie dałem, bo to już nie jego okładka, tylko moja, i za to kopnął mię w brzuch...

— Borowicz za gadanie po polsku zostaje na dwie godziny w kozie... — donośnie i surowo rzekł profesor Leim i wstąpił na katedrę. Zasiadłszy na krześle, roztwarł²⁸² duży dziennik i wlepił oczy w jakąś niezapisaną jego stronicę.

W klasie zaległa trwoga i taka cisza, że nie było słyhać ani jednego oddechu. Wszyscy widzieli, że „stary” jest „wściekły”. Każdy powtarzał w myśli wyjątki, uprzytomniał sobie

²⁷⁶Klej — przezwisko to jest dosłownym tłumaczeniem niemieckiego wyrazu *Leim*. [przypis edytorski]

²⁷⁷sąg — jednostka miary objętości drewna stosowana w leśnictwie; stos drewna o objętości 4 m³ (czytery metry przestrzenne). [przypis edytorski]

²⁷⁸pensjonarski — właściwy pensjonarce, tj. uczennicy pensji (daw. szkoły dla panien). [przypis edytorski]

²⁷⁹gawiedź — tłum; rzesza ludzka. [przypis edytorski]

²⁸⁰żakowski — właściwy żakom, tj. uczniom szkoły a. uniwersytetu. [przypis edytorski]

²⁸¹pauza — tu: przerwa w zajęciach lekcyjnych w szkole. [przypis edytorski]

²⁸²roztwarł — otworzył. [przypis edytorski]

końcówki deklinacyjne²⁸³ i przepowiadał drewniane sentencje²⁸⁴ tłumaczenia. Nauczyciel z wolna podniósł oczy i rzekł:

— Borowicz!

Marcinek porwał książkę z tłumaczeniami łacińskimi Szulca, mały kajecik „wybranych” słówek i na drżących nogach udał się do katedry. Stanąwszy tuż przy jej stopniu wykonał szybko ukłon korpusem i nogą, otworzył książkę i zaczął czytać rosyjskie zdania i tłumaczyć je na łacinę. Gdy tak w mowie Rosjan i Rzymian zawiadomił zgromadzonych, że pod cieniem wysokiego dębu przyjemnie jest latem odpoczywać, że sztuka jest długa, a życie krótkie itd., pan Leim przerwał ten jego wykład, mówiąc:

— Za to, że głośno rozprawiasz w klasie po polsku, zostajesz na dwie godziny w kozie — słyszysz?

— Słyszę, panie profesorze... — rzekł ze skrucą Borowicz.

— Dlaczego bijesz się z Makowiczem?

Marcinek spuścił oczy i zrobił pobożną minę. Na wspomnienie dwu godzin kozy lży go ścisnęły za gardło. Wtem dostrzegł, że jeden z guzików przy ineksprymablach²⁸⁵ profesora jest niezapięty, i doznał zaraz wielkiej ulgi.

— Nigdy nie bij się z Makowiczem — mówił tymczasem pan Leim surowo i głośno — nie zbliżaj się do niego, nie proś go nigdy o jakieś tam jego parszywe okładki!...

Usłyszawszy wyraz *parszywe*, niezwykle w ustach pana Leima, Marcinek spojrzał i wtedy doznał dziwnego wrażenia.

Profesor patrzył na niego ostrym, zagadkowym wzrokiem. Wydało się Marcinkowi, że to spojrzenie wstydzi się jego małej osoby i że zarazem bezlitośnie się z niej natrząsa...

O ile profesor Leim umiał sztubę²⁸⁶ trzymać w czasie swej lekcji na wodzy i ukazaniem się swoim rozsiewać w tłumie łobuzów śmiertelną ciszę, o tyle Ilarion Stiepanycz Oziarskij, nauczyciel języka rosyjskiego, nie posiadał władzy takiej ani za szeląg. Był to tłusty basalyk²⁸⁷ z czaszką nagą jak kolano, z policzkami obwisłymi, zadartym nosem i oczyma śledzia. Wielki brzuch dźwigał na krótkich nogach, które w sposób najzabawniejszy plątały się pod tym ciężarem. Ilarion Stiepanycz nigdy nie omijał żadnej kałuży i zawsze chadzał unurzany w błocie do kostek. Jego frak wiecznie był wysmarowany kredą, a guziki pomalowane atramentem przez wdzięcznych wychowalców. Kiedy wstępował do klasy, witała go piekielna salwa wrzasków i, co najgorsza, witały go wrzaski polskie, jego, nauczyciela i siewcę mowy rosyjskiej. Gwizdano, tupano, przesuwano ławki, grano na drumlach²⁸⁸, dzwoniono małym dzwoneczkiem, co mogło doprowadzić człowieka najmniej nerwowego do ostatniej pasji; głośno wyuczano się następnych lekcji i prowadzono ożywione rozmowy o tematach najzupełniej dowolnych. Ilarion Stiepanycz nie próbował chwycić grających na drumlach albo poszukiwać dzwonników, gdyż z doświadczenia wiedział, jak złe skutki tego rodzaju gorliwość pociąga za sobą.

Zdarzyło mu się skoczyć z katedry między ławki, gdy dokładnie wystudiował punkt, skąd dzwonek słychać było bez przerwy. Któż mógł przypuścić, że dzwonienie w jednym miejscu jest pewnego rodzaju wabikiem? Pędząc do winowajcy między ławkami, Ilarion runął nagle jak podcięty cedr, nie spostrzegłszy, że od ławki do ławki przeciągnięty był mocny sznur od cukru. Nazywało się to „łapaniem lwa w sieci — z przynętą”.

Awantury w klasie pierwszej nie przekraczały zresztą pewnego, tradycyjnego poniekąd, szablonu. Istotne wyrafinowanie w dręczeniu kałmuka²⁸⁹ zdradzały dopiero klasy nieco wyższe: druga, trzecia i czwarta. Osobliwie do klasy trzeciej Ilarion wchodził poślądliwie; zbliżając się do katedry, ważył i badał krok każdy. Zanim usiadł na krześle, oglądał je, czy nogi nie są czasem wykręcone, badał tablicę, czy podczas lekcji na głowę mu się nie zwali — sufit, czy stamtąd woda mu na łysinę kapać nie zacznie — szufladki stolika, czy stamtąd szczury na niego nie wyskoczą — itd. Podczas bytności w klasie Oziarskiego —

²⁸³deklinacja (z łac.) — odmiana wyrazu przez przypadki i liczby. [przypis edytorski]

²⁸⁴sentencja (z łac.) — zdanie, szczególnie: zwięzłe i trafnie sformułowana ogólna myśl o charakterze filozoficznym, moralnym itp. [przypis edytorski]

²⁸⁵ineksprymable (z fr.; przestarz.) — spodnie. [przypis edytorski]

²⁸⁶sztuba — szkoła; tu: ogół uczniów. [przypis edytorski]

²⁸⁷basalyk — tu: niezgrabiasz, niedołęga. [przypis edytorski]

²⁸⁸drumla — ludowy instrument muzyczny. [przypis edytorski]

²⁸⁹kałmuk — tu daw.: prostak, gbur; pogard. określenie człowieka o skośnych oczach i płaskiej twarzy, mieszkającego w azjatyckiej części Rosji (*Kalmucy*: naród mongolski z grupy ojrackiej). [przypis edytorski]

Nauczyciel, Uczeń, Strój

Nauczyciel, Uczeń

nie było żadnej lekcji. Coś on tam mówił, wykladał gramatykę rosyjską czy rozdział historii powszechnej, ale tego żywa dusza nie słyszała. Sprawiało to wrażenie, że nauczyciel dostał pomieszania zmysłów i gada do siebie.

Jeżeli z dziennika wyrwał kogokolwiek do lekcji, to zawsze stała na środku jedna i ta sama osobistość i wypowiadała we wszystkich porach roku jeden i ten sam ustęp. W klasie trzeciej np. uczeń Białek był „specjalistą od kałmuka” i opowiadał przez rok cały jakąś brednię o tym, jak księżniczka ruska Olga powiązała wróblom ogony i spaliła jakieś miasto „Iskorostien”. Czasami Ilarion zaczynał spazmatycznie wrzeszczeć:

— Ja ci się, bałwanie, pytam, co wiesz o Karolu Wielkim. O księżniczce Oldze słyszałem już sześćset razy od ciebie!

Wówczas przewracano ławki, rozpoczynały się bitwy między gromadami uczniów — i w rezultacie wpadał do klasy brutal inspektor, ażeby któregoś tam z *zaczinszczików*²⁹⁰ wsadzić do kozy, ale i samego Ilariona ostro zwymyślać. Ozierskij był człowiekiem wykształconym. Władał kilkoma językami, a w klasie ósmej pięknie objaśniał utwory Puszkina i Gogola. Był jednak tak dalece rozlazły, że z miasta nigdy nie mógł trafić do swego domu. Codziennie prawie zdarzała się historia, że spotykał na ulicy jakiegoś ucznia i wołał na niego:

— Ty — jak ci tam?... Gdzie mieszka nauczyciel Ozierskij?

— No, a przecież pan jesteś nauczyciel Ozierskij.

— To niczego nie dowodzi, o to ci się nie pytają. Prowadź mię do mojego mieszkania!...

W klasie pierwszej wykładano również język polski. Był to przedmiot nieobowiązkowy. Nauczycielem tego „miejscowego języka” był niejaki pan Sztetter, człowiek światły, ale tak wiekuiście wylękły o swoją posadę, że właściwie niczego nie uczył. Obarczony był liczną rodziną; kilku chłopców jego uczęszczało do męskiego, a kilka córek do żeńskiego gimnazjum i zapewne niepokój o los ich przeszkadzał panu Sztetterowi uczyć przynajmniej pisać ortograficznie. W klasach wyższych zdobywał się biedny belfer czasami na jakąś wzmiankę o literaturze polskiej, a mówił to z miną tak przerażoną, że tylko śmiech budził.

W klasie pierwszej lekcje języka polskiego odbywały się cztery razy tygodniowo w porze bardzo niewygodnej, bo między godziną ósmą i dziewiątą z rana. W zimie bywało wtedy szaro i chłodno. Chłopcy siedzieli skuleni i senni. Nauczyciel przychodził w swoim futrze szopowym, tulił się w nie i drzemał z otwartymi oczami, podczas gdy wzywani do katedry tłumaczyli z wypisów Dubrowskiego urywki nudne jak odwar z lukrecji. Po odczytaniu i przełożeniu na rosyjskie danego kawałka następował rozbiór, dokonywany po rosyjsku i na modłę rosyjską. W ciągu całej lekcji nauczyciel nie mówił ani słowa po polsku i z niechęcią prostował faktyczne błędy. Uczniowie odrabiali ten „przedmiot” jak wstrętą katorgę. „Polskie” była to godzina stokroć nudniejsza od kaligrafii i „Zakonu Bożego”²⁹¹, gdyż nadto małe próżniaki czuły w powietrzu woń wzgardy unosząc się nad tą nieszczęsną lekcją. Stopnie z polskiego nikogo nie obchodziły, nauczyciel Sztetter nie był wcale w umysłach malców ceniony na równi z wykładającym arytmetykę albo łacinę. Traktowano go pobłaźliwie, jak piąte koło u wozu, jako rzecz w istocie niepotrzebną i bez wartości.

Nauczyciel Sztetter sam, jeżeli nie uważał, to czuł poniekąd, że jest intruzem w tej szkole i na stanowisku profesora tak źle widzianego przedmiotu. W porze wiosennej, kiedy co najmniej połowa uczniów brykała mu z lekcji, przedkładając *ekstrę*²⁹² nad tłumaczenia z Dubrowskiego i ustępy dzieła pt. *Grammatika polskawo jazyka sostawlennaja po Iwanowu Michailom Grubieckim*²⁹³ — nie protestował przeciwko bezczelnym uciecz-

Nauczyciel, Polityka

²⁹⁰ *zaczinszczik* (ros.) — podżegacz. [przypis edytorski]

²⁹¹ *Zakon Boży* — nauka religii w szkołach rosyjskich. [przypis edytorski]

²⁹² *ekstra* — tu: gra w piłkę. [przypis edytorski]

²⁹³ *Grammatika polskawo jazyka sostawlennaja po Iwanowu Michailom Grubieckim* (ros.) — Gramatyka języka polskiego ułożona według Iwanowa przez Michała Grubeckiego. *Michał Grubecki* (1822–1888), nauczyciel w szkołach rządowych, w l. 1875–1879 pracował jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum kieleckim, autor podręczników szkolnych (m.in. geografii, arytmetyki), na podstawie podręcznika do nauki języka rosyjskiego autorstwa Ardaliona Iwanowa ułożył po rosyjsku gramatykę języka polskiego (z elementami gramatyki porównawczej między rosyjskim a polskim); tłumaczył na polski powieści Waltera Scotta (m.in. *Ryszard Lwie Serce*). [przypis edytorski]

kom. Jego senne oczy widziały dobrze wymykających się cichaczem, ale patrzyły i wówczas obojętnie, apatycznie, niedbale. Czasami błyskała w nich iskra dziwnie bolesnego szyderstwa... Skoro jednak dawały się słyszeć na korytarzu kroki, pan Sztetter tracił nawet wyraz ośpałości i nie był w stanie ukryć obawy. Nieraz zdawało się, że z przestrachu wobec dyrektora wlepi się w szczyry mur i zniknie w ścianie.

Strach, Praca

Niegdyś bywał i on farysem²⁹⁴. Pisywał do gazet. Chodziła głucha fama, którą sam, jak mógł, dusił, że na pewno drukował duże artykuły z zakresu jakiejś socjologii. Dziś, gdy z pana Sztettera nie ma w gimnazjum klerykowskim ani dymu, ani popiołu, możemy na tym miejscu, nie szkodząc mu, wspomnieć o drugiej jego tajemnicy. Przez długi szereg lat tłumaczył przecudnym, niepokalanym wierszem poezję ulubionego melancholika Shelleya²⁹⁵ i miał zamiar wydać ów przekład bezimiennie. Widocznie jednak ubezwładniła natchnienie *Grammatika polskawo języka*, bo przekład nie ukazuje się w druku...

Nauczyciel

Jeżeli Sztetter nie cieszył się w klasie pierwszej poważaniem, za to nauczyciel arytmetyki, pan Nogacki, miał go nadmiar. Był to urzędnik surowy, nauczający dobrze, profesor zimny, sumienny i sprawiedliwy. Nikt nie wiedział, co on myśli, a nikomu do głowy nie przychodziło mniemanie, że on co czuje. Prawdopodobnie pan Nogacki nie myślał nic nadzwyczajnego, aczkolwiek matematyka jest „jako góra winnym krzewem” itd. Jeżeliby przyrównać system szkoły rosyjskiej w Klerykowie do maszyny, to profesora Nogackiego trzeba by nazwać jednym z najgłośniejszych jej kół zębatach. Ani mu się śniło rusyfikować kogokolwiek, oburzyliby się prawdopodobnie, gdyby go kto nazwał złym Polakiem, a jednak... Po upływie dziesiątka lat, kiedy z forsownego wysiłku najbardziej utalentowanych rusyfikatorów nie zostało w głowie byłego ucznia klerykowskiego jednej szczypty czegokolwiek, co by za rosyjskie uchodzić mogło, to na pytanie, zadane znienacka, ile jest pięć razy osiem — tenże uczeń nie odpowie we własnej myśli: — czterdzieści, lecz *sorok*²⁹⁶. Było coś w wykładzie pana Nogackiego, co zmuszało chłopców do myślenia po rosyjsku. Wymagał szybkiej, natychmiastowej, piorunującej kombinacji, prędkich odpowiedzi, sprężystych a ukutych przezeń frazesów, formuł mówienia, którymi się lubował i które wdrażał, wtłaczał, wciskał w umysły i w pamięć jemu tylko znanymi środkami moralnego postrachu. Miał swój własny stalowy system, dopasowany do szkolnego, i przeprowadzał go z konsekwencją niezmordowaną. Gdyby go kto był zapytał, na co mu to wszystko jest potrzebne — z pewnością wytrzeszczyłby oczy i nie umiał odpowiedzieć.

IX

Marcinek stale mieszkał na stacji pani Przepiórkowskiej, uczęszczając do klasy drugiej i trzeciej. Postępy w naukach czynił jakie takie, ale nienadzwyczajne.

Dopiero w drugim półroczu za pobytu w klasie trzeciej wziął się szczerzej do nauki. Wpłynęły na to rozmaite okoliczności.

Broń, Uczeń, Plotka

Na wiosnę, kiedy drzewa w starym parku za kanałem okryły się liśćmi, pensjonarze pani Przepiórkowskiej udawali się tam w sekrecie przed korepetytorem i ukryci w gęstwinie strzelali z pistoletu.

Ta stara broń, prawdopodobnie zabytek archeologiczny, była przywieziona z domu przez dardanelskiego²⁹⁷ Szwarcę. Posiadała niezmierny kurek, lufę cokolwiek pękniętą i starą rzeźbioną kolbę.

Prochu dostawali za grube pieniądze bracia Daleszowscy, podówczas już drugoletni czwartoklasiści, od jakiegoś feldfebla²⁹⁸ z rezerwy konsystującej²⁹⁹ w mieście; kapiszony i śrut kupowano z funduszków składkowych.

²⁹⁴bywał (...) farysem — tu: człowiekiem mającym wyższe aspiracje i ideały; aluzja do popularnego wiersza Karola Balińskiego (1817–1864) pt. *Farys-wieszcz* (1844), zaczynającego się od słów: „O, i ja niegdyś byłem farysem”; *farys*: muzułmański jeździec, zawodowy wojownik, rycerz; postać walecznego, niezależnego farysa do literatury polskiej wprowadził Adam Mickiewicz kasydą na cześć emira Tadz-ul-Fechra (tj. Wacława Rzewuskiego) pt. *Farys*. [przypis edytorski]

²⁹⁵Shelley, Percy Bysshe (1792–1822) — poeta angielski epoki romantyzmu. [przypis edytorski]

²⁹⁶sorok (ros.) — czterdzieści. [przypis edytorski]

²⁹⁷dardanelski — od: Dardanele (cieśnina między Półwyspem Bałkańskim w Europie a Azją Mniejszą); przymiotnik występujący w żart. i pogard. określeniu *osiół dardanelski* oznaczającym osobę tępą, ograniczoną umysłowo. [przypis edytorski]

²⁹⁸feldfebel (z niem.) — stopień podoficerski, sierżant. [przypis edytorski]

²⁹⁹konsystujący (z łac.) — stacjonujący, przebywający. [przypis edytorski]

Każdy z Daleszowskich strzelał codziennie po raz³⁰⁰, Szwarc i Borowicz na przemiany³⁰¹. Strzały te były głuche, tępo rozlegały się między murami i nikt na nie uwagi nie zwracał. Stowarzyszeni dali sobie zresztą najuroczystsze słowo honoru, że za nic na świecie sekretu przed nikim nie zdradzą.

Pistolet i materiały wybuchowe ukrywano w pniu spróchniałej wierzby.

Pewnej niedzieli wszyscy czterej myśliwi zebrali się w parku po nabożeństwie.

Starszy Daleszowski ostentacyjnie, z zachowaniem przyjętego rytuału, nabijał pistolet (Szwarc trzymał worek ze śrutem, Borowicz kapiszony, a młodszy Daleszowski pakuły do przybicia naboju), kiedy za parkanem oddzielającym to miejsce od sąsiednich ogrodów dał się słyszeć pewien szelest.

Szwarc spojrział w tę stronę i zobaczył w szparze między deskami parkanu dwie żrenice. Natychmiast dał znak towarzyszom.

Zanim jednak Daleszowski zrozumiał, o co chodzi, nad parkanem ukazała się czapka z daszkiem i gwiazdą, twarz z wąsami, granatowy mundur — mignęły szlify, brzękły ostrogi i ogromny żandarm jednym susem płot przesadził. Borowicz natychmiast rzucił w krzaki kapiszony, Szwarc śrut, a Daleszowski bez namysłu *dali nogę*³⁰².

Żandarm pochwycił zgłupiałych trzecioklasistów i odprowadził ich do gimnazjum.

Nazajutrz w pewnych sferach miasta krążyła pogłoska, że na przedmieściu złapano uzbrojony oddział konspiratorów, w innych twierdzono, że owi konspiratorzy są to socjaliści, czyli komuniści — jeszcze w innych sferach utrzymywano na „pe”, że schwytani zostali czterej zbójcy, obławowani rewolwerami, dynamitem oraz kindziałami³⁰³ — i wymieniano nazwiska: Łukasik, Banasik, Wątroba i Józef Zapieralski.

Tymczasem Marcinek Borowicz i jego towarzysz niedoli Szwarc po nocy spędzonej w klasie, którą zamieniono na więzienie, gotowali się do rzeczy najstraszniejszych i jakby ostatecznych.

Marcinek przez całą noc ani oka nie zmrugał. Siedział w ostatniej ławie i gubił się w bezdennej rozpacz. Myśli jego porywał i unosił jakiś wicher straszliwy, a trwoga przywalała go jak młyński kamień drobne ziarenko. Raz za razem rzucał oczyma na zamknięte drzwi, wyczekując lada chwila czyjegoś wejścia. Kto ma wejść, co z nim dalej uczynią — nie wiedział wcale.

Przychodziły mu na myśl maksymy „starej Przepiórzycy”, tajemnicze wzmianki o jakichś Sybirach, cytadelach, szubienicach — i dreszcz zimny krew mu w żyłach ścinał. Stawał mu w oczach wczorajszy żandarm, to znowu ojciec załamujący ręce nad synem tak wyrodnym, dyrektor wypędzający go z gimnazjum i stary Leim z zimnym uśmiechem.

Żal głęboki i nieznan jak wewnątrz nocy ogarniał jego serce, przejmowała je skrucha tak zupełna, że kamień byłby nią wzruszony. Czasami wśród okropnych przewidywań migała się prędko sekunda nadziei. Wtedy Borowicz zaprzysięgał w duszy śluby i patrząc na kawałek błękitu widzialny za murem sąsiedniej kamienicy szukał ratunku u Boga.

Szwarc wyspał się doskonale na gołej ławie, zjadł wszystek chleb przyniesiony przez pana Pazura dla obydwu więźniów, a od samego rana siedział na wierzchu pierwszej ławki i walił obcasami w jej boczną deskę. Mniej więcej około godziny siódmej spojrzął na kolegę i powiedział:

— Ty, jak ci się zdaje, będą nas rznął *na gólkę* czy przez spodnie?

— Daj mi święty spokój!... — rzekł Borowicz.

— No, jak ja strzelę w zęby Pazura, to jemu się zaraz odechce. Akurat mu się dam... Jeszcze czego... na gólkę...

— Cicho bądź, bo usłyszają i dopiero!...

— Kto usłysz, *kapcanie*? A zresztą — to niech słyszą. Myślisz, żebym nie chciał się stąd wydostać? Daj Boże, żeby nas *wytrzyli*³⁰⁴! Już mam tej sztuby po dziury w nosie.

— Szwarc, stul gębę!

³⁰⁰po raz — dziś: po razie. [przypis edytorski]

³⁰¹na przemiany — dziś: na przemian. [przypis edytorski]

³⁰²dać nogę — uciec. [przypis edytorski]

³⁰³kindżał — daw. broń biała; długi, obosieczny nóż z krótką rękojeścią, używany przez plemiona kaukaskie oraz Turków. [przypis edytorski]

³⁰⁴wytrzylić — usunąć, wydalić. [przypis edytorski]

— Skaranie boskie... — rzekł Szwarz, plując nadzwyczaj daleko. — Jeśli mnie *wytrzną* bez lania, to znowu ojciec będzie na mnie używał, co się zmieści, póki paska starczy. Ja to, wiesz, zawsze mam *pecha*... Choćby i z tą Franią. Chodzę ci za skórą cztery miesiące, odprowadzam ci ją do samych drzwi tej ich pensji — żeby raz na mnie spojrziała! Sanikowski się do niej dwa tygodnie *zapalał* wszystkiego — i na galówce w kościele przez całe nabożeństwo patrzyła na niego...

Borowicz nie podtrzymywał rozmowy, więc się urwała. Około godziny ósmej za szklanymi drzwiami ukazał się pan Majewski, otworzył je, wywołał więźniów na korytarz majestatycznymi gestami i kazał udać się na piętro. Borowicz szedł jak błędny. Nogi plątały się pod nim, myśli niby iskry wśród wichru błyskały i gasły. Martwymi oczyma ujrzał roztwierające się przed nim drzwi głównej kancelarii i wszystkich nauczycieli zgromadzonych przy długim stole okrytym kapą z zielonego sukna. Wskroś mózgu jego przerznąła się myśl rozdzierająca jak ostrze noża:

„Sesja na nas...”

Pan Majewski ustawił winowajców w pobliżu stołu i sam zasiadł. Nastąpiła chwila ciszy, w której ciągu Marcinek słyszał wolne i głucho uderzenia swego serca.

— Borowicz, Szwarz... — rzekł dyrektor głosem zimnym i uroczystym — wiecie dobrze, coście wczoraj zrobili. Nie będę długo z wami rozprawiał. Rada Pedagogiczna wezwała waszych rodziców. Będziecie obydwa wydaleni z gimnazjum, zarówno jak dwaj inni wasi współnicy, ale Rada musi nadto wiedzieć, czy rzeczywiście strzelaliście z pistoletu nabitego prochem, gdyż takie jest co do waszych zeznań wymaganie władzy policyjnej. Szwarz, czy strzelałeś z pistoletu nabitego prochem strzelniczym?

— Jak Boga szczerze kocham, wcale nie strzelałem z żadnego pistoletu! — rzekł Szwarz krótko i wężłowato.

Marcinek zmiarkował, że system obrony przyjęty przez Szwarca jest wariacki i zgubny. Było rzeczą oczywistą, że wypieranie się w żywe oczy nie prowadzi do niczego, a z drugiej strony pod karą infamii³⁰⁵ nie mógł przecie przyznać się do wszystkiego. Czuł, że należy powiedzieć inaczej, ale że jednocześnie należy zaprzeczyć się, ile tylko można, przynajmniej w połowie.

— A ty, Borowicz — zwrócił się do niego dyrektor — przyznajesz się do winy? Czy strzelałeś?

— Tak, panie dyrektorze... — rzekł cicho i głosem pełnym bólesci — strzelałem, ale bez prochu...

Marcinek, wypowiedziawszy te słowa, spojrzał na zgromadzonych pedagogów i osłupiał. Wydało mu się, że ci sprawiedliwi sędziowie zdjęli z twarzy swych surowe maski. Zjadliwy nauczyciel Wielkiewicz, który miał opinię ateusza³⁰⁶ i prawdopodobnie wskutek tego zdegradowany był aż do poziomu profesora geografii, zadął głowę, wsadził na nos binokle, przypatrzył się Borowiczowi i rzekł, gwałtownie machając ręką:

— Słyszane rzeczy... strzelał bez prochu. Co za bezczelny i niebezpieczny konspirator! Nagle cała belferia wybuchła głośnie, niepowstrzymanym śmiechem.

Dyrektor usiłował zachować godność, ale i on trząść się zaczął.

Obydwu podsądnych wyrzucono za drzwi i wręczono Pazuruowi, który ich znowu do kozy zamknął.

Gdy rozpoczęły się lekcje, polecono im iść do klasy. Tam usłyszeli wyrok, że skazani są w drodze wielkiej łaski jeszcze na długą skórę o chlebie i wodzie.

Wszystkie te kataklizmy i przejścia strasznie przygnębiająco oddziaływały na Marcinka. To, że go nie wydalono z gimnazjum, przypisał w głębi swego serca wstawiennictwu matki.

Zaraz też po zupełnym opuszczeniu kozy poszedł do kościoła.

Odwieczna katedra była pusta zupełnie. Zimny mrok zaścierał jej całą nawę i kąty, a Marcinek szukał jeszcze bardziej skrytego miejsca. Znalazł je w ciemnym przejściu pod chórem.

Był tam rodzaj krypty, w której głębi znajdowały się drzwi prowadzące do wielkiego organu wprost z kościoła.

Sąd, Uczeń, Nauczyciel,
Szkoła, Wina, Śmiech

Modlitwa, Świątynia

³⁰⁵*infamia* (łac.) — hańba, niesława. [przypis edytorski]

³⁰⁶*ateusz* (daw.) — ateista; osoba nie wierząca w istnienie Boga (bogów). [przypis edytorski]

Stały w tym miejscu skrzynie ze świecami, chowano tam schodki, drabinki, jakieś stare ornamenty i inne rupiecie kruchciane.

Marcinek upadł na kolana w tym mroku, przytulił twarz do zimnych kamieni i począł żarliwie się modlić.

Dopiero pan Rozwora, główny kościelny i najgłówniejszy w całym mieście tabaczarz³⁰⁷, dzwoniąc kluczami na znak, że się kościół pod wieczór zamyka, wystraszył go z kryjówki.

Nazajutrz wczesnym rankiem znowu Borowicz klęczał w tym samym miejscu. Odtąd wstawał wcześniej i przed lekcjami zawsze zmierzał na swe miejsce pod chórem. Pewnego razu klęcząc tam, wysłuchał kazania, jakie do wiernych miał jeden z wikariuszów, księżyna stary i wielki prostaczek. Nauczał on dnia tego przeważnie służące i motłoch rzemieślniczy, jak należy przymuszać się do modlitwy. Prostymi i niemal śmiesznymi zwrotami mowy zapewniał, że modlitwa na początku człowieka nudzi i mierzi³⁰⁸, potem wchodzi w nałóg, a wreszcie zacznie być przyjemna jak czysta i cała koszula dla nędzarza, który chodził w zgnojonym łachmanie i którego wszy jadły. Marcinek wziął do serca tę naukę i począł zaprawiać się do modlitwy. Zrazu odmawiał jeden tylko pacierz, później szeptał ich kilka na różne intencje; z czasem dobre i złe stopnie, dobre lub złe rozwiązanie zadań, wreszcie wszelkie zjawiska życia, wszystkie wypadki stały się w jego umyśle zależnymi od modłów porannych.

Taki był zewnętrzny kształt tego stanu ducha. W gruncie rzeczy religijność była jakby zbudzeniem się do życia istoty martwej. Jak na wiosnę z nagiego gruntu wyrasta niespodziewanie, na oko z niczego, pęd kwiatu, idzie za słońcem i otwiera ku niemu swój kielich, tak w duszy Marcinka z niczego wyrosło uczucie nieznane, cudowny kwiat wieku dziecięcego: ufność. Roztoczyła ona dokoła chłopca jak gdyby nadziemski zapach. Wszystko było zrozumiałe i wytłumaczone w tej zaczarowanej krainie, wszelkie zjawiska i rzeczy objęte były przedziwnym systematem filozoficznym, którego punktem wyjścia był — pacierz. Nic się tam nie działo bez przyczyny, każdy wypadek był rezultatem jakichś dobrych lub złych uczynków, czasami był karą albo nagrodą za dobre albo złe myśli, nieraz za marzenia, czyste jak pierwszy śnieg, które w tamtym kraju nazywały się zbrodniami... Jezus Chrystus, którego skroń skrwawiona zwieszała się w stronę krypty w najbliższym od niej ołtarzu — zdawał się nakłaniać ucha i słuchać nieskończonych modłów. Im więcej wypowiadały ich usta dziecięce, tym więcej było ich w sercu. Za pacierzami szły pospolite prośby o rzeczy małej wagi, przedziwne umowy i ślubowania, nieraz bardzo pokorne wyrzuty i skargi. Dziwna siła ciągnęła wszystkie myśli chłopca coraz dalej i dalej, wywierała na jego postępowanie wpływ bezwarunkowy, zmuszała go np. do forsownego wyuczania się lekcji nie dla nauki ani dobrych stopni, ale dla jakichś zaziemskich potrzeb serca.

Nade wszystko — ta pobożność słodziła sieroctwo Marcinka. Nie był wówczas sam jak dawniej, nie czuł żadnego opuszczenia. Jego zmarła matka — żyła, wiedziała o wszystkich troskach, smutkach i radościach. Nieraz odzywał się w głębi jego duszy jej głos jako dobre postanowienie albo trzymał go niby ręką. Marcinek nie miał wówczas dawniej odczuwanych niepokojów i żalów. Wśród trwóg, w jakie obfituje szkoła rosyjska, w głębi nocy sierocych wiedział dobrze, że mu włos z głowy nie spadnie. Był to cudowny sen na łonie Boga.

Codziennie o tej samej porze do tejże kruchty przychodziło pewne „indywiduum”. Indywiduum pobierało w rządzie gubernialnym 20 rubli srebrem miesięcznej pensji, miało całą kohortę³⁰⁹ „drugorocznych” synów w rozmaitych klasach gimnazjum, miało nadto surducinę³¹⁰ wytartą do ostatniej nitki, krótkie spodnie z drelchu³¹¹ wypchnięte na kolanach, buty obciążone tak wielką ilością przyszczypków, że pod nimi istotna postać tych butów zginęła — rzadko kiedy goloną brodę i siwe oczy, smutne aż do śmierci. Indywiduum nie klękało, lecz zajmując miejsca jak najmniej na rożku skrzyni ze świecami, opierało głowę na rękach i modliło się aż do godziny ósmej. Nikłe promyki wczesne-

Religia, Pobożność,
Modlitwa, Samotność

³⁰⁷tabaczarz — osoba zażywająca nałogowo tabakę. [przypis edytorski]

³⁰⁸mierzić — odstręczać, odrzucać. [przypis edytorski]

³⁰⁹kohorta — grupa, oddział; w staroż. Rzymie oddział wojska, dziesięć kohort składało się na legion. [przypis edytorski]

³¹⁰surdut — daw. męski strój wizytowy; rodzaj długiej marynarki. [przypis edytorski]

³¹¹drelch — rodzaj mocnej, grubej, lnianej tkaniny. [przypis edytorski]

go słońca, które przebiwszy kolorowe szyby wysoko umieszczonych okien wchodziły do ciemnego przejścia, oświetlały łysą czaszkę i uwiędłą szyję starego człowieka. Jego suknia znoszona ginęła w mroku, jego ciężkie ubóstwo znikało i Marcinek, niezdolny jeszcze do pojmwania niedoli ludzkiej, widział obok siebie tylko współtowarzysza w modlitwie.

Nigdy do siebie nie mówili słowa, nie mieli by zresztą o czym mówić ze sobą.

Raz tylko, idąc ze szkoły, Marcinek spotkał na ulicy swego znajomego z kruchty. W świetle dziennym twarz starego pana wydała mu się daleko mizerniejsza i odzież jeszcze bardziej zniszczona. Krok jego był bardziej ociężały, głowa na piersi zwieszona. Dźwigał pod pachą jakieś zawiniątko w starej serwecie i przesuwiał się obok murów ulicy. Wymijając Marcinka, podniósł oczy i wtedy bezgranicznie smutna twarz jego rozjaśniła się przedziwnym uśmiechem.

Marcinkowi zaćmiły się oczy łzami szczególnego wzruszenia. W ciągu przelotnej minuty miał jakby zachwycenie. Uczuł, że kiedy dusze cnotliwych ludzi po życiu wśród cierpienia opuszczają tę ziemię i u tronu Przedwiecznego spotykają się ze sobą, to takimi anielskimi uśmiechami muszą się witać i pozdrawiać nawzajem.

X

Po ukończeniu egzaminów i otrzymaniu przejścia z klasy czwartej do piątej Marcinek spędzał wakacje, jak zwykle, w Gawronkach. Stary pan Borowicz już był wówczas znacznie posunął się w lata³¹², gospodarstwo na folwarku szło gorzej, a w domu widać było z wolna idącą ruinę. Jedzenie gotowała stara kucharka, która onego czasu niańczyła Marcinka, a gotowała, jak jej się żywnie podobało. Talerze były wyszczerbione, łyżki, noże i widelce ginęły, a pozostałe były karykaturami zaginionych. Starszy pan prowadził nieustanną walkę z Małgorzatą, ale irytował się na próżno. W domu coraz bardziej widzieć się dawał brak bielizny, odzieży, najprostszych wygod. Nawet same sprzęty w mieszkaniu przybrały wyraz dziwnego zaniedbania i opuszczenia.

W pokoju najobszerniejszym, który ze względu na obecność w nim garnituru³¹³ starych mebli z wyprawy nieboszczki matki Marcinka nazywany był bawialnym, portrety sztychowane marszałków francuskich, Kościuszki, księcia Józefa — okrył kurz nieprzenikniony; na krzesłach wisiały pokrowce zbrudzone do szczytu przez ogary i jamniki, które obrały sobie tutaj legowiska i zajmowały je ze stanowczością bezwzględna. W „serwantce”³¹⁴ pełnej niegdyś różnych cacek pamiątkowych, szyby „ktoś” powybił, a ze sprzączek nie zostawił ani jednego. Nie lepiej było przed domem. Obok ganku, gdzie za życia nieboszczki było mnóstwo klombów z kwiatami tak pięknymi, że o nich mówiono w całej okolicy — nie było nie tylko kwiatów, ale nawet klombów. Prosięta rozkopały cały ogród kwiatowy, krowy i źrebięta porozwalały tu i ówdzie sztachety... Tylko bujna rezeda zasiewająca się sama naokół pachniała mocno jak dawniej i ten jej zapach przywitał Marcina niby wspomnienie matki, kiedy przybywszy na wakacje, stanął w oknie wieczorem.

Był to koniec czerwca, czas sianokosu. Zaraz nazajutrz o świcie starszy pan zbudził Marcinka i kazał mu iść na łąki do „pilnowania” kosiarzy. Kiedy zaś panicz, przybrany w buty z długimi cholewami i stary „cywilny” kapelusz, miał wyjść z domu, ojciec założył mu na ramię dubeltówkę i torbę myśliwską pełną śrutu, prochu, kapiszonów i paku. Marcinek rzucił się do rąk ojcowskich: dotychczas wolno mu było nosić tę dubeltówkę, ale tylko wtedy, gdy nie była nabita — i czasami trafiać do celu.

— A przecie nie wystrzelaj mi wszystkich kaczek, niechże choć z jedna pozostanie na mój strzał... — rzekł starszy pan, kiedy już Marcinek zbiegł ze wzgórza ogrodowego, dążąc na groblę³¹⁵.

Tuż za ogrodem rozciągał się duży staw zarosły grzybieniem, tatarakiem, wysokimi sitami i rokitiną. Do stawu wpływała rzeka jak długi wąż, licznymi zakrętami wijąca się przez łąki. Ze wzgórz otaczających płynęły do niej potoki, a obok każdego z nich kwitły rozkoszne dolinki, pełne bujnych brzoź, malin, tarniny, jeżyn, traw sięgających do

³¹²posunąć się w lata — zestarzeć się. [przypis edytorski]

³¹³garnitur — tu: zestaw. [przypis edytorski]

³¹⁴serwantka (z fr.) — oszklona szafka, służąca do przechowywania szkła, porcelany, drobnych ozdób. [przypis edytorski]

³¹⁵grobla — sztucznie usypany wał ziemny rozdzielający zbiorniki wodne. [przypis edytorski]

Dom, Gospodarz,
Gospodyni, Sługa, Upadek

pasa i kwiatów najcudniejszych na ziemi. W pewnych miejscach strumień ginał zupełnie w głębi krzewów i słycać było tylko cichy szmer jego, podobny do wesołego śmiechu istoty żywej i pełnej szczęścia. Trzeba było rozgarnąć mokre gałęzie, ażeby dojrzeć czystą strugę, po której dnie pełzały duże, czarne raki.

Gdy Marcinek biegł nad stawem, dopiero wstawały z wody mgły nocne. Po prawej ręce snuła się polna droga pod górę i widać ją było daleko między jałowcami. Obok zieleń się młode owsy, upstrzone kępami o bujniejszych, prawie czarnych ździebłach, które wystrzeliły z miejsc ugnojonych sownicą — w oddali stała duża, złota niwa pszenicy. Na łąkach lśniła się biała rosa. Słycać już było stamtąd poklepywania kos i echa rozmów. We mgle nakrywającej wodę plusnęły nagle i zerwały się cztery dzikie kaczki, jak duże plamy czarne ukazały się na różowym niebie i szybowwały w przestrzeni, podobne do rozciągniętych krzyżów. Marcinowi serce bić zaczęło i namiętność myśliwska ogarnęła całą jego duszę. Pragnąc wywdziżyć się ojcu za pozwolenie korzystania z broni usiłował sumiennie wypełniać obowiązki dozorca nad kosiarzami. Za najbliższym zakrętem rzeki ukazał się szereg chłopów w koszulach, idących jeden za drugim. Każdy z nich przychylił się z lekka i zabierał kosą spory plac bujnej trawy. Grube, mokre pokosy leżały na podobieństwo zoranych zagonów wzdłuż obnażonego gruntu łąki. Kiedy niekiedy³¹⁶ któryś z kosiarzy zatrzymywał się, wydobywał oselkę z drewnianego kubła przyczepionego z tyłu do paska i obtarłszy kosę trawą, ostrzył ją zgrabnie. Wszyscy robotnicy byli tyłem zwrócenii do ścieżki, po której szedł Marcinek, i nie dostrzegali go wcale. Dopiero gdy ich pozdrowił głosem dosyć nieśmiałym, obejrżeli się i odpowiedzieli chórem:

— Na wieki... A dyć to paniczek Marcin...

Przez chwilę trwała uprzejma pogawędka o tym i o owym.

„Paniczek” przerwał ją wkrótce i oddalił się pod olszyny, a kosiarze zajęli się swoją pracą, spod oka tylko obserwując tak niezwykle zjawisko na łące gawronkowskiej.

Marcin tymczasem zabrał się do badania fuzji. Dla zmanifestowania poniekąd przed chłopami swej wyższości i dojrzewającego wieku wykręcił z luf śrut i powysypywał proch, następnie z wielkim impetem i zbyteczną starannością nabił obie lufy, zdejmował kapiszony i zakładał nowe, z wolna odводził i spuszczał kurki, celował i pompatycznie wieszał broń na ramieniu.

Gdy słońce wyszło zza gór i ukazał się dalszy obszar łąki — nieprzeparta siła ciągnęła go ku oddaleniu. Śliczna dolina zdawała się otwierać przed nim ramiona swych wzgórz; pagórki okryte jałowcami wabiły go ku sobie, a las daleki wzywał.

Sumienny dozorca posunął się o kilka kroków tylko, brzegiem rzeki, ażeby zobaczyć, czy też wszędzie trawa jest równie duża jak w pierwszym zakręcie.

Zaledwie postawił kilka kroków, kiedy spod nóg zerwał mu się bekas, magnął³¹⁷ pierwszego koziołka, drugiego... Marcin porwał za strzelbę i wypalił. Bekas doznał widocznie tak wielkiego przestachu, że wyrzekł się rodzinnej łąki i odleciał w powietrze na niezmierną wysokość.

W Marcinku tymczasem zawrzało. Ruszył jeszcze dalej, trzymając dubeltówkę na pogotowiu. Serce mu biło jak rozkołysany dzwon, w piersiach tchu brakowało.

Skradał się cicho po trawie, bacząc pilnie na zamki swej broni. Rzeka w tych miejscach była dosyć szeroka. Nad jej przejrzystą, ruchomą głębią tańczyło mnóstwo błękitnych łątek³¹⁸, pod słońce widzieć się dawały prawie u samej powierzchni wodnej okonie z czerwonymi pręgami na stalowej łusce i białe, srebrne, tańczące płotki.

Kiedy Marcinek spojrział na jeden z bardziej oddalonych zakrętów, serce w nim zamarło.

Na samym środku płani³¹⁹ wodnej widać było dwie duże dzikie kaczki. Myśliwiec rzucił się natychmiast w trawę i zaczął pełzać, wspierając się na lewej ręce, podczas gdy w prawej ostrożnie i starannie niósł fuzję.

Niestety! — o jakie cztery kroki od krzaczków rokitnicy, które tam rosły na brzegu, dał się słyszeć plusk złowieszczy i melodyjne dzwonienie skrzydeł.

³¹⁶kiedy niekiedy — czasem. [przypis edytorski]

³¹⁷magać (daw.) — szubko przewracać; fikać. [przypis edytorski]

³¹⁸łątki — rodzaj wałki; zamieszkujący brzegi wód i podmokłe okolice owad o smukłym, długim ciele i przezroczystych, błoniastych skrzydłach, zielony a. niebieski, o metalicznym połysku. [przypis edytorski]

³¹⁹płani a. plania — szeroko rozlana, niegłęboka woda; kałuża. [przypis edytorski]

Łzy stanęły w oczach myśliwego, ale oschły natychmiast, gdy kaczki zatoczywszy nad łąką szerokie koło zniżyły lot i zapadły o kilkaset kroków dalej. Od tej chwili Marcinek stracony był dla dozoru najemników gawronkowskich. Kiedy pan Borowicz około godziny siódmej sam przyszedł na łąkę, ledwie mógł już dojrzeć postać swego syna wałęsającego się *na babyku*³²⁰ w wielkiej odległości.

Przebiegłe kaczki literalnie drwiły sobie z najstaranniej obmyślanych podejść strategicznych. W chwili, kiedy trzeba było tylko już podnieść broń do oka i oprzeć lufę na jakimś wygodnym sęcuku, zrywały się hałaśliwie i uciekały coraz dalej w górę rzeki. Z ostatniego wreszcie, nieco szerszego dołka rzeczno zerwały się, nim Borowicz zbliżył się doń na odległość strzału, i poszybowały bezpowrotnie. O kilkaset kroków stamtąd był już las.

Promienie wczesnego słońca padały na zwartą ścianę długich gałęzi świerkowych i cały las mokry jeszcze od rosy mienił się ślicznymi barwami. Rzeka w jego głębi rozlewała się w płytkie smugi, pośród których na kępach rosły olbrzymie, stare olchy. Były tam miejsca prawie niedostępne, obrosłe zwartymi kępami drobnej olszyny i były dziwnie urocze, samotne jeziora, nad których płytką wodą stały wielkie pnie czerwone. Marcinek znał te miejsca od dawna. Ruszył stamtąd na lewo ku niewielkiemu wzgórzu, gdzie wybujały młode zarośla po wyciętym lesie. Niektóre z drzewin witał z uśmiechem radości. Odsłaniały się tam pewne widoki, pewne wysmukłe brzoźki, dla których żywił uczucia więcej niż przyjazne. Lubił je, nie wiedząc o tym, tak głęboko, jakby były częstkami jego istoty, organami jego czującej natury. W kształtach niektórych drzew mieściły się długie historie smutków i radości, całe dzieje przywitań i pożegnań. Niektóre z tych drzew widział z okien domu, będąc niemowlęciem, i postacie ich skojarzyły się na zawsze z owymi pierwszymi wrażeniami, których już pamięć dosięgnąć ani rozum objąć nie jest w stanie. Pewne miejsca i widoki w tych tak zwanych leśnych „odpawkach” były dla niego przejmująco smutne i, nie wiedzieć czemu, budziły jakiś bolesny żal i niepojętą obawę. Drzewa podrosły. Tu i ówdzie ze zdumieniem spostrzegał tęgie pnie, gdzie były ledwo krzaki. Dokoła śpiewało mnóstwo ptaków. Natarczywe srokosze kuły swoje piosenki, w których powtarza się jeden ton pełny i dźwięczący. Ten ton rozbudzał w zaroślach tarniny i pięknych kalin przedziwne echa. Zdawało się, że to on strąca z liści poranną rosę i że ogromne krople dzwonią, lecąc po prętach i po żdźbłach smólek pachnących. Na jałowcach trznadłe zawodziły swe skargi żalonym głosem wołających na puszczy. W pewnym miejscu zerwała się kraska. Jej błękitne skrzydła migające między drzewami zbudziły na nowo myśliwskie instynkta Marcinka. Ale kraska była jeszcze przezorniejsza niż kaczki i znikła w gęstwinie bez śladu. Na skraju lasu słyszeć się dawał nieustanny śpiew:

Oj-da da da-da dy na
Oj-da da da-da da da...

Marcin poszedł w tamtą stronę i zobaczył za krzakami małą dziewczynę, *pasturkę*³²¹. Było to chude, małe i spalone na słońcu. Miało na włosach nigdy nieczesanych usmoloną „szmatkę”, na sobie brudną koszulinę, która się na prawym ramieniu rozlazła — i wystrzępiony *szorc*³²² z grubej wełny. Dziewczynina ta siedziała na murawie z wyciągniętymi nogami, biła patykiem w ziemię i śpiewała sobie jednym głosem, monotonnie jak trznadła, tylko mniej pięknie od niego. Młody panicz postraszył ją, wyskoczywszy z nienacka na pastwisko. Zerwała się na równe nogi, obejrzała zbrojnego przybysza wytrzeszczonymi oczyma, a następnie z głośnym płaczem zaczęła uciekać, przeskakując jak sarna wysokie krzewy i piaki.

Z poręb myśliwiec wkroczył w las i wałęsał się tam do zmierzchu, zapomniawszy o śniadaniu, obiedzie i podwieczorku. Wrócił dopiero nocą i nie dostał od ojca wielkiej nagany. Stara kucharka wyrzekała co prawda wniebogłosy, wspominała o zmarnowanym kurczęciu upieczonym na rożnie, które jakoby pies zjadł pod nieobecność Marcinka, o kawie zgotowanej na próżno, o dziwnej dobroci bułkach — itd. Winowajca słuchał w pokorze klątw starej, wzdychał szczerze i za kurczęciem, i za sałatą, za młodymi kartoflami

³²⁰*na babyku* — na czworakach. [przypis edytorski]

³²¹*pasturka* — pasterka. [przypis edytorski]

³²²*szorc* — zapaska, fartuch. [przypis edytorski]

i garusem³²³, poprzestał jednak na małym, zadowolając się bochenkiem żytniego chleba, niewielką faseczką masła i dzbankiem świeżego mleka.

Od tego dnia zbisurmanił³²⁴ się na dobre. Wstawał o świcie, brał swoją flintę, torbę — i znikał. Na folwarku prawie go nie widziano. Czasami tylko przesunął się na horyzoncie, zazwyczaj przygarbiony, skradając się do jakiegoś zwierza z gatunku turkawki, kukulki, żolny, a nawet srokosza lub trznadla. Trafiały się takie dni, że zjawiał się dopiero przed północą, a nazajutrz znowu wyruszał o świcie. Tylko jakiś daleki strzał w lesie, rozlegając się po górach, dawał znać mieszkańcom Gawronek, w jakich stronach panicz się obraca.

Te strzały nie wywarły zbyt wielkiego wpływu na zmniejszenie się fauny tamtych okolic. Całe myślistwo polegało właściwie na chodzeniu za ptakami. Kraski i grzywacze, żolny i jastrzębie wodziły młodzieńca za nos po wszystkich górach, dokąd by już nawet kulawy pies nie zabłądził. Oprócz nich pędziła go z miejsca na miejsce wiecznie głodna ciekawość. Każde nieznane drzewo dalekie, strumień błyszczący na słońcu w odległości kilku wiorst, siniejące w przestrzeni lasy, góry pokryte jałowcem i smutne gąszcze świerkowe stanowiły dla niego zupełnie nowy, jakby nieodkryty dotąd świat zaczarowany. Było to dziwne zbratanie się z wszelkimi wertepami³²⁵.

Szczególnie wszakże Marcinek polubił — noc. Nie było, zda się, rozkoszy, która by mu starczyła za włóczenie się w zmroku po miejscach odludnych, samotnych i ogarniętych przez ciszę tak wielką, że w niej słyszał było, jak szeleszczą dojrzałe, nieskoszone trawy, jak szemrze woda. Były wówczas księżycowe noce... Ale po cóż silić się na opis nocy tych w tamtym kraju! Jakież język zdoła je wysłowić...

Błądząc tak po okolicy, Marcinek zachodził częstokroć do wsi obszernych, tu i ówdzie rozciągających się u podnóża wzgórz. Wsie te stały zazwyczaj jakby na ogromnych polanach, dokoła których ze wszystkich stron czerniał las jak świat stary. Ludność zamieszkująca te siola³²⁶ odrabiała niegdyś pańszczyznę w odległych dworach, ale, ukryta w lasach, przechowywała prastare obyczaje, wierzenia i prawa. Był to lud zdrowy, silny, żywy i po trosze dziki. Rzadko kiedy z takiego Bukowca, Poręb albo Leszczynowej Góry chodził kto do kościoła, a księża urządzali na te wsie istne oblawy i postrachem tylko ściągali ludzi do spowiedzi wielkanocnej. Grunt na pochyłościach gór był lichej. Toteż chłopci tamtejsi uprawiali rozmaite kunsztu³²⁷. Wszyscy prawie byli kłusownikami, wielu z nich wyrabiało w lasach rządowych potajemnie gonty, inni trudnili się struganiem łyżek, solniczek, szaf, skrzynek, grabi, wideł, kluczy drewnianych do chat itd.

W pewnej wiosce robiono dość ładne krzeselka i ławki ozdobne. Istniał tam jak gdyby na niepisanej umowie ufundowany podział zarobków. Jeżeli np. ktoś zajmował się łowieniem kwiczołów w sidła, sprzedawał je w mieście i żył z tego, to nikt inny we wsi nie miał prawa z nim na tym polu do konkurencji stawać pod karą bicia. A bito srogo. Gdy wieś biła złodzieja albo winowajcę, to kółkami i na śmierć.

Prawo bicia i inne prawa publiczne tyczyły się jednak gminu pospolitego i nie obowiązywały wiejskich geniuszów.

W Bukowcu mieszkał chłop nazwiskiem Scubioła, który nie przeszkadzając nikomu w pracy zawodowej, wywłaszczył z siedzib bardzo wielu współobywateli, a innych ciężko ujarzmił. Miał kilkaset morgów gruntu, kilkadziesiąt sztuk bydła, duże, folwarczne budynki, dom mieszkalny z gankiem i wielkimi szybami w oknach, w izbie podłogę i zegar. Pożyczał każdemu, kto się tylko do niego zgłosił, a *precent*³²⁸ wybierał w postaci płodów naturalnych. Brał tedy owies, len, wyroby drewniane, płótno zgrzebne, zwierzynę, grzyby, jagody, żądał wreszcie w procencie roboty na swojej roli. Wielu z biedniejszych włościan było na własnym swym gruncie parobkami Scubioły. Zabierał on im z tego gruntu wszystko, cokolwiek na nim wyrosło zasiane i wypielęgnowane ich rękoma. Sam chodził w polataney i brudnej koszuli, a nawet wybrawszy się do miasta nie kładł³²⁹ butów.

³²³garus — zupa owocowa. [przypis edytorski]

³²⁴zbisurmanić się — przen.: stać się niesfornym, nieokiełznanym; zacząć łobuzować. [przypis edytorski]

³²⁵wertepy — wyboisty, trudny do przebycia teren. [przypis edytorski]

³²⁶siolo — wieś. [przypis edytorski]

³²⁷kunszt — tu: rzemiosło, umiejętność. [przypis edytorski]

³²⁸precent — popr. procent. [przypis edytorski]

³²⁹kłaść buty — tu: zakładać buty. [przypis edytorski]

Bez wątpienia najuboższą wioską w okolicy były same Gawronki. Przysiółek ten liczył ogółem osiemnaście dymów³³⁰. Żaden z gospodarzy nie miał tam więcej nad trzy morgi gruntu, najędźniejszego pod słońcem. Na tym ich *ukaz*³³¹ zastał i pozostawił własnemu przemysłowi³³². W całej wsi ani jeden gospodarz nie miał nie tylko szkapę, ale nawet źrebicę; niektórzy posiadali krowy, jałówki i cielęta, a jeden z kolonistów, Lejba Koniecpolski, posiadał tylko dwie brodate kozy. Krowy, cielęta i kozy mieszkaly zimową porą w izbach pospołu z ludźmi, toteż ludzie tamtejsi wyglądali niezbyt pociągająco. Gdyby się nieboszczyk Liwiusz³³³ zbudził pewnego pięknego poranku i znalazł w Gawronkach, zobaczyłby znowu na świecie to samo i musiałby powtórnie z niesmakiem napisać: „*obsita... squalore vestis, foedior corporis habitus pallore ac macie perempti*”³³⁴...” Grunta mieszkańców Gawronek leżały pod górą. Wody pędzące z tej góry myły przez wieki glebę urodzajną i odkrywały opokę, składającą się z samych czerwonych kamyków, tak pracowicie, że kiedy cywilizacja po długim stękanu i srogich bólach spłodziła *ukaz* i wolnym obywatelom gawronkowskim oddała nareszcie kamyki wraz z większymi kamieniami — nie było tam już właściwie w czym gmerać.

Gdy nadchodził czas orki, wszyscy gawronczanie udawali się w próśby do Scubioły. On chętnie użyczał pary koni, parobka — i z kolei obrabiał jedno półko po drugim. W zamian za tę usługę brał znowu rozmaity *precent*. Lejba Koniecpolski nie korzystał z łask Scubioły, gdyż od niego mało co wziąć było można. Toteż skulony, chudy i biedny Lejba uprawiał grunt odziedziczony sam, literalnie: sam. Do orki pożyczał krowy od sąsiada Piątka, a do brony zaprzęgał sam siebie albo swą żonę. Źle oni jednak i orali, i bronowali swe dziedzictwo. Owies był nędzny, kilka zagonków żyta nigdy nie zwracało wsianego ziarna, tylko litościwy ziemniak żywił rodzinę. A rodzina Koniecpolskich była bardzo liczna. W skrzywionej chacie, obok której nie było ani stodoły, ani chlewa, ani płotu, ani kółka, ani nawet wyższego badyła ostu, mieściła się jedna, jedyna izba pełna dzieci. Gdyby do tej izby przybyło jeszcze jedno dziecko albo jedna koza — już by zapewne czarna chałupa rozpełkała się na dwoje.

Lejba był rzemieślnikiem. Wyrabiał trepy o drewnianej podeszwie z przyszwą ze starego rzemienia, okrywając palce i część stopy. W zimie mały Lejba biegał po wsiach od chaty do chaty i skupywał stare chłopskie buciska. Czasami tu i ówdzie dostał jakiś stary but za darmo, kiedy niekiedy bowiem zlituje się dobry człowiek nad drugim człowiekiem, nawet nad Lejbą Koniecpolskim... Gdy zgromadził dosyć materiału, szedł do lasu rządowego i ścinał w nocy dużą osikę. Następnie zaprzęgał się z żoną do małego wózka i drzewo porąbane na kawałki przyciągał kryjomo³³⁵ nocami do chałupy. Z tego materiału strugał podeszwy. Na wiosnę zaczęli ludzie dowiadywać się u Lejby o trepy. I szedł handel, wpływało nieco grosza na życie przez kwiecień i maj. Jednakże gdy nadchodził czerwiec i tamtejszy, gawronkowski przednówek — z Lejbą bywało bardzo kiepsko. Współwyznawcy odczepiali się od niego byle jakim datkiem: dziesiątką, dwudziestoma groszami... Wtedy szedł do miasteczka i już to kupował, już brał, gdy się dało, na kredyt chleb tak zwany żydowski, przynosił do Gawronek kilkanaście bochenków i rozprzedawał sąsiadom, zarabiając dwa grosze na funcie. Tym sposobem zyskiwał dla siebie i swej licznej rodziny dwa, czasami trzy bochenki. Nie ta wszakże pora roku była w życiu Lejby najgorsza. Straszny czas nastawał wówczas dopiero, gdy prawie wszyscy mieszkańcy wioski, kto tylko posiadał jakie takie siły, szli *na bandos*³³⁶, „w pszenne kraje”. Chałupy zamykano na klucz i zostawiano na boskiej opatrności w nadziei, że nic im się złego nie stanie, a cały tłum wędrował na zarobki. Lejba nie mógł chodzić na bandos, gdyż nie umiał ani dobrze żąć, ani nie posiadał *dobrze szpile*. Zostawał tedy w pustej wsi i wraz z żoną i dziećmi — przymierał głodem. Gdy ludzie wesoło ruszali na roboty, Lejba omdlewał z bólesci.

Żyd, Chłop, Bieda

³³⁰dym — tu: chata, gospodarstwo. [przypis edytorski]

³³¹ukaz (ros.) — rozporządzenie; tu: dotyczące reformy uwłaszczeniowej z r. 1864. [przypis edytorski]

³³²przemysł — tu: spryt, zaradność. [przypis edytorski]

³³³Liwiusz — Titus Livius (59 p.n.e.–17 n.e.), historyk rzymski. [przypis edytorski]

³³⁴obsita (...) perempti (łac) — cytat z *Historii* Liwiusza: „odzienie porośnięte brudem, wyniszczone, blade i wyschłe ciało, wstrętne z wejrzenia”. [przypis edytorski]

³³⁵kryjomo — dziś: po kryjomu. [przypis edytorski]

³³⁶na bandos — na roboty sezonowe poza miejscem stałego zamieszkania. [przypis edytorski]

Wówczas to właśnie zdarzało się Marcinkowi spotykać często tego człowieka ze zgasłą twarzą i zapłakаныmi oczyma wśród zbóż dojrzewających.

Najbardziej znaną osobistością nie tylko w Gawronkach, ale w całej okolicy był Szymon Noga. Zнали go panowie w odległych dworach, urzędy leśne i kupcy w Klerykowie. Był to strzelec niezrównany, w sztuce łowieckiej mistrz istotny. Za swych lat młodszych chodził na polowaniach o zakład ze szlachtą, że pięcioma strzałami zrzuci w locie pięć z rzędu jaskółek — i wygrywał. Gdyby go nie strzeżono jak oka w głowie, wybiłby był co do jednego bekasy, kszuki, kuropatwy, przepiórki tak zupełnie, jak wyniszczył w lasach jarząbki. Dawniejszymi czasy znikał na całe miesiące, szedł lasami, wabił jarząbki i wybijał je co do sztuki. Pokazywał się dopiero w Klerykowie u znajomych kupców z workami ptactwa. Jeżeli gdziekolwiek zjawiała się para sarn wędrownych, już im Noga życia nie darował. Szedł za nimi póty, aż je zgładził ze świata. Nikt nie znał lepiej od niego wszelkiego rodzaju podkurzania borsuków i lisów, wykopywania z jam zajęcy, które by się tam przed pościgiem ogarów schroniły itd., nikt wreszcie nie znał tak świata zwierząt jak ten ich tępicieł. Był to chłop w latach, wysoki, chudy, z przymrużonymi oczyma i wiecznym, przyjemnym uśmiechem na wargach. Marcinek lubił go zawsze nad wyraz od wczesnego dzieciństwa. Noga umiał opowiadać przepyszne facecje³³⁷ z życia zwierzęcego, znał nie tylko naturę lisią, zajęczą itd., ale nadto w całej okolicy umiał wskazać miejsce, gdzie należy stanąć, jeżeli się chce spotkać z „małym”.

— No, stary zbój — pytał pan Borowicz, spotkawszy Nogę na polu — jużś wszystko wybił co do joty? Jest tam gdzie jeszcze jaka zajęczyna żywa?

— Dużo nie ma, bo teraz to już wszyscy paprzą, ale się jeszcze trafi, Bogu dziękować. Na Józefowej górze jest ten stary zajęc, co go to pan zeszłego roku postrzelił w wątrobę. Stary już, zdrowia wielkiego nie ma, pod górę na ostre, jak to dawniej umiał, już teraz z ledwością idzie, ale ta jeszcze łązi. Na smugu było ich dwu. Jeden to nawet był kotek *śwarny*³³⁸, ale teraz już go jakoś nie widuję. Czyby go zaś kto uszkodził? A może się i przeląkł młodego pana, bo gdzież to *tyłośny*³³⁹ hałas jak w powstanie...

— A tobie w to graj! Teraz choćbyś dziesięć razy na dzień strzelił, to powiesz, że to młody z Gawronek tak proch psuje.

— E... czasem to pan wielmożny tak powie... — mówił z uśmiechem Noga, mrugając powiekami. — Gdzieżby zaś stary myśliwiec na początku lipca do kotka strzelił? Nie bolałoby mię to serce! Przecie i tę fuzyjczynę mi zabrał Wasilew...

— Ty mnie okłamuj! Ludzie na przednówku, a ty, chwalić Boga, jakoś nie mizerniejsz. To te smaczne młode zajęczki tak widać człowiekowi na zdrowie idą.

— Widzicież wy, moi ludzie... A i miałbym ja sumienie! Przecie ja tu mam koło dłoni taką dziureczkę. Jak mi się jeść zachce, to se tylko ssać pocznę godzinę czasu — i zgoda.

Noga nie chodził na roboty z bandosami, gdyż utrzymywał, że ma kość w ręce postrzeloną i wskutek tego nie może się schylać. Wysyłał żonę i córkę, a sam siedział w domu i nic nie robił. Czasami łowił sobie raki w rzece, a wieczorem nikt by go w chacie nie zastał.

Marcinek odwiedzał go codziennie i nieraz wyciągał do lasu albo na pola. Noga szedł bez strzelby i opowiadał przeróżne historie. Gdy nadchodziło południe, obydwaj szli do lasu, kładli się w głuchym cieniu, Marcinek wydobywał z torby chleb, masło, jakiś kawałek mięsa i dzielił się z towarzyszem. Pewnego razu, gdy tak leżeli na skraju lasu w pobliżu drogi przecinającej okolicę, Noga mówił:

— W tym miejscu to tak samo bywały różności...

— No? — zapytał Marcinek.

— Był w Marsławicach chłop, nazywał się Kostur. To samo myśliwiec był nie byle jaki. Już dawno umarł. Mieli ten Kostur fuzyjczynę lichą, powiazaną, z kurkiem jak kobylica³⁴⁰, a swoim porządkiem, jak ta oni strzelili, to już się było po co schylić. Przyszło powstanie, Polaki stały w lesie. Szedł se raz ten Kostur drogą od Cieplaków, a swoją fuzyjczynę miał pod sukmaną, i przyszedł akurat w to miejsce. Patrzy: — jadą dwa Moskale na koniach i prowadzą między sobą powstańca, przywiązanego do obu koni postronkami. Zdarły

³³⁷facecje — rzeczy wymyślne, niezwykle i wesołe. [przypis edytorski]

³³⁸kotek *śwarny* — zwinny zajęczek. [przypis edytorski]

³³⁹tyłośny — wielki. [przypis edytorski]

³⁴⁰kobylica — kłoda. [przypis edytorski]

z niego widać odzienie szlacheckie, bo był tylko w koszuli i boso. Jadą te rabusie, mówię paniczкови, dobrym truchtem, a co ten nie może nadążyć, to go albo jeden, albo drugi zdzieli nahają³⁴¹ bez łeb, bez gębę, gdzie popadnie. Plecy to mu tak przecie zerznąły, że całą koszulę miał czerwoną, a krew aż mu nogawkami portek ciekła i zostawał po nim na piachu dobrze farbowany trop nikiem³⁴² po trafionym rogaczu. Wzięli ten Kostur i pomyśleli se: „a i dokądże te psiekrwie będą prały takiego chudziaka? Widzieliście wy, moi ludzie!” Ckliwo³⁴³ im się zrobiło i tak se założyli: jak albo jeden, albo drugi go tknie, to wyrznię do juchów³⁴⁴! Ano i akurat rypnął go jeden nahają za to, że upadł gębą na ziemię. Kostur wzięli na oko i plunęli. Zaraz rabuś machnął kozła pod konia, a drugi w *try miga*³⁴⁵ odwiązał powstańca i uciekł w górę drogą co koń skoczy. Oni to samo poszli w gęstą knieję i dopiero nad wieczorkiem wrócili się w to miejsce. Kozuń³⁴⁶ leżał nieżywy, ale i powstaniec uświerk³⁴⁷ niedaleko od niego. Tylko się dowlókl *na balyku* do tamtego świerka. Tam go wzięli Kostur i pochowali wieczorem. Widzi paniczek onę pasyjkę na *rsioku*³⁴⁸? Ona ta nad nim stoi...

W istocie — czarny, spróchniały krzyż czerniał wysoko na drzewie.

— Kostur opatrzyli rabusia — mówił dalej Noga — i znaleźli przy nim pieniądze. Zasmakowało im toto wszystko i od tego czasu chodzili często gęsto na rabusiów. Choćby cała sotnia³⁴⁹ szła razem, to jak oni z tamtego miejsca wygarnęli, zaraz uciekały co pary w szkapskach. Powiadali nama dużo potem na polowaniach, że przy każdym rabusiu, co został na placu, bywały pieniądze...

Marcinka niewiele obchodziły te historie. Jego „przekonania polityczne” były mdłym odglosem nauk radcy Somonowicza i echem goryczy ojca, który w powstaniu stracił fortunę pradiadowską, nasiedział się w więzieniach i doznał krzywd od wodzów rewolucji.

Toteż mały Borowicz chętniej wołał rozprawiać z Nogą o polowaniu niż słuchać niewesołych historii. Gdy zaś stary raubszy³⁵⁰ nie mógł dla jakichkolwiek przyczyn ruszyć się z domu, Marcinek wszystek czas wolny od włóczęgi po okolicy spędzał w swojej altanie.

Wkrótce po przyjeździe na wakacje wynalazł był znakomite miejsce i urządził z nakładem niemałego trudu samotne schronisko.

Zbocze najbliższego wąwozu, wysokie na kilkadziesiąt łokci, porastały ogromnie gęste zarośla tarek, leszczyny, jeżyn, kaliny i jałowcu. Wszystkie te krzaki oplatał dziki chmiel, tworząc z tego miejsca istną dziewczicą puszcę, żadna bowiem noga ludzka nie była w stanie przekroczyć tych zarośli.

U stóp urwiska biło w cieniu wielkich drzew źródło wody bardzo dobrej — i rozlewało się naokół w topiel błotnistą. Na brzegach stoku rosły wodne marki i wielkie, soczyste szczawie, o pustych wewnątrz słupach, których używano za cewki do ssania wody ze źródła, gdy kto spragniony tam zaszedł, a nie chciał kłaść się na brzegu błotnistym i pić wodę z chłopska, wprost ustami.

Do źródła szło się po wielkich, płaskich kamieniach, rzuconych przez kogoś w czasie bardzo zamierzchłym.

Marcinek rozkochał się w tym miejscu dla jego dziwnego uroku i samotności. Od wody wprost pod górę, pracując rydłem, siekierą i motyką, wyprowadził ścieżeczkę tak wąską i zamaskowaną krzewami, że jej żadne oko wytropić nie mogło — a w odległości kilkudziesięciu kroków, pod szczytem, w największej gęstwinie sformował altanę. Wierzchołki krzaków, stokroć przeplecione niemi chmielu, tworzyły istne wieko nieprzemakalne. W półokrągłej pieczarze z okrzesej tarniny Marcin wykopał w ziemi zagłębienie i zbudował na poły z murawy, na poły z kamieni, przydźwiganych z daleka, szeroką ławę i skrytkę. W skrytce misternie zatatranej ziemią mieściły się romanse pornograficzne, które podówczas klasa czwarta namiętnie czytała, a oprócz tego scyzo-

Powstanie, Powstaniec,
Polityka, Polak

³⁴¹nabaja a. nabajka — skórzany, pleciony z rzemieni bicz z krótką rękojeścią. [przypis edytorski]

³⁴²nikiej — niczym; tak jak. [przypis edytorski]

³⁴³ckliwo — rzewnie; łzawo. [przypis edytorski]

³⁴⁴jucha — rodzaj przekleństwa, wyzwisko. [przypis edytorski]

³⁴⁵w try miga (z ros.) — w mgnieniu oka. [przypis edytorski]

³⁴⁶kozun — kozak. [przypis edytorski]

³⁴⁷uświerknąć — skonać. [przypis edytorski]

³⁴⁸rsiok — jodła a. świerk (drzewo iglaste). [przypis edytorski]

³⁴⁹sotnia — oddział złożony ze stu żołnierzy. [przypis edytorski]

³⁵⁰raubszy (z niem.) — kłusownik. [przypis edytorski]

ryk z długim ostrzem, bokser³⁵¹, śrut, kapiszony, szpagaty³⁵² i gwoździe... Do altanki Marcinek wchodził zawsze chyłkiem, czego wymagała zarówno ostrożność, jak natura ścieżki idącej pod krzakami tarniny. Znalazłszy się w kryjówce już to czytał po raz setny i tysiączny nieprzyzwoite ustępy zakreślone niebieskim ołówkiem przez kompetentnych poprzedników, już oddawał się beczynom i marzeniom licha wie o czym. Śniły mu się na jawie to jakieś fantastyczne aż do absurdu sceny lubieżne, to znowu bitwy, podróże, wyprawy do Ameryki, awanturnicze przedsięwzięcia na jakichś stepach, burze morskie, kolosalne zwycięstwa, odnoszone nie tylko nad Czerwonoskórcami, ale także i nad Turkami.

Od pewnego czasu Noga ciągle napomykał o głuszcach, które według niego miały gnieździć się w pewnym smugu, znanym tylko jemu jednemu. Obiecał nawet, że gdy nadejdzie jakiś tajemniczy dzień na nowiu, zaprowadzi młodego myśliwego i nauczy go wabić owe głuszce, pod warunkiem, żeby nikomu, dla zachowania sprawy w tajemnicy przed urzędem leśnym, słowa o tym nie mówić.

Marcinek z najwyższą niecierpliwością czekał dnia oznaczonego, gdyż głuszce, według opowieści Nogi, miały to być ptaki ogromne, wielkości tuczonego indora i niesłychanie rzadkie w tamtejszych lasach. Nareszcie po długim oczekiwaniu zbliżył się termin wyprawy. Już na kilka dni przedtem Noga kazał Marcinkowi kupić wódki, wysmarować nią dubeltówkę, torbę i siebie samego, gdyż te ptaszyska miały nadzwyczajnie ciągnąć do zapachu gorzałki. Marcinek sumiennie, a nawet z niejaką przesadą spełnił polecenie swego mentora. W dniu oznaczonym skoro świt Noga już czekał na brzegu leśnym. Marcinek stosownie do jego polecenia kupił w karczmie, zachowując sekret przed ojcem, pół garnca mocnej wódki, wziął ze spiżarni całą kielbasę, bochenek chleba, ser suchy i sporo masła, gdyż wyprawa miała trwać aż do wieczora.

Gdy to wszystko przyniósł, Noga odkorkował butelkę, powąchał gorzalczynę i zawyrokował, że „ma wiatr i będzie ciągnęła”, później kazał Marcinkowi troszkę się napić, odejść w krzaki, rozebrać się do naga i wysmarować znowu gorzałką. Zaraz po nim uczynił to samo i nacierał się w zaroślach dosyć długo. Wkrótce potem weszli w las i żwawo ruszyli pod górę Józefowa. Szli długo różnymi przesmykami. Dopiero w pewnym miejscu przesłicznym, wśród gąszczu sosen o pniach czerwonych, Noga się zatrzymał, wybrał doskonale ocieniony zagajnik i tam usiadł na ziemi. Z wielkimi ceregielami i obrzędami wyjął następnie z zanadza jakąś maszynkę, wziął w usta jej zakończenie z piórka i począł wydobywać dwa rodzaje dźwięków: monotonne pogwizdywanie z trzech taktów i bełkot chrapliwy. Trwało to dosyć długo. Noga miał minę kapłana sprawującego tajemniczy obrządek. Czasami przerywał, zsuwał brwi i słuchał, uważnie patrząc w głębinę leśną. Marcinkowi serce biło jak młotem. Siedział pod jałowcami, które go kłuły w szyję tysiącem swych igieł, miał dubeltówkę w pogotowiu i słuchał również. Las milczał. Czasami w jego tajemniczej odległości brzmiał jakiś głos niepojęty, zabłąkane echo z innej kniei, jak westchnienie latające po puszczy, niekiedy krzyk jakiegoś ptaka przerywał zupełną ciszę i drżący zamierał w oddali. Blask słoneczny sączył się na ziemię przez gęste zwalę koron sosnowych i białymi plamami płynął po leśnych trawach i ziołach. Małe zięby pogwizdywały z cicha ponad głowami myśliwych, jakby były zupełnie spokojne, że o nie troszczyć się ani kusić nikt nie będzie. Dopiero koło południa Noga przestał wabić głuszce i rzekł ze smutkiem w głosie:

— Psiatreść! Widać się dalej wyniosły. Daj mi paniczek przekąsić skibeczkę chleba, bo mię tak zeczczyło od tej gorzałki, że o kęs... Nie lubię ja tego gorzalczyska...

Marcinek uczył towarzysza wszystkim, co było, a sam zadowolili się małym kawałeczkiem chleba i kielbasy. Posiliwszy się, Noga wstał i oświadczył, że trzeba się rozpatrzeć w okolicy. Poszli znowu nieco wyżej w górę. Chłop ciągle przystawał z tyłu za Marcinkiem i rozglądał się. W pewnym miejscu coś dostrzegł, kazał Marcinkowi niezwłocznie usiąść na ziemi, dał mu ową maszynkę do wabienia i polecił w nią dmuchać. Młody Borowicz spełnił jego rozkaz i z łatwością wydobywał owe dwa głosy wabiące. Noga tymczasem odszedł, szepcząc mu na ucho:

³⁵¹bokser — tu: metalowe okucie na dłoni używane w bójkach. [przypis edytorski]

³⁵²szpagat — tu: sznur. [przypis edytorski]

— Niech panicz nie pyta nic, tylko ciągle gwizdże, choćby najdłużej. *Ony* ta przyjdą na pewno, jużem ich słyszał.

Wskazał ręką kierunek i znikł w zaroślach.

Marcinek z całym pietyzmem i zapalem oddał się wabieniu. Gwizdał godzinę, dwie, trzy, cztery, nie uczuwając wcale znużenia. Raz mu się wydało, że niezmiernie daleko słyszy dźwięk zupełnie podobny do głosu wabika, i wtedy dmuchał ze zdwojonym entuzjazmem. Dopiero gdy po lesie rozszedł się cień odwieczera — począł tracić nadzieję. Szczęki mu ścierpły od nieustannego ich wytężania, więc odpoczywał przez chwilę. Już jednak wkrótce znowu się zabrał do dzieła i wabił aż do zmierzchu. Czerwony blask zachodu przedarł się do głębiny lasu. Była cisza naokół. Marcinek wstał, gdyż utracił był już wszelką nadzieję. Miał zamiar odnaleźć Szymona i wracać. Zaledwie jednak uszedł kilkanaście kroków, usłyszał jakiś głos zupełnie odmienny. Było to zarazem i mocne pogwizdywanie, i coś w rodzaju bełkotu. Marcinek chwycił broń oburącz i krok za krokiem szedł w kierunku tego głosu, pewny, że nareszcie zobaczy głuszca. Dziwny głos rozlegał się ciągle tuż za najbliższymi krzewami. Zachowując śmiertelną ciszę, Marcinek obszedł jedną grubą sosnę, drugą i — wyrzwał za owe sośniaki. Zamiast głuszca ujrzał tam Nogę rozwalonego pod cienistym drzewkiem i chrapiącego z pogwizdywaniem i bełkotem. Obok śpiącego chłopca leżała pusta butla po wódce.

Znacznie później Marcinek dowiedział się, że maszynka służyła do wabienia słomek³⁵³ i że głuszców od wieku w tamtejszych lasach nie było.

XI

Po powrocie z wakacji Borowicz zastał w gimnazjum duże zmiany. Znikł z horyzontu miasta Klerykowa dyrektor gimnazjum, przeszedłszy do emerytury³⁵⁴; przeniesiony został do innej szkoły inspektor, ustąpił zupełnie stary Leim, jeden z pomocników gospodarzy klas i dwaj nauczyciele historii. Na ich miejscu figurował nowy zarząd: dyrektor Kriestobriadnikow, inspektor Zabielskij, nowy nauczyciel łaciny Rosjanin Pietrow, pomocnik gospodarzy klasowych Mieszoczkin i nauczyciel historii Kostriulew.

Zarazem ogólny nastrój i zewnętrzna fizjonomia³⁵⁵ szkoły uległy zmianie radykalnej. Uczniowie starsi poczuli od razu, że teraz dopiero ujęto ich pod żeberka, pan Pazur umilkł i tylko minami oraz wytrzeszczaniem oczu pokazywał starym ulubieńcom, że za nic w świecie nie będzie gadał ani jednego słowa; — wreszcie nauczyciele Polacy nie odzywali się wcale do uczniów *extra muros*³⁵⁶ szkoły, ażeby nie mówić po rosyjsku, a jeżeli konieczność zmuszała ich do takiej rozmowy, to prowadzili ją nie inaczej jak w języku urzędowym.

Szkola

Nowy zarząd wprowadził nowe obrzędy szkolne. Podczas uroczystości inauguracyjnej³⁵⁷ w głównej sali dyrektor wygłosił niesłychanie patriotyczną mowę, wzruszył się sam do łez, ale dla słuchaczy pozostał niezrozumiały, gdyż ci istotnie wzruszać się tym, co zapewne on czuł żywo i szczerze, nie byli w możności.

Inspektor od razu rozwinął taką działalność, o jakiej uczniactwo klerykowskie nie miało nawet wyobrażenia.

Przed wszystkim zabrano się do stancji i zaprowadzono różne nowatorstwa. Na każdej stancji wyznaczono „starszego”, który miał obowiązek czuwania nad bracią³⁵⁸ z klas niższych, zaprowadzono książki wydalen³⁵⁹ się z mieszkania, gdzie należało wpisywać każdy krok, każdą chwilę nieobecności oraz skargi na złe sprawowanie się współlokatorów.

Pomocnicy gospodarzy klas i cały ogół nauczycieli wciągnięty został w pewien rodzaj kohorty³⁶⁰ policyjno-śledczej. Wszyscy mieli obowiązek zwiedzania kolejno stancji w pewnych odstępach czasu, dniem i nocą.

³⁵³*słomka* — ptak siewkowaty z podrzędu kuligów, z rodziny bekasów. [przypis edytorski]

³⁵⁴*przeszedłszy do emerytury* — dziś: przeszedłszy na emeryturę. [przypis edytorski]

³⁵⁵*fizjonomia* (z łac.) — tu: wygląd. [przypis edytorski]

³⁵⁶*extra muros* (łac.) — poza murami. [przypis edytorski]

³⁵⁷*inauguracyjny* — z okazji rozpoczęcia. [przypis edytorski]

³⁵⁸*brać* — bractwo, towarzystwo, tu: ogół koleżeństwa. [przypis edytorski]

³⁵⁹*wydalenie* — tu: wyjście. [przypis edytorski]

³⁶⁰*kohorta* (z łac.) — jednostka taktyczna w wojsku rzymskim; tu: gromada, zgraja. [przypis edytorski]

Inspektor i jego satelici chodzili po tych stacjach nieustannie, odbywali rewizję, zaglądali nie tylko do kuferków, ale nawet własnymi rękoma grzebali w siennikach, słuchali pod oknami, czaili się u drzwi, wbiegali do mieszkań uczniowskich z rana — itd.

Jaki to wszystko wpływ wywarło na rozwój moralności mas uczniowskich w Klerykowie, trudno osądzić. W każdym razie, jeżeli moralność nie nazbyt wysoko podskoczyła w górę, jeżeli „starsi”, „dyżurni”, korepetytorzy i w ogóle siódmo- i ósmoklasiści starym obyczajem wymykali się o północy na miasto w celach im wiadomych, to jednak książki drukowanej polskimi literami rzeczywiście nie było sposobu mieć na stacji.

To wygnanie książek polskich z pewnych izb w mieście, podczas gdy innym książkom wolno było w tych samych izbach leżeć nawet bezużytecznymi stosami — stanowiło zjawisko nadzwyczaj komiczne.

Skazane na banicję do sąsiednich pokoi, upośledzone druki nadwiślańskie mogły sobie do nieskończoności zadawać pytanie jak obłąkany Gogola³⁶¹ w szpitalu wariatów: „dlaczego ja nie jestem kamerjunkrem³⁶²? dlaczego jestem tylko radcą tytularnym? dlaczegoż ja, i dlaczego mianowicie radcą tytularnym?”... Te jednak wołające na puszczy pytania nie doczekałyby się były w Klerykowie znikąd odpowiedzi.

Częste rewizje, a szczególnie nagle a niespodziewane wizyty, trwoga oczekiwania, niepokój, że ktoś podsłuchuje, źle oddziaływały na umoralnianą młodzież pod rozmaitymi względami. Pobyt w szkole był dla wszystkich mieszkających na stacjach pobylem w więzieniu. Mały obywatel, rzucając rano pierwsze spojrzenie, mógł już się spotkać z badawczym okiem Mieszczkina, pół dnia miał na sobie wzrok, a dokoła swej osoby słuch kilku naraz Mieszczkinów, Majewskich, Zabielskich itd. Po południu czekał ciągle na ich zjawienie się, a nawet w nocy mógł być zbudzony z marzeń o polach, kwiatach, ptakach, rodzicach kochających, krewnych i znajomych, którzy jakby na złość Mieszczkinowi wszyscy mówili zakazanym językiem polskim — i nagle znowu nad sobą ujrzyć oczy przekłete, które zdawały się podpatrywać słodkie sny z zamiarem szczegółowego ich opisanie we właściwej rubryce, pod odpowiednim numerem.

Cały arsenał sposobów i zaprowadzony system pilnowania do ostatecznych granic posunęły rozdział między nauczycielami i uczniami. Co prawda — to nigdy w Klerykowie zbyt wielkiej harmonii między „ciałem pedagogicznym” a gromadą uczniów nie było i zawsze te dwie gromady stanowiły dwa obozy, obozy wyraźnie walczące ze sobą, nieraz przy użyciu przebiegłości, podstępów, a nawet zupełnie łajdackiej zdrady. Areną tych zapasów do chwili przybycia dyrektora Kriestobriadnikowa i jego pomocników była szkoła z jej klasami, korytarzami i dziedzińcem. Przybysze rozszerzyli horyzont tak daleko, że wzrok dziecięcy nie widział literalnie miejsca, gdzie by tej walki nie było. W zaprowadzonym systemie strzeżenia uczniowie byli z natury rzeczy, z predestynacji³⁶³ niejako, istotami, które należało śledzić, podglądać, ścigać, łapać i badać. Ponieważ jednak patriotyczna gorliwość śledzących przede wszystkim zwracała uwagę na przestępstwa natury nie tyle moralnej, ile politycznej, więc też cała zwyczajna walka uczniów z nauczycielami przybierała stopniowo cechę głuchego politycznego sporu.

Nauczyciele Polacy w epoce przedkriestobriadnikowskiej czasami, już to ulegając wrodzonemu temperamentowi, już kierując się poczuciem ukrytym w dziewięćdziesiątej dziewiątej komóreczce oportunistycznego³⁶⁴ serca, czynili pewne kroki, może nawet przedsięwzięli pewne środki celem złagodzenia fatalnej wojny obozów. Trzeba wyznać, że te małe uczynki i lekkie półwyrazy wywierały wrażenie. Prawie każde z tych słów było jak biblijne ziarno upadające na bujną rolę. Z nastaniem nowej ery wszystkie mosty zostały spalone i znajomości zerwane. Myny nauczycieli oportunistów mówiły wyraźnie: liczcie, o młodzieńcy, na siebie tylko, róbcie, co wam się żywnie podoba, albowiem my strzec musimy naszych posad niby oka w głowie.

I tak się stało.

Dyrektor Kriestobriadnikow wraz z inspektorem Zabielskim była to para polityków nietuzinkowych. Ani pierwszy, ani drugi nie wszczynął grubiańskich awantur z rodzica-

Książka, Wygnanie

Oko, Uczeń, Nauczyciel,
Urzędnik, Szpieg

Nauczyciel

³⁶¹ obłąkany Gogola — bohater utworu Mikołaja Gogola (1809–1852) pt. *Pamiętnik wariata*. [przypis edytorski]

³⁶² kamerjunkier (z niem.) — niższy urzędnik dworski w Rosji carskiej. [przypis edytorski]

³⁶³ predestynacja (z łac.) — przeznaczenie. [przypis edytorski]

³⁶⁴ oportunistyczny — podporządkowujący się obowiązującej władzy, trendom, poglądom itp. [przypis edytorski]

mi i nie prześladował uczniów. Jeżeli tych ostatnich łapano za pomocą groźnego aparatu, to nie w tym jednak celu, ażeby wymierzać tyrańskie kary. Winę zawsze darowywano, a gdy trzeba było ukarać — czyniono to w sposób tak wyrozumiały, taką okazywano pobłażliwość, ażeby młodzian nie czuł na sobie tyrańskiego bicia, lecz miłą rękę ojca. W razach, kiedy zdarzał się spór między uczniem i nauczycielem Polakiem, dyrektor i inspektor stawali zawsze i bezwarunkowo po stronie ucznia, zmniejszali winę, a gdy niepodobna było inaczej, wypraszała u nauczyciela Polaka odpuszczenie kary.

Tęgo rodzaju taktyka wywarła na młodzież wpływ niejaki.

Uczniowie drżeli przed nowym zarządem, ale jednocześnie czuli za sobą mocne plecy w walce z Nogackimi, Wielkiewiczami itd. Kierownicy gimnazjum nie poprzestali zresztą na reformach w obrębie murów szkolnych. Byli to patrioci, jak się powiedziało, w szerszym stylu, toteż baczne oko zwrócone trzymali na miasto, na okolicę miasta, na gubernię i w ogóle na kraj. Praca ich miała dwa niejako łożyska. Po pierwsze mieli oni na celu wzmocnienie tętna życia *ludzi ruskich* w mieście Klerykowie, po wtóre mieli na celu odpolszczenie tak zwanych Polaków. W myśl zasady odpolszczania dyrektor i gospodarze klas nie udzielali prawie nigdy pozwolenia na bytność ucznia w teatrze, gdy dawano sztukę polską. Natomiast w jesieni, głównie z inicjatywy działaczy gimnazjalnych, często forsownie urządzać teatry amatorskie rosyjskie. Ciągły, aczkolwiek niedostrzegalny, przyrost żywiołu rosyjskiego w Klerykowie umożliwił zgrupowanie sił celem stworzenia tego rodzaju widowisk. Masa napływowa, składająca się z urzędników, pedagogów, ich żon i córek, entuzjastycznie poparła inicjatywę dyrektora.

Z konieczności, a raczej dla kariery, musieli ją również wspomagać „Nadwiślanie” piastujący jakiekolwiek wyższe stanowiska. Żywioł miejscowy okazał wobec tego wszystkiego, jak zwykle, absolutną bierność. Ludzie tamtejsi przywykli do wszelkiego rodzaju dziwów tak dalece, że gdyby pewnego pięknego poranku skasowano zupełnie mowę polską, a zalecono mówić, pisać i myśleć po chińsku, nikogo by to nie zdziwiło. Mówiono by, rzecz naturalna, w dalszym ciągu swoim własnym językiem, ulegając prawu bezwładności, ale publicznie pisano by i mówiono po chińsku.

Polak, Władza

Miasto Kleryków przeżywało z wolna w owym czasie epokę imigracji rosyjskiej. Chrzczo-
no tam na nowo stare ulice, kasowano rozmaite wiekowe instytucje i rzeczy, a zaprowa-
dzano nie mniej zgrzybiałe, ale rosyjskie. Bruki, nieład, zaduchy, brudy i rudery zostały
zresztą zupełnie te same. Kiedy afisze dały znać miastu i światu, że odbędzie się teatr ama-
torski, w gimnazjum powstało niejaki rozognienie umysłów. Władza nie proponowała
uczniom kupna biletów, ale czyniła pewne znaki, które były jak gdyby zapachem ukrytego
życzenia. W klasie piątej jeden z kolegów bąknął podczas przemiany³⁶⁵, że warto by iść na
ten teatr. Ktoś inny bąknął z głębi sali daleko głośniejsze, że tylko zupełny mandryl³⁶⁶ może
chodzić na podobne *szopki*. Było to powiedziane nie wiedzieć z jakiej racji, jak to mówią,
od śliny, i również nie wiedzieć czemu otrzymało wszelkie cechy rezolucji zaakceptowanej
przez powszechne milczenie. Po prostu zrobił swoje ślepy, głuchy i nic niewiedzący *vox*
*populi*³⁶⁷: jest jakaś szopka na porządku dziennym, gadają, że tylko mandryl na nią iść
może — więc się nie idzie, i cała parada.

Borowicz był osobistym przyjacielem sztubaka³⁶⁸, który wyraził życzenie pójścia na
ów teatr, toteż zarówno kategoryczny sąd jak ogólna aprobatą przeciwnego mniemania
bardzo mocno go dotknęły. W czasie lekcji rozmyślał o tej sprawie i zacinając się w uporze
postanowił na przekór wszystkim iść na spektakl. Podczas następnej lekcji już obadwaj
z niefortunnym projektodawcą, przez zemstę za obelżywy werdykt, uknuli spisek przeciw
głosowi z głębi klasy. Zdarzyło się, że powróciwszy na stację, Marcin trafił w pokoju
„starej Przepiórzycy” na rozmowę o tym właśnie teatrze amatorskim. Radca Somonowicz
łaził po stacji, wykrzykując:

— Cóż mnie mogą obchodzić jakieś teatry, choćby też i najbardziej amatorskie? Py-
tam! Nigdy tego znieść nie mogłem i to ja, dziś, na stare lata...

— Ale któż radcy każe chodzić, kto tu proponuje, żebyś radca łaził na ruski teatr! —
perswadowała mu staruszka.

³⁶⁵ *przemiana* — przerwa; od ros. *pieriemiena*. [przypis edytorski]

³⁶⁶ *mandryl* — gatunek małpy z rodziny koczokodanów; tu: pogardliwe przewisko. [przypis edytorski]

³⁶⁷ *vox populi* (łac.) — głos ludu, opinia publiczna. [przypis edytorski]

³⁶⁸ *sztubak* (pot.) — uczeń. [przypis edytorski]

— Ja za to pójde, panie radco — wtrącił się do rozmowy Borowicz.
— Ty pójdziesz? A ty tam po co? Radzę ci jak ojciec: gryz lepiej Alwara³⁶⁹...
— Jakiego Alwara?...
— O, on tam będzie niezbędny wśród Moskali jak pies w kręgielni! Rzeczywiście, niech idzie! — ozwała się zza portiery panna Konstancja, która do piątklasistów miała zwyczaj przemawiać w trzeciej osobie.

— Za pozwoleniem... — przerwał radca, stając w pół drogi. — Jeżeli z tej beczki rozpoczynamy, to sprawa całkowicie inna. Czy teatr moskiewski, jak się waćpannie wyrażać podoba, czy teatr polski, to jest zupełnie ta sama strata pieniędzy. Wszakże gdy władza to urzęda, gdy życzy sobie, ażebyś tam był, i na ten krok twój spoglądać będzie okiem życzliwym, a z drugiej strony gdy zastarzały szowinizm podusza cię do krnąbrnego uporu, do trwania w jakiejś paskudnej nienawiści, to radzę ci, a nawet rozkazuję — idź na tę hecę, chciałem powiedzieć — na to widowisko!

Staruszka Przepiórkowska, szybko robiąc skarpetkę na drutach, kilkakrotnie ruszyła dużymi wargami, uśmiechnęła się kwaśno, a wreszcie rzekła:

— Ja tam nie wiem... Pewno, że to tak... Ale po cóż ty, Marcinek, wydawać będziesz pieniądze? Co ci z takiego teatru przyjdzie?...

— Powinien iść, powinien! Ma święty obowiązek nie tylko względem własnej przyszłości, ale nadto względem nas wszystkich.

— Względem nas wszystkich... — szdyżła demonicznie panna Konstancja schowana w tajemniczych głębiach za przepierzeniem.

— Tak mówię i powtarzam! Należy raz przecie wyrwać ze siebie korzenie odwiecznej...

Marcinek nie słuchał dalszego ciągu tyrad starego urzędnika, gdyż miał jakąś pilną robotę. Somonowicz trafił mu do przekonania i utwierdził go w powziętym zamiarze. Teraz piątklasista miał w zapasie całą sumę wyrażań, których mógłby użyć w razie jakiejś sprzeczki z kolegami na temat widowiska. W dniu przedstawienia udał się do sali teatralnej, starej jak miasto Kleryków i tak odrapanej, jak gdyby nie była dziełem rąk ludzkich, ale raczej utworem nawalnic, wichrów i kataklizmów. Zgromadzeni tam już byli *ludzie ruscy*. W brudnych łóżach siedziały wystrojone damy, po większej części o tyle „ruskie”, że były żonami twórców w Klerykowie *ruskiego dzieła*, na całym parterze połyskiwały szlify, dźwięczały ostrogi, stukały szable. W kilku głównych łóżach siedzieli optymaci³⁷⁰ i familie optymatów, między innymi dyrektor, inspektor i ważniejsze figury gimnazjum. Zanim podniesiono kurtynę, w sali brzmiał gwar dosyć głośny.

Marcinek, znalazłszy się w towarzystwie kilku zaledwie współkolegów z różnych klas na „stojącym” parterze, doznał szczególnego uczucia. Był to niepokój cudzoziemca, który wysiada nagle z wagonu, mija ulice obcego miasta i nie może dokładnie wyróżnić tego, co widzi, od snu spłoszonego przed chwilą. Wrażenie to wzrosło, gdy podniesiono kurtynę. Niewielka scena klerykowskiego teatru była dla młodego chłopca jak gdyby otworem, przez który widać było daleki, obcy kraj, lud, zwyczaje, codzienne życie i zabawne w nim wydarzenia. Intryga farsy, odgrywanej z talentem, wcale go nie zajmowała i nie weseliła, lecz owszem pogrążała w jakiś smutek szczególny. Umiał dobrze mówić po rosyjsku: pisał w tym języku wypracowania, recytował lekcje, nawet o nich ukuty mi frazesami myślał, ale nie formułując sobie tego, traktował ten „przedmiot” jako język szkoły, jako język martwy, jako rodzaj nowożytnego łaciny. Teraz ze sceny ta sama mowa narzucała mu się w postaci organu bieżącego życia, swobodnego ruchu, który wre i kipi. Z wrażenia tego tak dalece nie mógł się otrząsnąć, że trwał ciągle w stanie wahania się, czyby nie warto czmychnąć do domu. Tak rozmyślając, powiódł okiem wzdłuż miejsc paradnych i dostrzegł, że na osobę jego skierowane są aż cztery lornetki. Przypatrywał mu się dyrektor, jeden z nauczycieli, jakaś dama gruba i pękata niby dynia... W Borowiczu drgnęła natychmiast pod okiem profesorskim natura uczniowska: zląkł się, czyli *spietrał*. Już jednak po upływie chwili przyszedł do refleksji, że te obserwacje nie są bynajmniej zwiastunami gniewu. Rozmaite osoby z łóż sąsiadujących z dyrektorską, żywo mówiąc i gestykulując, spoglądały również przez szkła na gromadkę uczniów. Znaczną większość

Teatr

³⁶⁹ *Alwar* — potoczna nazwa popularnego w XVII i XVIII w. w całej Europie podręcznika gramatyki łacińskiej autorstwa Emanuela Alvareza (1526–1583), jezuitę portugalskiego. [przypis edytorski]

³⁷⁰ *optymaci* (z łac.) — członkowie stronnictwa arystokratycznego w starożytnym Rzymie; tu: czcigodni obywatele miasta. [przypis edytorski]

tej gromadki stanowili Rosjanie. Z Polaków oprócz Marcina było kilku synów urzędniczych. Wkrótce wszystko to sztabactwo skonstatowało, że jest przedmiotem adoracji³⁷¹ i budzi ukontentowanie³⁷². Borowicz oceniał to także i na poły wiedząc, co robi, wysunął się nieznacznie naprzód, żeby go dyrektor mógł doskonale widzieć. Podczas pierwszego antraktu³⁷³ znalazł się na parterze pan Majewski, witał wszystkich nad wyraz grzecznym ukłonem, starszym uczniom podał nawet rękę, a kilku Polaków, między innymi Borowicza, grzecznie obligował³⁷⁴, ażeby się za nim udali. Wstępując bez oporu w ślady tego przewodnika, Borowicz znalazł się na wąskich schodkach, potem na korytarzyku biegnącym w półokrąg i stanął przed jakimiś drzwiami. Majewski uchylił te drzwi delikatną dłonią i z lekka pchnął Marcina do windy dyrektorskiej. Kriestobriadnikow wstał z krzesła, powitał przybyłych, wprowadził kilku do windy sąsiedniej i przedstawił gubernatorowi oraz jego damom.

— Oto Borowicz z klasy piątej, Michawski z siódmej, Biene z szóstej.

Gubernator, człowiek w latach, o miłej fizjonomii, witał wszystkich uściśnieniem ręki. Damy przyłożyły do oczu *pince-nez*³⁷⁵ i wywabiały na lica swe przyjemne uśmiechy. Jedna z nich zapytała Borowicza po rosyjsku:

— Jakże się panu podobała pierwsza *pijesa*³⁷⁶?

Marcinek nie wiedział, co to jest *pijesa*, ale zrozumiał, że cokolwiek by to być mogło, winno mu się w tym miejscu podobać, rzekł tedy:

— Bardzo mi się podobała...

Dama uśmiechnęła się i zaszczyciła tym samym pytaniem przystojnego bruneta z klasy siódmej, na co tamten odparł z głębokim ukłonem:

— Ogromnie mi się podobała...

Inne damy poprzestały na obserwowaniu młodzieńców. Ta sama scena z bardzo małymi wariacjami powtórzyła się w innej windy, gdzie siedział prezes Izby Skarbowej. Gdy zadzwoniono raz drugi, Majewski delikatnie dał poznać reprezentantom, że należy wycofać się i wrócić na swe miejsca. Drugą komedijkę grano z równą werwą. Pod koniec jej przybył na parter pan Mieszczyński, niosąc dwa olbrzymie, istotnie olbrzymie, pudła najprzedniejszych cukrów. Obydwa skrzynie z gracją wręczył najstarszemu z uczniów, prosząc go, aby rozczęstował ten dar panów i pań z łóż między kolegów obecnych w teatrze. Borowicz, zającąc wyborne cukierki, pozbył się nareszcie pierwszego nie milego wrażenia, odczuł rozkosz przestawiania z tak dostojnymi ludźmi, pierwszą satysfakcję zetknięcia się z tym światem nieznanego mu zbytku. Nazajutrz zjadliwy dowcipniś klasy, Nieradzki, w czasie pauzy, a tuż przed samym wejściem inspektora, zwrócił się nie wiedząc do kogo, spieszczając wyraz orangutan:

— Podobno byłeś, Orciu, wczoraj w teatrze? Siedziałeś w windy? Czy ci smakowały cukierki?...

Borowicz wstał z ławki i zwróciwszy się do mówiącego, zająrzał mu w oczy dumnie i ponuro. W parę chwil później ukazał się inspektor wykładający język rosyjski. Witał on Borowicza tak przyjaznym uśmiechem, że wszyscy w klasie uczuli w sercach zazdrość i szczerzy żal z tego powodu, że bez wyraźnej racji nie byli na teatrze rosyjskim. Tegoż dnia po lekcjach Zabielskiej prosił Marcinka o zanieśenie do jego inspektorskiego mieszkania kajetów z ćwiczeniami klasy piątej. W domu inspektor przyjął Borowicza bardzo gościnnie. Usadowił go w zacisznym gabinecie swoim na miękkiej sofie, pokazywał mu albumy ze ślicznymi fotografiami, kolekcję ładnych sztychów, ilustrowane wydawnictwa, książki swoje, a nawet zbiór bezkrytyczny rozmaitych monet. Jego rozmówienie się z Marcinku dosięgało takich granic, że częstował młodzieńca papierosem. Gdy ten, lękając się podstępnie, w żywe oczy zaparł się palenia, inspektor kazał przynieść ciastek i częstował swego faworyta. Dużo przy tym mówił o nieufności, jaką mu okazują uczniowie klasy piątej, żalił się na to, że go ani jeden nie odwiedza, że nie zajdzie na otwartą, braterską pogawędkę o tym, czego młodzież chce, co jej dolega, jakie są jej pragnienia i cele. Pod koniec wizyty

Dar, Przekupstwo

Młodość, Przekupstwo,
Podstęp, Uczucie

³⁷¹adoracja (z łac.) — okazywanie zachwyty, podziwu, uwielbienia, czci. [przypis edytorski]

³⁷²ukontentowanie (z łac.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

³⁷³antrakt — przerwa w przedstawieniu teatralnym. [przypis edytorski]

³⁷⁴obligować (z łac.) — prosić o coś. [przypis edytorski]

³⁷⁵pince-nez (fr.) — okulary damskie osadzone na rączce i przykładane do oczu. [przypis edytorski]

³⁷⁶pijesa (ros.) — sztuka teatralna. [przypis edytorski]

Borowicz był już niemal zakochany w inspektorze tym płomiennym i entuzjastycznym uczuciem, jakie pali się dla pierwszego mistrza w duszy młodzieńczej.

Dobroć zwierzchnika roznieciła w nim rzewną wdzięczność. Postanowił dołożyć wszelkich starań, ażeby klasa piąta przejęła się jego uczuciami. Snuły mu się po głowie projekty częstych, gremialnych³⁷⁷ odwiedzin inspektora i słyszał prawie rozmowy, jakie toczyć się będą.

Widok gabinetu wykwintnie urządzonego zniewalał go do jakiegoś rozczulenia, dumą jego była polectana, w głowie burzył się rozkoszny zamęt. Wychodząc z wizyty, już za następną tęsknił. Z pychą spoglądał na przechodniów, jakby im chciał jednym spojrzeniem oznajmić, że jest za pan brat z osobą tak wszechpotężną na gruncie gimnazjalnym.

Odtąd Marcinek Borowicz był częstym i prawie stałym gościem inspektora Zabielskiego.

XII

Nieznosny upał jednego z ostatnich dni sierpnia żarzył się nad pagórkowatą okolicą. Spiekota ogarnęła pola, ssała mokre łąki i dosięgała najbardziej cienistych kryjówek lasu. Było już po żniwach i widzialny przestwór kraju spał w tym ciepłe snem kamiennym.

Naokół ciągnęły się żółtawoszare ścierniska, połyskujące szczecina żdziebeł równo uciętych. Tu i ówdzie złocono się półko lnu, czerniały stożki konicyzny albo niwka ziemniaków o wędgnących badyłach. Teraz wśród pól ogołoconych widniało dokładniej niż zwykle białe pasmo szosy. Ginęc za najbliższym pagórkiem, jakby się raptem urywało w zakresie szczerzego pola, ukazywało się dalej niby równa i ostra linia dzieląca płaszczyznę na dwa obszary, kryło się w zaroślach i znowu jak wąz bielalo w ogromnej odległości, pod niebieskawą smużką leśną u samego krańca widnokręgu.

Brzegiem tej szosy wędrował równym krokiem Jędrus Radek. Miał na sobie uczniowski mundur, na głowie czapkę z palmami, na plecach tornister, w ręce patyk. Źle było iść w takie gorąco. Buty miał na wysokich obcasach z podkówkami, kupione swego czasu na rynku w postaci żółtej. Cholew nawet w ostatniej chwili nie było sposobu uczernić, toteż i zachowały swój juchtowy³⁷⁸ kolor. Za to przyszwę i obcasy Jędręk wyczyścił starannie szuwaksem własnego wyrobu, spreparowanym z odrobiny mleka i miałko utłuczonego węgla. Kiepski to był *szuwaks*; but nie miał *glancu*³⁷⁹ i okrutna żółcizna świeciła spod czernidla, osobiłwie w szparach między podeszwą i przyszwą. Pragnąc nadać im jaką taką formę, musiał Jędręk wewnątrz kłaść duże wiechcie słomiane i zawijać nogę w spore onuce. Przyszwę dzięki temu na oko zdawały się węższymi, ale za to nogi bolały nad wyraz, osobiłwie w drodze. Drelichowe spodnie kryły obrzydłe cholewy. Mundur Radka był kiepski, przerobiony z kapoty ufarbowanej na granatowo. Zamiast srebrnego galonka na kołnierzu przyszyta była najzwyczajniejsza bawełniana tasiemka po dwa grosze łokieć. Płaskie guziki tego uniformu były powycierane i nie miały srebrnego blasku.

Tylko palmy i litery P.P. (Progimnazjum Pyrzogłowskie) błyszczały na słońcu. Tornister odparzał srodze plecy wędrowca, mieściły się w nim bowiem wszystkie gramatyki, podręczniki algebry i geometrii, dzieła Cezara³⁸⁰ i Ksenofonta³⁸¹, *Słowiesność*³⁸² i *lezesztzyki*³⁸³ niemieckie. Oprawa każdej z tych książek była starannie zawinięta w papier, a wszystkie kajety w porządku. Już tak drugi dzień Jędręk dymał spod samych Pyrzogłów w stronę Klerykowa. Noc go zaskoczyła w okolicy pustej, wsi naokół nigdzie widać nie było, przespał się tedy w stercie pod lasem, zmarzł dosyć dobrze nad ranem i szedł drugiego dnia ostro zaraz od świtu. Przed południem trafiła się przy drodze wielka, stara karczma, zaszedł tedy do niej dla wypoczynku. Na pytanie, co by zjeść można, odpowiadano mu, że nie ma nic innego prócz bułek i piwa. Kazał sobie przynieść pięć bułek

Uczeń, Strój

³⁷⁷ *gremialny* — tu: grupowy. [przypis edytorski]

³⁷⁸ *juchtowy* (z niem.) — ze skóry używanej do wyrobu gorszego gatunku obuwia. [przypis edytorski]

³⁷⁹ *glanc* (z niem.) — połysk. [przypis edytorski]

³⁸⁰ *Caesar, Caius Iulius* (101–44 p.n.e.) — także: Cezar, wódz, a następnie cesarz rzym., autor m.in. dzieła historycznego *O wojnie gallickiej*. [przypis edytorski]

³⁸¹ *Ksenofont* (ok. 430–355 p.n.e.) — wódz i historyk gr. z Aten, uczeń Sokratesa, autor m.in. *Anabazy* (tj. *Wyprawy Cyrusa*) i *Apologii* (tj. *Obrony Sokratesa*). [przypis edytorski]

³⁸² *Słowiesność* (ros.) — piśmiennictwo; tu: wypisy z literatury rosyjskiej. [przypis edytorski]

³⁸³ *lezesztzyki* (z niem. *Lesestück*) — czytanki. [przypis edytorski]

i kwartę piwa. Bułki były stare i twarde jak rzemień, a piwo nosiło pseudonim „drozdowski”³⁸⁴ prawdopodobnie dla tej racji, że miało smak kwaśnego sopolu³⁸⁵ z ogórków, a temperaturę kałuży na gościńcu w dzień upalny. Jędrzek wyjął z tornistra ośkę masła zawiniętą w czystą szmatę, krajał bułki nożykiem, smarował je masłem, zapijał „drozdowskim” i spoczywał w chłodzie izby. Naprzeciwko niego siedziała gospodyni. Zza balasów szynkwasu³⁸⁶ widać było tylko jej tłustą czy obrzękłą twarz, podwiązaną chustkami. Zle oczy tej baby świeciły się jak węgle i badawczo w podróżnego wpijały.

— Skądże to kawaler? — rzekła nareszcie. — Wolno spytać?...

— Z daleka, moja pani — rzekł Radek, niekontent³⁸⁷ wcale z indagacji³⁸⁸.

Szynkarka przysunęła sobie lepiej rynkę z duszoną kielbasą, odetchnęła gniewnie i rzekła:

— Z daleka? *Uczyń* i sam idzie *piechtą*? Cóż to znowu za moda!

Jędrzek zaczerwienił się i zmieszał niepomału³⁸⁹.

— Idę — rzekł — do Klerykowa. Skończyłem cztery klasy w Pyrzogłowych, a teraz chcę się dostać jako do piątej...

— Widzicie... A i cóż to rodzice nie mogli odesłać *kuniamy*, nie żeby zaś piechotą *rypać* tyli świat? Przecie od nas do Pyrzogłowów — a bo ja wiem — będzie pewnie osiem mil z *ogunem*. Cóż ta za rodzic, i taki musi być bez honoru, żeby zaś...

— Ja nie mam rodziców — skłamał Radek na poczekaniu i ze złością krajał swoje szcerstwiałe bułki.

— No, to krewni przecie jacyś muszą być u Boga Ojca?

— Daleko stąd jeszcze do Klerykowa? — zapytał, pragnąc uciąć wszelkie pytania.

— Do Klerykowa? Ho ho!... Do Klerykowa, mój panie, to jest po naszymu siedem mil — i oha. W jeden dzień nie zajdzie, choćby zaś nie wiem jak szedł...

Znużenie niby ogromny ciężar przytłaczało barki uczniaka: z przyjemnością byłby się rozciągnął na długim i szerokim stole karczmy, w miłą wilgocę, z lekka tylko cuchnącej siwuchą³⁹⁰ i starymi kielbasami, ale wprost lękał się pytań szynkarki. Dopóki nic a nic nie wiedziała o jego paranteli³⁹¹, traktowała go z jakim takim uszanowaniem. Gdyby się dowiedziała o wszystkim, z pewnością mówiłaby mu *ty* i spoglądała nań z góry.

Życiorys Jędrzeja Radka krótki był i pospolity. Urodził się we wsi Pajęczyn Dolny, w czworakach dworskich, na werku³⁹² biednego fornała³⁹³. Wiek pacholęcy spędzał już to w izbie, gdzie mieściły się familie trzech ratajów³⁹⁴, już pod odkrytym niebem i nad wiekuiście odkrytą gnojówką, której toń ciemnofioletowa stała tuż przed drzwiami czworaków. Od wybrzeży gnojówki do podpórek łoża wkopanych w ziemię pełzał na czworakach, nosząc w zębach nie zawsze czystą koszulinę, przez wysoki, na pół zgniły próg chałupy — następnie zwiedzał samopas nie tylko tę skromną przestrzeń, ale znacznie szersze obszary gnojów, błot, kałuży i gnojówek już z twarzą zwróconą ku niebu, co, jak wiadomo, wyróżnia człowieka od bydła ziemi — aż do chwili, kiedy powołany został do pilnowania przede wszystkim gąsiąt, a w następstwie maciory z prosiętami na dworskim okólniku³⁹⁵. Nie można powiedzieć, żeby te obowiązki spełniał wzorowo.

Zdarzyło się pewnego razu, że mu karbowy³⁹⁶ *wytatarował* postronkiem skórę na plecach i w ich sąsiedztwie do tego stopnia, że winowajca z wielką niechęcią siadał na ziemi; kiedy indziej sam dworski lokaj za sekretne wylizywanie rynki kuchennej nadarł mu sporo uwłosienia, ze zbytnią, co prawda, rosnącego bujnością. Te (i wiele innych w tym guście)

Chłop, Dzieciństwo, Bieda,
Błoto, Przemoc

³⁸⁴*piwo drozdowskie* — ze znanego browaru w Drozdowie koło Łomży. [przypis edytorski]

³⁸⁵*sopol* — sok. [przypis edytorski]

³⁸⁶*szynkwas* — lada w szynku (a. karczynie), za którą urzęduje sprzedawczyni lub sprzedawca dań i trunków; bufet. [przypis edytorski]

³⁸⁷*niekontent* — niezadowolony. [przypis edytorski]

³⁸⁸*indagacja* (z łac.) — wypytywanie. [przypis edytorski]

³⁸⁹*niepomału* (daw.) — niemało, znacznie. [przypis edytorski]

³⁹⁰*siwucha* — wódka. [przypis edytorski]

³⁹¹*parantela* (z łac.) — związki pokrewieństwa, powinowactwo. [przypis edytorski]

³⁹²*werko* a. *wyrko* — łóżko. [przypis edytorski]

³⁹³*fornał* — najemny robotnik rolny obsługujący konie i pracujący z nimi w folwarku (tj. majątku ziemskim) w XIX i XX w.; inaczej: rataj. [przypis edytorski]

³⁹⁴*rataj* — najemny robotnik folwarczny. [przypis edytorski]

³⁹⁵*okólnik* — tu: ogrodzona część podwórza. [przypis edytorski]

³⁹⁶*karbowy* — nadzorca robót polowych w dużym gospodarstwie (folwarku). [przypis edytorski]

wskazówki moralnego prowadzenia się zarówno na okólniku jak i na szerszym przestworze świata ugruntowały pierwsze podwaliny pryncypiów³⁹⁷ społecznych w duszy małego pastuszka i byłyby zapewne starczyły mu na długo, aż do następnych równie kształcących, jak starczą wszystkim Jędrkom folwarcznym, gdyby nie interwencja Antoniego Paluszkiewicza, zwanego Kawką.

Ten Kawka był nauczycielem dwu młodych paniczów. Chodził niegdyś na uniwersytet i często chęłpił się z tego powodu, wygłaszał wolnomyślne mniemania wśród osób, które na żaden sposób wolnomyślnością przejąć się nie mogły, bo wśród księży i szlachty osiadłej na intratnych³⁹⁸ folwarkach, nosił długie, niezgrabne palto, przydeptane buty i obrzydliwie kaszłał. Mieszkanie guwenera³⁹⁹ znajdowało się w spiczastej baszcie, nowszymi czasy przystawionej do wiekowego dworu. O każdej dobie dnia i prawie każdej nocy słychać było stamtąd jednostajne pokaszliwanie i stąd urosło drugie nazwisko Paluszkiewicza. Dwaj wychowawcy urządzali mu bardzo często pod oknami pewnego rodzaju koncerty. Spędziwszy dzieci folwarczne kryli je w krzakach i rozkazywali im kaszleć na komendę w sposób odpowiedni, naśladujący głos guwenera. Dziedzic z familią⁴⁰⁰, cała służba wyższego stopnia i wszyscy w ogóle mieszkańcy Pajęczyna mieli z tego tytułu nie małą uciechę. Jeden tylko Kawka nie zwracał na to wszystko najmniejszej uwagi. Kiedy z krzaków dawały się słyszeć zabawne głosy, a zewsząd śmiech mniej lub więcej głośny, jak zwykle wychodził na balkonik z książką w ręku, siadał okrakiem na krześle i ani trochę nie zmieniał sposobu kaszłania. Z czasem, kiedy przechodził w poprzek dziedzińca, obok czworaków albo ulicą wiejską, z każdego zaułka rozlegał się śmieszny głos któregoś z ukrytych psotników:

— Ku — wyk... eee... ku — wyk... eee!...

Najwięcej talentu w dręczeniu Paluszkiewicza wykazywał właśnie Jędrzek Radek. Przed rozpoczęciem solennego koncertu wydawał zawsze, pod batutą panicza, nienaśladowane, znakomite w swoim rodzaju beknięcie, pewien gatunek introdukcji⁴⁰¹, po której dopiero następowały chóralne wrzaski. Radek wybornie przedrzeźniał *belfera* nie tylko głosem, ale i ruchami. Ile razy Kawka szedł w stronę plebanii klócić się wniebogłosy z wikarym o pozytywizmy i determinizmy⁴⁰², miał zawsze poza sobą Jędrka niby cień, który go w mały sposób naśladował. W tym celu pastuszek brał na się⁴⁰³ długą płachtę, w rękę patyk, na nos zakładał jakiś drucik zwinięty w kształt binokli, kudłał sobie włosy jeszcze bardziej, garbił się, wlażył w błoto na sposób *profesora*. Sama dziedziczka dawała mu nieraz za te sztuki kromkę chleba z miodem, kawałek cukru albo na pół zgniłe jabłko. Czując za plecami potężnych protektorów, Jędrzek coraz bardziej kształcił się w swej umiejętności.

Doszło do tego, że skoro tylko Kawka ukazywał się na dziedzińcu, pauper⁴⁰⁴ wołał go po imieniu i nazwisku, lżył i wydrwiwał. Przyszła jednak i na niego kreska. Pewnego razu, w dzień pochmurny i deszczowy, mały Radek siedział u plotu, nakryty workiem od dżdżu i wiatru, gdy wtem ujęły go za kark dwie ręce i podniosły w górę. Chłopak wydał krzyk przeraźliwy i zaczął szarpać się gwałtownie. Nic jednak nie pomogło. Paluszkiewicz chwycił go wpół, włożył przez cały ogród i zziąjany, ledwo żywy, wciągnął po schodach do swego mieszkania. Jędrzek rozpierał się we drzwiach nogami, nie mogąc inaczej, walił Kawkę w brzuch głową, szarpał na nim odzienie, ale koniec końców ulec musiał. Wepchnąwszy malca do pokoju, Paluszkiewicz zamknął drzwi na klucz i upadł na łóżko ze zmęczenia.

— Ty mi zerzniesz dudy — dobrze... — rzekł mu chłopak zuchwale — ale poczekaj, zapamiętasz *se* ty! Co masz za *racyjną* do mnie — chy?

³⁹⁷pryncypia (z łac.) — zasady. [przypis edytorski]

³⁹⁸intratny — przynoszący znaczny dochód; opłacalny. [przypis edytorski]

³⁹⁹guwerner — domowy nauczyciel. [przypis edytorski]

⁴⁰⁰familia — rodzina. [przypis edytorski]

⁴⁰¹introdukcja (z łac.) — wstęp. [przypis edytorski]

⁴⁰²pozytywizm, determinizm — charakterystyczne dla 2. poł. XIX w. kierunki myślenia, uznające za jedyny przedmiot badania naukowego realne, konkretne fakty oraz zasadę przyczynowego związku rzeczy za podstawowe prawo rozwoju naturalnego i społecznego. [przypis edytorski]

⁴⁰³brał na się — zakładał na siebie. [przypis edytorski]

⁴⁰⁴pauper (łac.) — chłopak, urwis. [przypis edytorski]

Kawka wysapał się, uspokoił, zapalił papierosa i jał chodzić po izdebce. Minęło tak kilkanaście minut. Chłopakowi wydało się, że *belfer* o jego obecności zapomniał — więc rzekł:

— No, bić to bić, mali⁴⁰⁵, a nie, to mię, panie, wypuszczaj!

Młody człowiek spojrział na niego zza swych okularów i mruknął:

— Poczekaj, poczekaj, nic pilnego!...

Następnie zaczął przewracać stosy swych książek i papierów. Czynił to bez ładu i porządku, ciskając tomy na prawo i lewo. Jędrrek miał się na baczności i pilnie zważał na każdy ruch pedagoga, przekonany, że ten lada moment wyrwie z dziury jakieś niewidziane i niesłychane narzędzie męki. Wzrok jego spoczywał w przelocie na kłamec, szybach okna i oszklonego wejścia, za którym mieścił się balkonik. Tymczasem Kawka wyciągnął z głębi swych zbiorów duży atlas zoologiczny pełen kolorowanych figur zwierząt i położył go przed chłopakiem na stole, mówiąc:

— Weź i obejrzyj sobie te obrazki.

Jędrrek ani myślał patrzeć, gdyż wydało mu się, że posiadał sekret *belfra*.

„Ja bym się — rozumował — zabawiał obrazikami, a on by mię, *para*, z tyłu w łeb tak ćwieknął, żebym ani tchnął...”

Belfer tymczasem defilował już po izbie, trzymając papierosa w ustach, książkę w ręku, i półgłosem mruczając na pamięć słowa i frazesy angielskie, które mu tego dnia do nauki wypadły.

Znowu minął kwadrans czasu.

— Jak tam prosięta w ziemniaki dworskie wlezą, żeby na mnie zaś nie było, bo ja tu nic nie krzyw⁴⁰⁶! — nagle wrzasnął mały więzień.

— Prosięta... a tak... No, to niech będzie na mnie.

— A tak, to tak... — rzekł urwis obojętnie i z rezygnacją począł patrzeć na okno, później na piec, na stół, na książki, na samego *belfra*, wreszcie na malowane żyrafy i nosorożce. Te ostatnie zaciekały go wkrótce tak bardzo, że patrzył na nie bez ruchu jak cieleń na malowane wrota.

„A i cóż toto za koń taki, mój Jezus kochany — myślał, ogarnięty przez wszechmocny podziw. — *Chyłośna*⁴⁰⁷ to szyja u takiego gada⁴⁰⁸...”

Rozpalona ciekawość podniecała go do przewrócenia stronicy i objęcia sekretnym wejrzeniem tego, co mieszczą karty następujące. Wypatrzył wreszcie chwilę, kiedy Kawka, spacerując, plecami był do niego zwrócony, naślinił mocno palec i odwrócił cicho grubą kartę. Stał na niej duży tygrys z ognistymi ślepiami.

— Chy, to ci kot! — krzyknął chłopak, zapominając o wszystkim.

— To nie kot. Takie zwierzę nazywa się tygrys — rzekł Paluszkiewicz, nie przerywając swego mamrotania.

Teraz Jędrrek, zaabsorbowany⁴⁰⁹ całkowicie, odkładał kartę za kartą aż do zmroku. Wtedy dopiero Paluszkiewicz wypuścił go z mieszkania, obdarzywszy bardzo smacznym ciastkiem. Prosięta istotnie wlażyły w kartofle. Za powrotem do domu mały badacz fauny obcokrajowej wskutek nieścisłego strzeżenia okazów swojskiej dostał od matki siarczyście po karku. Ani ta kara, ani daleko sroższe, a spadające z fornalskiej ręki ojca, nie wpłynęły jednak na poprawę obyczajów młodzieńca. Zbiesił⁴¹⁰ się całkiem. Skoro tylko nadarzyła się chwila, rwał cichaczem do byłego studenta na ciastka, na wykradanie mu sprzed nosa tytoniu i na oglądanie malowideł. To ostatnie rozwinęło się w nim niebawem w nałóg iście chłopski, dający się wyrwać z ciała chyba pospołu z duszą.

Kawka sam nie wiedział, kiedy urwisa nauczył doskonale czytać, tak się to stało prędko. Już w jesieni tegoż roku Jędrrek zabazgrywał koślawymi figlasami grube kajety, w długie wieczory zimowe ciągnął już *ruskie*, a latem następnego roku Paluszkiewicz jał przemyśliwać o umieszczeniu wychowanka w Progimnazjum Pyrzogłowskim. Kilkuletni pobyt

Chłop, Nauczyciel, Nauka,
Szkoła

⁴⁰⁵ *mali* — jeśli ma (daw. konstrukcja z partykułą *-li*). [przypis edytorski]

⁴⁰⁶ *ja tu nic nie krzyw* — ja tu nic nie [jestem] winien. [przypis edytorski]

⁴⁰⁷ *chyłośny* — wielki. [przypis edytorski]

⁴⁰⁸ *gad* — tu: zwierzę; potwór. [przypis edytorski]

⁴⁰⁹ *zaabsorbowany* — bardzo zajęty, pochłonięty. [przypis edytorski]

⁴¹⁰ *zbiesić się* — tu: rozzuchwalić się. [przypis edytorski]

na kondzie⁴¹¹ w rozmaitych Pajęczynach dał mu sposobność, przy prowadzeniu życia mało co wykwintniejszego od wzorów zostawionych przez mistrza Diogenesa⁴¹², zgromadzenia kilkuset rubli. Sam zapadał coraz głębiej i coraz szybciej na suchotki⁴¹³. Porzucił tedy kondycję⁴¹⁴, odwiózł ulubienią do Pyrzogłów, siłą prawie wydarłszy go rodzicom, którzy płakali za tym dzieckiem jak po zmarłym, oddał do klasy pierwszej, z góry wypłacił za niego koszt utrzymania na niezbyt drogiej stacji, a sam został w tymże miasteczku i żył „z kapitału”. Chłopak najadł się cierpień i wstydu niemało, zanim jako tako przystał do poziomu pyrzogłowskiej kultury. Dzięki korepetycjom opiekuna uczył się wybornie i z pochwałą przeszedł do klasy drugiej.

A opiekun tymczasem skapiał⁴¹⁵ zupełnie. W małej izdebce, której okno wychodziło na cuchnące żydowskie podwórze, defilował z kąta w kąt, ucząc się ciągle i ciągle różnych rzeczy, niezbędnych mu do szerokiego studiowania psychologii. Podczas drugiego roku więcej zresztą leżał na sienniku, niż laził. Wtedy także zaczął przepisywać na czysto dzieło swego życia, rozłożone w ruchomych kartkach, które zajmowały większą część pokoju. Pewnej nocy jesiennej, nocy wichru i sloty, spoczął na zawsze przy tej robocie.

W Pyrzogłwach i w ogóle na sąsiadującym z nimi świecie wiedzano jedynie, że był to i umarł taki, co wcale nie chodził do kościoła. Z pogrzebem były pewne korowody, gdyż księża tamtejsi nie chcieli zmarłego chować na cmentarzu katolickim. Dopiero w ostatniej chwili zdecydowano się pokropić trumnę wodą święconą i odwieźć na mogiłki. Resztę swego funduszu Paluszkiewicz wręczył był na kilka miesięcy przed śmiercią utrzymującej stację, gdzie mieszkał Jędrzej Radek. Pani owa po zgonie filozofa, o ile mogła, zmniejszyła rozmiary spadku, ale bądź co bądź Jędrzek wytrzymał u niej aż do końca roku i przeszedł do klasy trzeciej. Wtedy dał sobie rady. W Progimnazjum Pyrzogłowskim lepsi uczniowie klasy trzeciej i czwartej mieli prawo udzielania korepetycji wstępniakom i pierwszacom. Zarabiali nieźle. Radek należał do „kowałów” gimnazjalnych i miał opinię dobrego ucznia. Z trudem, o głodzie niemal i w srogiej poniewierce przetrwał korepetycjami klasę trzecią, czwartą — i zdał na patent⁴¹⁶. Był obyczaj w Pyrzogłwach, że większość uczniów biednych z patentami kończących waliła wprost ze szkoły: *primo* — do seminarium na księży; *secundo* — na oficerów do szkoły junkierskiej⁴¹⁷; *tertio*⁴¹⁸ — do apteki. Radkowi prorokowali wszyscy stan księży: chłopski syn, „kował”, mumia egipska... Tymczasem on co innego miał w głowie. Jemu „pan” ukazał horyzont tak daleki w naukach i na świecie, że Radek na księdza nie miał żadnej ochoty. Nie pojmował, co to jest uniwersytet, nie zdawał sobie sprawy z ogromu nauk, ale wiedział, że ten uniwersytet istnieje. Zresztą w duszy jego trwały jak wiecznie żywe stygmaty⁴¹⁹ słowa Paluszkiewicza takie nawet, których nie mógł zrozumieć w całej rozciągłości; jak nieodwołalne prawa żyły rady, wskazówki i napomnienia. Wdzięczność dla opiekuna stała się jak gdyby jednym więcej zmysłem, za którego pomocą badał i przebywał świat. To co inni otrzymali jako spadek po całym szeregu przodków ucywilizowanych, jako wychowanie domowe, on miał od „pana”. Tym żył i tym się krzepił w swej nędzy.

— Nauka jest jak niezmierne morze... — mówił „pan”. — Im więcej jej pijesz, tym bardziej jesteś spragniony. Kiedyś poznasz, jaka to jest rozkosz... Ucz się, co tylko jest sił w tobie, żeby jej zakosztować!

Radek poprzysiągł sobie, że będzie się uczył na przekór wszystkiemu, skoro „pan” tak przede śmiercią kazał. Nic go zresztą do wsi nie nęciło. Pamiętał ciągle, każdym nerwem i jakby każdym mięśniem, razy karbowych, lokajów, paniczów. Na wspomnienie ochłapów, które mu rzucano z ganku dworskiego za znęcanie się nad Paluszkiewiczem,

Chłop, Nauka, Pozycja społeczna, Obyczaje, Ambicja, Dziedzictwo

Nauka

⁴¹¹na kondzie — na kondycji, tj. na posadzie korepetytora, nauczyciela domowego. [przypis edytorski]

⁴¹²Diogenes z Synopy (413–323 p.n.e.) — filozof gr.; głosił, że dla osiągnięcia szczęścia należy maksymalnie ograniczyć własne potrzeby i uniezależnić się od dóbr materialnych; według legendy sam prowadził ascetyczne życie, mieszkając w beczce. [przypis edytorski]

⁴¹³suchotki — zdrobn. od *suchoty*: gruźlica, niegdyś nieuleczalna choroba płuc. [przypis edytorski]

⁴¹⁴kondycja — tu: posada. [przypis edytorski]

⁴¹⁵skapieć — zmarnieć. [przypis edytorski]

⁴¹⁶zdać na patent — uzyskać świadectwo ukończenia szkoły. [przypis edytorski]

⁴¹⁷szkoła junkierska — wojskowa szkoła oficerska w Rosji carskiej. [przypis edytorski]

⁴¹⁸*primo* (...) *secundo* (...) *tertio* (łac.) — po pierwsze (...) po drugie (...) po trzecie. [przypis edytorski]

⁴¹⁹stygmat (z gr.) — ślad, piętno. [przypis edytorski]

kwieć w nim kipiała i pożar obejmował głowę. Nie przebaczał i rodzicom. Miał w pamięci zachętę matki, ażeby przedrwiwać nauczyciela dla zyskania sobie względów dworu, oraz ślepe ciosy pięści ojcowskiej, karzące za to, że się na górkę do „pana” wymykał. Wobec tamtego całego otoczenia stał w jego myślach biedny, cichy, schorowany człowieczek, który na wszystko głupstwo świata, na jego plugawą złość i nikczemną przemoc spoglądał z niedbalym uśmiechem i wyraźnie objaśniał, dlaczego jest tak a tak, jak gdyby rozwiązywał zagmatwane dla innych, a jasne dla niego równanie algebry.

Uczucia te szczególnie spotęgniały w sercu młodego gimnazysty, gdy po czteroletniej nieobecności, już jako kandydat do klasy piątej, zjawił się w Pajęczynie. Przez cały czas pobytu w szkole ani razu nie odwiedził rodziców, gdyż wakacje spędzał już z opiekunem, już na kondycji letniej, co mu przynosiło piętnaście rubli srebrem zarobku. Znalazłszy się na łonie rodziny, po raz drugi musiał zobaczyć niejako samego siebie, rozważyć swe życie i zaszle w nim odmiany. Każde miejsce mówiło mu o tym, co było, wszyscy ludzie, kogo tylko spotkał, nie interesowali się wcale zmianami, jakie w nim zaszły, lecz stwierdzali ciągle jeden fakt, że uczeń, który wobec nich stoi, jest to przecie ten sam Jędrzek Radków, pastuch prosiąt z okólnika. Nikogo nie wzruszały jego prace, trudy i męki, które go z oberwańca wiejskiego przekształciły na ucznia, lecz jedynie ta okoliczność, że to oni, ci znajomi, tegoż ucznia pamiętają jako świniarza. Było to tak powszechne, że Jędrzek sam nie mógł odnaleźć siebie współczesnego. Cztery lata, wszystko, co stanowiło jego byt rzeczywisty — gdzieś jakby znikło. Stały natomiast znane miejsca z ich dławiającą tożsamością: podwórze, baszta na końcu dworu, gdzie urządzał muzykę, i cały zakres niewzruszenie takich samych pojęć i praw pajęczyńskich.

Radek stykał się pierściami z czymś, co było nim dawnym, jakby wstępował w swoją dawną a porzuconą formę, i czuł wstręt niewymowny. Mieszkał u rodziców na czworaku, a właściwie w pobliżu tej budowli, gdyż obydwaj z ojcem sypiali na dworze w czasie nocy jasnych, a pod pustą szopą w czas deszczowy. Ojciec i matka przypatrywali mu się z nieustającym ani na chwilę zdumieniem. Szczególniej ojciec dziwował mu się bez końca. Mało do niego mówił, a jeśli wyrzekł jakie słowo, to z wyrazem pytania w oczach, czy to aby godzi się powiedzieć. Młody Radek wstydził się i tatula, i matki, i swojej obecności w przeklętym Pajęczynie — nie wiadomo przed kim. Umyślnie nosił grube szmaty chłopskie, chodził boso i wyręczał ojca w pracy folwarcznej, żeby tylko od nikogo z przejezdnych nie być poznanym. Był to jednakże wstyd połowiczny, kryjący w sobie żal głęboki, a gorzki jak piołun.

Rodzice nie mogli mu na dalszą naukę dać nic więcej prócz paru oselek masła i kilku sztuk zgrzebnej bielizny. Naokół nikt dlań nic nie miał innego prócz mniej lub więcej gryzącej ironii. Mimo to, a może nawet dlatego, energia Jędrka rosła i odwaga tężała. Wezwał na pomoc wspomnienie nauczyciela i z tym kapitałem zarzucił na plecy tornister, wyruszając w świat szeroki. Rodzice obydwójce płakali, odprowadzając go daleko, daleko za pola folwarczne. Nie wiedzieli, jakim słowem przemówić na pożegnanie, zapewne ostatnie, co mu radzić, przed czym go ostrzegać. Patrzyli tylko w milczeniu, pragnąc zachować w żrenicach obraz jego postaci. I Jędrzek milczał. Zostać w Pajęczynie Dolnym nie mógł za nic w świecie. Czuł, że nie ma tam dlań takiej nawet przestrzeni, żeby mógł na niej postawić dwie stopy, a jednak idąc po twardej szosie i nie oglądając się poza siebie, płakał i on cichymi, chłopskimi łzami.

Posiliwszy się jako tako w karczmie przy rozstajnych drogach, dał szynkarce należne kilkanaście groszy i miał wziąć ze stołu tornister, kiedy tłuste babsko znowu go zagadnęło.

— A czy aby kawaler skąd nie ucieka? Żebyś zaś jakiego kłopotu nie miała...

— Odczep się pani! — rzekł Radek głośnie i stanowczo.

— Tak? Z takiego *kamerdunu*⁴²⁰? Zaraz my się tu prawdy dowiemy!

To rzekłszy, żywo skoczyła ku drzwiom, usiłując je na klucz zamknąć. Gimnazysta pchnął ją tak potężnie, że się zatoczyła aż pod beczki stojące w kącie, i wyszedł. Mijając prędko wieś, słyszał za sobą wrzaskliwy głos szynkarki:

— Po sołtysa, po sołtysa! Łapaj, trzymaj!...

Dom, Chłop, Nauka,
Przemiana, Pamięć

⁴²⁰z takiego *kamerdunu* (gwar.) — takim tonem. [przypis edytorski]

Za wsią, za ostatnim jej drzewem, znowu go upał pochwyił w szpony. Zdarzenie w karczmie nie sprawiło mu przykrości, lecz owszem pewną satysfakcję, zaraziło go jednak pewną niewidzialną odrobiną przesądu.

— Zły znak, zły początek... — szeptał do siebie.

W tamtej stronie pagórki znikają już prawie całkowicie. Przypiaszkowy, a miejscami szczerze piaszczysty grunt rozkładał się jak okiem sięgnąć na płaszczyźnie ogromnej, zimnej i nudnej. Daleko szarzały mizerne skrawki lasu, bliżej, gdzieś między polami widać było mały, plugawy pagórek, wydmy piachu jałową i martwą jak mogiła, a na niej parę jakichś rosochatych, suchych i zgarbionych od urodzenia sosenek i brzózek. Po obydwu stronach drogi ciągnęły się dwa suche rowy, zarośnięte wysoką trawą, która dźwigała tak niezmierne brzemie kurzu zwianego z szosy, że zdawała się pod nim umierać. Słupy telegraficzne rzucały na białe płótno szosy swe krótkie i martwe cienie. Gdzieś sterczał z ziemi podłużny kamień, z gruba ociosany i w półokrąg zakończony u góry. Głazy te miały na sobie jakieś barwy drogowe i koślawe cyfry, a czyniły wrażenie prostackich chłopów wioskowych poprzebieranych w uniform państwowy, którzy stoją *wo front*⁴²¹ i czegoś stróżują, ale sami nie wiedzą — czego. Zresztą na całej szosie leżała martwota.

Radkowi posiłek (a osobliwie piwo) nie wyszedł na zdrowie. Głowa mu ciężała, nogi się plątały i morzyła go senność. W pewnym miejscu zauważył w polu gruszkę, obok niej suchotnicze krzaczki; zaszedł tam i przespał się w cieniu. Wkrótce jednak maszerował znowu. Pot kroplisty stał na jego spalonej twarzy i szyi, brudził tasiemkę kołnierza, a nawet sam kołnierz zabarwiał na kolor jasnosiny. Niezbyt pośpiesznie idąc, Radek dopędził furę z tarcicami, wlokącą się noga za nogą, i zrobił propozycję chłopu, który szedł obok sprzężaju⁴²², czyby za dwadzieścia groszy nie pozwolił mu przysiąść na deskach. Chłop długi czas patrzył na niego, a następnie wyciągnął rękę po pieniądze. Jędreki przysiadł się bokiem na deskach i zwiesił nogi. Drobne szkapki ciągnące wóz, chude i mizerne „chety” bez żadnej prawie maści, z wielkimi łbami, grzywami i ogonami, szły ledwo, ledwo, dotykając prawie nozdrzami pyłu szosy. Wysoki i obdarty właściciel ich śmigał nad nimi beczmyślnie batem i raz za razem pokrzykiwał:

— Wijo-a-ocha... Wijo-a-ocha!...

Od chwili gdy Jędreki siadł na wozie, nie spuszczał z niego oczu i nawet okrzyku swego zapomniał. Gdy się już napatrzył do woli, rzekł:

— A skądże to pán?

— Taki ja pan jak i wy, gospodarzu... — powiedział Radek.

Chłop zamilkł i znowu się przyglądał. Dopiero po upływie długiej chwili mruknął sceptycznie:

— Niby jak já?

— E, wiecie co, pójdę ja lepiej... — rzekł nagle uczeń. — Szkapki wasze nie najbogatsze, ledwo idą, a mnie pilno. Oddajcież mi te dwadzieścia groszy...

— Dwadzieścia groszy? Niby one, co mi je pán dał?

— A no jakież?

— Ij, gdzież ja bym te pieniądze panu oddawał... — rzekł chłop, wywijając batem i patrząc na ogony swych szkapiąt.

— A no i jakże, przecież nie siedział na waszym wozie pacierza...

— A cóż mi ta z tego? Jechać to jechać, a gdzież ja bym ta pieniądze oddawał!...

— Dajcież te pieniądze, żeby między nami nie było znowu czego!...

— Między nami niby?

— No!

— Wijo-a-ocha!... — rzekł chłopowina z takim spokojem, jakby Radka wcale przy nim nie było.

Łzy zakręciły się w oczach wędrującego chłopca. Żle mu się wiodło w tej drodze. Nie rzekł już słowa — i poszedł dalej. W zamyśleniu stawiał wielkie kroki i ani się obejrzał, jak przebył dystans kilkuwiorstowy. Spiekota trwała jeszcze ciągle, tylko przydrożne słupy i krzaczki odrzucały dłuższe cienie. Z nagła wędrowiec usłyszał poza sobą głuchy turkot i zobaczył duży tuman kurzu posuwający się z szybkością. Wkrótce zrównała się

Droga

Szlachcic, Chłop, Obyczaj,
Nauka

⁴²¹*wo front* (ros.) — na baczność. [przypis edytorski]

⁴²²*sprężaj* — zwierzęta (konie a. bydło) zaprzęgane do wozu, pługa itp. jako siła pociągowa. [przypis edytorski]

z nim para pysznych koni bułanych, zaprzężonych do bryczki, na której siedział furman w liberii i szlachcic w kapeluszu słomkowym, otulony żaglowym kitem. Szlachcic był młody, wąsaty i, naturalnie, ogorzały. Wejrzenie miał gwałtowne, bystre, ciężkie i tak prawdziwie pańskie, że Radek natychmiast uczuł w sobie chamską duszę i zdjął czapkę. Pojazd minął go, sypiąc naokół chmurą kurzu. Gdy z zamrużonymi oczyma stał zwrócony ku polom i czekał, aż piasek opadnie, usłyszał nagle chrapliwy i rozkazujący głos:

— Hej, kawalerze, hej!

Radek roztwarł⁴²³ oczy i dostrzegł, że bryczka stoi w odległości kilkudziesięciu kroków, a szlachcic wzywa go ku sobie takim gestem, jakby mu obiecywał pięćdziesiąt batów.

— Kawalerze! — wołał coraz głośniej.

Radek podbiegł do bryczki i z odkrytą głową stanął przy jej stopniu.

— A skąd to kawaler? — zapytał szlachcic pewnym głosem sędziego śledczego.

— Spod Pyrzogłów.

— Skąd?

— Z Pajęczyna Dolnego.

— A kawaler coś za jeden, czyj syn?

— Tam jednego...

— Co za jednego... tam?

— Włościanina.

— Proszę... włościanina. A dokądże to tak walisz samopas, kochanku?

— Do Klerykowa.

— Fiu — fiu. A po cóż to?

— Do szkół, proszę wielmożnego pana.

— Cóż, u licha! Ojciec na szkoły dla ciebie ma, a na furmankę nie ma? Konie trzymają ojciec?

— Nie.

— Więc skądże, do diabła, bierze na szkoły, jeśli nawet koni...

— Mój ojciec służy we dworze... — powiedział Radek z rumieńcem na twarzy.

— Za karbowego, czy jak?

Młodzieniec wahał się przez chwilę, pragnąc z całej siły skłamać i potwierdzić, ale przemógł się wreszcie i wyznał:

— Nie, za rataja.

— Patrzcież państwo! Już teraz rataja kształcą swe potomstwo w Klerykowie. A do którejże to klasy walisz w tyłim tornistrze, mój filozofie?

— Do piątej, proszę wielmożnego pana.

— Do piątej? No, proszę... Jakże to sobie radę dajesz w tym Klerykowie, skoro tak rzeczy stoją?

— W Pyrzogłwach dawałem korepetycje.

— W Pyrzogłwach? Ja się pytam o Kleryków.

— Nie znam Klerykowa, wielmożny panie.

— To ty dopiero pierwszy raz?

— Pierwszy.

— I myślisz tam również tymi korepetycjami handlować?

— Nie wiem, proszę wielmożnego pana. Tak idę...

— „Tak” idziesz? No, to siadaj na koźle, podwiozę cię do miasta.

Radek szybko wgramolił się na kozioł i usiadł obok tęgiego furmana w liberyjnej czapce i letnim ubraniu w białe i niebieskie prążki. Konie skoczyły z miejsca i poniosły bryczkę wśród tumanów burego pyłu. Kiedy niekiedy tylko ukazywały się oczom młodzieńca niewielkie chaty, drzewa, słupy wiorstowe i dalekie gaje. Nie panował on już nad sobą ani nad swymi postanowieniami. Wszystkim zaczęło rządzić ślepe zdarzenie czy cudza fantazja. Wiedział to jedno, że po przyjeździe, który sam przez się był już dziełem szczęśliwego trafu, czeka go cały szereg wstrząśnień i rozmaitych zjawisk o nieznanym kształcie, zakresie i kierunku. Co to będzie dalej? „Jaki — myślał — jest ten Kleryków? A może się uda... Początek zdawał się zły, a może też za to...”

⁴²³roztwarł — dziś raczej: otworzył. [przypis edytorski]

Na szosie ukazywały się zwiastuny Klerykowa: zdążało więcej pieszych, wozów z tarciami, bryczek szlacheckich i ogromnych fur, na których trzęsły się istne sterty Żydów. W pewnym miejscu wyrosła pod górką duża cegielnia, a dalej na horyzoncie fabryka z czerwonej cegły. Radek oglądał takie budowle po raz pierwszy. Serce jego ścisnęło się, a wszystkie uczucia chwycił i zdławił jakby kurcz długotrwały. W tym stanie mniemanego spokoju młodzieniec przyjechał do miasta. Kleryków zrobił na nim wrażenie kamiennego labiryntu, ogromu. Wielkość domów zdała mu się wprost niewiarygodna, huk go oszołamiał, a ulice wydłużały się w oczach jego do nieskończoności. W rynku szlachcic rzucił furmanowi krótki rozkaz:

— Na Targowszczyznę!

Bryczka skierowała się w boczne, brudne i cuchnące uliczki, zjechała z bruku na szosę wysadzoną ogromnymi drzewami i pośród lichych domków przedmieścia stanęła u bramy okazalszego budynku, który przypominał obszerny i zapadający się w ziemię dwór wiejski. Szlachcic wysiadł z bryczki i rzekł do Radka:

— Złaź, kawaler, i chodź za mną!

Chłopiec zeskoczył z kozła i machinalnie, noga za nogą szedł w ślady rozkazodawcy. Ziemianin wstąpił po schodkach z bulw kamiennych do krzywej i nieczystej sionki, otworzył drzwi na lewo i sam ruszył dalej, a Jędrkowi gestem kazał pozostać. W kuchni krzątały się dwie służące: gruba kucharka w chustce związanej na kształt bocianiego gniazda i młoda dziewczyna z gołą głową. Obydwie ukradkiem spoglądały na przybysza, który nieruchomo stał obok dużego komina. Wieczór zapadał i złoty blask zorzy płynął do izby przez brudne i zestarzałe szybki. Radek mimo woli spojrzął ku oknu i w głębi swych myśli, nie wiedząc prawie o tym, co się z nim dzieje, szukał istoty swojej, zatraconej wśród nawału wypadków niosących go w pędzie. Był cały okryty kurzem, strudzony podróżą i pragnący. Niedaleko stała beczka z wodą, a na jej brzeжку blaszane półkwarcie⁴²⁴, ale bał się ruszyć z miejsca. Za sąsiednimi drzwiami słychać było głośnie rozmowę, rubaszny śmiech męski i kobiece okrzyki. Młoda pokojówka zaczęła nastawiać samowar, stara kucharka przyrządzała mięso na kotlety, gdy wtem drzwi się roztwarły i szlachcic, który zabrał był Radka na wózek, zawołał:

— No, filozofie, jak się tam wabisz... *kim*⁴²⁵!

Radek niby automat, w swym tornistrze na plecach, posunął się naprzód, przekroczył wysoki próg i stanął w komnacie oświetlonej lampą wiszącą. Środek tego pokoju zajęty był przez duży stół nakryty odrapaną tu i ówdzie ceratą. Za nim, między dwoma oknami, mieściła się rozległa sofa, obok występowała na sam środek stancji wielka czarna szafa. Na sofie siedziała pani widocznie bardzo małego wzrostu, gdyż głowę jej, ozdobioną wyniosłym zwojem przyprawionych warkoczy, ledwie było widać zza krawędzi stołu. Obok tej pani stał chłopiec lat zapewne dwunastu, z małymi ślepkami, twarzą podługowatą i jakoś niemile uśmiechniętą. Chłopiec ten bez ustanku kołysał się na prawo i lewo, jak to czynią arabskie konie, które wieziono przez morze. Zza ramion chłopca i damy siedzącej wyglądała dziewczynka bardzo do tych dwojga podobna, lecz obdarzona wzrokiem bystrzejszym. Na rogu stołu, w świetle lampy stał jegomość średniego wzrostu, łysy, marsowaty, z zadartymi do góry wąsami i potężnym orlim nosem. Protektor Jędrka, gdy ten wszedł i składał ukłon, rzekł głośno:

— To właśnie jest ów piątoklasista. Macie go we własnej osobie.

— Aha — rzekł pan z zadartymi wąsami — aha!... Więc idziesz, kochanku, do szkół, do klasy piątej?

— Tak jest... — wykrztusił Radek.

— Bardzo to jest pięknie z twojej strony, że się garniesz do nauki, bardzo to pochlebnie... Czy masz tu znajomych albo krewnych?

— Nie mam, proszę łaski pana.

— A czy jesteś przynajmniej pewny, że w klasie piątej będzie miejsce dla ciebie?

— Mam patent...

⁴²⁴*półkwarcie* — kubek a. inne naczynie o pojemności pół kwarty, tj. ok. pół litra. [przypis edytorski]

⁴²⁵*kim* (jid.) — chodź, pójdź. [przypis edytorski]

— Hm... ja poszukuję niedrogiego korepetytora do syna. Gdybyś wszedł do gimnazjum, to kto wie... może byś znalazł u mnie stół, stancję, światło, pranie, opał i wszelkie wygody.

Po grzbiecie Radka prześliznął się mrozący dreszcz, a w duszy jego zadrżał i skonał jak gdyby czyjś okrzyk: „O Boże, Boże!...”

— Władzio przeszedł do klasy pierwszej... — rzekła dama tonem wyniosłym i melancholijnym.

— Jest to chłopiec w całym znaczeniu tego wyrazu zdolny, ale z łaciną nie da sobie rady.

— Tak, z łaciną nie da sobie rady... — powtórzył Jędrzek z głębokim przeświadczeniem.

— A więc zgadzasz się kawaler? — zapytał nagle szlachcic przyjezdny, kładąc na tornistrze Radka potężną prawicę.

— Zgadzam się, proszę wielmożnego pana, a jakże, zgadzam się...

— Może mi pana zarekomendujesz, Alfonsie? — wycodziła tymczasem dama do Radkowego protektora.

— A prawda. Nie wiem nawet, jak się nazywasz...

— Nazywam się Andrzej Radek.

Chłopiec i dziewczynka mrugnęli znacząco i tręcili się łokciami.

— A ja nazywam się Płoniewicz — rzekł ojciec małego ucznia.

Przyjezdny nie wyjawiał Radkowi swego nazwiska. Zacierał w czasie tej rozmowy ręce, chodząc szybko po izbie, a od czasu do czasu rzucał krótkie, niezdeterminowane frazesy:

— Historia, jak mi Bóg miły... Awantura hiszpańsko-arabska!

— Zanim co nastąpi, możesz pan nocować u mnie... — mówił pan Płoniewicz. — Maryśka, wyporządz mi tam do czysta kancelarię i ułóż siennik z pościelą na szezlongu — rzucił, zwróciwszy oblicze w stronę kuchni.

Jędrzek stał przy drzwiach, oszołomiony wszystkim tak dalece, że prawie nie widział osób znajdujących się w mieszkaniu. Obok niego przesunęła się kilkakrotnie pokojówka z talerzami, chodził to tu, to ówdzie sam gospodarz, skakał jakiś mały piesek. Twarze obecnych widział jak gdyby zasłonięte mgłą czy nikłymi smugami dymu. Gdy nakryto do stołu i wniesiono półmisek z mięsiwem, pan Płoniewicz trochę szorstkim tonem wezwał Radka do zajęcia miejsca przy końcu stołu. Chłopiec nieznacznym ruchem odpiął tornister, złożył go na ziemi i usiadł. Dostał mu się kotlecik maleńki, ale przedziwnie smaczny po tak długiej wędrówce. Skończywszy kolację, gospodarstwo⁴²⁶ z kuzynem i dziećmi przeszli do sąsiedniego salonu, a Jędrzek, poprzedzony przez młodą służącą, udał się do swego *locum*⁴²⁷. Z kuchni brudne i srodze wykrzywione drzwi prowadziły do wąskiej izby z jednym okienkiem. Ściana wprost drzwi zbita była z desek obielonych wapnem, między którymi widniały szerokie szpary. Stała tam kanapa tak zdezelowana, jakby ją dopiero co przyniesiono z szafotu, gdzie z niej oprawca darł pasy. Pod oknem znajdował się stolik, przy nim krzeselko. W rogu nudziła się szafka pleciona, a wszystkie jej półki zawalone były książkami najrozmaitszych formatów.

Służąca przyniosła zaraz siennik szczerze słomą wypchany, poduszkę, prześcieradło i lichą kołderkę, usłała prędko na szezlongu wysokie łożo i oddaliła się, zostawiając niby wspomnienie po sobie cokolwieczek zakopconą lampę. Radek, gdy wyszła, oparł się pięściami na stoliku, wlepił oczy w płomień i popadł w głęboką zadumę. Wszystkie zdarzenia tego dnia tonęły w grubej nocy. Myśli chłopca przesuwwały się od wypadku do wypadku, od sceny do sceny, od osoby do osoby, niby wzrok badający kształty wśród ciemności zupełnej, gdy się wyjdzie ze światła i przywyka do mroku. Idąc po omacku tą drogą uciążliwą, Jędrzek trafił na spotkanie ze szlachcicem i znowu cofał się wstecz aż do chwili mijającej. Serce jego ścisnęła udręczająca ciekawość skierowana w stronę dnia następnego, który owej chwili stał dlań gdzieś w przestrzeni, niemal jak osoba złowroga i bezlitosna, ale tę ciekawość tłumili i odtrącał, wciąż rozpatrując ubiegłe wypadki.

Nareszcie znużenie ogromne i twarda senność wyrwały go z obrębu dociekań. Spojrzał wokoło i zatrzymawszy wzrok na czystym posłaniu, westchnął z głębi piersi. Ściągnął buty

⁴²⁶ *gospodarstwo* — tu: gospodarz z gospodynią; małżeństwo gospodarzy. [przypis edytorski]

⁴²⁷ *locum* (łac.) — miejsce, izba. [przypis edytorski]

z uczuciem niewymownej ulgi, zgasił lampę i rozciągnął się na posłaniu. Była już głucha noc. Kiedy niekiedy przerywał ciszę daleki turkot wozu, a zabłąkane jego echo uciskało serce Jędrka niby nadchodzące niebezpieczeństwo. Podnosił wtedy głowę i czekał, jakby w nadziei usłyszenia wyroku przyszłości.

Nazajutrz w towarzystwie Władzia, który mu drogę wskazywał, udał się do gimnazjum i wręczył swoje świadectwa dyrektorowi. Kriestoobriadnikow dał rezolucję przychylną i rozkazał zaciągnąć Radka w poczet uczniów klasy piątej. Tegoż dnia miała miejsce instalacja pyrzogłowianina, urzędowa niejako, na stanowisku korepetytora Władzia Płoniewicza. Ów Władzio nie należał do gwiazd i chwał gimnazjum. Wprowadzono go do klasy wstępnej za pomocą dużej łapówki, a ze wstępnej do pierwszej przeciągnięto w sposób jeszcze bardziej rujnujący.

Zaraz przy pierwszej lekcji Radek zauważył, że jego uczeń z trudnością kombinuje i że prawie całkiem nie ma pamięci. W trakcie rozpoczętego zadania z arytmetyki malec ustawał zupełnie, tak jakby się w nim do cna rozkręciła sprężyna, która pchała ruch jego myśli. Wlepił wówczas oczy w jakiś znak lub płamę na papierze i nie było perswazji, zachęty, podniety, nagany czy groźby, które by były w stanie zmusić go do ruszenia rzęsą. Potrafił tak stać kwadransami i godzinami, a z wszelką pewnością stałby dni i doby, nie zmieniając pozycji i nie cofając oka z danego punktu. Radek przeraził się, zauważywszy tak wielki upór, ale wkrótce pocieszyło go spostrzeżenie, że jest to upór bezwolny i bezwiedny, pewien rodzaj niemocy umysłu. Wnet po otwarciu roku szkolnego zaczęło się ssanie matki-laciny, przyszły słówka, rozbiory, tłumaczenia i gramatyka rosyjska, etymologie i syntaksy... Władzio pogrążył się w odmęcie pracy. Z chwilą spożycia ostatniego kęsa pieczeni obiadowej przystępowano do korepetycji, czyli Radek zaczynał wykład naznaczonych kwestii. Mówił głosem równym, dobitnym, wyraźnym, z pewnym sugestywnym⁴²⁸ akcentowaniem sylab, tłumaczył, jak chłop rozumiejący sprawę objaśnia ją ciemnemu, trafiał do umysłu Władzia słowy i dźwiękami, które miały cechy ostrych strzał i haków. Wiedział doskonale, że te usiłowania nie wywrą od razu pożądanego skutku, że Władzio mimo wszelkich dowodzeń będzie mrużył swe czerwone powieki i uśmiechał się odrobinę złośliwie.

Korepetytorowi bardziej chodziło o rozruszanie pamięci, o wdrożenie w umysł przynajmniej formy zadania. Przez ciąg całego popołudnia Władzio uczył się z korepetytorem zagadnień arytmetycznych wprost na pamięć. Ta sama sprawa była z geografią. — Kurs tej nauki rozpoczyna się w gimnazjum klerykowskim od elementarnych wiadomości z geografii fizycznej. Roztropni i zdolni uczniowie klasy pierwszej nie osiągają z tego wykładu wielkiej korzyści, a cóż mówić o Władziu?... Ośmioletnie dziecko szwajcarskie z największą łatwością i uciechą przyswaja sobie wiadomości geograficzne, mówią mu one bowiem najprzód o placu szkolnym, o wiosce czy miasteczku rodzinnym, o wsi sąsiedniej, o drogach dalszych, rzeczce i lesie, o wzgórzach bliskich, wreszcie o kantonie i kraju. Z historyjek o ruchu ziemi, księżycy, o równikach, południkach itd. Władzio nie rozumiał nic zgoła. Radek przesiadywał nad nim okropne godziny jak diabeł nad dobrą duszą, rysował mu nie wiedzieć jakie kule ziemskie, tłumaczył po polsku rosyjskie nazwy i formy — wszystko daremnie. Po całodziennych trudach malec wyuczał się tych martwych wiadomości i odchodził na spoczynek zbity nimi jak różgą. Wieczorem odbywała się nauka łaciny. Ponieważ Władzio nie grzeszył pamięcią, więc Radek zmuszony był słówka i przekłady łacińskie wykuwać z nim na spółkę dotąd, aż je niejako wchłostał w mózg uśpiony. Siedząc przy stole zavalonym książkami i kajetami, korepetytor i uczeń oddawali się zbawczej czynności mordowania rozumu. Radek, kiwając się miarowo, pytał jednostajnym głosem:

- Słowik?
- *Luscinia.*
- Śpiewa?
- *Cantat.*
- W nocy?
- *Noctu.*
- *Noctu?*

⁴²⁸sugestyjny — dziś popr.: sugestywny. [przypis edytorski]

Władzio wytrzeszczał oczy i zaczynał uśmiechać się drwiąco.

— Co znaczy *noctu*?

Milczenie, długie, niezmierne milczenie.

I znowu:

— Słowik?

— *Luscinia*.

— Śpiewa?

— *Cantat*.

— W nocy?

— *Noctu*.

— Co znaczy *noctu*?

Znowu milczenie.

Po skutecznieniu kilkunastu z kolei zabiegów tego rodzaju, które przypominały cierpliwe uderzenia młota w kamień, nareszcie wyskakiwała iskra świadomości. Władzio ścisnął gniewnie wargi, marszczył czoło i na zapytanie, co znaczy *noctu*, opryskliwie mówił:

— W nocy.

Wówczas dopiero te dwa niezbędne słowa lgnęły do jego mózgu i była pewność, że tam na czas pewien zostaną. Tenże rodzaj postępowania Radek musiał zachowywać przy wyuczaniu Władzia morderczych rozbiorów, paragrafów gramatyki rosyjskiej i łacińskiej, działań z liczbami wielorakimi, miar i wag, wierszy rosyjskich i formuł katechizmu. W krótkim przeciągu czasu stosunek swój do małego Płoniewicza urobił na system pedagogiczny, jedynie skuteczny, i z dnia na dzień go doskonalił.

Pracę nad Władziem podejmował *con amore*⁴²⁹, z łatwością i chęcią, a z niewzruszoną wiarą w ostateczne zwycięstwo. Tego, że chłopiec obarczony jest pracą niby ciężkimi kajdanami, że umysł jego nie rozwija się z braku wytchnienia — nie rozumiał. Owszem, dodawał małemu roboty. Od godziny siódmej do ósmej z rana obadwaj szybko przerabiali lekcje, których się Władzio dnia poprzedniego wyuczył, następnie pili śniadanie, zarzucali na plecy tornistry i maszerowali do szkoły, przez drogę ćwicząc się jeszcze w słówkach, wierszach, miarach i wagach, i w ogóle w rzeczach pamięci będących na porządku dziennym. Lekcje w gimnazjum trwały do godziny pół do trzeciej. Od czwartej zaczynało się wałkowanie materiału na dzień następny i trwało z krótką przerwą kolacyjną nieraz do godziny dwunastej w nocy. Kiedy Władzio przepisywał *pensa*⁴³⁰ z brulionów⁴³¹, Jędrrek odrabiał lekcje z panną Micią, uczennicą klasy drugiej gimnazjum żeńskiego. I tam szła ta sama arytmetyka, język rosyjski, tak zwany polski, a nadto francuski, niemiecki, rysunki etc. Z panną Micią było jednak daleko snadniej⁴³², gdyż sama rozwiązywała zadania, chociaż częstokroć „nie wychodziły”; uczyła się rzeczy pamięciowych, a nawet z finezją okłamywała fornalskiego syna.

Gimnazjum, trudniąc się zadawaniem, słuchaniem i stawianiem stopni, nie udzielało korepetytorowi żadnych wskazań. On to właściwie hodował i rozwijał umysł dziecka. Bez znajomości jakiegokolwiek metody postępowania, omackiem i domysłem budził charakter, ekscytował pamięć, przez użycie swoich własnych środków rozrabiał spostrzegawczość i siłę kombinowania. Do własnych swoich lekcji Radek brał się w nocy, zazwyczaj po godzinie dwunastej. Gdy Władzio udał się już na spoczynek, rodzic jego zamknął wszelkie drzwi na klucz i odszedł, a służące spać się układały, wówczas korepetytor w swoim apartamencie rozpałał koślawą lampę, imał⁴³³ się Salustiusza⁴³⁴, geometrii i algebry. Wtedy również wyciągał z kieszeni małe pudełeczko z nędnym tytoniem, z bibułkami, kręcił papierosy i w sekrecie zaciągał się do syta. Zdarzało się również o tej nocnej godzinie, że wydobywał z ukrycia stare i zeschnięte kromki chleba, ściągnięte z kredensu albo odkrajane co prędzej od bochenka, gdy w jadalni nie było nikogo. Państwo Płoniewiczowie nie starali się o wypasienie swej czeladki. Dawano jeść skąpo i nędznie. Na śniadanie Radek

⁴²⁹*con amore* (wł.) — z zamilowaniem. [przypis edytorski]

⁴³⁰*pensum* (łac.) — tu: ćwiczenie szkolne zadane do domu. [przypis edytorski]

⁴³¹*brulion* — tu: brudnopis. [przypis edytorski]

⁴³²*snadniej* (daw.) — łatwiej. [przypis edytorski]

⁴³³*imać się czegoś* — brać się za coś; łapać się za coś. [przypis edytorski]

⁴³⁴Salustiusz, właśc. *Gaius Sallustius Crispus* (86–35 p.n.e.) — historyk rzymski, autor m.in. *Dziejów* (łac. *Historiae*) oraz *Spisku Katyliny* (łac. *De coniuratione Catilinae*), *Wojny z Jugurtą* (łac. *Bellum Iugurthinum*). [przypis edytorski]

dostawał szklaneczkę kiepskiej herbaty z dwoma cienkimi kawałkami cukru, na kolację dzień w dzień pół talerza maślanki z ziemniakami, także ilość kwaśnego mleka albo różowego barszczu. Obiady były pod psem, a nawet pod całym stadem psów. Pokojówka zmieniała ciągle salaterki, przynosiła filigranowe talerzyki, łyżeczki, rogowe nożyki, ale chamski syn wstawał po tych ceremoniach tak samo zgłodniały, jak do nich zasiadał.

Pan Płoniewicz był eks-obywatelem ziemskim. Gdy nadszedł czas kształcenia dzieci, sprzedał folwark, kupił na przedmieściu Klerykowa obszerną posesję z budynkami, ruderami, starą szopą i kawałem gruntu. W ruderach gnieździła się nędza klerykowska: szewczyńska bez butów i kopyt, stare dewotki, urzędnicy z małą pensją, robociarze, indywidua bez miejsca i jakiegokolwiek tytułu własności. Główne domostwo zajmował sam pan Płoniewicz. Okna tego frontowego budynku wychodziły na ten właśnie opuszczony park, gdzie Borowicz z towarzyszami ćwiczył się w umiejętności strzelania z pistoletu.

Radek od razu nie tylko polubił, ale mocno ukochał te miejsca. One go życzliwie przyjęły. Tu mu dano izbę, posłanie, możliwość uczenia się nocami... Nie było dlań w tym całym urządzeniu rzeczy złych; wszystkie były dobre. Gdyby w zamian za odrabianie korepetycji z Władziem i Micią kazano mu sypiać w stajni, zgodziłby się i na to. Nieraz jednak w czasie „dużej” pauzy, gdy wszyscy koledzy z klasy piątej kupowali u stróżki po pięć, osiem, dziesięć bułek, po cztery i sześć serdelków, a on siedział o suchej gębie i słuchał, jakie to marsze kiszki grać umieją, kłął w myśli skąpe obiady, szczerzenie kartofli i kaszy. Wszystko to przecież wynagradzała mu owa izba własna. Stanowiła ona dla niego przyjemność tak wielką, że siedząc tam nocami czuł ją ciągle i zdawał sobie z tej uciechy sprawę. Stancyjka sąsiadowała ze spiżarnią i była zupełnie podminowana przez szczury. Ledwie Radek zgasił światło, wnet odzywały się szelesty, szmery, piski, chrupanie i ogromne zwierzaki spacerowały nie tylko na dylach⁴³⁵ podłogi, ale także wzdłuż i na ukos szeszlonga⁴³⁶.

Za oknem, dolną ramą stojącym na poziomie dziedzińca, rósł dziki głóg, a wysoki jego badyl uzbrojony w krzywe kolce zaglądał do Radkowego mieszkania. Gdy Jędrzek zbudził się pierwszy raz w nowej siedzibie, oczy jego padły na głóg samotny jak na pobratymca od pół i od chałup. Przywidziało mu się, że tamten zagląda do niego i pozdrawia go w smutku. Odtąd biedny głóg był tak bliski Radkowi, jakby korzeniami tkwił w jego własnym sercu. Był to zresztą jedyny przyjaciel jego w Klerykowie.

Pierwsze miesiące upłynęły przybyszowi całkiem samotnie. Raz tylko w interesie zaszedł do dwu kolegów z klasy piątej, którzy mieszkali w pobliżu u krewnych. Byli to synowie rejenta z prowincji, człowieka bogatego. Mieli swoją własną stancyjkę z osobnym wejściem. Radek trafił u nich na... bał. Do haka pośrodku sufitu rejentowicze przyczepili na powrózku blaszaną miednicę, dnem wywróconą do góry. Zawinięty brzeg jej oblepiony był płonącymi łojówkami, a całość reprezentowała żyrandol. Tu i ówdzie wetknięte gałązki wierzbowe stanowiły majową dekorację sali. Ktoś w kącie ukryty grał na grzebieniu, Wilczkowicki, drugoroczny piątklasista, na drumli. Kilku kolegów namiętnie i entuzjastycznie walcowało, z gracją w absolutnym braku panien obejmując krzeselka. Pewien dryblas wywijał siarczyście, tuląc na łonie poręcz od kanapy specjalnie do tego walca ułamaną. Radek, wszedłszy, nie był pewny, czy to istotne pańskie „granie”, czy tylko błazeństwo uczniowskie. Stał w kącie i z nabożną miną przyglądał się hulającym. Toteż wzięto go zaraz na fundusz⁴³⁷.

W klasie żaden z kolegów nie zbliżył się do niego, lecz owszem wszyscy go szykanowali⁴³⁸. Zauważono natychmiast jego podkówki u juchtowych butów, drelichowe majtki, zgrzebną koszulę, tasiemkę i chłopskie prowincjonalizmy w mowie. Był nawet dowcipniś w klasie, niejaki Tymkiewicz, który go stale przedrzeźniał. W czasie dużej pauzy umyślnie zachowywano ciszę i z ostatnich ławek dawał się słyszeć głos naśladujący gwarę chłopską:

— Wojciechu, lubują woma zimioki z maślanką?

Z drugiego końca odpowiadano żałośnie:

— Oj, mój kumosicku, lubują, lubują...

— A miso woma lubuje?

⁴³⁵dyle — tu: deski. [przypis edytorski]

⁴³⁶szezlong — kanapa w kształcie fotela o wydłużonym siedzeniu, w wezłowie. [przypis edytorski]

⁴³⁷wziąć na fundusz — zakpić z kogoś. [przypis edytorski]

⁴³⁸szykanować — prześladować. [przypis edytorski]

— Kez by to miso nie lubowało człowiekowi! Ino co nie umiem onego misa jeść po ślachcicku...

— Po ślachcicku?

— Ajści. Jak mię tatuś oddali do szkoły na stancję, tom ci dopiero zobocel, jak se to ślachta jedzą. Bierze takie świecące widelki, żgnie ono miso, dopiero je do gęby niesie nikiej chłop snopek w zápole...

Emocja, jakiej doświadczał Radek, słuchając tych dialogów, była z pewnością palącym wstydem, ale obok niego czaiła się zemsta ukryta w masce obojętności i wzdury tak głęboko jak iskra w krzemieniu. Nauczyciele bezwiednie zaostrozali stosunek nowicjusza do kolegów, wyrывая go często na środek dla zbadania i oceny zasobów jego umysłu. Przybyszowi z Pyrzogłów zdawało się, że go przedrwiwają wszyscy. W progimnazjum najważniejsze wykłady snuły niedołęgi wszelkiego rodzaju, dziwaki i mastodonty okręgu naukowego, toteż Radek w łacinie, greczyźnie, matematyce itd. recytował istne *curiosa*⁴³⁹ jako perły wiedzy podane mu przez mędrców pyrzogłowskich. Wszystkie te okoliczności sprawiły, że Jędrę, chociaż uczeń bardzo dobry i pilny, był, jeżeli nie pośmiewiskiem, to tarczą szyderstw swego otoczenia.

Pewnej lekcji, blisko we dwa miesiące po rozpoczęciu kursu szkolnego, wezwał go do tablicy pan Nogacki i zlecił wyprowadzić formułę geometryczną zadaną na ów dzień do nauki. Radek stanął przy katedrze, chwycił kredę i począł rysować figurę uciętego graniastoslupa. Silne wzruszenie przyćmiło na pewną chwilę czasu jego pamięć i bystrość umysłu. W rysunku popełnił błąd przeprowadziwszy jedną z linii bryły zanadto na prawo. Nogacki orientował go kilkakrotnie, mówiąc swym zimnym głosem:

— Radek, linię $F G$ trzeba prowadzić na lewo...

Uczeń stał daną linię, ale nową przeprowadził jeszcze gorzej.

— Linię $F G$ — na lewo... — znowu wydekłamał nauczyciel.

Koledzy śmiali się już z cicha, a Jędrę tracił coraz bardziej pewność siebie. Znowu stał nieszczęsną linię i wyrysował całkiem niedorzeczną, gdzieś poza figurą.

— Ależ, Radek, linię $F G$ trzeba poprowadzić na lewo...

Wzburzony i drżący uczeń stał ją i bezwładnie opuścił ręce. Czarne płatki latały mu przed oczyma, gruczoły wydzielające ślinę nie funkcjonowały prawidłowo, a usta schły, kurczyły się i drgały. Wtedy z przedostatniej ławy wysunął głowę Tymkiewicz i donośnie po polsku szepnął:

— Wojtek, ady k'sobie!

Radek właśnie w owej chwili zebrał się w kupę, machnął linię prawidłowo i zaczął wybornie dowodzić. Śmiech ogólny zabrzmiał w klasie. Nawet zimny Nogacki, karcąc Tymkiewicza za odezwanie się podczas lekcji „w innym języku”, miał na wargach uśmieszek wesół. Radek prędko skończył teoreme⁴⁴⁰, rozwiązał zadanie geometryczne i obdarzony stopniem bardzo dobrym wrócił na miejsce.

Po skończonej lekcji wstał zaraz z ławy, nim jeszcze profesor wyszedł z klasy, szybko z zagryzioną wargą przybiegł do Tymkiewicza i od lewicy ściśniętą pięścią uderzył go w zęby raz, drugi... Napadnięty porwał się do bójki, ale Radek chwycił go za szyję mocną swoją garścią, trząsnął nim kilkakrotnie, przywłókł do muru i zaczął bić po chamsku, raz koło razu, w zęby, w gardło, w nos, w szczękę. Nim zdołano rozerwać walczących, już z nosa i ust Tymkiewicza krew się puściła strumieniem. Całej awanturze nauczyciel przyglądał się z katedry. Gdy skrwawionego i bladego jak trup Tymkiewicza złożono na ławce, Nogacki wyszedł, zamykając drzwi i rozkazując wszystkim zostać na swych miejscach. Po upływie kilkunastu minut wszedł do sali Kriestobriadników, inspektor, gospodarz klasy, jego pomocnik i kilku nauczycieli. Radek stał w ławce z głową zwieszoną. Łzy kapwały z rzadka z jego rzęs i rozpryskiwały się, zlatując na wierzch ławy. Dyżurny w krótkich słowach przedstawił całe zajście. Nogacki to potwierdził. Tymkiewicz miał twarz zmasakrowaną, jedno oko podbite i wciąż jeszcze krwi pełne usta. Dyrektor wysłuchał całej sprawy z uwagą i rzekł do nauczycieli obecnych:

Chłop, Szlachcic, Śmiech,
Zemsta, Okrucieństwo

⁴³⁹*curiosa* (łac.) — dziwactwa, osobliwości. [przypis edytorski]

⁴⁴⁰*teorema* a. *teoremat* (z gr.) — twierdzenie pochodne, wyprowadzone na drodze wnioskowania dedukcyjnego z aksjomatów (twierdzeń pierwotnych) danego systemu logiczno-matematycznego; tu przenośnie: zadanie do rozwiązania. [przypis edytorski]

— Zdaje mi się, panowie, że nie będę w niezgodzie z Radą Pedagogiczną, jeżeli Radka wydalę z gimnazjum. Jest to rozbójnik, nie uczeń. Jest to cham, istotny cham...

Po chwili zwrócił się do winowajcy:

— Radek, ja pana wydalę z gimnazjum raz na zawsze.

To rzekłszy, zalecił gospodarzowi klasy, ażeby Tymkiewicza nazajutrz po wyzdrowieniu wpakować na cztery godziny do kozy, a Radka z listy wykreślić — i odszedł ze swiatą. Gospodarz wejrzał ze współczuciem na Jędrka i z żalem w głosie wymówił:

— Cóż robić... musisz pan zaraz opuścić gimnazjum.

Radek zgarnął swe książki i kajety do tornistra, zarzucił go na plecy i wyszedł, złożony ukłon gospodarzowi klasy, jakby się oddalał na pauzę. Było już po dzwonku. Korytarz i schody opustoszały. Z którejś klasy dawał się słyszeć równy głos nauczyciela fizyki:

— W tym celu bierzemy dwa pręty metalowe...

Radek szedł po schodach nogą za nogą, bezwładnie myśląc: „w tym celu bierzemy dwa pręty metalowe... w tym celu bierzemy...”. Był spokojny, choć serce jego z bolesną siłą tłukło się o żebra, a zimne dreszcze przeszywały ciało i kości. Minął przedsionek, wyszedł na dziedziniec i tam zakręcił się na miejscu. W owej chwili przypomniał sobie ułamany bąbel głogu, a raczej zrośnięte z nim westchnienie szczęśliwe.

— Już po wszystkim... — wymówiły jego omdlałe wargi. Jak błędny zbliżył się do muru zamykającego podwórze i siadł na kamieniu, który tam leżał. Był to długi, ociosany głaz piaskowca. Spoczywał na tym miejscu pewno od wieków, a przynajmniej od czasu założenia konwikt⁴⁴¹ przez ojców jezuitów. W bliskości znać było wybornie udeptane mety do gry w *ekstrę*. Dziedziniec był w owej chwili pusty. Wiatr jesienny huczał w nagich konarach kasztanów zwisających nad murem, garnał na kupę zeschłe, skurczone, ceglaste i żółte liście, strzępki zagryzmołonych papierów i miótł je wirem pospołu ze śmieciami w róg dziedzińca. Jędrak oparł się plecami o ścianę, wyciągnął nogi, a długie ręce zwiesił między kolanami tak bezwładnie, że prawie dotykały ziemi. Głowa jego opadła na piersi. Zanedo niespodziewanie roztrącił go ten przypadek, zbyt szybko zdechły promienne nadzieje. Trza się wynosić z izby, rzec panu Płoniewiczowi, że już nie będę, zabrać manatki, książeczka i iść... W imaginacji rysował się przed nim obraz szosy nakrytej lotnym kurzem, nieskończenie długi pas biały. Przez chwilę widział karczmę i słyszał jak w rzeczywistości krzyk szynkarki:

— A czy aby kawaler skąd nie ucieka?... Po sołtysa, po sołtysa! Trzymaj, łapaj!

Wtedy zdusiła go taka wściekłość i taka rozpacz, że nie był w stanie tchu złapać. Wśród istnych kurczów cierpienia paraliżujących rozum błąkała się przecież decyzja: — Nie pójdę tamtędy, nie pójdę, nie pójdę!

To ujemne męstwo, wzmagając się, trzeźwiło go i ciągnęło na szafot rozumowań.

„Cóż będę robił na świecie, jeśli tamtędy nie pójdę? — myślał, patrząc pod nogi szklanymi oczyma. — Gdzież ja się podzieję, co będę jadł? Na księdza?...”

Wszystkie konające iluzje niby wypuszczony z więzienia huragan rzuciły się na niego i przytłukły go tysiącem kamieni. Zgarbił się jeszcze bardziej i zabity na duszy wlepił oczy w liść uschnięty. Wtem uczuł, że przed nim ktoś stoi. Wrażenie to było tak dalece przykre, jakby mu ów garściami włosy wydierał.

Dźwignął wtedy dopiero głowę, gdy usłyszał, że do niego mówi. Obok starego kamienia zobaczył nieznanego kolegę, który spoglądał nań przyjaźnie. Był to Marcin Borowicz, uczeń podówczas klasy szóstej.

— Panie — mówił tamten — byłem na korytarzu i słyszałem, jak pana *wylewali*.

— Co powiadacie, panie? — zapytał Radek, pod wpływem nieszczęścia wymawiając sylaby z chłopska. Czy miał bez żadnego wyrazu, przymknięte, szkliste, dolną wargę obwisłą.

— Uważasz pan — mówił żywo Borowicz — trzeba znaleźć do starego drogę przez *protege*. To jedyny środek. Nie masz pan w mieście jakich wpływowych znajomych?

— Nie, nie mam — odpowiedział Radek prędko i zwiesił głowę.

— Czekaj pan, ja pójdę do Zabielskiego i będę go *nabierał*...

⁴⁴¹konwikt (łac. *convictus*) — internat dla uczniów szkoły prowadzonej przez zakon katolicki. [przypis edytorski]

Radek uniósł jeszcze głowy, ale tylko w tym celu, żeby się przekonać, czy nieznajomy już sobie poszedł. Wciągnął go do swej mrocznej toni gnuśny bezwład, niby drzemanie, niby gorączka. Siedział jak przedtem skulony aż do końca godziny. Nierychło⁴⁴² usłyszał, że go znowu wołają. Zerwał się na równe nogi i spostrzegł we drzwiach przedsiönka inspektora i o dwa schody niżej stojącego Borowicza. Ostatni z werwą coś prawil i gestykulował. Inspektor jeszcze raz zawołał na Jędrka, a gdy ten stanął przed nim, przyjrzał mu się uważnie i kazał iść za sobą. Wszyscy trzej stanęli wkrótce u drzwi kancelaryjnych na górnym korytarzu. Borowicz odsunął się na bok, a inspektor sam wszedł do pokoju nauczycielskiego. Radek stał przede drzwiami w swym tornistrze jak żołnierz na warcie aż do dzwonka. W czasie kilkuminutowej pauzy obstarpił go koledzy z klasy piątej i z klas niższych, a większość starszych i młodszych wyszydzała jego los obecny. Niektórzy spoglądali nań życzliwie, inni w milczeniu, a jeszcze inni w milczeniu, ale z uśmiechem szyderczym na ustach. W pewnej chwili tłum otaczający wypędzonego zwartym kołem rozstał się i zamilkł, gdyż we drzwiach kancelarii ukazał się dyrektor. Władca gimnazjalny orlim wzrokiem spojrział na Radka, który wyprostował się instynktownym ruchem.

— Ostatni raz — rzekł — darowuję ci winę. Przeprósić się z Tymkiewiczem i zachowywać porządnie. Jesteś na liście najbardziej podejrzanych osobistości w gimnazjum. Tu bić pięściami nie wolno! Toteż oświadczam wobec wszystkich kolegów: ostatni raz! Najmniejsze przekroczenie i bez pardonu⁴⁴³ pójdiesz precz. Teraz marsz na lekcję!

Jędrak rozstawił nogi, uklonił się ognioście i ruszył do klasy. Twarz jego była po dawnemu błada, oczy tak samo zgasłe, tylko teraz brwi, nozdrza i wargi spazmatycznie drgały. Gdy otoczony przez chmarę wrzeszczącą miał z powrotem przestąpić próg klasy, nagle się wstrzymał i zaczął oczyma szukać w tłumie pewnej twarzy. Nie było jej nigdzie w bliskości. Tymczasem odezwał się dzwonek, uczniowie rozpięchli się w przeróżne strony i Radek usiadł na swoim miejscu.

Podczas trwania lekcji języka greckiego, która właśnie miała miejsce, siedział wyprostowany, z oczyma utkwionymi w nauczyciela, pilnie chwytając każdy dźwięk padający z katedry, ale dusza jego była za murami tej klasy. Z wielkim pośpiechem i trudem szukał wciąż myślami owego ucznia, który go wybawił. Rysów Borowicza wśród omdlenia swego nie zapamiętał. Tkwiło tylko w jego sercu nikłe wspomnienie twarzy nachylonej... Im dłużej myślał, im goręcej usiłował wywabić z przeszłości dopiero co minionej całą postać, tym cudowniejszy, jak gdyby księżycowy blask otaczał ją dokoła. Niepostrzeżone, wewnętrzne lzy Radka, lzy przedzej duszy niż ciała, płynęły i płynęły na to widmo przeczyste...

XIII

Za pobytu Borowicza klasa szósta liczyła trzydziestu trzech uczniów. Współtowarzyszów⁴⁴⁴, którzy z nim razem rozpoczęli kurs nauki od klasy wstępnej, dobrnęło do tego punktu zaledwie kilkunastu. Reszta składała się z drugoroczników i przybyszów. Dominującą większość stanowili Polacy, było bowiem tylko trzech Żydków (z tych Szlama Goldbaum dzierzył miejsce prymusa) i dwu Rosjan. Ogół tej młodzieży rozpadał się na dwie nierówne części, wyobrażające jak gdyby dwie warstwy społeczne, a przynajmniej dwa obozy. Jedna gromada, do której należał Borowicz, jego adherenci⁴⁴⁵, Rosjanie i Żyd-kowie, zostawała pod wpływem inspektora i reprezentowała poniekąd maleńkie stronnictwo ugodowe; druga była zupełnie bezbarwna, wrogo usposobiona względem pierwszej i ubierała się, o ile tylko można, elegancko. Zarówno pierwsza jak druga grupa piastowała w swym łonie różne odcienie wywołane przez związki krwi, zamieszkanie na wspólnej stacji, kopcenie wspólnych papierosów, „ściąganie” ze wspólnych podręczników albo zapalanie się do tych samych pensjonarek. Część inspektorska nosiła pogardliwe miano „literatów” — część druga sama ochotnie przeżywała się ligą wolnopróchników.

Borowicz odgrywał w pierwszej rolę niemałą. Jeszcze w klasie piątej, za delikatną podnietą inspektora, Borowicz założył wśród swych przyjaciół kółeczko zbierające się w niedzielę po nabożeństwie na jednej ze stacji w celu studiowania literatury rosyjskiej, a to

⁴⁴²nierychło — nieszybko. [przypis edytorski]

⁴⁴³bez pardonu — bez litości, bez zmiłowania. [przypis edytorski]

⁴⁴⁴współtowarzyszów — dziś popr. forma: współtowarzyszy. [przypis edytorski]

⁴⁴⁵adherent (łac.) — zwolennik. [przypis edytorski]

dla lepszego pisania ćwiczeń. W klasie szóstej literaci mieli w swym gronie już kilkanaście osób, a po świętach Bożego Narodzenia złączyli się z dwiema takimiż grupami z klasy siódmej i ósmej, odbywali zebrania wspólne w mieszkaniu pewnego siódmo-klasisty, a częstokroć w mieszkaniu samego inspektora. Na tych posiedzeniach czytano i roztrząsano byliny⁴⁴⁶, utwory Karamzina⁴⁴⁷, Żukowskiego⁴⁴⁸, Gribojedowa⁴⁴⁹, Puszkina, Lermontowa, Kryłowa⁴⁵⁰, Gogola⁴⁵¹, Ostrowskiego⁴⁵² itd. Lektura dzieł tych pisarzy⁴⁵³ rozwijała instynkty artystyczne młodzieży. Uczniowie klasy szóstej, którzy w kursie swym mieli wykład „bylin” o bohaterach przedwłodzimierzowskich⁴⁵⁴, jak Wolga Swiatosławicz⁴⁵⁵, Mikołaj Sielaninowicz⁴⁵⁶, o bohaterach kijowskich, jak Ilja Muromiec⁴⁵⁷, Alosza Popowicz⁴⁵⁸, Dobrynia Nikiticz⁴⁵⁹ itd., czyli o rzeczach nudnych jak flaki z olejem, a dla nastroju badawczo-racjonalistycznych podrostków niezmiernie śmiesznych, z zapalem czytali piękne utwory Puszkina, jak *Eugeniusz Oniegin*, albo Lermontowa, jak *Demon*.

Najpierwsze samoistne uczucia tych młodzieńców, namiętne miłości, marzenia i sny znajdowały swój wyraz, dźwięk i barwę w utworach pisarzy rosyjskich. Ale poza tą zewnętrzną formą sprawy kryła się treść głębsza. Częstokroć na zebraniach niedzielnych uczniowie klas wyższych, tworzący jak gdyby sztab tego obozu, wygłaszali referaty treści politycznej, a nawet religijno-politycznej. Samorodni badacze, „maleńcy uczeni”, jak ma-

⁴⁴⁶byliny — średniowieczne ruskie poematy ludowe. [przypis edytorski]

⁴⁴⁷Karamzin, *Nikołaj Michajłowicz* (1766–1826) — pisarz, publicysta i historyk ros., przedstawiciel sentymentalizmu, autor wielotomowego dzieła pt. *Historia państwa rosyjskiego* (ros. *История государства Российского*). [przypis edytorski]

⁴⁴⁸Żukowski, *Wasilij Andriejewicz* (1783–1852) — romantyczny poeta, pisarz i tłumacz ros., autor słów hymnu Imperium Rosyjskiego *Boże, zachowaj Cara!* (ros. *Боже, Царя храни!*), baśni (m.in. *Śpiąca królewna* 1831), wierszowanej adaptacji eposu staroindyjskiego *Mahabharata* (wyd. 1858). [przypis edytorski]

⁴⁴⁹Gribojedow, *Aleksandr Siergiejewicz* (1795–1829) — dramatopisarz i dyplomata ros., także pianista i kompozytor, autor *Mądremu biada* (ros. *Горе от ума*). [przypis edytorski]

⁴⁵⁰Kryłowa, *Iwan Andriejewicz* (1769–1844) — pisarz i satyryk ros.; autor ponad dwustu bajek satyrycznych, w swej twórczości krytykował stosunki polityczne w Rosji, był rzecznikiem sprawiedliwości społecznej; ukarany czasowym wygnaniem, pod koniec życia pracował jako bibliotekarz w bibliotece publicznej. [przypis edytorski]

⁴⁵¹Gogol, *Nikołaj Wasiljewicz* (1809–1852) — pisarz, dramaturg i publicysta ros. pochodzenia ukraińskiego (z rodziny Hohol-Janowskich herbu Jastrzębiec); klasyk literatury rosyjskiej, przede wszystkim jako autor komedii społeczno-obyczajowych (*Rewizor*, *Ożenek*, *Szyneł*, *Nos*); mistrz humoru i groteski, ukazywał w satyryczny sposób wynaturzenia ros. systemu administracyjnego, ale i społecznego. [przypis edytorski]

⁴⁵²Ostrowski, *Aleksandr* (1823–1886) — dramatopisarz ros., autor m.in. komedii *Do wojna nie pójdziemy* (1849; inny tytuł *Kruk krukowi oka nie wykole*), *I koń się potknie* (1868), *Wilki i owce* (1875), dramatów *Burza* (1859), *Panna bez posagu* (1878), *Niewinni winowajcy* (1883) oraz sztuk historycznych *Wojewoda* (1865), *Dmitrij Samozwaniec* (1867), *Wasilij Szujski* (1867). [przypis edytorski]

⁴⁵³pisarzy — dziś popr. forma: pisarzy. [przypis edytorski]

⁴⁵⁴bohaterowie przedwłodzimierzowscy — tzn. z czasów przed panowaniem twórcy średniowiecznego państwa ruskiego Włodzimierza I Wielkiego (ok. 958–1015), władcy Rusi Kijowskiej z dynastii Rurykowiczów od ok. 980 do 1015 r., który w 988 r. wprowadził w swym państwie chrześcijaństwo. [przypis edytorski]

⁴⁵⁵Wolga Swiatosławicz a. *Wolch Wsiesławiewicz* — postać fikcyjna, bohater ruskich bylin, zrodzony ze związku kobiety (Marfy Wsiesławiewny) ze żmijem (smokiem), posiadający zdolność przybierania zwierzęcej postaci, mówienia wszelkimi językami itp. [przypis edytorski]

⁴⁵⁶Mikołaj Sielaninowicz — postać fikcyjna, bohater ruskich bylin; chłop, niezwykle siłacz; nosił przydomek oracz, dołączył do drużyny Wolgi. [przypis edytorski]

⁴⁵⁷Ilja Muromiec — bohater ruskich legend (bylin, poematów ludowych), jeden z trzech wojów, odpowiedników zachodnioeuropejskich rycerzy (obok Aloszy Popowicza i Dobryni Nikiticza); był synem chłopą, urodzonym w okolicach Muromia, w młodości po ciężkiej chorobie stracił zdolność chodzenia, został cudownie uzdrowiony przez dwóch pielgrzymów w wieku 33 lat; od olbrzyma Swiatogora, przy jego skonaniu, otrzymał nadludzką siłę; wyruszył wówczas służyć księciu kijowskiemu Włodzimierzowi i wyzwolić Kijów; sam obronił miasto Czernihów przed Tatarami, za co dostał tytuł szlachecki; w Lesie Briańskim zabił zabijającego podróżnych swoim przeraźliwym gwizdem potwora Sołowieja-Razbojnika. [przypis edytorski]

⁴⁵⁸Alosza Popowicz — bohater ruskich legend (bylin, poematów ludowych), jeden z trzech wojów, odpowiedników zachodnioeuropejskich rycerzy (obok Ilji Muromca i Dobryni Nikiticza); syn popa Leontija z Rostowa, od razu po urodzeniu umiał jeździć konno i walczyć bronią, pogromca żmija (smoka) Tugarina oraz potwora Skima; był dzielny, wesoły, ale też pyszny i podstępny; należał do drużyny kniazia Władimira; znany był z miłosnych niepowodzeń (próbował bezskutecznie uwieść żonę Dobryni Nikiticza, zginął umizgając się do siostry braci Zbrodowiczów). [przypis edytorski]

⁴⁵⁹Dobrynia Nikiticz — bohater ruskich legend (bylin, poematów ludowych), jeden z trzech wojów, odpowiedników zachodnioeuropejskich rycerzy (obok Ilji Muromca i Aloszy Popowicza); pogromca wielogłowego węża Gorynycza (żmija, smoka), członek drużyny kniazia Włodzimierza; był znakomitym łucznikiem, wyróżniał się rycerskimi cnotami (siłą, odwagą, wiernością władcy), ale także wiedzą, umiejętnościami muzycznymi (grał na gęślach i śpiewał), a także wybitnymi zdolnościami w grze w szachy; jego prototypem historycznym miał być Dobrynia, krewny oraz wódz wielkich książąt kijowskich Światosława I i Włodzimierza I Światosławicza. [przypis edytorski]

wiał inspektor, zarówno Rosjanie, Polacy i Żydzi, masakrowali w swych wypracowaniach nieszczęsną „Polszę”⁴⁶⁰, opisywali ją na zasadzie książek dostarczanych przez kierownika jako dom niewoli, gniazdo rozbestwionej szlachty, mordującej lud *ruski* przy akompaniamencie okrzyków „psiakrew” i „psiadusza”.

Niektórzy z odczytawców szli jeszcze dalej i pisali wprost programy dla Polaków, długie do nich odezwy albo hymny na cześć Rosji. Szczególną płodność w tym ostatnim kierunku zdradzali starozakonni. Zdolniejsi uczniowie z klasy siódmej i ósmej sadzili się również na politykę, ale w formie nieco mniej pospolitej. Pisali tedy o śmiertelnie nudnym wstępie Karamzina do *Historii państwa rosyjskiego*, o utworach Gogola nękających „Polszę”, o wierszu Puszkina pt. *Oszczercem Rosji* itd. Niektórzy z „malińskich uczonych” zanurzali się samochcąc⁴⁶¹ w tak zwany panslawizm⁴⁶², nabijali sobie głowę ogromnymi dziełami różnych zakazanych Czechów, czytali stuwiorstowe utwory poetyckie uwielbiające caryzm, a z tego materiału snuli na piśmie monita⁴⁶³ pouczające grzesznicę „przywisańską”, w jakim sensie ma wyrzec się błędów i stać się „Słowianką”. Trafił się nawet między siódmoklasistami „wieszcz-Polaczek”, który tłumaczył rymami na rosyjskie utwory Vajansky’ego⁴⁶⁴ oraz innych „panslawistów” urągające Lachom⁴⁶⁵, a wreszcie i sam począł w tym guście brzdąkać na swej własnej lirze. Przeważna większość „literatów” należała do stowarzyszenia, czytała utwory i pisała wypracowania dobrych stopni gwoli⁴⁶⁶. Oprócz takich byli jednakże i szczerzy entuzjaści, umysły krytyczne, badawcze, samodzielne, z właściwą młodzieży furią i namiętnością przyswajający sobie urąganie⁴⁶⁷ tej polskości, wśród której wzrosli.

Bardziej rozgarnięci spośród nich na własną rękę brali się do czytania historii polskiej w imię maksymy: *audiat et altera pars*⁴⁶⁸. Właśnie za szybą wystawową księgarenki miejscowej widniała książka profesora Michała Bobrzyńskiego⁴⁶⁹ pt. *Dzieje Polski w zarysie*, drukowana bez uprzedniej cenzury. Nie znajdowali tam jednak badacze gimnazjalni wierzenia szowinistycznego przeciw ościeniom sądów ferowanych na *otcziznę*⁴⁷⁰ przez inspektora gimnazjum. Historyk polski, uginając się pod tak wielkim brzemieniem erudycji, że sam zmuszony był na jego ciężar wielokrotnie wyrzekać, twierdził jasno i dobitnie, że starą Polskę nie co innego tylko „anarchia doprowadziła do upadku”, że „w ciągu dwu ostatnich wieków istnienia Rzeczypospolitej nie można znaleźć w jej dziejach ani jednego prawdziwie wielkiego, rozumnego czynu, ani jednej prawdziwie wielkiej, historycznej postaci”. Podając te prawdy do wierzenia uczniom klerykowskiego gimnazjum kategorycznie a bez objaśnienia, co według jego bieżących przekonań jest „czynem wielkim” i „wielką postacią”, profesor Wszechnicy Jagiellońskiej zastrzegł się przecie, że „nie należy do tych, co obnażając nasze błędy i wady sądzą, że już wszystko zdziałali”. Wyciągał na jaśnień wszystką otchłań dziejowego upadku własnego narodu, poduszczony przez

⁴⁶⁰ *Polsza* (ros.) — Polska. [przypis edytorski]

⁴⁶¹ *samochcąc* — z własnej woli. [przypis edytorski]

⁴⁶² *panslawizm* (z gr.) — ruch polityczny w XIX w., dążący do zjednoczenia wszystkich narodów słowiańskich; jedna z najważniejszych odmian panslawizmu propagowała przywództwo Rosji carskiej wśród zjednoczonych Słowian. [przypis edytorski]

⁴⁶³ *monit* (z łac.) — napomnienie, przestroga. [przypis edytorski]

⁴⁶⁴ *Vajanský, Svetožár* (1847–1916) — także: Svetožár Hurban-Vajanský, właśc. Svetožár Miloslav Hurban, syn wybitnego przedstawiciela słowackiego odrodzenia, Jozefa Miloslava Hurbana (1817–1888); poeta, pisarz, publicysta, krytyk literacki, działacz narodowy i polityk; jeden z entuzjastów i propagatorów idei panslawizmu. [przypis edytorski]

⁴⁶⁵ *Lach* — Polak. [przypis edytorski]

⁴⁶⁶ *gwoli* — dla, w celu. [przypis edytorski]

⁴⁶⁷ *urąganie* — wymyślanie, wyzywanie kogoś, okazywanie komuś głośno i publicznie niezadowolenia, pogardy itp. [przypis edytorski]

⁴⁶⁸ *audiat et altera pars* (łac.) — należy wysłuchać również drugiej strony. [przypis edytorski]

⁴⁶⁹ *Bobrzyński, Michał* (1849–1935) — polski historyk, współtwórca *krakowskiej szkoły historycznej*, prawnik i konserwatywny polityk działający w Galicji, zwolennik lojalnej współpracy z cesarstwem austriackim, związany ze stronnictwem *stańczyków*; w l. 1908–1913 namiestnik Galicji, od 1914 r. dożywotni członek Izby Panów sejmiku austro-węgierskiego, uhonorowany przez cesarza Franciszka Józefa tytułem c.k. tajnego radcy; autor prac z zakresu prawa i historii Polski, m.in. *Dzieje Polski w zarysie* (1879); *W imię prawdy dziejowej* (1879), *Geneza społeczeństwa polskiego na podstawie kroniki Galla i dyplomatów XII wieku* (1881); po odzyskaniu niepodległości przez Polskę napisał pracę *Wskrzeszenie państwa polskiego* (1920–1925). W *Dziejach Polski w zarysie* jako główne przyczyny upadku Rzeczypospolitej szlacheckiej wskazywał winy i zaniedbania jej obywateli, Polaków. [przypis edytorski]

⁴⁷⁰ *otczizna* (ros.) — ojczyzna. [przypis edytorski]

koncept starego Marka Tuliusza⁴⁷¹ — *historia magistra vitae*⁴⁷² — w tym celu, ażeby na przyszłość wystawić taki oto program kategoryczny dla wszystkich, a więc i dla uczniów z miasta Klerykowa:

„Musimy poznać we wszystkich szczegółach objawy i następstwa zabijającej równości, ażeby w dzisiejszej pracy społecznej uszanować jednostki przodujące siłą swojej tradycji, talentu, wykształcenia, zasług, ażeby zdrową hierarchię wyrobić i utrzymać, ażeby jedni umieli prowadzić, a drudzy ich popierać i słuchać. Musimy odsłonić w całej grozie skutki lekkomyślnych, na chwilowym uczuciu polegających porywów, ażeby zachowując zapał, zbudzić w sobie zmysł polityczny, wyzyskanie warunków, męską energię wytrwania i pracy”.

Tak tedy propagacyjne działania inspektora Zabielskiego wydały plód o tyle, że całą młodzież należącą do ćwiczeń literackich zniechęciły do rzeczy ojczystych, których wcale nie znała, zasiały w umysłach specyficzny, wybitnie klerykowski wstręt do wszystkiego co polskie. Rusofilizm we wszystkim — aż do religii — uchodził w kołach tej młodzieży za synonim postępowości, krytycyzmu i tężyzny.

Partia wolnopróżniacka rekrutowała się przeważnie z synów szlacheckich oraz ludzi zamożnych, trudniła się głównie próżniactwem, *naciąganiem*⁴⁷³ każdego z *belfrów*, kto tylko dał się naciągać, tańczeniem do upadłego w karnawale, lyżwiarstwem, potajemnym jeżdżeniem konno i jeszcze bardziej sekretным uczęszczaniem na maskarady z aktorkami chwilowo goszczącymi w Klerykowie i dziewczętami przebywającymi tam stale. Partia ta znieść nie mogła wszystkich praktyk literackich, ale z tej głównie przyczyny, że prowadziły ze sobą nadetatową, pozaklasową robotę. Grupa wolnopróżniacka grywała w karty, o czym członkowie przeciwniej marzyć nie mogli ze względu na wielką ilość należących do niej lizusów i zwyczajnych szpiegów. Wolnopróżniacy, jako całość antylegalna, nie mieli wśród siebie donosiciela żadnego. Związani byli między sobą węzłami przyjaźni, stanowili zwarte koło gimnazjalnego *high-life'u*⁴⁷⁴ i wskutek tego tajemnica gry w *stukulkę*⁴⁷⁵ trwała wśród nich aż do skutku, pomimo najforsowniejszych⁴⁷⁶ śledztw inspekcji.

Miejsce gry obierano to tu, to tam, a najczęściej w domu lekarza Wyszobierskiego, właściwie w pokoju jego syna, ogólnie lubianego wolnopróżniaka Antosia. Stowarzyszeni gromadzili się późno wieczorem, przed dwunastą i to w takie dni, kiedy można było nieobecność na stacji usprawiedliwić bytnością w teatrze, na obserwacjach astronomicznych z nauczycielem kosmografii, na balu dla dzieci albo u rodziny za pozwoleniem właściwego zwierzchnika. Wówczas przy szczelnie zamkniętych okiennicach, wśród takiego dymu z papierosów, że osób widać nie było, kropiono *stukulkę* do późna w noc. Namiętności rozpasywały się ogromnie, gdyż wysokość stawki sięgała nieraz czterdziestu rubli. Zdarzało się, że ktoś z rodziny doktora, wtajemniczony, stukał dla rozpędzenia graczy za pomocą figła wśród nocy, naśladując głos inspektora. Wówczas dzielne wolnopróżniaki gasiły światło, chowały karty i pakowały się pod łóżka, za szafę i do szafy, tłukąc się i gniotąc w ciemności.

Kulminacyjny punkt karciarstwa przypadł na czas rekolekcji poprzedzających spowiedź wielkanocną. Cztery klasy wyższe zgromadzono do jednej wielkiej sali. Kilkunastu profesorów-katolików zasiadło w pierwszych ławach, a na katedrze stanął uproszony przez ks. prefekta wikariusz miejscowej fary. Ksiądz ten był chudy i mały, mówił głosem cichutkim, jednostajnym i tak dalece bezbarwnym, że najwytrwalszych słuchaczy marzyła senność. Wąsate i gołące brody wolnopróżniactwa klas ostatnich zajęło tylne ławy w głębokościach sali, a w sąsiedztwie pieca. W trakcie drugiego z rzędu posiedzenia, gdy ksiądz podjął dalszy ciąg wykładu o skrusze i zaczął snuć niezmiernie długie okresy, w sali było cicho jak w świątyni. Zdawało się, że tam nie ma ani jednego żywego człowieka. Nauczyciele siedzieli bezwładnie, szklanymi oczyma z pobożnym skupieniem wpatrując się w mówcę, uczniowie nie zmieniali ruchu. Kto założył nogę na nogę — siedział tak

⁴⁷¹Marek Tuliusz, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) — Ciceron; rzym. filozof, mówca i pisarz. [przypis edytorski]

⁴⁷²*historia magistra vitae* (łac.) — historia nauczycielką życia. [przypis edytorski]

⁴⁷³*naciąganie* — oszukiwanie, wprowadzanie w błąd. [przypis edytorski]

⁴⁷⁴*high-life* (ang.) — wyższe sfery. [przypis edytorski]

⁴⁷⁵*stukulka* (ros.) — rodzaj gry w karty. [przypis edytorski]

⁴⁷⁶*forsowny* — usilny. [przypis edytorski]

ciągle, kto wlepił oczy w jakiś gwóźdź podłogi, nie odrywał ich ani na chwilę. Minęła jedna godzina, wybiły wszystkie kwadransy drugiej, zaczęła się wreszcie trzecia... Nagle wśród tej absolutnej ciszy z ostatnich ław rozległ się dobitny i zniecierpliwiony głos:

— Ależ bij treflem!

Trudno opisać rejdach⁴⁷⁷ wywołany przez te słowa. Władza rzuciła się do ścigania bezwstydnym graczów, poddała całą połąć badaniu i rewizji. Żadne jednak środki nie wykryły winowajcy, który nawoływał do bicia treflem — ani jego partnerów.

Inna grupa z entuzjazmem oddawała się hipice⁴⁷⁸. Za przedmieściem Rokitki w szopach wychodzących na pola konsystował w jesieni i zimową porą szwadron dragonów. Niektórzy z wolnopróżniaków zawiązali stosunki z podoficerem któregoś oddziału i grubo płacąc, dostawali na kilka godzin późnego wieczora trzy okulbaczone konie. Wyprowadzał je cichaczem w szczerze pole umówiony żołnierz i tam czekał. Jeźdźcy, przebrani w długie buty, cywilne kurtki i czapki, chyłkiem przybywali na miejsce oznaczone, wskakiwali na siodła i gnali co koń wyskoczy po mało uczęszczanych drózkach.

„Paczka” mniej rycersko nastrojona szalała za aktorkami, chodziła w kostiumach stróżów, Żydów, dziewczyn, starych bab itd. na przedstawienia *Pięknej Heleny*⁴⁷⁹ i oklaskiwała głośnie w Kłerykowie piękności wędrownej trupy.

Bajecznych sztuk w tym kierunku dokazywał uczeń klasy siódmej, Wolski. Rozkochany był do szaleństwa w tzw. Iskierce, grywającej nieme, ale za to mocno wydekoltowane role. Fotografję jej nosił ze sobą zawsze i wszędzie; w czasie lekcji, pod pretekstem pilnego rozczytania się w *Eneidzie* czy *Iliadzie*⁴⁸⁰, patrzył w nią jak wrona w gnat bez ustanku. Wszakże mimo przeróżnych starań nie znalazł się z nią osobiście. Idąc za radą kolegów, którzy z nim współczuli, a raczej w ten sposób przynajmniej dawali upust miłości dla Iskierki, również pożerającej ich dusze, kupił za trzy ruble duże pudełko cukierków i zamierzył iść pewnego wieczora wprost do mieszkania ubóstwianej. Pudło w wielkim sekrecie przyniósł na stancję i ukrył w łóżku swym pod kołdrą. Zły los chciał, że w czasie obiadu, kiedy Wolski nie był obecny w pokoju sypialnym, weszło tam dwu trzecioklasistów z tejże stancji, którzy wszczęli jakąś zwadę, bijatykę i zmagając się, padli na łóżko zakochanego. Gdy ten nad wieczorem wziął się do wydobywania z łóżka symbolu swej miłości, oczom jego przedstawił się widok smętny. Tekturowa skrzynka wraz z pomadkami, czekoladkami i wszelkim w ogóle arcydziełem sztuki cukierniczej, mieszczącym wewnątrz przeróżne soki, tworzyła silnie rozgnieciony placek, ociekający tymi właśnie płynami. Wolski szalał. Pieniądzy na drugie pudełko nie było, a czekać przyplywu tzw. *floty*⁴⁸¹ z domu nie pozwalała boleść zawodu... W tym stanie ducha chwycił się rozpaczliwego środka. Od znajomych pensjonarek dostał dwie puste, mniejszych rozmiarów skrzyneczki po cukierkach i umieścił w nich zmiażdżoną masę w ten sposób, że ją naprzód zgniótł i pracowicie wymacerował, a dopiero z tej miazgi ulepił palcami kopie pomadek. Gdy wyrobił cały zapas, związał obydwa pudełka niebieskimi wstążeczkami i ruszył do bogini swego serca...

Ani na jedną, ani na drugą grupę młodzieży przedmioty kursu klas ostatnich nie wywierały wpływu. Przeważna większość uczniów kształciła się tylko w matematyce i ta nauka była czynnikiem istotnie rozwijającym umysł. Od klasy szóstej interesowano się również fizyką, aczkolwiek wykład jej prowadzony był niedołąźnie. Resztę umiejętności, a więc języki starożytne, rosyjski, historię itd., uważano powszechnie za zło konieczne i cierpliwie tolerowano zjawisko, które można było wyrazić za pomocą sentencji: *non vitae sed scholae discimus*⁴⁸². Rozszerzone kursa gramatyki łacińskiej, greckiej i niezmiernie, niestrudzone tłumaczenia *Iliady*, *Odysei*, *Eneidy*, tragedii Sofoklesa⁴⁸³, utworów Horace-

Nauka, Szkoła, Wiedza

⁴⁷⁷rejdach (z jid.) — hałas, krzyki, zamieszanie. [przypis edytorski]

⁴⁷⁸hipika — jazda konna. [przypis edytorski]

⁴⁷⁹*Piękna Helena* — popularna operetka fr. kompozytora Jacques’a Offenbacha (1819–1880). [przypis edytorski]

⁴⁸⁰*Eneida* — epopeja poety rzym. Wergiliusza (Publius Vergilius Maro, 70–19 p.n.e.); *Iliada*: jedna z dwu (obok *Odysei*) epopei starożytnych, przypisywanych Homerowi, półlegendarnemu poecie gr. z IX w. p.n.e. [przypis edytorski]

⁴⁸¹flota — tu: pieniądze. [przypis edytorski]

⁴⁸²*non vitae sed scholae discimus* (łac.) — uczymy się dla szkoły, a nie dla życia; iron. odwrócenie maksymy łacińskiej: uczymy się dla życia, a nie dla szkoły. [przypis edytorski]

⁴⁸³*Sofokles* (496–406 p.n.e.) — wielki tragediopisarz gr., autor m.in. *Antygony*. [przypis edytorski]

go⁴⁸⁴, mów starego adwokata Cyserona, *Wspomnień* Ksenofonta, dialogów Lukianosa⁴⁸⁵, przemówień Demostenesa⁴⁸⁶ itd. — zajmowały ogrom czasu. Tłumaczono *po zucheleczku*⁴⁸⁷ i takim trybem, że myśl, treść, całość i forma cudnych pism klasycznych wcale nie przedostawały się do mózgów młodzieńczych, badających je w oryginale. Ani jeden z uczniów nie był w stanie wyłuszczyć treści *Iliady* ani objaśnić, jakie mianowicie przygody wykuwa na pamięć po grecku całymi rozdziałami. Nikt go zresztą o to nie pytał. Czytanie *Iliady* w oryginale oznaczało na gruncie klerykowskim przyswojenie sobie wielkiego mnóstwa słów greckich i form gramatycznych, a zarazem *hupanie* całych stroniec na pamięć.

Rosjanin wykładający język grecki był z zamiłowania archeologiem-slawistą. Homera objaśniał z musu, jako urzędnik takiej a takiej rangi delegowany przez rząd do pompowania takiej a takiej ilości kubłów greczyzny. Nigdy uczniom swym nie dał do przeczytania epopei w jakimkolwiek przekładzie, z którego mogliby poznać treść; owszem, korzystanie z tłumaczeń wszelkiego rodzaju surowo było wzbronione. Może cokolwiek więcej sensu miały tłumaczenia prozy greckiej, aczkolwiek i w tym przypadku wertowano jeden urywek dzieła w ciągu półroczu bez wyłożenia całkowitej jego osnowy.

Zimą, przy świetle szarawym smutnych dni, podczas kolejnego recytowania przekładów ustnych cała klasa zanurzona była niby w dziwnym spaniu. Monotonnie powtarzające się słowa i zwroty działały na umysł jak szelest kropel deszczowych albo jak widok z wolna tającego śniegu. Myśl nie miała prawa ruszać się ani naprzód, ani w tył, toteż tkwiła w miejscu. Z pozoru wydawać się mogło, że młodzież klerykowska ćwiczy na klasyce jeśli nie dusze swe, to przynajmniej pamięć. Ale i to było złudzeniem. Słowa i zwroty wykuwane z taką usilnością i mozołem nie wiązały się asocjacją⁴⁸⁸ ani ze światem zewnętrznym, ani nie budziły popędów estetycznych i nie ulegały wcale sądowi jako czynność celowo przedsięwzięta. Były to dźwięki martwe i z jałowym brzmieniem. Odpowiadające im prądy mózgowe przebywały niektóre tylko drogi. Nic też dziwnego, że wychowaniec klerykowski w parę lat po opuszczeniu szkoły tracił grekę z pamięci tak zupełnie, że z trudem odróżniał litery tego języka, w którym tak niedawno umiał wyrażać swe myśli. Wszystkie zapasy wiadomości gramatyczno-literackich zniknęły z jego mózgu tak bez śladu, jak znikną obraz sztucznie na kliszy w ciemni optycznej wywołany, gdy ją z doskonałego mroku wynieść na światło dzienne.

Podobny skutek osiągnęły gimnazjalne lekcje historii. Na klasę szóstą przypadał kurs dziejów Rosji z epoki tzw. udziałów i wieców⁴⁸⁹. Borowicz i wszyscy jego koledzy po całych nieraz nocach wyuczali się na pamięć istnych kolekcji książątek Rusi, dat ich rozmaitych przeniewierstw, morderstw, oslepień, pochwycen władzy, bitw, śmierci, tworzyli sobie w mózgach prawdziwą barykadę z tych wiadomości; o przedstawieniu ducha i sensu tamtych odległych czasów nauczycielowi ani się śniło. Suchy i zajadły Rosjanin Kostriulew wchodził do klasy, siadał na katedrze, obrzucał jednym spojrzeniem wychowanców drżących z trwogi, przepowiadających sobie w myśli genealogie książęce, nazwy ich włóści, daty ich skonu — raptem wymawiał nazwisko któregoś z delikwentów⁴⁹⁰ i od razu ciskał mu pytanie:

— Synowie Jarosława Pierwszego Mądrego⁴⁹¹?

— Izjasław Kijowski-Nowgorodzki, Światosław Czernihowski, Wsiewołod Perejasławski, Igor Władimiro-Wołyński, Wiaczesław Smoleński... — trzepał uczeń jednym tchem. Gdy podjeżdżał do końca listy, już musiał recytować drugą odpowiedź na pytanie:

— Bitwa na brzegach Kałki⁴⁹²?

Szkola, Historia, Nauka,
Wiedza, Uczeń

⁴⁸⁴Horacy, właśc. *Quintus Horatius Flaccus* (65–8 p.n.e.) — największy rzym. poeta liryczny, autor *Pieśni*. [przypis edytorski]

⁴⁸⁵Lukianos — pisarz gr., żyjący w II w. n.e., autor *Dialogów bogów* i *Dialogów umartwych*. [przypis edytorski]

⁴⁸⁶Demostenes (ok. 385–322 p.n.e.) — słynny mówca gr., głośny zwłaszcza dzięki swym mowom przeciw królowi macedońskiemu Filipowi, zwanych *filipikami*. [przypis edytorski]

⁴⁸⁷po zucheleczku — po kawałeczku. [przypis edytorski]

⁴⁸⁸asocjacja — skojarzenie. [przypis edytorski]

⁴⁸⁹epoca udziałów i wieców — okres rozdrobnienia feudalnego na Rusi w XI i XII w. [przypis edytorski]

⁴⁹⁰delikwent — klient, petent, interesant; także: winowajce, podsądny, więzień, skazaniec; tu: żartobliwie. [przypis edytorski]

⁴⁹¹Jarosław Pierwszy Mądry (978–1054) — wielki książę kijowski. [przypis edytorski]

⁴⁹²bitwa na brzegach Kałki — bitwa z Tatarami w r. 1223, zakończona klęską wojsk ruskich. [przypis edytorski]

Języki: francuski, niemiecki i polski były kopciuszkami kursu gimnazjalnego. Uczeń mógł wybrać sobie z dwu pierwszych jeden tylko język, a na polski, rzecz prosta, mógł nie chodzić bezkarnie. Co większa, uczeń Rosjanin w żadnym razie nie miał prawa uczęszczania na wykłady mowy polskiej, prowadzone w języku rosyjskim. Godziny tych gwar nowożytnych „zgniłego Zachodu”⁴⁹³ były, szczerze mówiąc, godzinami humorystyki. Wykładający już to należeli do gatunku czupiradeł, jakich świat nie widział, już, jak Sztetter, do kategorii ludzi rozbitych w sobie i bezpowrotnie obojętnych. Dość powiedzieć, że w chwili ukończenia całkowitego kursu nauk w gimnazjum „filologicznym” ani jeden z wychowanców nie umiał języka francuskiego czy niemieckiego tyle, żeby mógł swobodnie przeczytać rozdział powiastki dla ludu. Wszystkie natomiast siły intelektualne młodzieży starszej wyteżone były w kierunku pisania ćwiczeń rosyjskich o tematach historycznych, literackich i abstrakcyjnych. Każde ćwiczenie, stosownie do gatunku, musiało być składane według formuły zwanej planem, musiało zawierać wstęp, wykład i finał, a każda z tych części rozbita była na tak zwane „myśli”. Jeżeli trudnym było utrzymanie równowagi podczas wypisywania tak zwanych „myśli”, to nie mniej trudu zadawało baczenie⁴⁹⁴ na „polonizmy”. Opracowanie i wykończenie ćwiczenia rosyjskiego było robotą tak mozolną, tak niewdzięczną i drewnianą, że każdy z uczniów zgodziłby się chętniej kuć całe ody Łomonosowa⁴⁹⁵ na pamięć niż budować jedną rozprawę. Najczęściej też wychowawcy pana Zabielskiego „ściągał” ćwiczenia ze starych kajetów, z podręczników literatury Bóg wie skąd sprowadzanych, a wreszcie z książek pożyczonych z biblioteki szkolnej.

Biblioteka znajdowała się na dole gmachu i zajmowała kilka sal obszernych. Stały tam w szeregu szafy okryte pyłem wieloletnim, mieszczące w sobie książki polskie z wieku XVI, XVII, XVIII, a nawet rzadkie inkunabuły⁴⁹⁶, skazane na bezczynność, wzgardzone i tolerowane jak zgniłe drwa, których nie można spalić, a nie ma gdzie wyrzucić. Bliżej drzwi wchodowych⁴⁹⁷ zgrupowano dzieła rosyjskie przeznaczone do wypożyczania.

Uczniowie młodszy czerpali stamtąd opisy wypraw Mayne-Reida⁴⁹⁸, Fenimora Coopera⁴⁹⁹, Juliusza Vernego⁵⁰⁰ itd., starsi — utwory Łomonosowa, Karamzina itd., itd. Władza gimnazjalna starała się z wielką usilnością, ażeby wychowawca klerykowskiego zabezpieczyć od wszelkiej książki, która by myśl jego z opłotków nie tylko lojalności, ale czynnego rusofilstwa wyprowadzić mogła na szczerze pole samoistnych rozumowań.

Tymczasem mimo tak ścisłego dozoru, mimo rewidowania zarówno uczniowskiego kuferka jak tornistra, niepożądana książka wśliznęła się nawet do rąk szóstoklasistów. Był to rosyjski przekład *History of civilisation in England* Henryka Tomasza Buckle’a⁵⁰¹. Jeden z ósmoklasistów, mieszkający u zamożnych krewnych, znalazł to dzieło w bibliotece swego wujaszka, zaczął czytać, dał kolegom — i poszło zepsucie! Świetnie ustawione paradoksy genialnego samouka oddziaływały na umysły wychowanców klerykowskich niby nagły błysk pochodni, ukazujący wśród ciemności przedmioty, niewyraźne kształty i stosunek tego, co widzieć można, do dalekiego, pełnego tajemnic przestworu! Dowodzenie prawidłowości w następstwie zjawisk duchowych ze statystyk spełnionych występów, małżeństw zawartych i listów niezaadresowanych przez roztargnienie — stało się od razu ewangelią myślenia pewnej grupy młodzieży. Wystąpienie przeciwko nauce teologów o predestynacji i przeciwko teorii metafizyków o wolnej woli było rodzajem lewara za-

Książka

⁴⁹³zgniły Zachód — pogardliwe określenie Europy zachodniej, używane przez reprezentantów reakcyjnej ideologii szczególnego posłannictwa Rosji jako wybawicieli świata. [przypis edytorski]

⁴⁹⁴baczenie — uważanie; poświęcanie szczególnej uwagi czemuś. [przypis edytorski]

⁴⁹⁵Łomonosow, Michaił Wasiljewicz (1711–1765) — uczonec i poeta ros.; wywodził się z rodziny rybackiej, z Pomorców; prekursor chemii fizycznej, twórca Uniwersytetu Moskiewskiego. [przypis edytorski]

⁴⁹⁶inkunabuły (z łac.) — najwcześniejsze wytwory sztuki drukarskiej. [przypis edytorski]

⁴⁹⁷wchodowy — dziś popr.: wejściowy. [przypis edytorski]

⁴⁹⁸Mayne-Reid, Thomas (1818–1883) — pisarz amer. pochodzenia irlandzkiego, w 1840 r. osiedlił się w Stanach Zjednoczonych, brał udział w wojnie z Meksykiem; autor powieści przygodowych z życia Indian i pierwszych osadników na Dzikim Zachodzie, takich jak m.in. *Jeździec bez głowy* (oryg. *The Headless Horseman: A Strange Tale of Texas*, 1866) czy *Łowcy skalpów* (oryg. *The Scalp-Hunters*, 1851) [przypis edytorski]

⁴⁹⁹Cooper, James Fenimore (1789–1851) — pisarz amer., autor powieści przygodowych z życia Indian. [przypis edytorski]

⁵⁰⁰Verne, Jules (1828–1905) — pisarz fr., autor głośnych powieści fantastycznych i przygodowych. [przypis edytorski]

⁵⁰¹Buckle, Henry Thomas (1821–1862) — historyk i socjolog ang. [przypis edytorski]

łożonego pod gmach wierzeń religijnych, a rozważanie wpływu czterech czynników fizycznych: klimatu, żywności, gleby i ogólnych zjawisk przyrody na umysł człowieka i na organizację społeczeństw zrodziło istną furję filozoficzną.

Szczególniejsze znaczenie miał następujący przypisek z pierwszego rozdziału książki: „Doktryna o Opatrzności stoi w związku z doktryną o przeznaczeniu, ponieważ Bóstwo, przewidując wszystko w swym wszechwiedzeniu przyszłości — musi przewidywać zarazem z góry i swe własne zamiary. Zaprzeczać takiego wszechwiedzenia przyszłości — jest to zaprzeczać wszechwiedzy Boga. Ci zatem, którzy utrzymują, że w pewnych razach Opatrzność zmienia zwykły bieg wypadków, muszą zgodzić się na to, że w każdym takim razie zmiana tego rodzaju była już w przeznaczeniu, inaczej zaprzeczyłoby jednemu z przymiotów boskich”.

Ta krótka uwaga zrodziła właśnie całą szkołę filozoficzno-materialistyczną. Szkoła ta miała swoich mistrzów, wyznawców, badaczy⁵⁰², mówców i zagorzałych antagonistów⁵⁰³. Posady mistrzów piastowali dwaj siódmoklasiści: Nochaczewski i Miller. Pierwszego zwano „Spinozą⁵⁰⁴”, drugiego nieco zagadkowej⁵⁰⁵ „Balfegorem⁵⁰⁶”. Obadwaj byli tłumaczami Buckle’a, dialektykami i propagatorami kierunku postępowego. „Spinoza” pierwszy doszedł i wyłożył mniej zdolnym, a owczym pędem idącym buckle’istom ciemne dla nich punkty rozdziału drugiego, objaśnił, co jest *wartość, renta, czynsz, zysk* itd. w znaczeniu ekonomicznym, a nadto budował swój własny systemat. „Balfegor” był umysłem ostrożniejszym, czytał Buckle’a bardzo wolno, nieraz nad stronicą siedział tydzień i nie ruszał się dalej, póki nie wyrozumiał wszystkiego. Dokładne zbadanie kwestii ciągnęło za sobą specjalne studia z rozmaitych dziedzin.

Toteż „Balfegor” pracował ogromnie. Brak książek i elementarnych wiadomości z botaniki, chemii, zoologii etc. musiał zapełniać domysłem własnym, kalkulacją samoistną. Ileż popełnił błędów, ileż razy musiał sam rozbijać gmach złudzeń wybudowany na fałszywym przypuszczeniu! Burzeniem tych jego ułud zajmował się szczerze „Spinoza”, świetny matematyk, bystry spostrzegacz, który bez głębokich studiów szedł przodem i w dysputach zawsze udowadniał swą wyższość, czyli, mówiąc żargonem tamtejszym, *smiekatkę*.

W szeregu najbardziej zdecydowanych materialistów stał Marcin Borowicz. Nie mieszkał już wtedy u „starej Przepiórzycy”, lecz gdzie indziej, w roli korepetytora dwu malców, pospołu z kilkoma zamożniejszymi uczniami klas ostatnich. Tam właśnie, na stancji u tzw. „Czarnej pani”, było gniazdo buckle’izmu. Wieczorem, nieraz do późna w noc, wrzały zaciekle spory z „metafizykami”, z „idealistami” i „pomidorowcami⁵⁰⁷”, czyli grupą wierną katolicyzmowi. Ileż to szyderstw i obelg zniosły tam „ciemne łby” w rodzaju Kanta, Hegla, Fichtego, Schellinga⁵⁰⁸, którzy, według ulubionej formuły „Balfegara”, zaczerpniętej, rzecz prosta, z *książki* — „sami wzbili chmurę pyłu i dziwią się, że on im oczy zasypuje”... Los tych filozofów dzielił prefekt miejscowy, stojąc mimo woli, chęci i zasługi w gromadzie decydujących antagonistów materializmu, ramię w ramię z Kantem i Heglem.

Zwolennicy panslawizmu, rusofile *par excellence*⁵⁰⁹, bali się ze względu na skutki czytywać Buckle’a ostentacyjnie albo lekceważyć spowiedź. Toteż w samym łonie stronnictwa literackiego rusofile materialści prowadzili bój z rusofilami „małenkimi uczonymi” i karierowiczami. Cała grupa wolnomyślnych pracowała żarliwie. Kwestie poruszone w dziele utalentowanego Anglika rozbudziły umysły kleryków do tego stopnia, że zaczęto nawet studiować łacinę i grekę, gdyż w *dziele* i te gałęzie wiedzy były traktowane. Matematyki i fizyki uczono się tak forsownie, że Borowicz dla łatwiejszego rozumienia buckle’izmu w klasie szóstej wykuł cały kurs trygonometrii podawany do wiadomości

⁵⁰²badaczy — dziś popr. forma: badaczy. [przypis edytorski]

⁵⁰³antagonista — przeciwnik. [przypis edytorski]

⁵⁰⁴Spinoza — przezwisko będące aluzją do Barucha Spinozy (1632–1677), filozofa holenderskiego. [przypis edytorski]

⁵⁰⁵zagadkowej — dziś popr.: bardziej zagadkowo. [przypis edytorski]

⁵⁰⁶Balfegor — właśc. Belfagor, imię diabła ze znanej baśni magicznej. [przypis edytorski]

⁵⁰⁷pomidorowiec — kleryk. [przypis edytorski]

⁵⁰⁸Kanta, Hegla, Fichtego, Schellinga — Immanuel Kant (1724–1804), Georg Wilhelm Hegel (1770–1831), Johann Gottlieb Fichte (1762–1814), Friedrich Wilhelm Schelling (1775–1854); filozofowie niem. okresu klasycyzmu i romantyzmu, przedstawiciele idealizmu filozoficznego. [przypis edytorski]

⁵⁰⁹*par excellence* (fr.) — w pełnym znaczeniu tego słowa. [przypis edytorski]

w klasie siódmej. Każdą książkę (jak przypadkiem zabłąkany obszerniejszy podręcznik fizyki, kurs chemii, matematyki wyższej etc.⁵¹⁰), w ogóle co tylko zjawiało się na horyzoncie — czytano na wyścigi, a materiał tą drogą zdobyty niezwłocznie wnoszono do dysput wieczornych. Kurs gimnazjalny, wszystkie wykładane przedmioty służyły jedynie za pewien rodzaj miazgi do rozpraw.

Borowicz był poniekąd specjalistą od ateizmu. Prześcigał w tym kierunku ostrożnego „Balfegara” i bystrego w domyśle „Spinozę”. Raptowne zdruzgotanie ustalonych wierzeń wprowadziło osiemnastoletniego szóstoklasistę do całkowicie nowego świata. Znalazł się jak gdyby wśród obszarów dzikiego, nietkniętego uprawą ugruntu, po którym chodził w samotności i zdumieniu. Wszystko tam było całkiem obce, wszystko musiał sobie sam tłumaczyć, każdy przedmiot spotkany ze wszech stron rozpatrywać, każdą myśl najpospolitszą roztrząsać i ważyć jako zjawisko absolutnie nowe. A *książka* dostarczyła tyle myśli zdumiewających! Okazywała ona, że historia wykładana w gimnazjum to niedołączony spis zdarzeń, że „matematyka” to alfabet tej umiejętności; wyliczała z imienia cały spis nauk nieznanych, ukazywała ich perspektywę bez końca, ciągnęła młode umysły skroś lądów i mórz, między najciekawsze zjawiska, poprzez wydarzenia żywego i zmarłego świata — i siała ziarno zuchwałego szturmu do niebios.

Pobieżny opis anatomiczny budowy oka i ucha w kursie fizyki zapłodnił gimnazjalnych badaczy tak wściekłym pragnieniem uczenia się chemii, anatomii, fizjologii itd., że marzyli o dniu, kiedy się to stanie, jak o chwili niezmiernej radości. Trzej naczelnicy „buckle’iści” („Balfegor”, „Spinoza” i Borowicz) chodzili w sekrecie do rzeźalni⁵¹¹, sówicie płacili rzeźnikom za oczy wołów i cieląt, krajali je szczyrnikami i prześcigali się w manifestowaniu wszystkiego, co było wypisane w krótkiej wzmiance.

Oprócz roli czynnika budzącego do ruchu umysły skrępowane powijakami schematu nauk gimnazjalnych książka Buckle’a odegrała inną, daleko ważniejszą. Była ona nie tylko kodeksem i ekscytarzem⁵¹² moralności, ale wprost była siłą moralną.

Wszystką energię duchową młodzieńców dojrzewających fizycznie, która wyładowałaby się była w pierwszym lepszym kierunku, mocno ujęła w łożysko i porwała ku rzeczom najszczytniejszym. Każdy z buckle’istów piastował w sercu ekstatyczne marzenie: nie tylko posiąść wiedzę mistrza, ale samemu stać się Bucklem. Zamknąć się w murach jakiegokolwiek domu, zgromadzić nieprzebraną moc książek, uczyć się przez całe życie, a nawet umierając wołać jak on: „O, dzieło moje! o, dzieło moje!...”

Kolosalny zakres wiedzy odsłaniający się na kartach *Historii cywilizacji Anglii* miał przede wszystkim ten skutek, że zagnął Borowicza i jego współwyznawców do pracy, do rzetelnego cenięcia czasu na wagę złota. Kto ma zostać Bucklem, ten nie może tracić minuty, musi rozłożyć prawidłowo godziny i kwadranse, a wszystkie wypełnić trudem. Stamtąd, z wyżyny buckle’izmu, ani jeden z adeptów nie zstąpił na chwilę do dziedzin wolnopróżniactwa i cenił młódź bawiącą się tym procederem jako nędzną trzodę. Tak tedy całkowite pochłonięcie sił duszy przez nauki, a raczej przez marzenia i piękne sny w dziedzinie nauk — oderwało ją od wszelkiego brudu ziemi, dźwignęło bardzo wysoko i szybko a nieodwołalnie uszlachetniło.

Ponieważ znano *książkę* tylko w przekładzie rosyjskim, z natury rzeczy tedy wszelkiego rodzaju terminy naukowe i urobione formuły bardziej ścisłego myślenia przywierały do mózgów w postaci rosyjskiej. Na dysputach wieczornych wszystko, cokolwiek tyczyło się rzeczy „abstrakcyjnych”, wypowiadano między sobą po rosyjsku. Nikt „przekonań” swoich po polsku nie umiałby ze ścisłością wyłożyć. Była to najbardziej zjadliwa forma *obrusienja*⁵¹³, bo dobrowolnie, we wnętrzu własnych czaszek, stopniowo zaprowadzana przez młodzież. Ale nie mogło być inaczej. Młodzież ta łaknęła strawy naukowej, znalazła ją i karmiła się tym, co znalazła. Ogół inteligencji miejskiej umiał jedynie (w największym sekrecie) stękać na „ucisk”, dziwować się, jakim to sposobem można w kraju polskim gramatykę polską wykladać „*pa russki*”, ale nie był uzdolniony politycznie nawet do założenia dla tej młodzieży czytelnicy z dzieł naukowych, swoich i tłumaczonych, kształcących systematycznie.

⁵¹⁰etc. — skrót od: *et caetera*; i tym podobne, i tak dalej. [przypis edytorski]

⁵¹¹rzeźalnia — rzeźnia. [przypis edytorski]

⁵¹²ekscytarz — czynnik pobudzający. [przypis edytorski]

⁵¹³obrusienie (ros.) — zniszczenie. [przypis edytorski]

XIV

Mdle światło jesienne wlewało się do klasy siódmej, napelniając ją dziwnie smutnym i nudnym półmrokiem. Przed chwilą wyszedł był „Grek”, z którym tłumaczono dialogi Lukianosa, a wkrótce miał się ukazać nauczyciel historii. Wszyscy uczniowie siedzieli w klasie. Z szóstej do siódmej przeszło ich zaledwie dwudziestu trzech. Przybysze zastali pięciu drugorocznych. Ci nadawali sztyk i odpowiedni ton „sztubie”. Właśnie jeden z takich, błąd i wychudły mężczyzna w mundurze uczniowskim, opowiadał naprędce sprośną anegdotkę kółku zgromadzonych przy jego ławie, co chwila wybuchającemu homerycznym śmiechem. W drugim kącie sali Borowicz prowadził ożywiony dyskursik z Waleckim, zwanym „Figą”. Walecki miał dopiero lat siedemnaście. Był to chłopczyna tak małego wzrostu, że, ku jego śmiertelnej męce, uważano go za trzecioklasistę. Uczył się wybornie i tylko dzięki „złemu sprawowaniu” figurował na liście jako drugi uczeń z kolei, ustępując pierwszeństwa Szlamie Goldbaumowi. Złe sprawowanie, czyli czwórke zamiast piątki, Walecki zdobywał sobie nadzwyczajną hardością.

Nie było tygodnia, żeby ten prześliczny chłopak nie skakał do oczu któremuś z belfrów. Na każdą uwagę musiał odpowiedzieć jeśli nie dowcipnym sarkazmem, to przynajmniej znamienym chrząknięciem albo piorunującym spojrzeniem oczu, podobnych do pary diamentów. Całe stronnictwo literacko-buckle’owskie starało się o pozyskanie „Figi”, ale on uchylał się od rozmów bezbożnych. Miał kilka siostr, a był jedynakiem u matki, właścicielki niedużego sklepu z materiałami piśmiennymi, katoliczki. Jak agent policji tajnej kontrolowała ona każdy krok syna, wydierała mu z rąk książki nie tylko wolnomyślnie, ale wszelkie tak zwane „złe”, nad wiedzą zaś tego wybitnego siódmoklasisty panowała tak wszechwładnie, że musiał jej sumiennie opowiadać treść rozmów swoich z kolegami, przedstawiać swe tajemne myśli, z góry uznane za zdrożne, wyjawiać wszelkiego rodzaju projekty i marzenia. Tak prowadzony hardy Tomasz musiał również wystrzegać się nie tylko dyskusji, ale nie miał prawa słyszeć „złych” myśli i pozwalać, ażeby znalazły miejsce w jego głowie.

Uzda, której końce trzymała matka szalejąca za „Figą”, doprowadzała go do skrytej, głuchej, dzikiej pasji. Poddawał się jednak, gdyż do serca jego czynny bunt przeciw rodzicielce nie miał przystępu. „Figa” wierzył w to tylko, co wespół z nią uznał za godziwe. Stosownie do jej poleceń prześcigał wszystkich „literatów” w wiadomościach, aczkolwiek na zebrania nie uczęszczał; czytał wszystko, co było niezbędne do pisania ćwiczeń rosyjskich, ale żadnej książki bezbożnej nie miał jeszcze w ręku. Borowicz nie opuszczał ani jednej sposobności drażnienia „Figi” swymi uwagami, toteż istniała między tymi dwoma ciągła walka.

Kostriulew, wykładający historię, wszedł do klasy i zasiadł na katedrze. Był to rusyfikador w najbardziej wulgarnym znaczeniu tego wyrazu. Podczas każdej prawie lekcji wywlekał sprawy bolesne dla młodzieży polskiej (gdyby ta czuć była w stanie), rozwijał je i poza kursem gimnazjalnym narzucał do uczenia się mnóstwo faktów zbytecznych. W podręczniku historii Iłowajskiego⁵¹⁴ była krótka i charakterystycznie moskiewska wzmianka o upadku Polski. Kostriulew nie poprzestał na niej, lecz przynosił ze sobą jakieś rękopiśmienne foliały, co zwał „dopełnieniem”, i stamtąd wyczytywał przeróżne skandale. Tego dnia przesłuchawszy zaledwie jednego ucznia rozłożył swój manuskrypt i rzucając na przemian jadowite uśmiechy i spojrzenia, zaczął czytać. Długo i szeroko malował historię „dobrowolnego” prawosławia na Litwie, wyliczał przykłady zdradzieństwa księży katolickich, scen gorszących z ich życia itd. Godzina miała się już ku końcowi, gdy widocznie dla zilustrowania stanu rzeczy dobitnym faktem wyluszczać zaczął sprawę konfiskaty wielkiego klasztoru żeńskiego w okolicach Wilna.

— Gdy wywieziono mniszki — mówił — delegowani zabrali się do zbadania gmachu. W trakcie rewizji cel przypadkiem odkryto schody tajne prowadzące do lochów podziemnych, gdzie oczom przybyłych ukazał się widok nieznośny. Stało tam mnóstwo małych trumienek drewnianych, prawie jednakiego wymiaru, a mieściły się w nich trupy dzieci ledwo narodzonych. Jedne z tych trumienek były już zupełnie zbutwiałe,

Matka, Syn, Nauka,
Obyczaje

⁵¹⁴Iłowajski, *Dymitr* (1832–1920) — historyk rosyjski. [przypis edytorski]

widocznie przed wiekiem, inne rozsypywały się w proch, a były i zupełnie nowe, lśniące białością drzewa sosnowego...

Pedagog przerwał na chwilę czytanie i obrzucił spojrzeniem słuchaczy. Wtedy Walecki powstał ze swego miejsca i rzekł ostro:

— Panie nauczycielu!

— A co tam? — zapytał Kostrulew, poprawiając swe niebieskie binokle.

— Panie nauczycielu! — mówił „Figa” głosem wzburzonym, drżącym, ale do najwyższego stopnia zuchwałym — ja... to jest... ja w imieniu moich kolegów... uczniów klasy siódmej, ja proszę, ażebyś pan nie czytał tutaj podobnych rzeczy.

— Co takiego? — zawołał historyk, zrywając się z krzesła.

Walecki wspiął się na palcach i oparty rękami o wierzchnią deskę ławki, pochylony naprzód, mówił coraz głośniejszym tonem, który ciął niby damasceńska szabla⁵¹⁵:

— Ja jestem katolikiem i nie mam prawa słuchać tego, co pan czytasz. Dlatego w imieniu całej klasy, w imieniu... całej klasy...

— Milczec, smarkacz! — wrzasnął nauczyciel, zstępując z katedry.

Był to najboleśniejszy epitet, jaki mógł usłyszeć ten mały „katolik”. Słowo „smarkacz” przeszło go jak bagnet. Toteż nozdrza klasycznego nosa zaczęły mu drgać, brwi skoczyły do pół czoła, twarz zbladła jak papier.

— Ja nie chcę słyszeć tego, co pan czytasz! — krzyknął na cały głos. — Tęgo nie ma w kursie, a zresztą jest to potwarz i nędzny fałsz! Nędzny fałsz! Ja w imieniu całej klasy...

Kostrulew mruknął coś pod nosem, zebrał na kupę co tchu swój rękopis, dzienniki, książkę Howajskiego i gwałtownym krokiem wyszedł z klasy. Walecki usiadł na swym miejscu, podparł głowę pięściami i został tak bez ruchu. W sali zaległa cisza. Nie słychać było żadnego szmeru, żadnego oddechu. Wtem Borowicz rzekł półgłosem, który wśród tej ciszy i wytężonego milczenia sprawił wrażenie krzyku:

— To ci ognisty katolik!

Walecki natychmiast podniósł głowę, odwrócił się, zmrużył oczy i szepnął przez ściśnięte zęby:

— Tak, ty... libertynie⁵¹⁶!

— „Pomidorowiec”... — odpowiedział mu Borowicz. — On „w imieniu całej klasy”...

Zaledwie zdążył wymówić te słowa, gdy drzwi się z trzaskiem otwały i wkroczył do klasy cały prawie sztab gimnazjalny. Dyrektor szybko zbliżył się do pierwszych ławek i zaczął krzyczeć, bijąc w nie pięściami:

— A to co? Bunt? Bunt? Bunt?! Ja was nauczę! W tej chwili won cała klasa! Won! Myślicie, że ja się zawaham! Walecki! — krzyknął w istnej furii. — Tutaj!

„Figa” stanowczym krokiem wyszedł na środek i stanął przed dyrektorem.

— Od ziemi nie odrósł, żak, ssipalec! — pinił się Kostrulew. — I to takie... przeciwko mnie... Protest... Ja dla dobra nauki, a ty, chłystku!...

— Tak... — rzekł „Figa” chrapliwym basem, który co moment przelewał się w dyszkant⁵¹⁷ — w imieniu całej klasy... My chodzimy do spowiedzi, wyznajemy naszą religię... A zresztą ja nic nie chcę... Niech on przeczyta panu dyrektorowi i wszystkim to, co my tu słyszeliśmy przed chwilą! Niech on to przeczyta. Ja nic... tylko niech on to przeczyta! Jeżeli panowie...

Głos mu się zarywał i jakoś dziwnie szczykał w nadmiernym wzburzeniu.

— Któż to: on? — spytał raptem inspektor.

— No on... ten nauczyciel, Kostrulew... — rzekł „Figa” wzgardliwie, nie odwracając nawet głowy w stronę historyka.

— Panowie słyszycie? — spytał tamten z pośpiechem.

Inspektor tymczasem wdrażał już formalne śledztwo. Zwrócony do klasy pytał stanowczym głosem:

— Czy upoważniliście Waleckiego do zakładania protestu?

⁵¹⁵ *damasceńska szabla* — broń z wyjątkowo twardej, a zarazem sprężystej stali, wyrabiana w okolicach Damaszku w Syrii. [przypis edytorski]

⁵¹⁶ *libertyn* — osoba głosząca poglądy skierowane przeciwko autorytetowi kleru, religii i tradycyjnej obyczajowości; wyznawca *libertynizmu*, tj. ruchu umysłowego, który w XVII w. rozwijał się we Francji; tu: niedowiarek. [przypis edytorski]

⁵¹⁷ *dyszkant* — wysoki głos chłopięcy. [przypis edytorski]

Uczniowie milczeli.

— Kto delegował Waleckiego? Winni, którzy się przyznają natychmiast, zmniejszą sobie karę o połowę. Później Rada Pedagogiczna będzie nieubłagana.

Znowu odpowiadano milczeniem. Żaden z kolegów nie naradzał się z Waleckim, a prawo koleżeństwa domagało się obrony współtowarzysza. Nikt nie wiedział, co począć. Wszyscy siedzieli w absolutnym oglupieniu, ratowali się milczeniem i zupełną nieruchomością ciał niby kupa chłopów zaskoczona przez wypadki niepojęte. Inspektor był na to przygotowany i jako praktyk w rzeczach badań wnet zmienił metodę:

— A więc nie przyznajecie się? Dobrze. Goldbaum, czy upoważniłeś pan Waleckiego?

Prymus wolniutko dźwignął się z miejsca i zgity stanął w ławce, patrząc w ziemię.

— No i cóż, należałeś do buntu?

— Ja dziś nie rozmawiałem w klasie... Mnie dziś bardzo głowa boli.

— Tu trzeba dać odpowiedź kategoryczną! — przerwał mu dyrektor.

— Ja jestem starozakonny... — rzekł cicho Goldbaum.

Inspektor wodził oczyma po klasie i zatrzymał je na swym ulubieńcu.

— Borowicz! Czy byłeś pan w zмовie z Waleckim, czy dawałeś mu jakie zlecenia?

Marcin wstał ze swej ławy i milczał, śmiało patrząc w oczy dyrektora.

— Więc jakże?

— Ja nie mogłem do wystąpienia namawiać kolegi Waleckiego, gdyż uważam za bardzo użyteczne te „dopełnienia”, które nam właśnie czytał profesor Kostruielw. Był to krytyczny rzut oka na machinacje jezuitów w upadającej i upadłej Polsce. Mnie się zdaje, że my wszyscy z przyjemnością słuchaliśmy uwag nadprogramowych i muszę wyznać, że Walecki protestował tylko we własnym swoim imieniu.

Uczniowie z natężoną ciekawością chwyтали słowa odpowiedzi Borowicza, gdyż wprowadzały ich one z ciężkiego kłopotu. Wszyscy doznali tego wrażenia, że Marcin, zwalając winę całą na barki Waleckiego, niszczy podejrzenie o bunt, a co ważniejsze, samemu winowajcy zmniejsza stopień kary. Toteż kiedy inspektor dawał im pytania z kolei, odpowiadali prawie słowo w słowo to samo, co rzekł Borowicz. Walecki, mówiono, zapalił się niesłusznie, gdyż nauczyciel nie czytał nic zdroźnego. Mówił to samo, co stoi w kursie, tylko ilustrował rzecz odpowiednimi przykładami. W całej klasie znalazł się jeden tylko „pomidorowiec”, niejaki Rutecki, który na zapytanie, czy zmałwał się z Waleckim, wbrew powszechnemu oczekiwaniu nauczycieli i kolegów rzekł:

— Tak.

Tego ustawiono przy Waleckim, a po skończonym śledztwie wytransportowano z klasy. Gdy sztab profesorski znalazł się za drzwiami, wszyscy zerwali się z miejsc, zbili w gromadki i poczęli z krzykiem rozprawiać o fakcie dokonanym.

— Jeżeli to nie jest świństwo — rzekł swym grubym głosem najstarszy w klasie kolega drugoroczny, dla potężnego nosa zwany „Pieprzoadem”⁵¹⁸ — to niech mi zaraz Goldbaum daje byka w ucho...

— Ciekawym, co mogliśmy zrobić innego? — spytał Borowicz, przeczuwając, że to do niego piją. — Czemuż kolega popełnił to samo „świństwo”?

— Dlaczego? Bagatela... Dlaczego? A bo ja wiem, dlaczego... Ale małego wyleją na dwór...

— Nie przypuszczam, a zresztą to trudno! — zapalił się Marcin. — Że jemu się zachciewa bronić „pomidorów”, to jeszcze nie racja, żebyśmy wszyscy mieli być wyrzuceni. Co do mnie, to utrzymuję stanowczo, że Kostruielw miał zupełną słuszność. W nauce historii chodzi o prawdę, o prawdę i jeszcze raz o prawdę. Należy mieć jakieś zdanie. Albo się je ma i w takim razie nie można bronić polsko-jezuickich morderczyń nieprawych dzieci, albo się jest trąbą klechów...

— A naturalnie! — zawtórowano ze wszech stron.

Tymczasem z kancelarii przytykającej do klasy siódmej słyszał było gwar, nad którym unosił się ciągle ostry głos Waleckiego. Przez korytarz raz wraz biegali pomocnicy gospodarzy klasowych. Inspektor nie zjawiał się na lekcję logiki, która właśnie przypadała

⁵¹⁸pieprzoad — tukan; ptak południowoamerykański z rzędu dzięciolowatych o potężnym dziobie. [przypis edytorski]

w klasie siódmej. Po upływie kilkudziesięciu minut od wyprowadzenia Waleckiego ujrano przez drzwi oszklone kapelusz i fizjonomię jego matki biegnącej klusem w asystencji pana Mieszczkina. Twarz tej pani była blada śmiertelnie, oczy wytrzeszczone, a nozdrza drgały zupełnie jak u syna.

— Mówię, że to jest świństwo pomnożone przez łajdactwo — mruknął znowu kolega „Pieprzoad”, szczypiąc do góry wąsiki i rozczesując czuprynę grzebieniem.

Za ścianą gwar wzrastał się coraz bardziej, stawał się zgiełkliwy jak wściekła kłótnia, czasami znowu nacichał⁵¹⁹ zupełnie. W pewnej chwili dał się słyszeć krzyk Waleckiego, spazmatyczny, rozpaczliwy... Uczniowie rzucili się do drzwi, postawiali na ławkach, wspięli się na palce i wyjrżeli na korytarz przez szybki we drzwiach. Zobaczyli wkrótce Waleckiego w otoczeniu trzech stróżów i pana Pazura, którzy go nieśli w powietrzu. „Figa” rwał się i siepał w rękach jak lis złapany w żelaza. W pobliżu kancelarii stała jego matka. Twarz jej nic nie wyrażała, tylko wargi chwilami odrywały się w szczególny sposób i lewa powieka dygotała. Gdy „Figę” wwalono we drzwi izby zwanej „zapasową”, pani Walecka zwróciła się szybko ku wyjściu. Szła przy samej ścianie i coś mamrotała do siebie... Wkrótce przyszedł do klasy Rutecki, skazany na długą kozę, z wieścią, że mały za zgodą matki, a w zamian za wypędzenie z „wilczym biletem”⁵²⁰ — dostanie różgi...

W połowie następnej lekcji, którą odbywał wiecznie spokojny matematyk, drzwi się uchyliły i pan Majewski wpuścił do sali Waleckiego. Nieszczęsny buntownik miał twarz tak nabiegłą krwią, że wydawała się prawie czarna. Dolna warga była wysunięta jak u matki, białe zęby dolnej szczęki nakrywały wargę górną, oczy cofnęły się i skryły pod boleśnie zsuniętymi brwiami. Szedł do swego miejsca z wolna, jakby omackiem. Gdy je miał już zająć, w przeciągu jednego momentu wejrzął na Borowicza. Marcin wtedy zadrżał, było to bowiem spojrzenie straszliwe.

Wzrok

XV

Na początku trzeciego kwartału, po przyjeździe ze świąt Bożego Narodzenia, uczniowie klasy siódmej zastali nowego kolegę. Był nim Bernard Sieger, wydalony z tejże klasy któregoś gimnazjum w Warszawie. Nikt z kleryków nie miał wiadomości autentycznych, za co właściwie Sieger był ze stolicy raz na zawsze wypędzony, a do Klerykowa przyjęty. Chodziły tylko niezdecydowane pogłoski, że to „ptaszek”. Z czasem dopiero jeden z ósmoklasistów, któremu zdarzyło się być podczas świąt w Warszawie, oświecił nieco sprawę, rozgłaszając, że tajemniczy przybysz wyrzucony został za *niebłagonadiotnost*⁵²¹. Do Klerykowa, według tejże relacji, udało mu się wstąpić za specjalnym zezwoleniem kuratora okręgu naukowego, który znowu miał dać takie zezwolenie dzięki wstawieniu jednej ze znakomitych figur wielkiego świata.

W nowej szkole Sieger natychmiast otoczony został szczególniejszą opieką. Mieszkał sam jeden u pana Kostrielewa i poza murami szkoły nie miał prawa stykać się z kolegami. W gimnazjum pilnowano go również w sposób niezostawiający nic do życzenia. Codziennie ktoś upoważniony, a więc pan Majewski, inspektor, dyrektor, Mieszczkin — rewidował jego tornister, wszyscy udzielali mu admonicji⁵²² surowszych niż innym, a do wydawania lekcji⁵²³ powoływano go bez ustanku. Bernard Sieger miał lat osiemnaście, dziewiętnaście, był wzrostu średniego, krępy, nieco ospowaty. Rysy twarzy miał wyraziste, nos duży, oczy barwy nieokreślonej jak woda. Oczy te patrzyły spokojnie, ale ze szczególną uwagą. Sieger nigdy nie zdradzał strachu lub złości, gdy go niepokojono, gdy mu rozkazującym tonem czegoś „surowo zabraniano”. Na twarzy jego malował się stale pewien wyraz, który można by chyba ochrzcić imieniem — uprzejmej drwiny.

Głowacze klasy siódmej już po kilku lekcjach spostrzegli, że Sieger wszystko „kapuje”. Robił przykłady matematyczne niezbyt lotnie, ale bystro, tłumaczył *Disputationes*

⁵¹⁹nacichać — dziś: przycichać. [przypis edytorski]

⁵²⁰z „wilczym biletem” — z podaną do powszechnej wiadomości złą opinią uniemożliwiającą przyjęcie w innym, podobnym miejscu nauki a. pracy. [przypis edytorski]

⁵²¹niebłagonadiotnost' (ros.) — nieprawomyślność. [przypis edytorski]

⁵²²admonicja — upomnienie. [przypis edytorski]

⁵²³wydawanie lekcji (daw.) — odpowiadanie na ocenę z materiału z poprzednich lekcji a. zadanego do nauki w domu. [przypis edytorski]

*Tusculanae*⁵²⁴ Cyserona powoli, ale samoistnie, pisał ćwiczenia literackie i „logiczne” na cztery — słowem, był to dobry uczeń.

Buckle’isci z krótkiego dyskursu przed nabożeństwem w pewien dzień galowy, kiedy pilnowacze zajęci byli malcami i nie przeszkadzali rozmawiać, dowiedzieli się, że nowy nie tylko czytał Buckle’a i Drapera⁵²⁵, ale posłyszeli z ust jego pytanie o dzieła, jakich ani oko klerykowskie nie widziało, ani ucho nie słyszało. Sieger żył całkiem samotnie. Wprost z klasy szedł do mieszkania. Na spacer, na łyżwy, po sprawunki — tylko z cerberem⁵²⁶ Kostrzulewem. Autochtonowie⁵²⁷ klasy siódmej obserwowali go z uwagą, ciekawością, a nie bez odrobiny niechęci i zawiści. Już to samo, że Sieger przybył z Warszawy, gniewało wszystkich, którzy za obrębem Klerykowa nic nie znali. Uprzejmą grzeczność jego poczytywano za wyniosłość i arystokratyzm, ironiczne milczenie, gdy uczeni sławie roztaczali w czasie pauz swe wiadomości — za nieuctwo w tym kierunku wiedzy człowieczej.

Pewne trudności miał Sieger z uczęszczaniem na lekcje języka polskiego. Zrazu władza wzbraniała mu wstępu na wykłady prof. Sztettera i dopiero po upływie miesiąca dała swe zezwolenie.

Tego dnia lekcja języka „miejscowego” była ostatnią z rzędu, a więc przypadła między godziną drugą a trzecią. Sztetter wszedł do klasy jak zwykle z wyrazem niechęci na twarzy, zasiadł i wnet wymienił czyjeś nazwisko, prosząc o tłumaczenie z języka polskiego na rosyjskie wiersza Czajkowskiego pt. *Pająk*.

Ten, kogo spotkał los tak nudny, pragnąc wykręcić się, zaczął gadać (rozumie się, po rosyjsku):

— Panie profesorze, mamy nowego ucznia.

— Nowy kolega, z Warszawy uczeń... — błaznowali inni.

— Nowy uczeń? — spytał Sztetter ze zdziwieniem. — Gdzie, jaki uczeń?

Sieger wstał ze swego miejsca i skłonił się nauczycielowi.

— A... — mruknął Sztetter. — *Wasza familija*⁵²⁸?

— Zygier — rzekł nowy uczeń.

Nauczyciel zaczął szukać tej *familii* w spisie abecedowym pod literą Z — i nic znalazł.

— Mówisz pan... Zygier?

— Tak. W papierach i w metryce stało⁵²⁹: Sieger, jak pisał się mój dziad i ojciec, dlatego prawdopodobnie zanotowano pod S. Ja nazywam się Bernard Zygier, *Zet, y, gier*...

Nauczyciel spojrzał na nowego ucznia i smutne oczy jego zajaśniały przez chwilę nikłym promyczkiem wesela.

— Niech będzie Zygier... — powiedział. — Chcesz pan uczęszczać na lekcje języka polskiego?

— Rozumie się! Przecież to nasz język ojczysty... (*Wied’ eto nasz rodnoj jazyk*).

Sztetter obejrzał szybkim lotem drzwi oszklone, tego ucznia, dziennik i poruszył warzawami, jak gdyby mówił jakieś słowo, czego przecie nikt nie dosłyszał. Po chwili rzekł:

— No... czytaj pan!

⁵²⁴*Disputationes Tusculanae* (łac.) — *Rozmowy tuskulańskie*, tytuł jednego z dzieł filozoficznych Cicerona. [przypis edytorski]

⁵²⁵*Draper, John William* (1811–1882) — historyk amer., autor głośnej książki *Dzieje stosunku wiary do rozumu*. [przypis edytorski]

⁵²⁶*cerber* — tu: osoba pilnująca kogoś a. czegoś, a przy tym groźna i surowa; nazwa od imienia Cerbera, trzygłowego psa w mit. gr. pilnującego wejścia do Hadesu. [przypis edytorski]

⁵²⁷*autochton* — członek ludności miejscowej (w odróżnieniu od napływowej). [przypis edytorski]

⁵²⁸*wasza familija* (ros.) — pańskie nazwisko. [przypis edytorski]

⁵²⁹*stało* — było napisane. [przypis edytorski]

Zygier wziął książkę ułożoną przez prof. Wierzbowskiego⁵³⁰ i zaczął czytać wskazany urywek. Koledzy jego, widząc, że prezentacja skończona i że rozpoczynają się zwykle „nudy narodowe”, wzięli się do odrabiania lekcji, do jawnego czytania rzeczy postronnych albo wprost układali się jako tako do drzemki. Niektórzy, lepiej wychowani, z nałogu przyzwoitości trzymali oczy wlepione w *Pająka*. Inni oglądali ściany powleczone sinym kolorem, szerokie brunatne lamperie, żółty stoliczek katedry, czarną tablicę, szyby zasłonięte parą... Tymczasem Zygień odczytał i przetłumaczył na język urzędowy kilka strof wiersza, a potem rozbierał kolejno zdania pod względem gramatycznym i logicznym. Zastanowiło wszystkich, że czynił to nadzwyczaj starannie i że rozbierał po polsku. Sztetter oparty ramieniem na krześle dźwignął zwieszoną głowę i bębniąc w stół palcami spod oka przyglądał się Zygieńowi. Podmiot, orzeczenie, słowa określające, rzeczownik, zaimek, mianownik, dopełniacz, celownik, imiesłowy odmienne, nieodmienne itd. brzmiały w tej klasie tak dziwnie, tak jakoś zabawnie, że wszyscy uczniowie, słysząc to raz pierwszy, spoglądali ze śmiechem to na profesora, to na ucznia ciągnącego rzecz swoją ze skupieniem i uwagą. Ukończywszy rozbiór całego wiersza, Zygień złożył książkę na ławie. Nauczyciel otworzył swój notes prywatny, dziennik klasowy, ujął za pióro, wykręcał je w palcach i myślał o czymś głęboko.

— Dosyć... — rzekł wreszcie. — Mam panu stawiać stopień. Ale jaki? Cóż ja panu postawię? Ja nie mam tu... na to... stopnia, panie Zygień...

Mówiąc tak, znowu przyglądał się nowemu uczniowi i wracał do niego oczyma kilkakroć, jakby ich nie był w stanie zdjąć z tej twarzy. Zygień stał w ławce, mierząc Sztettera swym uważnym i spokojnym wejrzeniem.

— Proszę mi powiedzieć — rzekł jeszcze nauczyciel — co pan czytałeś, w jakim kierunku?

— Czytałem... tak dosyć rozmaitych rzeczy.

— A z literatury polskiej?

— Uczyliśmy się kolejno, systematycznie, okresami.

— Tak, tak... — mówił Sztetter, zabawnie strzepując ręką piasek z dziennika — no i jakież to tam okresy?

— Czytaliśmy utwory wieku złotego dosyć pobieżnie, za to romantyków szczegółowo.

— Któż to... my? — zapytał nauczyciel daleko ciszej i patrząc we drzwi.

— To tam, w Warszawie... my... sami...

— Cóż pan czytałeś np. z Mickiewicza?

— No, zdaje się... Niektórych rzeczy żadną miarą nie mogliśmy dostać.

— Ja się o to nie pytam, nie chcę wiedzieć! Jakież utwór podobał się panu najbardziej?

— Czy ja wiem? „Trzecia część”... Improwizacja, *Pan Tadeusz*, *Księgi Pielgrzymstwa*... Sztetter umilkł. Po chwili zapytał jeszcze.

— No, a coż pan wiesz o Mickiewiczu⁵³¹?

Uczeń wyraźnie, jasno i bardzo szczegółowo opisał w języku rosyjskim młodość poety, związek Promienistych, Filomatów⁵³² i Filaretów, aresztowania, uwięzienie i deportację.

⁵³⁰Wierzbowski, Teodor (1853–1923) — pochodzący z Kielc historyk, archiwista, bibliograf, wydawca źródeł, profesor Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego (od 1886 r.), prowadził tamże wykłady literatury polskiej w języku rosyjskim (od 1882 r.); autor stosowanego jako podręcznik w szkołach średnich wyboru tekstów polskich z komentarzem po rosyjsku pt. *Wypisy polskie* (oryg. *Polskaja chrestomatia*, wyd. 1884). Był konserwatywnym zwolennikiem stopniowych zmian, wpływania na czynienie kolejnych ustępstw przez zaborców (np. napisał w 1896 r. do stosownych władz memoriał o dyskryminacji języka polskiego w szkolnictwie średnim i wyższym i w efekcie tej interwencji zrównano w nauczaniu język polski z niemieckim i francuskim). Od grudnia 1908 r. był kierownikiem katedry języka i literatury polskiej, gdzie wykłady wygłaszane były po polsku; nie podjął już pracy wykładowcy, kiedy w 1915 r. ukonstytuował się polski Uniwersytet Warszawski. [przypis edytorski]

⁵³¹Mickiewicz, Adam (1798–1855) — wybitny poeta pol. romantyzmu, działacz i publicysta polit.; autor wierszy, ballad, powieści poetyckich, dramatu *Dziady* oraz eposu szlacheckiego *Pan Tadeusz*; wydanie jego zbioru poezji *Ballady i romanse* w 1822 r. uznawane jest za wydarzenie zapoczątkowujące epokę romantyzmu w Polsce. [przypis edytorski]

⁵³²Filomaci (z gr.: miłośnicy nauki) — właśc. Towarzystwo Filomatyczne; polskie tajne stowarzyszenie studentów i absolwentów Uniwersytetu Wileńskiego, działające w l. 1817–1821, a następnie pod zmienioną nazwą do 1823 r., jego pierwotnym celem było samokształcenie, wzajemna pomoc w nauce i ćwiczenie się w sztuce pisarskiej; do filomatów należał m.in. Adam Mickiewicz. Wokół Towarzystwa Filomatycznego utworzyła się sieć związków zależnych, zrzeszających ok. 200 osób, m.in. Promieniści (czyli Towarzystwo Przyjaciół Pożytecznej Zabawy zał. w 1820 w celu rozwijania harmonijnego piękna, dobra i prawdy w uczestnikach) czy Zgromadzenie

Wprost od tych szczegółów najniespodzianie⁵³³ zjechał z Wilna do Warszawy i już nie ku profesorowi, lecz w stronę klasy zwrócony jał wyborną i bardzo piękną ruszyczyną z chwalebnym uniknięciem „polonizmów” plastycznie malować napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada⁵³⁴.

Oszołomiony belfer, pragnąc co tchu przerwać ten wykład, rzucił pytanie:

— Umiesz pan może co na pamięć?

— Tak, umiem to i owo.

— Proszę powiedzieć.

Zygier złożył książkę, przez chwilę się namyślał i wnet zaczął mówić głosem nie do-
nośnym, ale dźwięczącym jak szlachetny metal:

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo...⁵³⁵

Usłyszawszy te wyrazy, Sztetter zerwał się na równe nogi i zaczął machać rękami, ale Zygie-
r nie umilkł. Jakby odepchnięty jego wzrokiem nauczyciel siadł na swym krześle,
podparł głowę rękoma i nie spuszczał oka z szybek we drzwiach. W klasie stała się cisza.
Wszystkie oczy skierowały się na wypowiadającego „wiersze polskie”. Ten mówił równo,
ze spokojem i umiarkowaniem, ale jednocześnie z jakąś ukrytą w słowach wewnętrzną
gwałtownością, która kiedy niekiedy, w pewnych ceszurach, wymykała się między syla-
bami. Dziwne, niesłychane słowa przykuwały uwagę, potężny obraz boju roztwierał się
przed oczyma słuchaczy — i nagle mówca dźwignął swój głos o stopień wyżej:

Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo francuskie twoje stopy liże,
Warszawa jedna twojej mocy się urąga!
Podnosi na cię rękę...

Nauczyciel syknął i zaczął wstrząsać głową. Wtedy „Figa”-Walecki wylaźł ze swej ław-
ki, zbliżył się do drzwi, wspiął na palce i spoglądając uważnie w korytarz, machnął ręką na
Zygiera, żeby gadał dalej. Nie była to już recytacja utworu wielkiego poety, lecz oskarże-
nie uczniaka polskiego zamknięte w zdarzeniach bitwy. Był to własny jego utwór, własna
mowa. Każdy obraz walki dawno przegranej wydierał się z ust mówcy jako pragnienie
uczestnictwa w tym dziele zgubionym. Uczucia dziecięce i młodzieńcze, po milionkroć
znieważane, leciały teraz między słuchaczy w kształtach słów poety, pękały wśród nich
jak granaty, świszczały niby kule, ogarniały dusze na podobieństwo kurzawy bojowej.
Jedni z nich słuchali wyprostowani, inni wstali z ławek i zbliżyli się do mówcy. Borowicz
siedział zgarbiony, podparłszy pięścią brodę i rozpalone oczy wlepił w Zygiera. Dręczyło
go przemierze⁵³⁶ złudzenie, że on to wszystko już niegdyś słyszał, że on to nawet gdzieś
jakby własnym okiem widział, ale nie mógł pojąć, co będzie dalej — i słuchał, słuchał
ze wstrętem i złością, ale z dreszczem dziwnego bólu w piersiach. Wtem Zygie-
r zaczął mówić:

...nieraz widziałem
Garstkę naszych, walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: — pal! nabij!
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi,
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność,

Filaretów (z gr. *philáretos*: miłośnik cnoty moralnej; działający pod hasłem Ojczyzna, Nauka, Cnota). Istnieniu
wszystkich tych związków młodzieży kres położyło śledztwo prowadzone przez kuratora wileńskiego okręgu
szkolnego Nikołaja Nowosilcowa w l. 1823–1824: wielu członków trafiło do więzienia, a po procesie zostało
skazanych na zesłanie w głąb imperium carskiego (w tym Mickiewicz, który w l. 1824–1827 przebywał w Rosji,
a wydostawszy się z niej, na emigracji). [przypis edytorski]

⁵³³najniespodzianie — dziś popr.: najbardziej niespodzianie. [przypis edytorski]

⁵³⁴napad podchorążych na Belweder w nocy 29 listopada — tj. początek powstania listopadowego w 1830 r.
[przypis edytorski]

⁵³⁵Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo... — początkowy wers *Reduty Ordona*, wiersza Adama
Mickiewicza poświęconego heroicznej obronie Warszawy podczas powstania listopadowego przed nacierającą
armią rosyjską. [przypis edytorski]

⁵³⁶przemierzły — odrażający, wstrętny, obmierzły. [przypis edytorski]

Na koniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Na koniec bez rozwagi, bez czucia, pamięci
Żołnierz, jako młyn palny, nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi — na oko...
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała... Nie znalazła... I żołnierz pobladnął,
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władał
I poczuł, że go pali strzelba rozogniona,
I puścił ją, i upadł... Nim dobija, skona...

Borowicz zamknął oczy. Znalazł już wszystko. To ten sam żołnierz, o którym mówił mu przed laty strzelec Noga na pagórku pod lasem. Ten sam, zabity nahajami, leżący w skrwawionej mogile pod świerkiem. Serce Marcina szarpnęło się nagle, jakby chciało wydrzeć się z piersi, ciałem jego potrząsało wewnętrzne łkanie. Ścisnął mocno zęby, żeby z krzykiem nie szlochać. Zdawało mu się, że nie wytrzyma, że skona z żalu. Sztetter siedział na swym miejscu wyprostowany. Powieki jego były jak zwykle przymknięte, tylko teraz kiedy niekiedy wyrywała się spod nich łza i płynęła po bladej twarzy.

XVI

Miejscem bardzo drogim dla Borowicza i jego kolegów przez cały czas egzystencji w klasie ósmej był tak zwany Stary Browar, obszerna posesja leżąca u wejścia na przedmieście wygwizdowskie. Niegdyś istniała rzeczywiście w tym miejscu fabryka nędznego piw-ska. Z czasem właściciel jej zrujnował się doszczętnie, a całkowity jego „interes” poszedł w ruinę. Wielkie mury, budowle otaczające, składy i piwnice stały pustkami. Dopiero po upływie lat kilku nabył wszystko za małe pieniądze chudy Żydek z czarną bródką i za mniejsze jeszcze pieniądze przerobił browar i składy na lokale mieszkalne. Cały szereg tych budynków wraz z niezmiernym podwórzem i ogrodami stanowił samoistną dziel-nicę. Z jednej strony ograniczała ją wiecznie gnijąca rzeczulka, z trzech innych ulicz-ki boczne. Wysoki, jakby więzienny mur z posępnymi bramami wychodzącymi na trzy strony świata, biegł dokoła obszaru browarnego wzdłuż ulic sąsiednich. Ponad kanałem sterczał tylko mocny parkan z czterocalówek. Wielki dziedziniec był brukowany, a na-wet przecięty w poprzek przez trotuar wyłożony marmurowymi płytami. Jednakże tuż obok chodnika istniały głębokie wadoły wybrane w ziemi, nie wiadomo w jakim celu. Kiedy dżdżysty październik napęłnił je wodą, miały one wszelkie pozory pułapek zasta-wionych przez właściciela Starego Browaru w celu chwytania żywcem lokatorów, którzy nieuiszczone komorne trwonili w knajpach i cukierniach, a późną i ciemną nocą wraca-li do gniazd rodzinnych. Mieszkania ceglanym równoległobokiem otaczające podwórzec miały wyraz wcale nie weselszy od więzienia Mazas⁵³⁷. Okna w nich były małe, drzwi nieforemne, sienie jak pieczary pogrążone w wiekuistym mroku, schody śliskie i brudne. Na wprost bramy głównej wysuwał się z głębi dziedzińca gmach fundamentalny, a raczej ściana jego, bardzo wysoka i naga. Tu i ówdzie tkwiły w niej okna, znacznie później wmu-rowane. Stary tynk muru, obleczony niegdyś w zewnętrzną farbę, poobrywał się, spadł na ziemię i leżał tam z wolna unicestwiany przez deszcze. Wątpliwa, żółtaworóżowa barwa miejsc jeszcze trwających zamokła i wynikały tam przeróżne mapy, zygzaki, dziwaczne kształty i wierne symbole. Przypominały one rozmaite zjawiska tego padolu, jakby dla stwierdzenia myśli Schellinga, że natura, zdążając ku wiekuistej refleksji, zawsze wraca do raz już utworzonych, a gdzie indziej tkwiących postaci bytu.

W tej oficynie mieszkali na piąterku⁵³⁸ rodzice Mariana Gontali, ósmoklasisty, jedne-go z kolegów Borowicza. Ojciec „Mańka” był nieznacznym urzędnikiem Izby Skarbowej. Mieszkanie Gontalów składało się z trzech małych, wilgotnych izdebek i kuchni. Mieści-ły się tam dzieci, jakaś ciotka Matylda z ogromnymi kuframi, staruszka babka. Maniek z dwoma braćmi uczęszczającymi do niższych klas gimnazjalnych mieszkał na górze. Od klasy piątej, jak większość niezamożnej młodzieży klerykowskiej, całkowite utrzymanie

⁵³⁷ *więzienie Mazas* — więzienie w Paryżu w z. pol. XIX w. [przypis edytorski]

⁵³⁸ *piąterko* — dziś: pięterko. [przypis edytorski]

swoje opłacał korepetycjami. Dawał ich dużo i pomimo bardzo niskiego wynagrodzenia zarabiał tyle, że mógł dopomagać rodzinie w jej ciężkim życiu.

„Górka” mieściła się na strychu. Były tam ongi⁵³⁹ jakieś suszarnie. Całe poddasze zawalone było starymi deskami i krokwiami, toteż właściciel domu bez wielkiego gniewu dał się nakłonić do przeformowania⁵⁴⁰ dwiema ścianami dużej, istniejącej już zagrody, wybicia w murze okienka, a drzwi w przepierzeniu. Tym porządkiem wyrosła na strychu odosobniona stancjka. Gontala *junior*⁵⁴¹ za własne pieniądze ozdobił mieszkanie piecykiem żelaznym, od którego rura, zgięta w kształcie bagnetu, wychodziła na świat boży przez otwór wycięty w szybie. Żeby się dostać na górkę, trzeba było drapać się z sionki bocznej po schodczkach kuchennych, bardzo stromych, przebywać całą długość strychu, między istnym lasem belek i krokwi.

W zamian za te trudy dostępu otwierał się przed gościem z okna izby daleki widok na jedno z przedmieść Klerykowa, na pola, łąki, wzgórza i sine lasy. Tuż przy domu widziało się stamtąd rozległy ogród, parkan na podmurowaniu, wiszący nad rzeką, i pewne w nim miejsce, zwane przez gości odwiedzających górkę „dziurą Efiatesa”⁵⁴². W kącie sadu, gdzie drewniany parkan stykał się z murem, pewna deska przybita do górnego przęsła, jak wszystkie, bretnalem⁵⁴³, u dołu przegniła daleko poza gwóźdź spajający ją z belką dolną i chadzała swobodnie na górnym punkcie oparcia, dając się łatwo uchylać w prawo i w lewo. Idąc kilka kroków w bok po murku od „dziury Efiatesa” znajdowało się gruby dyl leżący nad rzeką, po którym z łatwością można było przebywać suchą nogą melancholijne fale topieli. Brzegiem kanału, a dalej na ukos od niego w górę, biegła między parkanami ku przedmieściu, zamieszkałemu niemal wyłącznie przez Żydów, uliczka tak strasznie błotnista i ubrudzona, że wszelkie jestestwo ochrzczone mogło ją zgruntować tylko w zupełnie wiarygodnych, nieprzemakalnych i bardzo wysokich cholewach. Jedyne ósmoklasiści umieli tamtędy skakać po im tylko wiadomych głazach i wzgórkach do *Ponte Rialto*⁵⁴⁴, przebywać go wśród najgłębszej ciemności i omackiem znajdować „dziurę Efiatesa”.

Wędrowali tym szlakiem wszyscy, a najczęściej: Zygiel, Borowicz, Walecki, Pieprzjad i siódmoklasista — Andrzej Radek. Gdy Gontala wracał ze swych *korep* o godzinie dziewiątej, dziesiątej, wypił na dole „u starych” herbatę i przybył do lokalu, a miał czas wolny lub chciał zobaczyć się z przyjaciółmi, wówczas zapalał świecę i stawiał ją w oknie. Radek widział to światło wysoko w górze, niby daleką gwiazdę błyszczącą, ze swego okna strzeżonego przez budyń glogu. Zygiel codziennie około godziny dziesiątej zmykał sprzed nosa Kostrzulewa i szedł jeśli nie do Gontali, to do Radka. Z tym ostatnim łączyły go węzły przyjaźni na śmierć i na życie.

Ponieważ nie można było rozmawiać w norze Radkowej, gdyż za cienką ścianą podłuchiwał chlebowadca, czyli dobroczyńca pan Płoniewicz, szli tedy najczęściej w ciepłe wieczory jeśli nie do Mańka, to dróżką za przedmieścia w pole. Na górze zgromadzenia były zupełnie ubezpieczone⁵⁴⁵: zamykano drzwi prowadzące do lokalu i stawiano wartę w kuchni przy schodach. Pełnili ją *con amore*⁵⁴⁶ dwaj młodszy Gontalowie, których za to traktowano po koleżeńsku. Duszą i kierownikiem był Zygiel. Dzięki jego wpływowi kierunek i nastrój myślenia młodzieży kończącej gimnazjum zmienił się średnicowo⁵⁴⁷. Nie wymagało to zresztą ani zbyt wielkiej erudycji, ani forsownego oddziaływania. Niby gwałtowny, za usunięciem stawidła⁵⁴⁸, wybuch wody z jeziora skrytego przed oczyma tych młodzieńców, wwały się na obszary, które dotąd znali: wielka poezja wygnańcza, historia rewolucji i upadków, prawdziwa historia czynów ludu, a nie jego rządu, wieczny-

⁵³⁹ *ongi* — kiedyś; dawniej. [przypis edytorski]

⁵⁴⁰ *przeformować* — przedzielić przepierzeniem, postawić cienką ściankę z desek. [przypis edytorski]

⁵⁴¹ *junior* — tu: młodszy. [przypis edytorski]

⁵⁴² *Efiates* — Grek żyjący w V w. p.n.e., który w czasie najazdu Persów na Grecję zdradziecko wskazał im górskie przejście, umożliwiające okrążenie i zaatakowanie wąwozu termopileńskiego od tyłu. [przypis edytorski]

⁵⁴³ *bretnal* — długi gwóźdź ciesielski. [przypis edytorski]

⁵⁴⁴ *Ponte Rialto* — słynny most na jednym z kanałów w Wenecji. [przypis edytorski]

⁵⁴⁵ *zupełnie ubezpieczone* — tu: całkowicie bezpieczne. [przypis edytorski]

⁵⁴⁶ *con amore* (łac.) — dosł. z miłością; tu: chętnie, ochoczo, z zamilowaniem. [przypis edytorski]

⁵⁴⁷ *średnicowo* — tj. o 180°; na całkowicie przeciwny. [przypis edytorski]

⁵⁴⁸ *stawidło* — ruchoma zastawka służąca do regulacji przepływu wody na rzece, kanale itp.. [przypis edytorski]

ście nowa, krwią przesiąknięta, pełna żywotów godnych pióra Plutarcha⁵⁴⁹ albo Carlyle'a⁵⁵⁰... Ta samoistna, oryginalna kultura wciągnęła ich do swej głębi.

Był to rezultat nieunikniony. Zakaz policyjny, traktujący geniusz Mickiewicza jako niebyły, usiłujący zniweczyć pamięć o czynach i życiu Kościuszki, wzmógł tylko ciekawość, energię badania i miłości. Czytano rzeczy „zabronione” ze zdwojoną starannością, uczono się ich namiętnie i z uniesieniem, czego nie byłoby może, gdyby te dzieła były legalnymi, jak pisma Puszkina i Gogola. W szafce wyrzuconej przez rodzinę Płoniewiczów do pokoju Radka mieściły się zniszczone, oddane na łaskę i niełaskę szczurom utwory Mickiewicza i Słowackiego, *Historia powstania listopadowego* Maurycyego Mochackiego⁵⁵¹, mnóstwo pamiętników z r. 1831 i '63⁵⁵², broszury polityczne, wydanie pisarzy okresu Zygmunrowskiego, przekład *Boskiej Komedii*, dzieł Szekspira, powieści Wiktora Hugo, Balzaka itd., wreszcie dosyć utworów literatury „miejscowej”.

Radek przełknął to wszystko naprzód sam w ciągu trzechletniej samotności, a gdy się zaznajomił z Zygierem i ósmoklasistami, nosił rzecz po rzeczy na zebrania. Każda przyniesiona książka była nowością, do której rzucano się z takim zaciekawieniem, z jakim dziś czyta się telegraficzne wiadomości w ostatnim dzienniku o najświeższych zdarzeniach w świecie politycznym. A więc coś mówi ten Dante w swym *Piekle*⁵⁵³ Co opisuje Szekspir w *Królu Lirze*? Coż to jest ten *Faust*⁵⁵⁴? W rozmowach zestawiano książki przeczytane i równano utwory w sposób nieraz bardzo zabawny. Często wręcz wprost od *Jerozolimy wyzwolonej*⁵⁵⁵ przechodzono do Eugeniusza Sue⁵⁵⁶ albo do jakiejś autorki wielkobrytańskiej, której nazwiska tłumacz polski wcale nie kładł w tytule dzieła, jakby dla uchronienia szanownej lady od kompromitacji wobec publiki „Kraju Przywiślańskiego”, i znowu z płomiennym zapałem sądzono wyprowadzone postacie, charaktery i sytuacje. Do każdego płodu myśli ludzkiej banda tych młodzików przychodziła z natręctwem i bezwzględnością, roztrząsała go nieraz z prostactwem, a najczęściej z zachwytem, który już drugi raz w życiu się nie powtarza.

Gdy Borowicz przeczytał *Dziady*, nie był w stanie z nikim mówić. Uciekł do najbliższego lasu i błąkał się tam pożerany przez nieopisane wzruszenie. W zachwycie jego tkwiło coś bolesnego, jakieś przypomnienie mętne i zamglone, a przecie żywe niby ciągle w uchu dzwoniący płacz nie wiedzieć czyj, nie wiedzieć kiedy słyszany, a może niesłyszany nigdy, tylko razem z istnością poczęty w łonie matki, gdy brzemienna chodziła około uwolnienia męża z fortecy i w milczeniu płakała nad męką, nad klęskami, nad niedolą i boleścią ginącego powstania... Poezja i literatura epoki Mickiewicza odegrała w życiu Marcina rolę niezmiernie kształcącą. Przechodził wśród tych arcydzieł jak przez chłostę, jak między szeregami osób, które na niego patrzyły ze wzgardą. Dusza jego pod wpływem tej lektury mocowała się z własnymi błędami, ulepszała w sobie i stała się raz na zawsze w kształt niezmienny niby do białości rozpalone żelazo rzucone w zimną wodę.

Nie mniej doniosłe zmiany przeżywali w tym czasie koledzy Marcina. Walecki zbuntowany przeciw matce kochał się w Buckle'u, którego mu objaśniał Borowicz, i uczestniczył w badaniach przyrodniczych, rozwiniętych daleko logiczniej, gdyż „Spinoza”, „Balfegor” i inni, wówczas już studenci medycyny w Warszawie, ślali kursy litografowane i stosowne podręczniki. Zygier kierował starymi „urzędowymi” zebraniem w każdą niedzielę. Na takie posiedzenie ktoś z uczestników obowiązany był przygotować rozprawkę treści dowolnej z książek, jakie miał w ręku ostatnimi czasy. Na nieurzędowych schadzkach u Mańka nie tylko czytano i rozprawiano o rzeczach literackich, ale także uczono się przedmiotów kursu gimnazjalnego zadanych na lekcję. Zmęczeni korepetycjami, które

Powstanie, Dziecko, Polak,
Poezja

⁵⁴⁹ Plutarch (45–125 n.e.) — gr. filozof i historyk, autor *Żywotów sławnych mężów*. [przypis edytorski]

⁵⁵⁰ Carlyle, Thomas (1795–1881) — historyk i eseista ang., autor dzieła *Bohaterowie i kult bohaterów*. [przypis edytorski]

⁵⁵¹ Mochacki, Maurycy (1803–1834) — działacz polityczny, uczestnik powstania listopadowego, autor książki *Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831*; teoretyk romantyzmu, swoje przemyślenia na ten temat zawarł w dziele *O duchu i źródłach poezji w Polsce*; pianista. [przypis edytorski]

⁵⁵² rok 1831 i 1863 — daty: końca powstania listopadowego (29 listopada 1830–21 października 1831) oraz wybuchu powstania styczniowego (22 stycznia 1863–październik 1864). [przypis edytorski]

⁵⁵³ *Piekle* — pierwsza część *Boskiej Komedii* Dantego Alighieriego (1265–1321). [przypis edytorski]

⁵⁵⁴ *Faust* — poemat dramatyczny Johana Wolfganga Goethego (1749–1832). [przypis edytorski]

⁵⁵⁵ *Jerozolima wyzwolona* — poemat epicki poety wł. Torquata Tassa (1544–1595). [przypis edytorski]

⁵⁵⁶ Eugeniusz Sue (1804–1857) — powieściopisarz fr., twórca romansów sensacyjno-brukowych. [przypis edytorski]

np. Radkowi, Gontali, Waleckiemu pochłaniały pięć, sześć i siedem godzin, przychodzili na górkę, jak do stacji naukowej, ażeby szybko „wykuć” lekcje. Tu gromadnie robiono zadania z trygonometrii, algebry, geometrii, co zmęczonym ułatwiało znakomicie pracę jałowych, niekształcących „podstawień” i wyliczeń; tu na spółkę uczono się czytać wiersze Horacego, tłumaczyć je i rozpatrywać, objaśniać Demostenesa, dochodzić, jakim sposobem należy skandować⁵⁵⁷ chóry w *Antygonie* itd.

Na zebrania niedzielne przychodzili również i wolnopróżniacy, choć wypracowania pisane polskie budziły w nich abominację⁵⁵⁸ bynajmniej nie mniejszą niż dawniej *uprażnienia*⁵⁵⁹ rosyjskie. Zarówno tamto jak to było poza klasą, a więc było zbyteczne. Nie można jednak twierdzić, żeby wolnopróżniactwo nie uległo jakiemu takiemu wpływowi zreformowanych „literatów”, wciąż naprzód idących. Owszem, stara gwardia wlokła się śladem Zygiera, Waleckiego, Borowicza, Gontali — tylko, żeby nie marnować zbyt wiele drogiego czasu, rznęła po cichu w karty. Były nawet z tej paczki formalne petycje do zarządu, ażeby ćwiczenia świąteczne połączyć z tanim, a również urzędowym „preferkiem” w myśl zasady: *omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci*⁵⁶⁰, ale obłąkani, jak mówiono, „literaci” sprzeciwili się kategorycznie i nigdy górka nie splamiła się szulerstwem⁵⁶¹.

Raz jeden tylko pozwolono sobie tam na „bibę”. Przy końcu trzeciego kwartału, na początku kwietnia, jeden z kolegów, syn kupca posiadającego najobszerniejszą i najstarszą w mieście piwnicę win, zawiadomił Mańka, że przyniesie wieczorem butelkę maślacz⁵⁶² wycyganioną od matki ze specjalnej rodzinnej piwniczki. Gontala rozesłał wici z oznaczeniem początku zebrania na godzinę dziewiątą. Borowicz załatwiał dnia tego swe korepetycje nieco dłużej i dopiero przed dziesiątą wybrał się w stronę górki. Minawszy chałupiny żydowskie, gdyż tamtędy szła „wieczorna” droga ze względu na to, że bramy posesji już o tej godzinie na glucho zamykano, miał skoczyć w uliczkę, gdy wtę w kręgu światła padającym od jedynej w tych okolicach latarni spostrzegł wysoką personę⁵⁶³ w cylindrze i długim paltocie z bobrowym kołnierzem.

— Majewski — wyszeptał Borowicz, gorączkowo usiłując przyprowadzić do porządku spłoszone myśli i znaleźć niezwłoczny środek ratunku dla siebie i kolegów. Zanim cokolwiek przedsięwziąć zdołał, instynktownym ruchem wsunął się między sęgi drzewa ogromnymi kupami leżące na pustym placu przy samym wejściu w błotnistą uliczkę, skurczył się, przykucnął i nie spuszczał oka z ciemnej sylwetki ruszającej się w mroku.

Majewski zbliżył się do zaułka, przez czas pewien stał tam, widocznie orientując się w sytuacji, a następnie puścił się w dół, ku rzeczce. Kalosze jego chlupały w grząskich, lepkich, dopiero co rozmokłych bryłach wiecznego bajora; laska, którą macał w ciemności drogę, stukała o kamienie tu i ówdzie leżące. Gdy już stanął nad brzegiem kanału, Borowicz wyszedł ze swej kryjówki i z odległości mniej więcej trzydziestu kroków śledził jego ruchy. Majewski stanął przy kładce i prawdopodobnie patrzył w szybki Gontali błyszczące na wysokości, gdyż jego cylinder, widzialny w nikłym odbłasku padającym z tego okna, pochylony był znacznie ku tyłowi. Borowicz zadarł także głowę i z niepokojem badał, czy z tego miejsca szpieg nie dojrzy głów zebranych kolegów. Ani twarzy jednak, ani sylwetek nawet widać nie było. Czasami tylko na szybach przesuwiał się powiększony cień jakiejś osoby. Znienacka błysnęło światelko: to pan Majewski rozniecił zapalkę i trzymając ją w ręku, przebywał kładkę nad kanałem. Światelko wkrótce zgasło i Borowicz stracił z oczu postać stróża moralności uczniowskiej. Był najpewniejszy, że Majewski doskonale jest powiadomiony o „szczelinie Efiatesa”, że już usunął deskę i jest w ogrodzie.

Rozmyślając, jaką by sztuką dostać się co tchu na górkę i uwiadomić przyjaciół, zbliżył się cicho, stanął przy kładce i łowił uchem każdy szelest. Idąc za Majewskim mógł wleźć mu w ręce, zgubić siebie i wszystkich. Nie wiedział, co robić, którądy przełazić... Nagle

⁵⁵⁷skandować (z łac.) — recytować wiersze z wyraźnym zaznaczaniem ich rytmu, akcentów i długości głosek. [przypis edytorski]

⁵⁵⁸abominacja (z łac.) — wstręt, odraza. [przypis edytorski]

⁵⁵⁹uprażnienia (ros.) — wypracowania. [przypis edytorski]

⁵⁶⁰*omne tulit punctum, qui miscuit utile dulci* (łac.) — poklask wszystkich zyskuje ten, kto łączy przyjemne z pożytecznym; sentencja z Horacego. [przypis edytorski]

⁵⁶¹szulerstwo — nieuczciwie prowadzona gra w karty. [przypis edytorski]

⁵⁶²maślacz — wino węgierskie z gatunku tokajów. [przypis edytorski]

⁵⁶³persona (łac.) — osoba. [przypis edytorski]

usłyszał szmer tam, skąd go się wcale nie spodziewał. Wyteżywszy wzrok, ze zdumieniem odróżnił figurę Majewskiego na tle parkanu. Czarna plama sunęła wzdłuż drewnianego ogrodzenia i była już o kilkanaście kroków w bok od kładki. Brzeg rzeki był z dawien dawna obmurowany. Na tym podmurowaniu stał parkan. Między nim i kanałem zostawały jakie trzy ćwierci łokcia⁵⁶⁴ muru, po którym jak po wygodnej ścieżce można było chodzić aż do wielkich, niedających się przebyć bez drabiny ścian, u dwu krańców drewnianego płotu. Borowicz zachichotał w głębi duszy.

Rozumiał teraz, że Majewiusz otrzymał doniesienie czy sam wyszedł, jako uczniowie łążą do żydowskiego sadu przez dziurę w parkanie, ale nie wiedział, którą deskę należy ruszyć na bok, żeby uformować przejście. Tego miał dosyć. Widząc, że cień na słabo szarżujących deskach posuwa się coraz dalej, chwycił oburącz dyl tworzący kładkę i zaczął go z całej siły a ostrożnie ciągnąć ku sobie. Przeciwny koniec drewna dał się wydobyć z ziemi. Marcin spuścił go wolno na powierzchnię bagna w kanale i wyciągnął całą kładkę na swój brzeg bez szelestu. Odsunawszy ją ku środkowi uliczki, zaczął się cicho skradać pod osłoną stosów tarcic tworzących tam istne budowle. Gdy już był naprzeciwko Majewskiego, przysiadł, zgarnął rękoma ogromną kupę gęstego i cuchnącego błota, urobił je na pigułę wielkości bochenka chleba i grzmotnął nią z całej siły w pedagoga wędrującego wzdłuż gzymsu po tamtej stronie rowu. Majewski jęknął głucho i stanął w miejscu. Borowicz lepił już tymczasem drugą kulę, jeszcze bardziej wolną⁵⁶⁵, i natychmiast zrobił z niej właściwy użytek. „Profesor” widocznie stracił głowę, gdyż stał na miejscu bez ruchu i tylko głębokimi stęknieniami świadczył o celności pocisków. Borowicz nie ustawał. Przysiadł na ziemi, chwycił całe bryły i prał z wściekłością. Czyniąc *to*, przez ściśnięte konwulsyjnie zęby szeptał do siebie:

— Masz, psie, masz, *draniu!* Masz — za teatr, masz za inspektorskie zebrania, masz za literaturę! Tyś mnie chciał do siebie podobnym... Masz, renegacie, masz, szpiegu, masz, szpiegu!

W pewnej chwili Majewski przykucnął, pragnąc widocznie omylić wzrok napastnika. Borowicz dostrzegł ten manewr i podwoił szybkość bombardowania w sam cylinder.

— Myślisz, że cię nie widzę! — krzyknął raptem Majewski po polsku głosem jęczącym. — Zapłacisz ty mi za to!

Uczeń bił bez przerwy. Wówczas wychowawca podniósł się i co tchu ruszył w stronę kładki, szukając jej łaską w ciemności. Wdzięczny elew⁵⁶⁶ posuwał się z nim równo, chichocąc i bijąc go błotem bez przerwy. Stanąwszy w okolicach byłej kładki, Majewski potarł zapalkę o pudełko i oświetlił straszliwy dla siebie widok: ławy nie było. Znajdował się tedy w istnej pułapce. Za plecami miał parkan wysoki na kilka łokci, przed sobą głęboki ściek miejski. Krąg blasku nie dosięgnął wybrzeża, na którym stał Borowicz, ale za to ukazał w całej pełni twarz Majewskiego, czarną od błota. Marcin skorzystał z tej chwili i trzepnął w tę właśnie twarz ogromną skibą bajora. Nauczyciel przez chwilę pluł i charknął, a później wrzasnął:

— Gdzieś podział deskę?

Marcin dał mu znowu respons⁵⁶⁷ bryłami.

— Nie chcę wcale wiedzieć, kim jesteś — wołał Majewski — niech cię wszyscy diabli wezmą! Dostaniesz dziesięć rubli, rzuć deskę w dawnym miejscu.

Nowy grad pocisków zwałił się na jego głowę. Wreszcie Marcin znużył się i nasycił zemstą. Spostrzegłszy, że belfer idzie znowu po gzymsie bez celu w kierunku raz już odbytych, wsunął się między sągi, przemknął aż do końca parkanu i siadł, żeby odpocząć i patrzeć, co będzie dalej.

Stamtąd widział, jak nieszczęsny więzień palił jedną po drugiej zapalki, schylał się z tym światłem nad rzeką, beznadziejnie szukając brodu⁵⁶⁸, jak próbował oderwać deskę z parkanu, ciskał w bagno kamienie, siłą z muru wyrwane, dla utworzenia grobelki,

⁵⁶⁴łokieć — daw. jednostka miary o długości ok. 60 cm (choć różniącej się w zależności od epoki historycznej, regionu i państwa); tradycyjnie w Europie łokieć mierzył tyle, ile w średniej długości ręce wynosi odległość od stawu łokciowego do końca palca środkowego; łokieć dzielił się najczęściej na 2 stopy a. 24 cale. [przypis edytorski]

⁵⁶⁵wolny — tu: rzadki. [przypis edytorski]

⁵⁶⁶elew (z fr.) — uczeń, wychowanek. [przypis edytorski]

⁵⁶⁷respons (z łac.) — odpowiedź. [przypis edytorski]

⁵⁶⁸bród — płytsze miejsce na rzece, umożliwiające przejście na drugi brzeg. [przypis edytorski]

a wreszcie usłyszał niesmaczny plusk i domyślił się, że to pedagog przebywa w bród rzekę klerykowską. Wówczas chyłkiem zbliżył się ku niemu i postępując krok w krok prowadził oczyma ciemną sylwetkę zdążającą ku brukowanej ulicy. W świetle latarni Majewski ukazał się oczom jego w postaci straszliwej. Było to istne monstrum⁵⁶⁹ stąpające na nogach szeroko rozstawionych, odziane w kupę błota i przykryte cylindrem zmiażdżonym jak stary kalosz. Marcin zaśmiał się jeszcze i ruszył z powrotem. Szybko w dawnym miejscu przerzucił kładkę, wlał do ogrodu i wiadomym bocznym wejściem, po zameldowaniu się młodym Gontalom, wbiegł na górę.

Zgromadzeni tam byli wszyscy, a nie mogąc doczekać się Borowicza, opróżnili już pękatą butelkę maślacza. Twarze i oczy były wesole, języki rozwiązane i nie próżnowały. Zygier leżał na łóżku Gontali z rękami założonymi pod głowę i szeptem coś wykladał czterem kolegom wolnopróżniakom, którzy wpół leżąc obok niego, patrzyli mu w oczy i słuchali. Przy stoliku gadał Walecki, podniecony winem i tym, co mówił. Na drugim łóżku siedzieli rzędem czterej wolnopróżniacy, którzy stanowili najbardziej prawe skrzydło tej prawicy i ze skupieniem baczyli na ściany izdebki, puszczając kiedy niekiedy przez obie dziury nosa dym strugami nad wyraz obfitymi. Przy piecyku siedział na krześle Radek z głową zwieszoną i wspartą na rękę. Płowa jego czupryna pojedynczymi pasmami zsunęła się ku dołowi i leżała na czole i na pięściach. Gdy Borowicz wkroczył do izby, wszyscy zarzucili go pytaniami, dlaczego tak późno przychodzi. Marcin nabrał tchu, a raczej dymu w płuca, wysapał się i mówił:

— Zabierajcie, o *ándres* klerykowi⁵⁷⁰aj, manatki i rwijcie stąd z kopyta!

— Co? Dlaczego? — wołano naokół.

— Zabierajcie manatki, bo tu niezwłocznie może być rewizja! Nie ma o czym długo gadać. Jutro rozpowiem.

To rzekłszy, spędził Zygiera z posłania i sam rzucił się na nie. Wszyscy umilkli i przyglądali się Marcinowi sądząc, że bługuje. Nagle Jędrzej Radek podniósł się ze swego miejsca i stanął w środku izby. Głowa jego sięgała pułapu. Włosy kosmykami spadały na czoło. Wzrok miał nieco przymglony, a raczej skierowany na coś bardzo dalekiego. Zimny a osłaniający głębokie uniesienie półśmiejch z lekka krzywił jego górną wargę.

— Słuchajcie no, ja wam powiem!... — zaczął mówić swym twardym głosem.

— Słuchaj no, chłopie, idziemy! — przerwał mu Zygier.

Radek potrząsnął głową, cofnął się na swe miejsce, siadł tam i, ni z tego, ni z owego, zaczął śpiewać głosem szorstkim, ale mocnym jak szczęk stali, pieśń nikomu nieznaną:

Młoty w dłoń,
Kujmy bróń⁵⁷¹!...

Zygier szybko rzucił się ku niemu, potrząsnął go za ramię i rozkazującym głosem zawołał:

— Radek, bądź cicho!

Andrzej spojrział na niego, kiwnął głową i mruknął:

— Cicho?... No, to cicho...

Wszyscy spieszenie opuścili górkę, zbiegli ze schodów i minęli ogród. Za radą Borowicza wysuwano się przez „dziurę Efiatesa” pojedynczo i w pewnych odstępach czasu. Wkrótce wszyscy rozpiezchli się na wsze strony świata — a w okolicy kanału zaległa zwykła, głucha cisza i pustka. Około godziny dwunastej z uliczki brukowanej dał się słyszeć łoskot kroków kilku osób. To pan Majewski, przebrany i osuszony, w towarzystwie dwu strażników miejskich przybywał na miejsce, gdzie tyle wycierpiał. Stójkowi mieli ze sobą ślepa latarkę. Otworzył ją zniecierpliwiony, zbadali miejsce. Wbrew twierdzeniom pedagoga dyl leżał nad kanałem, a dziury w parkanie opiekunowie bezpieczeństwa publicznego i teraz odszukać nie mogli. Pan Majewski wymagał, żeby siedzieć w tym miejscu pod osłoną nocy i czekać na rozbójników, którzy go zmasakrowali, ale strażnicy niezbyt gorliwie myśl tę poparli. Przystawali w zasadzie na sam proces czekania, tylko

⁵⁶⁹*monstrum* (łac.) — potwór, straszidło. [przypis edytorski]

⁵⁷⁰*ándres klerykowi⁵⁷⁰aj* — żart. określenie, zbudowane według zasad słotwórstwa i odmiany w grece: męzowie klerykowscy. [przypis edytorski]

⁵⁷¹*Młoty w dłoń (...)* — refren pieśni rewolucyjnej *Na barykadzie*. [przypis edytorski]

nie nad brzegiem cuchnącego kanału, lecz w szynku, który według ich zdania mieścił się w odległości bardzo nieznacznej. Samemu panu Majewskiemu reprezentanci siły wykonawczej nie stawiali żadnych przeszkód co do zamiaru czatowania przy kładce. Chcieli mu nawet pożyczyć ślepej latarki. Ponieważ jednak noc była ciemna i wietrzna, a w okienku Gontali światło zagaszone, więc i sam pan Majewski zdecydował się odłożyć zemstę *ad calendas graecas*⁵⁷² i ruszył do domu.

XVII

Po świętach Wielkiej Nocy gromadka ósmoklasistów gotowała się w skupieniu ducha do egzaminu *maturitatis*⁵⁷³. Powtarzano wszystkie nauki gimnazjalne od *a* do *z*, ćwiczone się w nich z uporem i zawziętością. Tworzyły się gromadki odosobnione na mocy doboru zdolnościowego, pary i trójki *kujące* poszczególnie przedmioty, a całość, jakkolwiek rozbita, dziwnie się skonsolidowała, zbiła w masę jedno czującą. Mało kto wiedział, że minął kwiecień i większość maja. Dla *powtarzaków* były to tylko dni zawierające tyle a tyle godzin pracy i tyle a tyle snu. Niektórzy z mniej zdolnych mało sypiali, mniej niż zwykle jedli, przytłoczeni depresją, inni trwali w nieustannym zwątpieniu i rozpacz.

A wiosna objęła już była świat w posiadanie. Stary park miejski nakrył się oponą lśniących jasnozielonych liści i hodował w swej głębi, pełnej przecudnych cieniów i światła, młode kwiaty i trawy. Dróżki ubite z okruchów cegły i wysypane żółtym piaskiem ginęły wśród zieleni niby drobne ruczaje⁵⁷⁴ między brzegami; — mury starych domostw u jednego z krańców ogrodu schowały swą nagość pod wieńcami dzikiego wina. Nawet starodawne kamienne ławki lśniły się od mchów zielonych i miękkich. Park leżał dość nisko, między murami, pełen był wilgoci i chłodu. Olbrzymie drzewa rozpościerały nad jego wnętrzem cień taki, że w dniu bardzo upalne było tam chłodno niby w podziemnej jaskini. W zakątkach krzewy bzu i czeremchy skupiały się w niedostępne gęszcze albo rozrosły w klomby. Szeregi młodych grabów tworzyły ulice prowadzące do ławek ustronnych.

Wiosna

Jedną z takich jasnożółtych drózek szła, skrzycona w półokrąg, do źródła. Spod rozwalonego muru wypływała tam przez kamienne gardło Fauna struga czystej i zimnej wody, zlatywała do wielkiej misy wyciosanej z piaskowca i ginęła w jej wnętrzu. Ze środka tej misy, zawsze pełnej po brzegi, wznosiła się ładna kolumna z urną na szczycie. Marmurowe stopnie, które prowadziły do źródła, samą czarę, rzeźbione ornamenty kolumny i urnę powyżerał, wyszczerbił i okrył rudawą pleśnią czas nieubłagany. Przez środek rezerwuaru biegły dwa grube, zgięte i zardzewiałe pręty żelaza. Niegdyś zapewne stawiano na nich konwie i wiadra, kiedy z tego miejsca wolno było czerpać wodę. Później korzystały z nich tylko wróble, dzierlatki, pliszki, srokosze i makolągwy. Siadały bez trwogi pod samym prądem lecącej wody i chwytaly wprost z niego krople, roztwierając dzioby jak można najszerzej.

Ugasiwszy pragnienie, przesiadywały tam długo, ze zdumieniem wpatrując się w odbicia swych postaci widzialne w głębi czary na tle misternej tkaniny mchu wodnego i ciemnobrunatnych osadów. Źródło mieściło się na placu o jakich dwudziestu krokach średnicy, otoczonym z jednej strony przez gęste zarośla grabiny⁵⁷⁵ i stary mur, z drugiej przez trawnik i rabaty kwiatowe. Z obydwu stron zbiornika, o kilkanaście kroków jedna od drugiej, stały naprzeciwko siebie dwie kamienne ławki, bardzo stare, wrosłe w ziemię i mające pełno mchu w każdej szczelinie. Jedną z nich na czas przedegzaminowy wziął w niepodzielne władanie Marcin Borowicz. Wbrew przyjętej przez wszystkich jego kolegów metodzie postępowania uczył się sam jeden. W końcu kwietnia i na samym początku maja powtarzał z Zygierem, lecz wkrótce zerwał umowę i znikł wszystkim z oczu. Wiedzano tyle tylko, że co dzień od wczesnego świtu *obkuwa* w parku. Ponieważ zaś każdy z ósmoklasistów zajęty był sobą i przelotną uwagę zwracał co najwyżej na *współkowałów* z grupy uczącej się razem — więc o Borowiczu zapomniano prawie. A on tymczasem nie sam się uczył.

⁵⁷²*ad calendas graecas* (łac.) — przysł.: na czas nieokreślony. [przypis edytorski]

⁵⁷³*egzamin maturitatis* (łac.) — egzamin dojrzałości. [przypis edytorski]

⁵⁷⁴*ruczaj* — strumyk. [przypis edytorski]

⁵⁷⁵*grabina* — grab, rodzaj roślin krzewiastych lub drzew, zależnie od odmiany. [przypis edytorski]

Pewnego razu, w pierwszych dniach maja, wyszedł o świcie z kursem historii w ręku, żeby się ocucić po nocy spędzonej nad książką. Mijając park, skręcił w boczną uliczkę z zamiarem napicia się wody ze źródła. Gdy stanął u kresu złotej ścieżki w pobliżu basenu, serce w nim zamarło...

Pod cieniem grabów, otoczona książkami, siedziała na kamiennej ławce — „Biruta”⁵⁷⁶. Była to jedna z lepszych uczennic klasy siódmej gimnazjum żeńskiego, panna Anna Stogowska, zwana „Birutą”. Ojciec jej był lekarzem wojskowym, a w całym mieście sławnym karciarzem i łobuzem. Kończąc kursy lekarskie w petersburskiej akademii chirurgicznej, zaprowadził był romansik z córką czynownika⁵⁷⁷, u którego mieszkał, i zmuszony został do ożenienia się z ofiarą swych zapalów. Wkrótce po ukończeniu studiów otrzymał miejsce lekarza przy pułku piechoty konsystującym w Klerykowie. Żona powiła mu kilkoro dzieci. Najstarsza z nich była właśnie panna Anna. Dzieci te, jako zrodzone z matki prawosławnej, chrzcili pop, a szkoła zaliczała do gromady Rosjan. Lekarz Stogowski nie był w gruncie ani złym, ani głupim człowiekiem, ale wrodzona lekkomyślność podwoiła się i potroiła w nim na widok skutków, jakie wynikły z jednego nierozważnego uczucia. Jakby dla zapomnienia o domu, o żonie i dziedzictwie prawosławia — pił i grał w karty.

Stokroć nieszczęśliwsza w tym stadle była żona. Osiadłszy w Klerykowie, przez miłość dla męża wyuczyła się języka polskiego tak dokładnie, że nie zdradzał jej nawet akcent cudzoziemski — a nadto uczyniła ten język panującym w domu. Po upływie lat, gdy się rozczytała i rozpatrzyła w okropnych dziejach ucisku, stała się Polką z prawego sumienia, każdy nowy cios zadany nieszczęśliwemu narodowi dziesięćkroć czującą. Ani jeden z Rosjan urzędujących w mieście nie miał prawa wstępu w progi jej domu. Co więcej, zerwała wszelkie węzły z rodziną, spaliła wszelkie mosty, wypowiedziała własnej nacji wojnę scytyjską⁵⁷⁸. Uczyniła to bez wahania, posłuszna wewnętrznemu głosowi sprawiedliwości, ale życie swe przez to samochcąc zepsuła, a radość, zadowolenie i spokój z korzeniem zeń wyrwała.

Nie było z pewnością w mieście Klerykowie drugiej kobiety, która by postępowała w sposób równie obywatelski jak pani Stogowska, która by każdy krok stawiała tak rozumnie, tak rozsądnie i tak śmiało, ale nie było tam ani jednej, która by żywiła w sercu podobnie bezbożny wstręt do tego świata, do jego urzędów i do samego życia. Jedynym krajem, gdzie myśl jej mogła na chwilę wytnąć, były wspomnienia czasów dzieciństwa, ale tam zakazała sobie chodzić. Czuła przecież, że główną przyczyną upadku męża jest ona i to dlatego jedynie, że jest Rosjanką.

Gdy się stała Polką i wydarła ze siebie wszystko co rosyjskie, aż do reminiscencji⁵⁷⁹ i upodobań, przychodził pop i zabierał dzieci, ażeby je uczynić Moskalami. Miłość dla męża, nie wiedząc jakim sposobem, stawiała się źródłem zła; dzieci urodzone z tej miłości przychodziły na świat ze stygmatem przekleństwa. Byli to wrogowie ich ojca, wrogowie jej samej, wrogowie samych siebie. Pragnąc zniweczyć i zmazać ten straszliwy grzech pierworodny, dokładała wszelkich starań, żeby uczynić z nich Polaków, sączyła w ich dusze nienawiść do tego wszystkiego, co w tajemnicy kochała przecie, a mimo wszelkie trudy czytała codziennie w oczach męża wyraz wiecznego i głuchego żalu...

Nadszedł czas, że życie stało się dla niej katuszą nie do zniesienia. Zalał się w sercu skryty jad, tęsknota za czymś, a Bóg wie za czym, tęsknota jak pies nienasycony wiecznie gryząca. Nie było takiej kryjówki, takiego zaułka i schowania w duszy, gdzie by się przed nią skryć było można. Jak mała i słaba mucha, która lekkomyślnie siadła na żelaznych szynach i pod kołami lecącego pociągu straciła skrzydła i nogi, wlokła swe życie ze zmiażdżonym sercem, ciągle pełzając wzdłuż tej samej drogi.

Aż do śmierci...

Rozchorowała się na zapalenie płuc i prędko zgasła, przeżywszy ledwie lat trzydzieści parę. Panna Anusia, najstarsza córka, była wówczas koźą czternastoletnią. W ciągu ostatnich lat życia matki była ona jedyną jej powiernicą, ucieczką i wspomnieniem. Nic też dziwnego, że wzięła po niej cały spadek duchowy. Już w klasie trzeciej panna Anna wie-

Ojciec, Matka, Rosjanin,
Polak, Wróg, Córka,
Małżeństwo

Mucha

⁵⁷⁶ *Biruta* — imię legendarnej kapłanki litewskiej, porwanej przez księcia trockiego Kiejstuta, matki Witolda. [przypis edytorski]

⁵⁷⁷ *czynownik* — urzędnik w Rosji carskiej. [przypis edytorski]

⁵⁷⁸ *wojna scytyjska* — tu przenośnie: walka prowadzona z wielkim okrucieństwem. [przypis edytorski]

⁵⁷⁹ *reminiscencja* — wspomnienie, przypomnienie. [przypis edytorski]

działa, jakich to pociech dostarcza przymusowa religia i co znaczy miłować ucisk, czcić niedole, które on sprawił. Wiedziała, że nigdy nie wyjdzie za mąż, bo czyby poszła za Rosjanina, czy za Polaka — zawsze ją czekał los matki. Sama nie żywiąc żadnych wspomnień rosyjskich, chowana wśród ciągłych gwałtów sumienia, między nienawiścią a umiłowaniem na śmierć i życie, w samym ośrodku tej tragedii rodzinnej, już we wczesnym dzieciństwie stała się służebnicą narodowej nędzy. Do pierwszych, do przedwczesnych uczuć jej przywarła zemsta za matkę i nadała wszystkim strzałom pragnień i marzeń groty i ostrza ze stali. Myśli dziewczki wyrosły na zatraconym, nieziemskim gruncie, jakby drzewka, trawy i kwiaty na niedostępnej skale. Stamtąd, z tej wyniosłości, dziecięcymi oczyma patrzyła na świat samotna i do nikogo niepodobna na ziemi. Koleżanki przezwaly ją „Birutą”, gdyż nigdy nie śmiała się oczyma do chłopców, przysięgła na zawsze zostać dziewicą i czemu innemu, jak mówiła, poświęcić życie. W gimnazjum musiała chodzić do cerkwi i nosić miano Rosjanki. Ponieważ usiłowała nie spełniać przepisów rytuału, a bunt czyniła ciągle, jawnie i cicho, więc stosowano do niej rozmaite kary, grożono wydaleniem ze szkoły i odwoływano się do współdziałania rodzicielskiego. Pod grozą dr Stogowski, którego interesy szły wiecznie kiepsko, a od śmierci żony całkiem źle, sam, wbrew chęci i woli, ze łzami namawiał córkę do posłuszeństwa. Wszystko to przesycalo młodą jej duszę grozą i wstrętem. Z biegiem lat ustaliły się rzeczywiste jej zasady, jako składowe a czynne części weszły w charakter, stały się usposobieniem i nałogiem. Panna Anna dużo czytała i pod ławą szkolną niejako zdobyła wykształcenie daleko szersze, niż sądzono. Była nieufna, zamknięta w sobie, milcząca i nieprzystępna.

Teraz po śmierci matki wzięła w swe ręce zarząd domu i opiekę nad młodszym rodzeństwem. Trzech braci kształciła w gimnazjum męskim, dwie młodsze siostry w żeńskim. Czuwała nie tylko nad ich pokarmem i nauką, ale także robiła to samo co matka, to jest uczyła ich nienawiści do ducha moskwiczystwa. Jednakże między podszeptem jej i matki była różnica. Tamta czyniła swoje jak szlachetny człowiek, który mocując się ze słabością sił, pełni obowiązek; ta sprawowała go inaczej, a w taki sposób, jakby „nóż ostrzyła tajemnie”⁵⁸⁰...

Borowicz zakochał się w pannie Annie przy końcu zimy. W dzień mroźny i śniegowy szedł w stronę gimnazjum i spotkał panienkę zdążającą do cerkwi. Było to w epoce najzjadlejszych dysput i czytań u Gontali. Borowicz spojrział przelotnie na idącą, odniósł w roztargnieniu jak gdyby dawne, martwe, rusofilskie wrażenie: — ach, to ta... „Birutka” — i nagle przypomniał sobie, co mu o niej mówiono. Skręcił na miejscu i włókł się za nią. „Biruta” szła wolnym krokiem. Śnieżynki lekkie jak puch płynęły w powietrzu i krążyły dokoła tej głowy ubranej w barankową czapkę. Jedne z nich siadały potajemnie na promieniach jasnych włosów wymykających się spod czapki, inne obcesowo pędziły do ust różowych i za tę śmiałość świętokradzką konały w gorącym oddechu, jeszcze inne czepiając się brwi i długich rzęs zaglądały w smutne oczy. Borowicz raz tylko w nie spojrział i wnet zleciało na niego jakby wśród widnego dnia wypadające zaćmienie słońca. Te duże lazurkowe źrenice, co udzielały nawet białkom nikłej półbarwy błękitu, wcieliły się w jego duszę...

„Biruta” nie bywała nigdzie, u żadnej z koleżanek, gdyż wszystek czas wolny pochłaniała jej praca domowa i korepetycje z siostrami. Toteż Borowicz nie mógł się z nią zapoznać, chociaż dokładał w tym celu starań forsownych niemało. Czasami widywał ją na ulicy, gdy szła ku domowi albo do gimnazjum w towarzystwie młodych „Stogówek”. Wtedy przez krótkie chwile radości mógł na jawie uwielbiać jej twarz precudną i podziwiać oczy, w których mieszkała wieczysta, chłodna troska. Pewnego razu otrzymał z rąk jednej fertycznej siódmoklasistki sztambuch do wpisania wiersza pamiątkowego. Niedbale przerzucał kartki tego albumu, z ironią odczytując drewniane sentymenty gimnazystek, gdy wtem rzucił mu się w oczy wierszyk pisany ręką panny Stogowskiej. Borowicz zerwał się na równe nogi i drżącymi ustami czytał tę strofkę:

Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze,

Miłość, Oko

⁵⁸⁰nóż ostrzyła tajemnie — aluzja do *Konrada Wallenroda* Mickiewicza. [przypis edytorski]

Lemiesze⁵⁸¹ z pałaszy⁵⁸² skrwawionych⁵⁸³?
Ach, kiedyż na ziemi już nikt nie zapłacze
Prócz rosy łąk naszych zielonych?...

U dołu stronicy mieścił się następujący przypisek:

„Droga moja, jeżeli kiedy spojrzysz na tę kartkę i odczytasz niniejszą piosenkę Mieczysława Romanowskiego, wspomnij o «Birucie» i myśl o niej ze współczuciem”.

Borowicz stał długo z oczyma wlepionymi w te słowa. Tegoż dnia napisał właścicielce „sztambucha” jakiś szumny komunał, ale w zamian za to wyrwał z tak pięknie oprawionej książki kartę z autografem „Biruty”, ukradł go bezczelnie i schował. Odtąd bardzo często ta kartka leżała między stronicami *Antygony*, a ilekroć powtarzał, to nowoczesny poeta przeskadzał mu skupiać wszystką uwagę na skargach ślepego króla.

Tymczasem skończył się rok szkolny, przyszyły święta i wkrótce zważyło się powtarzanie. Marcin w ciągu tego okresu widział pannę Annę raz jeden. Kuł z wściekłością po całych dniach, nieraz do bladego przedświt. Wówczas wychodził z domu i krążył jak sztyldwach⁵⁸⁴ po ulicy, około domu, gdzie mieszkała „Biruta”. Wiedział na pewno, że jej nie zobaczy, ale zbliżanie się do jej mieszkania przyprawiało go o szczególne ściśnienie serca, zarazem bolesne i rozkoszne. Umysł jego, forsownie podówczas wkręcany między żelazne tryby dat, aorystów⁵⁸⁵, formuł — wyrwał się do cudownego widziadła i spał u stóp ubóstwieanej, w ciszy i wśród marzeń. Ulica, brukowana wielkimi kamieniami i zaopatrzona w wążutkie a wydeptane ze szczeniem flizy⁵⁸⁶ z piaskowca, bywała o tej porze pusta zupełnie.

Okiennice, umieszczone częstokroć tuż nad samym chodnikiem, były pozamykane, firanki spuszczone, bramy i drzwi do sieni zatarasowane. Pierwszy brzask spływał z dachów okrytych nocną rosą w brudną ulicę i powlekał ją całą bladym kolorem. Borowicz stapał na palcach, żeby nikogo ze śpiących nie budzić i nie zwracać na się niczyjej uwagi. Czy jego leciały ku szeregowi okien pierwszego piętra starej kamienicy, czepiały się ich, wisiały u zasuniętych storów⁵⁸⁷ z szarego płótna... Trafiało mu się stać tam bez ruchu, bez wiedzy, nie wiadomo jak długo, z oczyma utkwionymi w te szyby. Gdy sklepikarze poczynali otwierać swe kramy, Marcin z głodnym sercem odchodził stamtąd w stronę parku, który leżał tuż po drugiej stronie połaci domów.

I oto nagle los się nad nim zlitował. Wstępując na placik przy źródle, zobaczył „Birutę”. Panna Stogowska rzuciła nań okiem z wyrazem niechęci i drgnęła, jakby w zamiarze oddalenia się stamtąd, ale po namyśle, zacisnąwszy wargi, została. Borowicz chciał trzymać książkę przed oczyma i spoza niej patrzeć, ale nie mógł jej udźwignąć z kolan. Teraz przypominał sobie, że dawniej zdarzało mu się widzieć panienkę, gdy była chudą i mizerną dziewczynką ze srogimi oczami. Czyż to ta sama? — zadawał sobie stokrotnie pytanie, w którym kryła się niezgłębiona rozkosz. Blade liczko stało się teraz twarzą dziewczęcia o rysach tak pięknych, jakby to z nich właśnie czerpano wzór do boskich profilów Pallady-Ateny⁵⁸⁸ w sztychowanych winietaх starego wydania rapsodów Homera. Pod prostymi brwiami błyszczały w mroku rzęs wielkie oczy. Nad białym czołem lśniły się w porannym blasku pasma włosów jak piękny len. Chude ramiona podlotka, przekształcone teraz na barki dziewczęce, cudnymi liniami łączyły się z zarysem piersi rozciągających stanik ciasnego mundurka brązowej barwy.

Park był pusty i cichy zupełnie. Stała tam jeszcze cienką warstwą mgła nocna. Tylko ptaki wołały się po drzewach. Niektóre z nich pędziły za żerem w wysoką trawę i od czasu

⁵⁸¹lemiesz — ostrze pługa służące do zaorywania ziemi pod zasiew. [przypis edytorski]

⁵⁸²pałasz — szabla; broń biała. [przypis edytorski]

⁵⁸³Ach, kiedyż wykuję (...) — fragment utworu *Kiedyż* Mieczysława Romanowskiego (1834–1863), poległego w powstaniu styczniowym. [przypis edytorski]

⁵⁸⁴sztyldwach — żołnierz stojący na warcie. [przypis edytorski]

⁵⁸⁵aoryst (z gr.) — jeden z czasów przeszłych w koniugacji greckiej. [przypis edytorski]

⁵⁸⁶fliz (daw.) — ozdobna płyta kamienna służąca do wykładania powierzchni ścian, podłóg itp. [przypis edytorski]

⁵⁸⁷stora — ciężka zasłona, kurtyna; dziś popr. forma D.Im: stor. [przypis edytorski]

⁵⁸⁸Pallas Atena — grecka bogini mądrości, rzemiosł i wojny, przedstawiana zwykle w pełnym rynsztunku bojowym; stąd przydomek Pallas, Pallada: potrząsająca włócznią. [przypis edytorski]

do czasu przerywały ciszę trzepotem skrzydeł, gdy uczepliwszy się grubych badyłów bujały wraz z nimi na powietrzu.

Czas leciał jak błyskawica. Borowicz usłyszał ze zdumieniem, że bije siódma. Panna Anna wstała ze swego miejsca i nie podnosząc oczu, odeszła. Marcin prowadził ją wzrokiem, a gdy głowę jej skryły krzewy, rozciągnął się na ławie i został tak bez ruchu. Około dziewiątej dopiero wrócił na stancję i przez cały dzień zażarcie pracował. Chciał przemóc uczucia napadające go jak gorączkowe ataki i pokonać zdrętwienie mózgu. Chwilami władały nim szczególne złudzenia, które jego samego i cały świat obracały w inną postać, a właściwie w jedną jedyną, niewysłowioną, senną rozkosz. Stan takiego snu na jawie przeszkadzał mu w nauce, toteż Marcin musiał zarywać nocy. Spał ledwie parę godzin, a przed samym świtem, około godziny drugiej, zbudzony przez jakieś raptowne uderzenie nerwowe, podniósł się, zlał głowę wodą i ruszył do źródła w parku. Siadłszy na swej ławce ujął głowę w ręce wsparte na kolanach i oddał się swym marzeniom, jak gdyby po niepewnych stopniach schodził w głąb czarną bezdennej studni. Kiedy niekiedy w tym pochodzie zastępował mu drogę żal czy strach... W innych chwilach ścisnęła mu piersi tęsknota niezwykciona.

W parku i w mieście był jeszcze mrok zupełny. Nawet ptaki drzemały w gniazdach. Tylko kaskada źródłana, spadając na pręty żelazne i rozpryskując się kroplami po wierzchu wody w kamiennej misie, snuła melodię wiekuistą. Borowicz wiedział, co znaczy ten dźwięk chichotliwy a żalosny. Wpadał mu do ucha i zostawał tam na zawsze jako symbol dziwnych minut przemijających. Czerwona jak krew zorza stanęła tymczasem między grubymi pniami. Liliowy jej odbłask rozniecił się nad ich koronami i wypędził mroki nawet z zaułków starego muru wałącego się w gruzy. Gdy kosy zaczęły gwizdać swe wesołe trele, Borowicz siedzący z twarzą skrytą w dłoniach usłyszał chrzęst drobnego żwiru na dróżce i odgłos zbliżających się kroków. Czuł, że osoba idąca wstrzymała się u wejścia i dopiero po upływie chwili zajęła miejsce na przeciwległej ławie. Bał się ruszyć, żeby nie spłoszyć ziszczonego marzenia. Dopiero gdy usłyszał szelest przewracanych kartek, wyprostował się, podniósł głowę i ujrzał pannę Annę.

Od tej chwili patrzył na nią jak w tęczę. Reflektował się, że to źle, że może wszystko stracić, jeśli panienska rozniewa się i odejdzie, ale był to głos rozsądku wołający na puszczy⁵⁸⁹. Nienasycone oczy upajały się bez końca i tonęły w swym szczęściu. „Biruta” nie poświęcała temu wszystkiemu ani przelotnej uwagi. Uczyla się gorliwie czegoś na pamięć, bo bezpretensjonalnie ruszała wargami, widocznie przyswajając sobie jakieś wyrazy, frazesy czyli⁵⁹⁰ liczby. W pewnej chwili przelotnie rzuciła okiem na sąsiada i zmieszała się, spostrzegłszy jego twarz opromienioną uśmiechem zachwyty, zbladłą, podobną do oblicza człowieka, którego zraniono śmiertelnie i którego krew uchodzi. Wtedy dreszcz bolesny wstrząsnął nią od stóp do głów...

Nazajutrz nie przyszedł już do źródła. Borowicz siedział tam po próżnicy przez cały ranek. Drugiego dnia nie zobaczył jej także. W ciągu tych dni przeżył ogrom doświadczeń. Rozmyślanie o losie panny Stogowskiej, o przymusie, jaki wycierpiała w niedługim życiu swoim, wodziło go po zrębach stromych wyżyn, nad otchłaniami, tam gdzie tylko młodość wstępować się waży. W drodze tej wypadła z jego serca nędzna litość istoty szczęśliwej względem pogrążonej w niedoli i napęliło je po brzegi obywatelskie współczucie, jakie ożywia spiskowców idących na szafot za tę samą sprawę. Na końcu tych rozumowań siedział okrutny wyrok: nigdy... Trza było skazać na śmierć tę miłość, od której serce pęka, jakby zbieleł w ogniu żelazem wypalić wszystko aż do ostatniego wspomnienia. Postanowił zacząć tę pracę od chwili bieżącej, dźwignąć niezwłocznie katuszę: unikać widoku „Biruty”. Gdy upłynęła trzecia noc od ostatniej „schatzki”, nie poszedł do parku. Ranek spędził w lesie. Leżał tam z twarzą do ziemi, jak człowiek śpiący w letargu i przywalony ziemią mogiły. Ciało jego nie czuło głodu ani pragnienia, zimna ani bólu. W głowie miał taką nicość, jakby mu ją przed chwilą rozwalila bomba. Tylko w głębokości serca tlało niby płomyk cierpienie zranionej duszy. Czasem blask jego pełgał żywiej i oblekał się w formę przysięgi: Gdybyś kiedy we śnie poczuła, że oczy moje już nie patrzą na ciebie z miłością, wiedz, żem żyć przestał...

⁵⁸⁹głos wołający na puszczy — słowa lub działanie niemogące przynieść skutku. [przypis edytorski]

⁵⁹⁰czyli — czy też (tu: daw. konstrukcja z partykulą -li). [przypis edytorski]

W południe wrócił na stację i znowu rzucił się do roboty. Była ona teraz środkiem ratunku, jak gdyby dobrym przewodnikiem dla kipiącego buntu, dla zgromadzonego gniewu, dla burzy szalejącej w sercu. Porywała stamtąd uczucia wysokie aż do niebios, unosiła ze sobą w głębiny nieznane, które wchłaniają ich tyle, a nie zwracają nigdy ani jednej okruszyny. Tak minął dzień i część nocy. Przed świtem dnia następnego Borowicz wstał cicho i jakby po kryjomu przed samym sobą wyszedł z domu. Nogi niosły go same. Nie czuł ani iskry oporu, nie był w stanie myśleć o tym, co czyni. Wiedział na pewno, że panienki nie będzie, ale łaknął tego zakątka, szmeru wody i widoku roślin. Było jeszcze ciemno, gdy tam przyszedł. Jak obłąkany zbliżył się do miejsca „Biruty” i usiadł w tym rogu, gdzie ją widział dwa razy — doświadczając takiego wrażenia, jakby kradł w sekrecie albo szpiegował i oskarżał współtowarzyszów. Ręce jego obejmowały próżnię, głowa zwisała na miejsce, gdzie były ramiona modrookiej, usta całowały powietrze, nogi ze czcią dotykały żwiru, na którym spoczywały stopy panny Anny. Dusząc w sobie gwałtowne łkanie, trzymał w objęciach cudną chimere. Tak minął przedświt. Dopiero zorze ranne zawstydziły Marcina. Wstał z tego miejsca, przeszedł na swoją ławę i usiłował zabrać się znowu do pracy.

Kiedy się tego ani spodział⁵⁹¹, zgrzyt żwiru dał się słyszeć za krzewami i panna Anna szybko przebyła ścieżkę i placyk, zdążając ku swej ławie. Przyjście jej zwiastował jakiś wonny powiew. Brwi miała zmarszczone, była zmieszana i jakby strwożona. Borowicz siedział oszołomiony. Szybko jak mrok wobec światła znikła jego boleść, a na jej miejscu była już wielka rozkosz. Nagradzał się teraz sowicie za tak długą tęsknotę i z całym bezwstydem wielbił oczyma postać ukochaną.

Wzrok

„Biruta” miała powieki spuszczone. Zaczęła się uczyć, ale nie mogła widocznie, bo wzrok jej ze stronicy książki przeniósł się na kamyki pod stopami i tam uwiązł. Czula wejrzenie zakochanego, bo kilkakrotnie rzęsy jej drgały, jakby strząsając ze siebie ciężar cudzego wzroku. Policzki okrywały się cudowną barwą, to znowu prędko bladły... Marcin wysyłał do niej w spojrzeniu całą swoją duszę, tysiące słodkich nazw, dzieje rozmyślań, tęsknot, żalów, błagał ją w myśli jak ginący z pragnienia o jedną kroplę wody. I oto po długim czasie te powieki z wolna się usunęły.

Oczy „Biruty” zwyciężone i bezwładne przywitały miłosne wejrzenie. Na ustach jej błąkał się uśmiech niewypowiedziany; ni to strach, ni wstyd, ni rozpacz...

Szczęście

W tym uścisku spojrzeń przetrwali nadziemskie chwile. Wreszcie panna Anna odwróciła głowę i zakryła oczy rękoma. Nim jednak upłynęła chwila, wzniosła je znowu. Twarz jej była biała jak śnieg; na czoło zsuwały się promyki włosów, ręce spłotły się konwulsyjnie nad kartami zeszytu. Teraz nie była już w możności sprzeciwiać się i opierać. Gdy odwracała oczy, nieme błaganie niby krzyk przyciągało je znowu i obłąkana pieszczota dłużyła się w jakiś byt zaziemski, wieczny. Szczęścia ich nie mącił nikt, żaden głos nie płoszył milczenia, prócz bełkotu wody, mówiącej niepojętą rzecz swoją...

XVIII

Na początku września tegoż roku Borowicz, jako już młodzian „dojrzały” i cywilny, przybył do Klerykowa z wakacji niby to w celu załatwienia jakichś spraw koleżeńskich niecierpiących zwłoki. Ogorzała twarz jego była chuda, wzrok mu płonął. Od wyznania w parku miłości spojrzzeniami, bez słów, nie widział „Biruty” ani razu. Na próżno szukał jej wszędzie, na próżno czatował po rogach ulic, w bramie sąsiedniej kamienicy, w parku, u ścian gimnazjum żeńskiego, we dnie i nocami. Zginęła dlań, jakby się w ziemię zapadła. Wiedział tyle tylko, że jest w Klerykowie i że zdaje na patent dojrzałości. Egzamina pisemne i ustne, wręczenie świadectw, uczta pożegnalna, zdjęcie mundurów, ostatni dzień i ostatnia noc w Klerykowie — wszystko to minęło dla niego jak nierzeczywistość luźnie tycząca się jego osoby. Wakacje spędził w domu ojca, który zapadł był bardzo na zdrowiu. Marcin musiał prowadzić całkowicie gospodarstwo folwarczne, pilnować sianokosu i żniw. Gdy już wszystko sprzątnął, wyrwał się z domu na kilka dni. Ledwie wysiadł z bryczki, umył się w zajeździe i pędem wybiegł z jego bramy — padł w otwarte ramiona „starej Przepiórzycy”. Babcia rozplakała się z miejsca.

⁵⁹¹spodział — dziś popr.: spodziewał. [przypis edytorski]

— Takiś to ty, Marcinek, taka to dobroć w twoim sercu... Gimnazjum skończyłeś, patent masz w garści, a do starej, co cię tyłim ssipalcem widziała, nie przyszedłeś powiedzieć: — *adiu Fruziu*, jadę se w świat! Ładnie to tak, godzi się to tak? A przecie my z twoją matką nieboszczką...

Nie było sposobu. Marcin musiał razem z nią iść na uroczystą kawę. Stanąwszy we drzwiach znajomego mieszkania, ujrzał przed sobą radcę Somonowicza drepącego po izbie. Staruszek był już teraz całkiem zgarbiony. Plecy wygięły mu się w pałąk, a końce długiego surduta jak opuszczone skrzydła wiewały z obydwu stron skulonej figury. Radca posunął się bardzo od czasu śmierci kolegi Grzebickiego. Już teraz nikt prawie nie rozumiał tego, co mówił o przyczynach, powodach i błędach rewolucji '31 roku, nikt nie akceptował ani przeczył ze świadomością rzeczy. Radca patrzył na Marcina wytrzeszczonymi oczyma i nie poznawał.

— Nie mam... — mruczał — nie mam waćpana, wcale nie mam przyjemności...

— Cóż radca znowu wyprawiasz — zakrzyknęła na niego „stara Przepiórzyca”. — Przecie to nasz Borowicz, Marcinek...

— A prawda — mamrotał Somonowicz — przecie to nasz Borowicz... Marcinek... — ale patrzył nań wciąż z niedowierzaniem i sromotnym⁵⁹² opuszczeniem dolnej wargi. Dopiero po upływie pewnego czasu nagle krzyknął:

— Ba, cóż mi gadacie? Przecie to jest ten smarkaty Borowicz, Marcinek Borowicz, co tu mieszkał!

— To pan radca teraz mię dopiero poznaje?... — zaśmiał się przyszły student.

— Ale bo z waćpana tyli koń wyrósł, że ani sposobu! Patrzcież się państwo!... Czemuż to znowu mundur zdjąłeś i latasz w cywilnej szacie?

— Albo to nie czas, panie radco? Skończyłem gimnazjum.

— O, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął staruszek. — Gimnazjum skończył! No i cóż teraz — do ojca na wieś walisz?

— Ale gdzież tam — jadę do Warszawy...

— A ty tam po co?

— No, na uniwersytet.

— Jest! Znowu na uniwersytet... Co ci po tym, wał na wieś, zajmij się interesami starego!...

— Nie, ja pojadę do Warszawy.

Radca odął⁵⁹³ bezzębne usta, wytrzeszczył oczy i ruszył w swój pochód z kąta w kąt stacyjki. W czasie tej rozmowy zza portiery ukazała się panna Konstancja. Borowicz wyciągnął do niej rękę z serdecznym uściskiem. Pannisko, zestarzałe już zupełnie, szepnęło swoje: — a, powinszować!... — i zasiadło w kącie izby do roboty na drutach. Od czasu do czasu panna Konstancja rzucała okiem na barczystą postać Marcina z wyrazem wielkiego smutku. Wszystko na ziemi krzewiło się, męźniało, szło dokądś z furią w życie, oprócz niej, oprócz niej jednej, co wrosła w swe miejsce niby drzewo, niby drzewo próchniejące. Z sąsiedniego pokoju wysunął się młody Przepiórkowski, łysy już jak kolano, przywitał się z Marcinem i siadł w drugim kąciку. „Stara Przepiórzyca” zarządziwszy, jakie imbryki mają być przystawione, wróciła do pokoju i rzekła:

— O nas to już wiesz pewno, Marcinek?

— Cóż ja mam wiedzieć?

— No, jak to? Że nam stancję zamknęli...

— Pierwsze słyszę!

— Tak, tak! Kriestoobriadnikow wezwał mię do siebie przed dwoma tygodniami i zapowiedział, żebym sobie kosztów oszczędziła, bo on nam stancji trzymać nie da, ni-by katoliczkom. Od tego, powiadał, będą specjalne Moskiewki, a następnie jakieś tam internaty.

— Czy podobna? — rzekł Marcin szczerze zmartwiony.

— Już my nawet sprzedali, co się dało: stoły, krzesła, lampy. Szukamy mniejszego lokalu, bo po cóż nam taka buda?

Staruszka otarła łzę bezwiednym ruchem, jakby spędzała muchę.

⁵⁹²sromotnym — zawstydzający, haniebnym. [przypis edytorski]

⁵⁹³odął — dziś: wydął. [przypis edytorski]

— Internaty... przednia to jest myśl... — rzekł Somonowicz. — Środek do zaprowadzenia wzorowej karność, należytego rygoru, ale...

— I moskwicyzmu... — rzekł Marcin.

— Co mówisz, filozofie? Moskwicyzmu? Jaki już rezon⁵⁹⁴, a co, a co? — wołał, spoglądając kolejno na panią Przepiórkowską, na jej syna i córkę.

— Ależ tak, moskwicyzmu... — mówił Borowicz niezrażony. — Nie tylko w klasie, ale i w domu będą uczniowie zmuszeni do mówienia ciągle po rosyjsku. Społeczeństwo nie daje nam przecież żadnych środków ratunku...

— Społeczeństwo... fiu... fiu!... Więc cóż niby to społeczeństwo?

— Panie radco, czyż pan rzeczywiście nie współczuje z babcią Przepiórkowską, której nie wiedzieć dlaczego zamykają stancję, choć ją prowadziła uczciwie i doskonale, i tym sposobem niweczą środek utrzymania się? Czyż pan rzeczywiście współczuje z brutalnymi fantazjami karierowiczów gimnazjalnych?

— Wara waćpanu do tego, z czym ja współczuję! — krzyczał stary, tupiąc pantoflami. — Z niczym i nikim nie współczuję, skoro mam przed oczyma wołę rządu.

— Tak to rozumiem, to wyraźne! A ja inaczej, ja nie mogę znieść! — wołał Borowicz, zapalając się do żywego.

Starzec odprostował swe wypaczone plecy i patrzył na niego rozognionymi oczyma.

— Acan masz mleko pod nosem i tyle akurat masz prawa mówić o znoszeniu, co... Nie chcę zresztą gadać ci otwarcie! Ze mną się będziesz spierał, com sześćdziesiąt lat temu...

— Ja nie patrzyłem ani na rewolucję, ani na powstanie, ale przecież to nie racja, żebym nie miał prawa czuć ucisku, myśleć o nim i opierać mu się ze wszelkich sił moich...

— A co, a co, słyszeliście? — krzyknął Somonowicz. — Trzeci dziesiątek lat upływa, to jest nasionko. Macie państwo! Czy nie mówiłem? Ja to przeczuwam, ja to widzę! Tu mi włosy wyrosną, jeżeli ty znowu czego nie zmałstrujesz — wołał, podsuwając Borowiczowi do oczu swe zmarszczone ręce — tu mi włosy wyrosną! Ale to sobie waćpan zapisz w głowie, że ja nie chcę tego dożyć, że nie zgodzę się pod żadnym pozorem na to patrzeć i że sobie w twoich oczach, gołowasie, z pistoletu w łeb wypalę! To sobie zapamiętaj!...

— Po cóż znowu pan radca ma sobie w łeb walić? — pytał zmieszany Borowicz.

— Po co mam sobie w łeb walić? Bo mam już dosyć. Nie chcę trzeci raz patrzeć, nie chcę patrzeć, słyszeć, czuć, nie chcę, nie chcę!

— Ależ o co radcy chodzi? — wtrąciła się staruszka.

— O co chodzi? O to chodzi, że nie mam już sił ani przeciwdziałać, ani wstrzymywać, a patrzeć i wszechmocy boskiej po nocach nadaremnie wzywać nie chcę, choćbym miał duszę wydać na potępienie wieczne. Na to wam mogę w tej chwili wykonać przysięgę, że nie chcę patrzeć i nie będę! Wy sobie słuchajcie takiego siewcy, a ja wam powtarzam milionset razy, że to jest wróg waszej nacji, oto ten, który tu stoi!

— Ech, jużem się nasłuchał tych kabalistycznych⁵⁹⁵ przekleć pana radcy i wiem, co za nimi idzie... — rzekł Borowicz, machając ręką. — Nie ma o czym gadać...

— Jest o czym gadać! Ja cię widzę na wylot! Oddaj się w ręce sprawiedliwości!...

Marcin nie mógł już wytrzymać, toteż nie czekając na kawę, co tchu pożegnał się ze wszystkimi. Stary radca wychylił się za nim z sieni i wołał na cały głos:

— Oddaj się w ręce sprawiedliwości, to ci radzę jak ojciec...

Wprost z Wygwizdowa Borowicz cwałem pobiegł na ulicę „Biruty”. Gdy się do tych miejsc zbliżał, siedł jak lunatyk. Tyle dni i nocy przepędził w tęsknocie za tym widokiem, tyle razy budził się z marzeń do rzeczywistej ich nieobecności, że gdy nareszcie dane mu było znaleźć się wśród tych zaułków, poczytywał je za gorączkowe widziadła. Życie swoim trybem toczące się w małych sklepikach, w jeszcze mniejszych warsztatach, w brudnych i ciasnych mieszkaniach, na ulicy i w sionkach — było mu drogie i czcigodne jak święty kult, jako umiłowana świątynia samego bóstwa. Szedł noga za nogą i wolno wznosił oczy do szyb pierwszego piętra. O, gdyby ją mógł zobaczyć, gdyby tylko raz spojrzeć!...

Z dała już dostrzeżę, że z okien wyjęte są żaglowe story i franki, a większość tych okien poroztwierana tak jednostajnie, że z mieszkania wiała pustka. W głębi jednej z sal

⁵⁹⁴rezon (z fr.) — śmiałość. [przypis edytorski]

⁵⁹⁵kabalistyczny — tu: magiczny, zagadkowy. [przypis edytorski]

widać było podwójną drabinę z białego drzewa, zachlapaną olejnymi farbami. Dalej, na miejscu pięknych złocieni w białych wazonikach, stał garnek z niebieską ultramaryną i sterczący w nim gruby pędzel.

Serce Marcina zakłuła złośliwa boleść, ów, jak mówi Hamlet, „taki jedynie rodzaj przecucia, jaki by zmieszał, być może, kobietę”. — Pragnąc znaleźć od razu środek ratunku na to gniotące uczucie, Borowicz wszedł w bramę i spotkał tam starą i unurzaną w brudzie stróżkę, która oczyszczała miotliskiem na długim kijku bramę wjazdową.

— Proszę pani — szepnął, wsuwając babie w rękę pół rubla — czy doktor Stogowski teraz przyjmuje chorych?

— Ten, co tu na górze mieszkał, ruski doktor, to się już wyprowadził, ale przyjdzie na kwaterę to samo doktor, tylko inny, a tera nie ma żadnego... — rzekła babina, osłupiała z podziwu na widok takiej kupy pieniędzy.

— A gdzież tamten?

— Tamtego przeniesły aż w głęboką *Rosję*.

— W głęboką *Rosję*? — powtórzył Marcin dygocącymi wargami.

— Mówił ta *dzieńszczyk*⁵⁹⁶, że tam niby ten doktor Stogowski będzie brał lepszą *zastugę*⁵⁹⁷. Na *jednorola* tam poszedł, to samo przy wojsku.

— Ale gdzież to jest?

— Gadał on toto, ale ja nie potrafię wymówić. Jakosi tak jakby... *Śmierno*, czy co?

— A czy to już wyjechali?

— O, już będzie z pięć niedziel, jak pojechały.

— I ta panienka, córka, to samo?

— A ino, pojechała i ona. Zapłakała se, chudziatko, jak przyszło włączyć na furę. Jeszcze mi złotówkę wetknęła, żem, widać, sterczała jako się patrzy przy bramie.

Marcin odszedł stamtąd. Nie widział ani jednego przechodnia, instynktem prawie trafił z ulicy w ulicę, z ulicy w ulicę, z ulicy w ulicę. Nie wiedząc o tym, znalazł się u bramy parku; wszedł tam, skierował na swoją uliczkę i trafił do źródła.

Pusto było w tym ustroniu. Kamienne ławki stały tak samo, tylko liście bzu poczerniały, śpiew ptasi ustał. Borowicz siadł na swym miejscu i zmartwiałymi oczyma przyglądał się ławce sąsiedniej.

Kiedy niekiedy z wysokich drzew spływał liść zeschnięty, kołysał się na powietrzu i cicho padał między uwiedle trawy. Kiedy niekiedy za żelaznymi sztachetami dawał się słyszeć łoskot kroków przechodnia po kamiennym chodniku albo w dali okrzyk uczniów bawiących się w piłkę na gimnazjalnym podwórzu.

Drżącymi palcami Marcin wyjął z bocznej kieszeni kartkę z pismem „Biruty” i przycisnął do ust zsiniałych słowa piosenki:

Ach, kiedyż wykujem, strudzeni oracze,
Lemiesze z pałaszy skrwawionych?...

Duszę jego gruchotała boleść tak głęboka, jakby trzymał na wargach rękawiczkę lub wstążkę wyjętą z trumny. Skąpy orszak myśli snuł się po jego rozbitym mózgu. Było ich coraz mniej, coraz mniej... Tylko dwa, trzy pytania wracały ciągle.

Po cóż to wszystko ludzie robią, po co czynią dobrowolnie na złość słabszym spośród siebie, dzieciom? Toż to jest pomoc udzielona młodości przez wiek i rozum dojrzały? Nic, tylko mściwe, obłudne a umyślne łganie, gdzie się da, podstawienie nogi, żebyś upadł i żebyś się rozbił. A ty wierzysz, że wykujem leemiesze z pałaszy skrwawionych... — zapłakał w głębi serca.

Wtem dał się słyszeć nad nim cichy głos:

— Borowicz, panie, panie...

Marcin podniósł głowę i zobaczył twarz Radka, wówczas ucznia klasy ósmej, który stał schylony.

Szerokoramienny, chudy i śniady chłop wlepił swe siwe oczy w twarz jego i cicho pytał:

⁵⁹⁶ *dzieńszczyk* (z ros.) — ordynans. [przypis edytorski]

⁵⁹⁷ *zastuga* — tu: pensja, zarobek. [przypis edytorski]

Dziecko, Dzieciństwo,
Dorosłość, Rozczarowanie,
Obyczaje

— Cóż ci to, Borowicz, cóż ci to?

Marcin nie był w stanie rzec słowa, nie mógł patrzeć, wyciągnął tylko rękę i wspomógł się na siłach, czując uściśnienie kościstej, a jakby z żelaza urobionej prawicy Radkowej.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szyfowe-prace>

Tekst opracowany na podstawie: Żeromski, Stefan, *Szyfowe prace*, wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Izabela Erdmann, Katarzyna Kwiatkowska, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-1057-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).